

ZESZYT DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1974

ZESZYT DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1974

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 248

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

Józef GARLIŃSKI

POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE (1939-1945)

Po raz pierwszy w historii naszego kontynentu działania wojenne II-ej wojny światowej, połączone były z masowym ruchem podziemnym. Powstawał on wszędzie tam, gdzie pojawiali się Niemcy ze swym wojskiem, administracją i policją.

Okupacja zdobytego terytorium nie jest rzeczą nową i nie ma chyba kraju w Europie, który by jej kiedyś nie przeszedł, ale dopiero ostatnia wojna, prowadzona przez Hitlera w sposób totalny i okrutny, doprowadziła do stanu, w którym nawet najbardziej pokojowo nastawione narody schodziły do podziemia i podejmowały z Nazistami konspiracyjną walkę.

Trzeba od razu podkreślić, że opór podziemny wyglądał inaczej w krajach zachodnich a inaczej w środkowej i wschodniej Europie. Zależało to wyłącznie od zachowania się samych Niemców. Na zachodzie, poza Alzacją i Lotarynią, nie mieli oni w zasadzie na celu zdobyczy terytorialnych a zamieszkujące tam narody traktowali bądź z pewną dozą wyrozumienia (Francuzi), bądź nawet uważali, że można je podciągnąć do roli „honorowych Niemców” (Duńczycy, Holendrzy). We Francji, która prawie do końca roku 1942 była okupowana tylko częściowo, istniał i działał legalny rząd francuski w Vichy, w Danii, mimo całkowitej okupacji, pozostała rodzina królewska i także utrzymał się legalny rząd. Wprawdzie głowy państw i rządy Belgii, Holandii i Norwegii schroniły się do Wielkiej Brytanii, ale na miejscu znaleźli się kolaboranci, którzy, choć zdrajcy, osłabiali ostrze niemieckiej bezwzględności. We wszystkich tych krajach działały szkoły średnie i uniwersytety, były otwarte teatry, galerie sztuki i muzea, rozwijało się nadal życie kulturalne.

Inaczej układały się sprawy na wschodzie. Tam Niemcy szu-

kali wyłącznie przestrzeni życiowej i rąk do pracy na najniższym socjalnym poziomie, tam wojenna okupacja przerodziła się w furiacki atak na warstwy kierownicze, na inteligencję i na wszystkie przejawy odrębności i siły kulturalnej podbitych narodów. Nic dziwnego, że gdy na zachodzie działania podziemne dotyczyły przede wszystkim dywersji, sabotażu i propagandy, w Polsce musiały objąć właściwie wszystkie dziedziny narodowego życia. Stąd nazwa: „Polskie Państwo Podziemne”.

Mogło ono powstać dlatego, że ruch oporu w naszym kraju był naprawdę powszechny i masowy, że wzięty w nim udział wszystkie warstwy narodu. Obejmował on nie tylko działalność polityczną i wojskową, ale także, w końcowej fazie, doszedł do podziemnego parlamentu, posiadał tajną administrację i sądownictwo, prowadził sekretne nauczanie na poziomie średnim i wyższym, wydawał pisma i książki, organizował konspiracyjne przedstawienia teatralne, odczyty, wystawy i koncerty, konserwował i zabezpieczał dzieła sztuki.

Praca niniejsza jest próbą przedstawienia, w największym skrócie, osiągnięć polskiego podziemia z uwzględnieniem wszystkich jego aspektów. Rozważając je, trzeba pamiętać, że przez pierwsze 21 miesięcy Polska była okupowana przez dwóch wrogów, hitlerowskie Niemcy i Związek Sowiecki. Odbija się to w niniejszej pracy, ale tylko częściowo, bo, po pierwsze, największy rozwój ruchu podziemnego miał miejsce w latach, w których cała Polska znajdowała się pod okupacją Niemców, a po drugie dokumentacja, dotycząca rządów sowieckich, posiada wielkie luki.

Przedstawiając szczegóły polskich podziemnych poczynań, nie można pominąć faktu, że okupowany kraj poddany został terrorowi, którego w tym stopniu nie doznały inne kraje Europy. Przede wszystkim obydwaj napastnicy zaczęli swe rządy od aneksji polskich ziem, co spowodowało masowe wysiedlenia i zsyłki. Tysiące polskich obywateli trafiło także do więzień bez udowodnienia im jakiegokolwiek przestępstwa. Po ataku niemieckim na wschodzie wielu z nich zostało pomordowanych przez władze sowieckie jeszcze w więzieniach lub w czasie ewakuacji. Władze niemieckie od razu przystąpiły do likwidacji polskiego życia kulturalnego, zamykając uniwersytety, szkoły średnie, teatry i muzea. Stworzyły one także na ziemi polskiej obozy koncentracyjne, z głośnym na cały świat Oświęcimmem i miejsca masowej zagłady Żydów, których zwożono z całej Europy. Częste łapanki w miastach i miasteczkach dostarczały więźniów do obozów i robotników, których wywożono do Rzeszy bez żadnej prawie ochrony prawnej. Terrorystyczne poczynania odbydwu okupan-

tów, obliczone na wyniszczenie polskiego elementu i zastraszenie go, znalazły swe odbicie w działaniach podziemnego państwa i w niniejszej pracy.

Początek konspiracji

27 września 1939 roku, na dzień przed kapitulacją Warszawy, gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski przystąpił do tworzenia tajnej organizacji wojskowej, „Służba Zwycięstwu Polski” (SZP). Mandat do działania otrzymał od dowódcy obrony stolicy, gen. Juliusza Rómmla, który o dzień wcześniej odebrał pisemny rozkaz naczelnego wodza, marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza, znajdującego się już w Rumunii. Rozkaz dotyczył organizacji dywersji przeciw okupantom¹.

W połowie października gen. Tokarzewski (ps. „Torwid”) posiadał już swój sztab, zakonspirowany w Warszawie, którego szefem został płk Stefan Rowecki (ps. „Grabica”). Prace organizacyjne oparto o statut, który przewidywał powstanie terenowych okręgów i obwodów, oraz wytyczał zasadnicze kierunki działania. Organizacja miała objąć cały obszar państwa polskiego, wciągnąć naród do oporu, rozpocząć akcje sabotażowo-dywersyjne i przygotować kraj do powstania powszechnego w ostatniej fazie wojny². Najłatwiej było rozpocząć prace organizacyjne na terenie Guberni Generalnej i dlatego SZP pierwsze swe ekspozytury posiadała w Krakowie, Lublinie i Radomiu³. Sięgnięto także do terenów włączonych do Rzeszy i do Łodzi pojechał płk Leopold Okulicki (ps. „Kula”). Niestety na tamtych ziemiach konspiracja rozwijała się bardzo opornie. Masowe wysiedlania ludności polskiej, przeprowadzane w okrutny sposób, kontrola policyjna i terror sprawiały, że montowana siatka rwała się ustawicznie i była bardzo słaba⁴. Kilku oficerów wyjechało także na teren okupacji sowieckiej, do Lwowa, Białegostoku i Wilna, które do 15 czerwca 1940 roku, gdy zajął je ostatecznie Związek Sowiecki, pozostawało w rękach Litwinów. Istniały już tam załóżki podziemnych organizacji, powstałych spontanicznie, ale były bardzo słabe. Miejscowe społeczeństwo zostało już przepenetro-

1. Michał Karaszewicz-Tokarzewski, „Jak powstała Armia Krajowa”, *Zeszyty Historyczne*, Paryż 1964, nr 6, str. 20.

2. Janina Karasiówna, „Pierwsze półrocze armii podziemnej (S.Z.P.-Z.W.Z.)”, odbitka z *Niepodległości*, Londyn 1948, str. 23.

3. Tamże.

4. *Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945 (dalej AK)*, tom I, Londyn, 1970, str. 58-59.

wane przez NKWD, co ułatwiała duża ilość mniejszości narodowych, szły liczne aresztowania a dalsze osłabienie elementu polskiego zostało spowodowane masowymi deportacjami w głąb Sowieckiego Związku⁵. Montowanie podziemnej, wojskowej siatki szło bardzo powoli. W Wilnie rezultaty były lepsze, we Lwowie penetracja NKWD dotarła nawet do komendy ZWZ.

Gen. Tokarzewski rozumiał, że organizacja wojskowa nie może działać w próżni politycznej i dlatego oparł SZP o „Główną Radę Polityczną” (GRP), składającą się z przedstawicieli Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS), Stronnictwa Ludowego (SL), Stronnictwa Narodowego (SN) i, nieco później, Stronnictwa Demokratycznego (SD). Czołowymi reprezentantami poszczególnych partii byli w Radzie: Kazimierz Pużak (PPS), Maciej Rataj (SL), Leon Nowodworski (SN) i Mieczysław Michałowicz (SD)⁶. Szukanie oparcia o stronnictwa, które przed wojną były w opozycji do grupy rządzącej, było wówczas koniecznością, bo w społeczeństwie polskim zarysował się głęboki kryzys zaufania do władz państwowych, wywodzących się z jednego obozu politycznego. Był to obóz stworzony przez Józefa Piłsudskiego, który po jego śmierci rządził Polską.

Odbudowa władz państwowych na terenie Francji

Równolegle do prac konspiracyjnych w kraju, prowadzono we Francji rozmowy zmierzające do utworzenia nowego rządu i do zainstalowania go na sojuszniczej ziemi. Dotyczyło to także odbudowy polskich sił zbrojnych. W Paryżu przebywał już gen. Władysław Sikorski, przeciwnik obozu piłsudczyków, który wiele lat spędził we Francji, był przez władze francuskie znany i popierany. Ponieważ Prezydent i rząd polski byli internowani w Rumunii, ambasador w Paryżu, Juliusz Łukasiewicz, przejął na siebie chwilowe wykonywanie suwerennych praw Rzeczypospolitej i 28 września, po naradzie z politykami, powierzył Sikorskiemu dowództwo armii polskiej we Francji. W dwa dni później, nowy Prezydent RP, Władysław Raczkiewicz, który przejął urząd z rąk Ignacego Mościckiego, zaproponował Sikorskiemu funkcję premiera⁷. Sikorski podjął się tego zadania i w ciągu kilku dni połączył w swych rękach dwa najważniejsze stanowiska. Sojusznicze rządy Francji i Wielkiej Brytanii przyjęły to do wiadomości.

5. AK, op. cit., str. 65.

6. Tamże, str. 3.

7. Józef Garliński, *Politycy i żołnierze*, wyd. II, Londyn, 1971, str. 29-30.

Związek Walki Zbrojnej

Po sformowaniu gabinetu i po rozpoczęciu prac zmierzających do odbudowy sił zbrojnych, Sikorski skierował swoją uwagę na kraj, który w jego działalności politycznej i wojskowej odgrywał rolę najważniejszą. Stamtąd tylko mógł czerpać moralną i polityczną siłę do kierowania polskimi sprawami.

Sytuacja, w której wojskowe i polityczne podziemie w kraju zorganizowało się samo, nie odpowiadała mu tym bardziej, że gen. Tokarzewski wywodził się z obozu Piłsudskiego. Dlatego 13 listopada 1939 roku Sikorski powołał do życia „Związek Walki Zbrojnej” (ZWZ), który miał zastąpić stworzoną przez Tokarzewskiego organizację (SZP) i przejąć całą jej siatkę terenową⁸. Chcąc mieć ZWZ w całkowitej swej dyspozycji, komendę jego ustanowił we Francji, z gen. Kazimierzem Sosnkowskim na czele, który objął także kierownictwo Komitetu Ministrów dla spraw Kraju. Był on wprawdzie piłsudczykiem, ale przed wojną stosunki jego z tym obozem ochłodziły. Całą Polskę podzielono na sześć obszarów: Warszawa, Białystok, Kraków, Lwów, Poznań i Toruń. Komendanci tych obszarów podlegali bezpośrednio Sosnkowskiemu⁹.

Była to konstrukcja bardzo sztuczna, więc już w styczniu 1940 roku zmieniono ją i podzielono kraj na dwie okupacje: niemiecką i sowiecką. Komendantem niemieckiej z siedzibą w Warszawie został płk Rowecki, komendantem sowieckiej z siedzibą we Lwowie gen. Tokarzewski, który otrzymał rozkaz, że ma się tam niezwłocznie udać. Rozkaz ten starał się wykonać, ale w nocy z 6/7 marca, przy przekraczaniu linii demarkacyjnej, wpadł w ręce sowieckie¹⁰.

Nowy podział przetrwał zaledwie kilka miesięcy. Nastąpił niemiecki atak na zachodzie i w ciągu kilku tygodni padła Francja. Załamany się nadzieje na szybkie zakończenie wojny, gen. Sikorski udał się do Wielkiej Brytanii i zaraz po przybyciu, 30 czerwca 1940 roku, wysłał do gen. Roweckiego depeszę. Ustanawiał w niej komendę ZWZ w kraju na cały obszar Polski i jemu powierzał funkcję komendanta głównego¹¹.

Najważniejsze wstępne prace ZWZ dotyczyły przede wszyst-

8. *AK, op. cit.*, str. 4-5 i 10-12.

9. *Tamże*, str. 16.

10. J. Garliński, *op. cit.*, str. 31.

11. *AK, op. cit.*, str. 263. (3 maja 1940 roku Rowecki został mianowany generałem brygady. Obok pseudonimu „Grabica” używał także ps. „Rakoń”, by później przyjąć ps. „Grot”, pod którym najbardziej był znany. W korespondencji wewnętrznej używał czasem ps. „Inżynier”, „Jan” lub „Tur”. Korespondencje ze sztabem N.W. w Londynie podpisywał „Kalina”).

kim własnej organizacji wewnętrznej. Oparto ją na statucie, który został opracowany we Francji, w lutym 1940 roku. Wymieniony powyżej podział na obszary uzupełniono okręgami. Gdy siatka organizacyjna była już dostatecznie silna, zabrano się do trzech zasadniczych kierunków działania: propagandy, sabotażu i wywiadu. Propagandę, skierowaną na podtrzymanie na duchu, na informacje o toczącej się wojnie i na walkę z kłamstwami okupantów, prowadzono przede wszystkim przez pisma konspiracyjne i przez działanie „małego sabotażu”. Polegał on na hasłach, które wypisywano na murach, na zrywaniu niemieckich afiszów i nalepianiu własnych, na wywieszaniu godeł narodowych w dniach rocznic historycznych itd. Sabotaż, uprawiany samorzutnie od pierwszych dni okupacji, ujęty został w ramy organizacyjne, co miało podnieść jego wydajność, przy jednoczesnym ograniczeniu strat. W kwietniu płk Rowecki powołał do życia „Związek Odwetu” (ZO)¹². Był on częścią składową ZWZ, ale dla celów bezpieczeństwa pracował na własnej siatce łączności i własnymi grupami wykonawczymi. Zadaniem jego było prowadzenie akcji sabotażowej, zbrojnej dywersji i działań odwetowych, posiadał swoje ekspozytury nie tylko na terenie Generalnej Guberni i ziem włączonych do Rzeszy, ale także w głębi niemieckiego państwa. Posiadał własną produkcję materiałów wybuchowych. Osiągnięcia ZO były znaczne. W czasie niecałych trzech lat istnienia, tylko na odcinku atakowania niemieckiego transportu kolejowego, uszkodzono około 3.000 parowozów i wykolejono około 400 transportów¹³. Wywiad wojskowy zajmował się zdobywaniem wiadomości o ruchach wojsk niemieckich, o ich sile i dyslokacji. Przesyłało je do sztabu N.W. w Londynie. Specjalnie ważne były meldunki dotyczące niemieckich przygotowań do uderzenia na Związek Sowiecki. Polskie władze w Londynie przekazywały je władzom brytyjskim. Miały one duże znaczenie dla planowania działań wojennych przez sprzymierzonych. Meldunki wywiadowcze dotyczyły także spraw gospodarczych Rzeszy i terroru.

Wraz ze zniknięciem SZP zmieniła się także struktura reprezentacji politycznej, o którą oparł się ZWZ. „Główna Rada Polityczna przestała istnieć a na jej miejsce utworzony został „Polityczny Komitet Porozumiewawczy” (PKP), który powstał 26 lutego 1940 roku¹⁴. Weszły doń PPS-WRN¹⁵ (kryptonim „Koło”),

12. *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej* (dalej PSZ), tom III, Armia Krajowa, Londyn, 1950, str. 439.

13. PSZ, *op. cit.*, str. 439-451.

14. Eugeniusz Duraczyński, *Stosunki w kierownictwie podziemia londyńskiego 1939-1943*, Warszawa 1966, str. 22.

15. PPS w czasie wojny używał kryptonimu WRN (Wolność, Równość, Niepodległość).

reprezentowana przez Kazimierza Pużaka, który został przewodniczącym, Stronnictwo Ludowe (kr. „Trójkąt”), reprezentowane przez Stefana Korbońskiego, i Stronnictwo Narodowe (kr. „Kwadrat”), reprezentowane przez Aleksandra Dębskiego. Nadal było to ciało nie nadrzędne a równorzędne a nawet zależne od ZWZ. Później, w jesieni 1940 roku, do PKP weszło Stronnictwo Pracy (kr. „Romb”), reprezentowane przez Franciszka Kwiecińskiego¹⁶.

Upadek Francji, likwidacja zachodniego frontu i świadomość, że wojna potrwa długo, nie zahamowały prac Komendy Głównej ZWZ, związanych z przewidywaniami dotyczącymi zakończenia działań wojennych. Już w roku 1940, po zakończeniu najważniejszych prac organizacyjnych, przystąpiono do opracowania planu powstania powszechnego. Przewidywał on powstanie przeciwniemieckie przy jednoczesnej obronie przed Związkiem Sowieckim. Zanim nadano mu ostateczną formę, toczyła się wymiana poglądów pomiędzy Warszawą i Londynem. Plan został przesłany do władz polskich w Wielkiej Brytanii jako „raport operacyjny nr 54” z dn. 5 lutego 1941 roku. Wysłany drogą kurierską, dotarł do Londynu 25 czerwca 1941 roku, a więc już po uderzeniu Niemiec na Związek Sowiecki¹⁷. To przekreśliło jego aktualność.

Delegatura Rządu

Od samego początku prac konspiracyjnych w Polsce dała się zauważyć dominacja czynnika wojskowego nad politycznym. Podziemie wojskowe zorganizowało się wcześniej i miało łatwiejsze zadanie, bo hasło walki z okupantami było akceptowane przez wszystkich i nie wymagało skomplikowanych uzgadnian i sformułowań. Odbudowa życia politycznego i doprowadzenie do współpracy poszczególnych partii było znacznie trudniejsze, bo programy nie dawały się w pośpiechu uzgodnić a dawne animozje i brak wzajemnego zaufania nie ułatwiały porozumienia. Dlatego, wbrew normalnej, demokratycznej praktyce, „Rada Główna Polityczna” nie była czynnikiem nadrzędnym nad SZP a działała przy niej, w dużej od niej zależności. Z tego samego powodu „Polityczny Komitet Porozumiewawczy” spełniał podobną rolę wobec ZWZ. I Tokarzewski i Rowecki byli zwolennikami takiego układu nie tylko dlatego, że podnosili ich pozycję osobistą, ale także z uwagi na jednolitość działania.

16. E. Duraczyński, *op. cit.*, str. 41.

17. AK, *op. cit.*, str. 437-438.

Ten stan rzeczy nie odpowiadał ani gen. Sikorskiemu ani politykom na emigracji. Było to zrozumiałe, bo rząd znajdował się we Francji, nie odczuwał nacisku okupantów, i był zdania, że polityka powinna być oddzielona od wojska, które jest instrumentem działania a nie źródłem władzy politycznej. Względy praktyczne nie docierały do świadomości polityków emigracyjnych. Ponadto, do upadku Francji, wierzono w szybki koniec wojny i toczyła się już walka o wpływy i o to, kto po wojnie będzie rządzić Polską.

16 kwietnia 1940 roku Komitet Ministrów dla Spraw Kraju powziął uchwałę przewidującą powołanie Delegata Rządu w okupowanej Polsce i ustalił zasady jego współpracy z ZWZ. Zdecydowano, że Delegat ma być od wojska niezależny, ma kontrolować wykonanie budżetu ZWZ i współpracować ze stronnictwami¹⁸. Dnia następnego powzięto uchwałę określającą tę współpracę. Ustalono zatem dwutorowość działania, oddzielenie wojska od polityki i niezależność, a nawet nadrzędność Delegatury¹⁹. Przewidywano wówczas trzech delegatów: dla Gen. Gubernatorstwa, dla ziem włączonych do Rzeszy i dla ziem zagarniętych przez ZSSR. Kandydatów miały wytypować stronnictwa²⁰.

W maju rząd wysłał do kraju swego emisariusza, płk. Jana Skorobohatego-Jakubowskiego (ps. „Vogiel”, „Kaczmarek Jan”), którego uważano także za tymczasowego Delegata²¹. Miał on dopomóc do ustalenia kandydatur na Delegatów, ale zanim cokolwiek dokonał, padła Francja. Minęło pół roku nim doszło do decyzji, że mianowany będzie tylko jeden Delegat Główny na cały kraj, i nim uzgodniono kandydaturę. Został nim Cyryl Ratajski (ps. „Wartski”, „Wrzos”), b. prezydent Poznania, członek Stronnictwa Pracy, mianowany przez rząd 2 grudnia 1940 roku. Wywołało to sprzeczki w konspiracji, bo PKP proponował go tylko na zastępcę²².

Rozpoczęła się budowa Delegatury Rządu, niezależnej od ZWZ i opierającej się o PKP. Miała ona stanowić w kraju podziemną władzę polityczną, której wojsko musiało podlegać²³, miała przygotować administrację cywilną, gotową do działania przy zakończeniu wojny. W Warszawie poczęto tworzyć departamenty, w terenie ustanawiać lokalnych delegatów, podlegających cen-

18. Tamże, str. 219-220.

19. Tamże, str. 221-222.

20. E. Duraczyński, *op. cit.*, str. 23.

21. *PSZ*, *op. cit.*, str. 53.

22. *AK*, *op. cit.*, str. 332 i 368-369. Także: Jerzy Michalewski, „Relacja o Delegaturze Rządu”, *Zeszyty Historyczne*, Paryż 1973, nr 26, str. 73.

23. *PSZ*, *op. cit.*, str. 52.

trali. Minęło wiele miesięcy zanim departamenty poczęły działać i regulować polityczne i kulturalne życie kraju²⁴.

Armia Krajowa

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej nastąpiły zmiany w składzie władz polskich w Londynie, rzutujące na kraj. Ustąpił z rządu gen. Sosnkowski i 18 sierpnia 1941 roku gen. Sikorski odwołał go z funkcji przewodniczącego Komitetu Ministrów dla Spraw Kraju, przejmując ją do własnych rąk. 14 lutego 1942 roku ukazał się jego rozkaz, w którym przemianował ZWZ na Armię Krajową (AK) z dotychczasowym komendantem ZWZ, gen. Stefanem Roweckim, na czele. Nowa nazwa przetrwała do końca działalności AK.

Była to już nowa faza w działaniach podziemnej armii, bo po ataku Niemiec na ZSSR po pierwsze zmieniła się sytuacja polityczna a po drugie cała Polska znalazła się pod niemiecką okupacją. Do pewnych granic ułatwiło to konspiracyjne prace, które w tej fazie rozwijały się w dwóch najważniejszych kierunkach: — powiększenie kadr przygotowanych do walki żołnierzy i rozszerzenie zasięgu ich działań; scalenie wszystkich formacji wojskowych, które nie podlegały jeszcze jednolitemu dowództwu.

W wyniku kampanii wrześniowej armia polska straciła wielu oficerów i podoficerów, którzy bądź polegli bądź dostali się do niewoli. Duży procent, zwłaszcza młodszych, którzy uniknęli tego losu, szukał drogi na zachód, do odtwarzanych tam sił zbrojnych. Należało uzupełnić kadry i stworzyć nowe i w tym celu poczęto organizować konspiracyjne podchorążówki i szkoły podoficerskie. Drukowano także wiele podręczników i instrukcji. Stany ogólne, które po upadku Francji zmniejszyły się, poczęły znowu iść w górę. Dokładnych cyfr nie ma, bo w konspiracji trudne są do ustalenia, przyjąć jednak można, że na początku roku 1943 Armia Krajowa liczyła około 200.000 żołnierzy²⁵. Uzbrojenie ich było bardzo słabe. Pochodziło ono z czterech źródeł: a) broń zakopana we wrześniu 1939 roku i teraz odkopana, b) własna konspiracyjna produkcja²⁶, c) zdobycz na nieprzy-

24. J. Michalewski, *op. cit.*, str. 75-76.

25. Kazimierz Iranek-Osmecki, „Zarys rozwoju Armii Krajowej”, odbitka z *Niepodległości*, Londyn, 1948, str. 8.

26. W ciągu całej wojny, mimo trudności technicznych, w samej tylko Warszawie wyprodukowano 800 Stenów (kopie Stenów rzutowych), 900 miotaczy ognia, 800 pistoletów maszynowych „Błyskawica” i 80 tys. kg. materiałów wybuchowych. (Przemysław Kraczkiewicz, wywiad dla Radia Wolnej Europy, 14. 10. 1965).

jacielu, w tej fazie jeszcze bardzo skromna, d) zrzućty powietrzne z Wielkiej Brytanii. Te ostatnie, przeprowadzane w ramach *Special Operations Executive* (SOE), gdzie działała polska sekcja, rozpoczęły się na dobre dopiero w drugiej połowie roku 1942²⁷. W okresie próbnym i w okresie drugim (krypt. „Intonacja”), do 30 kwietnia 1943 roku, zrzućcono 51,5 ton zaopatrzenia i 167 skoczków (w tym 16 kurierów politycznych). Było to bardzo mało na około 4.000 plutonów, ponadto zasięg lotów nie przekraczał rejonu Warszawy i nie obejmował wschodniej i południowej Polski. Drogą powietrzną przesyłano także do kraju rozkazy i instrukcje, zabierane przez kurierów, oraz pieniądze, które skoczkowie przewodzili w specjalnych pasach. Była to jednak łączność tylko jednokierunkowa. Dopiero w roku 1944, przez sekretne lądowania na konspiracyjnych lotniskach, uruchomiono dwukierunkowość. Lądowań takich było w Polsce tylko trzy, operacje te nosiły kryptonim „Most”²⁸.

Bardzo poważną rolę w pracach konspiracyjnych odegrała łączność radiowa, bez której współpraca z władzami na zachodzie, a w okresie walki współpraca pomiędzy Obszarami i Okręgami, byłaby skazana jedynie na powolną łączność kurierską. Łączność radiowa była objęta ogólnym pojęciem łączności operacyjnej, woj-skowej, w odróżnieniu od łączności konspiracyjnej. Rozwój techniki, specjalnie gwałtowny w czasie wojny, pozwalał na ciągłe podnoszenie sprawności. Prowadzono własną produkcję aparatów radiowych i stacji nadawczych, otrzymywano także sprzęt z zachodu w formie zrzućtów. W połowie roku 1943 powstała pod Londynem wielka centrala radiowa na użytek kraju, dzięki której słabe stacje mogły utrzymywać ze sobą łączność²⁹. Specjalnym działem łączności radiowej było wykorzystywanie audycji BBC, w których w formie uzgodnionych melodii przesyłano do kraju

27. Pierwszego zrzućtu skoczków wraz z zaopatrzeniem dokonano na teren Polski 15 lutego 1941 roku, ale był to zrzućt eksperymentalny.

28. W okresie od 15 lutego 1941 do 29 grudnia 1944 roku zrzućcono do Polski, łącznie z Wielkiej Brytanii i z Włoch, wliczając w to Powstanie Warszawskie, 344 skoczków (w tym jedna kobieta, dwóch skakało dwukrotnie), 600,9 ton zaopatrzenia, ponad 34 miliony dolarów w banknotach i złocie, £ 1,775 w złocie, ponad 19 milionów marek niemieckich, ponad 40 milionów okupacyjnych polskich złotych i 10,000 pesetów. Wykonano 868 lotów, stracono 70 samolotów. Do końca roku 1943 latano z Wielkiej Brytanii i wówczas zasięg nie przekraczał rejonu Warszawy, gdy przeniesiono bazę lotów do Brindisi (Włochy), względy polityczne sprawiły, że władze brytyjskie nie pozwalały na loty na wschód od linii Curzona. (J. Garliński, *op. cit.*, str. 125-126 i 246).

29. Konrad Bogacki, „Konspiracyjna łączność radiowa Armii Krajowej”, *Dziękuję wam rodacy*, Londyn, 1973, str. 126-127.

sygnały o powietrznych i innych operacjach. Ten system łączności nosił kryptonim „Jodoform”³⁰.

Od samego początku konspiracji dążono do utworzenia i rozbudowania łączności kurierskiej, która mimo radia nie straciła na ważności, bo dzięki niej można było przerywać większe raporty, rozkazy i instrukcje a także przysyłać emisariuszy ze specjalnymi misjami. Łączność ta, którą nazywano konspiracyjną, opierała się o bazy znajdujące się poza granicami Polski. Były to: baza nr 1 w Budapeszcie (krypt. „Romek”), baza nr 2 w Bukareszcie (krypt. „Bolek”) i baza w Sztokholmie (krypt. „Anna”). W listopadzie 1940 roku bazę nr 2 trzeba było, pod naciskiem Niemców, przenieść do Stambułu, gdzie przeorganizowano ją na placówkę pod krypt. „Bey”, pozostawiając w Bukareszcie zakonspirowaną placówkę „Bolek II”. Istniały także placówki: w Belgradzie (krypt. „Sława”), która przestała działać w kwietniu 1941 roku z powodu niemieckich aresztowań, w Atenach (krypt. „Grzegorz”) i w Kairze (krypt. „Alek”, „Muł”). Dalsze placówki pomocnicze znajdowały się w wielu krajach³¹.

Dużymi osiągnięciami wykazał się wywiad Armii Krajowej. Przed atakiem Niemców na wchodzie przysyłał do Londynu wartościowe informacje o dyslokacji niemieckich wojsk, później słał meldunki z zaplecza frontu, wreszcie sięgnął także w głąb Rzeszy. On zdobył niezwykle ważne dane o niemieckich doświadczeniach z latającymi bombami w Peenemünde, u ujścia Odry. Na ich podstawie brytyjskie lotnictwo dokonało nalotu w nocy z 17/18 sierpnia 1943 roku i zniszczyło niemieckie zakłady³². Przeniesiono je na teren Polski, w okolicę Blizny, w widłach Sanu i Wisły, i wówczas wywiad AK potrafił w maju 1944 roku zdobyć całą, nieuszkodzoną rakietę V-2. Dokładny jej opis z najważniejszymi częściami przesłano do Londynu w lipcu 1944 roku³³.

Bardzo znacznie zostało wzmożone nasilenie dywersji. W związku z wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej i otworzeniem się wielkich obszarów na wschodzie, dowódca AK, pod koniec roku 1941, powołał do życia specjalną grupę dywersyjną pod kryptonimem „Wachlarz”³⁴. Miała ona dwa zadania: bieżącą akcję sabotażowo-dywersyjną i osłonę powstania powszechnego pod koniec wojny. „Wachlarz” miał działać na pięciu odcinkach, rozciągających się od morza Bałtyckiego do morza Czarnego, ale

30. J. Garliński, *op. cit.*, str. 82.

31. AK, *op. cit.*, mapa nr 2 na końcu tomu.

32. Michał Wojewódzki, *Akcja V-1, V-2*, wyd. II, Warszawa 1972, str. 127. Także: Walter Dornberger, *V.2*, Londyn, 1954.

33. J. Garliński, *op. cit.*, str. 170.

34. PSZ, *op. cit.*, str. 482.

w praktyce ograniczył swą aktywność do trzech odcinków środkowych. Służyło w nim, między innymi, 32 skoczaków, przeszkolonych w Wielkiej Brytanii. Atakowano przede wszystkim niemieckie linie komunikacyjne. Mimo dużego wysiłku osiągnięcia „Wachlarza” nie spełniły pokładanych w nim nadziei i dlatego pod koniec roku 1942 został on rozwiązany. Jego aktywa terenowe zostały wchłonięte przez miejscowe okręgi AK³⁵.

To, co pozostało z kierownictwa „Wachlarza” w Warszawie, zostało przejęte przez dowództwo „Kedywu”. Kryptonim ten powstał z dwóch słów: „kierownictwo dywersji”. Nowa organizacja bojowa została stworzona pod koniec roku 1942, ale zaczęła działać, oczywiście w ramach AK, na wiosnę roku następnego. Miała ona prowadzić intensywny sabotaż, dywersję, obronę społeczeństwa przed atakami terroru, miała sama stosować terror wobec Niemców i wykonywać wyroki podziemnych sądów. „Kedyw” wchłoniął cały aparat „Związku Odwetu” i kontynuował jego zadania³⁶.

Nasilenie walki bieżącej musiało doprowadzić do nowej formy działania, którą była partyzantka. Już wcześniej poczęły się pojawiać w terenie małe, uzbrojone oddziały, atakujące niemieckie posterunki policyjne i niemieckie urzędy, ale poważniejsza akcja leśnych oddziałów AK miała miejsce pod koniec roku 1942. W listopadzie tego roku, na Zamojszczyźnie, Niemcy rozpoczęli akcję pod kryptonimem „Wehrwolf”, która polegała na wysiedlaniu polskich wsi i osadzaniu w nich Volksdeutsche z różnych krajów. Oddziały partyzanckie AK przeszły do kontrakcji, atakując zajęte wsi, podpalając je i wypędzając nowych mieszkańców. Po kilku miesiącach wysiedlenia Polaków zostały poniechane³⁷. W niedługim czasie partyzantka AK bardzo się rozwinęła. Główne jej tereny działania znajdowały się w Górach Świętokrzyskich, w Radomskim, Kieleckim, na Lubelszczyźnie, w lasach Zamojskich, na Podhalu, na Wołyniu, w Białostockim, na Polesiu i, w dużej mierze, na Wileńszczyźnie i Nowogródzczyźnie. Na ziemiach wcielonych do Rzeszy partyzantka AK działała na Śląsku, w okolicy Oświęcimia. Rozwój partyzantki uzależniony był od dwóch czynników: dogodnego terenu i przychylnego stosunku ludności miejscowej. W Polsce centralnej uzbrojenie pochodziło przede wszystkim ze zrzutów, na innych terenach zdobywano je głównie na nieprzyjaciela. Na terenie Zamojszczyzny, Kieleckiego, Radomskiego i Gór Świętokrzyskich, obok AK działały także oddziały Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ), które nie pod-

35. Tamże, str. 499.

36. Tamże, str. 462.

37. Tamże, str. 522-523.

porządkowały się ogólnemu kierownictwu Armii Krajowej, i komunistyczne oddziały Gwardii Ludowej (GL), przemianowanej w roku 1944 na Armię Ludową (AL). Na kresach wschodnich działały sowieckie oddziały partyzanckie, potworzone z niedobitków Czerwonej Armii, którzy pochowali się w terenie, i ze skoczaków spadochronowych. Oddziały te, zaopatrywane z powietrza, koncentrowały się na niszczeniu polskich oddziałów i na atakowaniu polskich wsi i miasteczek, by osłabić polskość na terenach, które Związek Sowiecki uważał za swoje³⁸.

Silną bronią w rękach AK była prasa, którą wydawało Biuro Informacji i Propagandy (BIP)³⁹. Specjalnym rodzajem działalności prasowej były wydawnictwa „Akcji N”, która w ramach BIP drukowała pisma po niemiecku, pomyślane jako dywersja w Wehrmachcie i wśród niemieckiej administracji. Niektóre tytuły: *Der Soldat*, *Der Hammer*, *Der Klabautermann* — pismo satyryczne z ilustracjami⁴⁰. Wydawano także książki i broszury oraz regulaminy wojskowe.

W związku z wojną niemiecko-sowiecką i zasadniczą zmianą sytuacji, Komenda Główna AK opracowała w roku 1942 nowy plan powstania powszechnego, który wysłano do Londynu pocztą kurierską w jesieni tegoż roku jako raport operacyjny nr 154. Dotarł on do miejsca przeznaczenia w marcu 1943 roku⁴¹. Podobnie jak przy planie pierwszym poprzedziła go wymiana poglądów pomiędzy gen. Sikorskim i gen. Roweckim, których współpraca układała się coraz lepiej. Pomimo, że Związek Sowiecki był aliantem Zachodu a z Polską łączyła go umowa Sikorski-Majski, w planie przewidziano, że będzie on wrogią siłą w końcowej fazie wojny. Niemniej odrzucano możliwość beznadziejnej walki z Czerwoną Armią, gdyby, po ewentualnym zwycięstwie nad Niemcami, wkroczyła do Polski. Plan przewidywał wyłącznie walkę z siłami niemieckimi w chwili ich kompletnego załamania się. Optymizm, który był zasadniczą cechą planu pierwszego, wywarł także swoje piętno na planie drugim. Przewidywano na przykład, że „powstanie będzie wsparte całością sił powietrznych będących do dyspozycji, które do momentu wybuchu powstania zostaną prawdopodobnie szerzej rozbudowane. W każdym razie nie będzie to mniej niż 13 posiadanych obecnie dywizjonów”⁴². W chwili wysyłania planu było to technicznie zupełnie niemożliwe. Niezależnie od tego, rozwój wypadków wojennych i politycz-

38. Tamże, str. 525-530.

39. Patrz rozdział: Oświata, życie kulturalne, książki, prasa.

40. PSZ, op. cit., str. 512-513.

41. Tamże, str. 196.

42. Tamże, str. 204

nich sprawił, że, podobnie jak plan pierwszy, ten drugi stał się nierealny zanim go rozszyfrowano. W styczniu 1943 roku odbyła się konferencja w Casablance, na której Roosevelt z Churchilllem postanowili, że inwazja kontynentu odbędzie się nie z Bałkanów a z Wielkiej Brytanii⁴³. Decyzja ta przekreślała wszelkie nadzieje na wyprowadzenie Czerwonej Armii w marszu do Środkowej Europy i była zapowiedzią decyzji politycznych, które pozostawiły Polskę w sowieckiej strefie wpływów.

Akcja scaleniowa

W pierwszych miesiącach okupacji na terenie Polski działało około stu podziemnych organizacji wojskowych, powstałych głównie z inicjatyw prywatnych. Większość z nich nie była bezpośrednio związana z żadnym ruchem politycznym i te, zgodnie z rozkazami naczelnego wodza, dosyć łatwo dały się podporządkować jednemu kierownictwu, początkowo ZWZ, później AK. Były to: „Tajna Armia Polska” (TAP), „Związek Czynu Zbrojnego” (ZCZ), „Organizacja Wojskowa Wilki” (OWW), „Związek Oficerów Rezerwy” (ZOR), „Związek Podoficerów Rezerwy” (ZPR), „Korpus Zachodni”, „Polska Niepodległa”, „Tajna Organizacja Wojskowa” (TOW), „Kadra Powstańców Niepodległościowych” (KPN), „Brochwicz”, „Muszkietery”⁴⁴ i wiele, wiele innych. Inaczej przedstawiała się sprawa z formacjami wojskowymi, które powstały przy partiach politycznych. Brak rządu jednności narodowej w roku 1939 i ogólne załamanie się wzajemnego zaufania sprawiły, że niektóre stronnictwa poczęły tworzyć własne podziemne kadry wojskowe nie tylko dlatego, by zwalczać okupantów, ale by posiadać siłę w momencie zakończenia wojny i walki o władzę. Z nimi problem był znacznie trudniejszy tym bardziej, że politycy dopatrywali się w kierownictwie ZWZ i AK zbyt silnych wpływów Sanacji, która rządziła Polską przed wojną. Po długich pertraktacjach, dzięki pomocy PKP, w listopadzie 1942 roku zdołano podporządkować dowództwu AK „Narodową Organizację Wojskową” (NOW), utworzoną przez Stronnictwo Narodowe⁴⁵. W rok później, w lipcu 1943 roku, nastąpiło formalne podporządkowanie AK Batalionów Chłopskich (BCh), będących w dyspozycji Stronnictwa Ludowego⁴⁶. Sam fakt podporządkowania się nie oznaczał od razu pełnej współpracy. Znacznie

43. J. Garliński, *op. cit.*, str. 182.

44. *PSZ*, *op. cit.*, str. 162-166.

45. *Tamże*, str. 142.

46. *Tamże*, str. 145.

trudniej wyglądał problem „Narodowych Sił Zbrojnych” (NSZ), będących zbrojnym ramieniem Obozu Narodowo-Radykalnego „Szaniec”. NSZ powstały w r. 1942, gdy Stronnictwo Narodowe zdecydowało podporządkować NOW dowództwu Armii Krajowej. Wówczas część żołnierzy wyłamała i dołączyła do inicjatywy ONR, zmierzającej do utworzenia własnych oddziałów. Dwuletnie pertraktacje nie dały rezultatu i NSZ działały do końca samodzielnie. Jedynie część ich żołnierzy przeszła do AK.⁴⁷ Nigdy nie została podporządkowana „Polska Armia Ludowa” (PAL), będąca wojskową formacją „Polskich Socjalistów”, którzy powstałi z rozłamu z PPS⁴⁸. Oczywiście nie mogło być mowy o podporządkowaniu się „Armii Ludowej” (AL), która była formacją bojową Polskiej Partii Robotniczej (PPR). Powstała ona z inicjatywy Związku Sowieckiego, była jego narzędziem, wykonywała jego zadania polityczne, nie mogła więc podporządkować się Armii Krajowej, którą zwalczała. W czasie powstania znalazło się w Warszawie około 500 żołnierzy AL i ci walczyli pod rozkazami AK⁴⁹.

Rozbudowa Delegatury Rządu

Decyzja dualizmu polityczno-wojskowego w działaniach Polski Podziemnej nie była szczęśliwa. W czasie wojny nawet najbardziej demokratyczne kraje, jak Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, w ręce swych przywódców, Churchilla i Roosevelta, złożyły władzę prawie absolutną, rozumiejąc, że wymaga tego sytuacja. Ster spraw polskich dzierżył także jeden człowiek, bo gen. Sikorski był jednocześnie premierem i naczelnym wodzem, a właśnie w kraju, gdzie panował terror i gdzie każdy krok połączony był z niebezpieczeństwem, wszystko musiało być ułatwiane dwoma torami. Kraj nie mógł tego zmienić i dlatego główny wysiłek gen. Roweckiego i delegata Ratajskiego, obydwu ludzi dobrej woli, skierowany został na jaknajdalej posunięte zmniejszenie złych skutków dualizmu. W praktyce autorytet dowódcy AK przeważał i on był właściwym przywódcą walczącego w podziemiu kraju. Niestety rząd w Londynie pracy jego nie ułatwiał, bo sprawy krajowe znalazły się w rękach min. Stanisława Kota, zawsze pełnego obaw i podejrzeń⁵⁰. Miał on wpływ na

47. Tamże, str. 149-157.

48. Tamże, str. 168.

49. Tamże.

50. Stanisław Dołęga-Modrzewski, *Polskie Państwo Podziemne*, Londyn 1959, str. 68-69.

gen. Sikorskiego i stale budził w nim nieufność w stosunku do dowództwa Armii Krajowej.

Za urzędowania Cyryla Ratajskiego został stworzony aparat działania Delegatury w formie Delegatur Okręgowych i departamentów. Było ich 20, stanowiły przeważnie odpowiedniki przedwojennych ministerstw. Niektóre z nich, jak spraw wewnętrznych, informacji i dokumentacji, oświaty, skarbu, kontroli, Kierownictwa Walki Cywilnej (później Podziemnej), sprawiedliwości, pracowały dla chwili bieżącej, inne, jak przemysłu i handlu, rolnictwa, robót publicznych, poczt i telegrafów itd., przygotowywały plany na okres powojenny i śledziły poczynania okupantów. Te formy działania przetrwały do końca wojny⁵¹. Delegatura związana była także z podziemnym wymiarem sprawiedliwości, bo lokalny delegat zatwierdzał wyroki Sądów Kapturowych ZWZ, zanim nie zamieniono ich na Wojskowe Sądy Specjalne⁵². Przy Delegaturze działały także Sądy Karne Specjalne⁵³. Podobnie jak AK, Delegatura posiadała także własną prasę, z oficjalnym dwutygodnikiem, „Rzeczypospolitą Polską” na czele⁵⁴. Rząd w Londynie odbierał sprawozdania Delegatury, które przychodziły mniej więcej co kwartał i zawierały dane o sytuacji na ziemiach polskich i szczegóły terrorystycznych poczynąń okupantów. Delegatura kierowała także, w pewnym zakresie, podziemnym życiem kulturalnym i nauką⁵⁵.

Nieco więcej uwagi wymaga Kierownictwo Walki Cywilnej (KWC) i jego dalsze losy. W kwietniu 1941 roku delegat rządu, w porozumieniu z dowódcą AK, powołał do życia KWC. Zadaniem jego było organizowanie bojkotu działań okupantów, obliczonych na osłabienie oporu społeczeństwa, tępienie osób współpracujących z najeźdźcami i prowadzenie „małego sabotażu”. KWC oparło się na organizacjach politycznych i społecznych, dla których powołano w Warszawie Główną Komisję KWC. Weszli do niej przedstawiciele PKP i Społecznej Organizacji Samoobrony (SOS) łączącej kilkanaście mniejszych ugrupowań politycznych⁵⁶. Ponieważ władze wojskowe utworzyły w ramach AK Kierownictwo Walki Konspiracyjnej dla lepszego kierowania bieżącymi działaniami dywersyjnymi i bojowymi, wyłoniła się potrzeba połą-

51. J. Michalewski, *op. cit.*, str. 77-101. Także: Stefan Korboński, *W imieniu Rzeczypospolitej*, wyd. II, Londyn 1964, str. 57-58.

52. AK, *op. cit.*, str. 232

53. Władysław Sieroszewski, „Z działalności Wojskowego Sądu Specjalnego Okręgu a następnie Obszaru Warszawskiego (1940-1944)”, *Najnowsze Dzieje Polski*, tom. VIII, Warszawa 1964, str. 121-128.

54. S. Dołęga, *op. cit.*, str. 81-82.

55. Patrz rozdział: Oświata, życie kulturalne, książki, prasa.

56. J. Michalewski, *op. cit.*, str. 87.

czenia tych dwóch ośrodków. 5 lipca 1943 roku delegat i dowódca AK wydali wspólną odezwę, w której donieśli społeczeństwu, że powołali do życia Kierownictwo Walki Podziemnej. Na jej czele stanął dowódca AK ze swym szefem sztabu jako zastępcą. Dotychczasowy szef Kierownictwa Walki Cywilnej wszedł do nowego ciała jako przedstawiciel delegata rządu⁵⁷.

W lecie 1942 roku Ratajski, z powodu złego stanu zdrowia, ustąpił ze swego stanowiska i niedługo potem zmarł. Nominację na delegata otrzymał Jan Piekalkiewicz ze Stronnictwa Ludowego, który objął urzędowanie we wrześniu, ale już 19 lutego 1943 roku został aresztowany przez Gestapo. Zmarł w więzieniu na Pawiaku w czerwcu tegoż roku. Nową nominację otrzymał Jan Stanisław Jankowski ze Stronnictwa Pracy. Pełnił on swą funkcję w najtrudniejszym okresie, gdy zapadały wszystkie ważniejsze decyzje dotyczące Polski. Aresztowany podstępnie przez władze sowieckie w marcu 1945 roku, przeszedł proces w Moskwie⁵⁸ i zmarł w sowieckim więzieniu. Po nim urząd delegata przeszedł na Stefana Korbońskiego ze Stronnictwa Ludowego⁵⁹. Po odejściu Ratajskiego wszyscy następni delegaci także starali się niwelować trudności dualizmu w działaniu podziemia i lojalnie współpracowali z dowódcą Armii Krajowej. Ważne były także dobre stosunki pomiędzy Delegaturą i rządem w Londynie.

W roku 1944 Delegatura nabrała nowego znaczenia. 26 kwietnia wyszedł dekret Prezydenta RP ustanawiający ostateczne formy prawne na terenie okupowanego kraju⁶⁰. Delegat stawał się zastępcą premiera z dużymi uprawnieniami. On sam mógł zdecydować o zakończeniu konspiracji i ujawnieniu swej władzy, gdyby zaszła tego potrzeba. Było to uzasadnione, bo Armia Czerwona znajdowała się już na terytorium Polski. W ramach swych uprawnień, do chwili przybycia rządu, delegat mógł działać w zakresie całej administracji państwowej z wyjątkiem spraw zagranicznych. Stał on na czele podziemnej administracji zastępczej, wzorowanej na siatce przedwojennej⁶¹.

Korzystając z tych uprawnień, 3 maja 1944 roku, delegat ogłosił utworzenie Krajowej Rady Ministrów, z nim jako przewodniczącym, i trzema ministrami, z PPS, SL i SN. On sam reprezentował Stronnictwo Pracy. Stanowiła ona część rady mi-

57. *PSZ*, *op. cit.*, str. 458-462.

58. Patrz zakończenie pracy.

59. *PSZ*, *op. cit.*, str. 60.

60. Dekret ten został ogłoszony jawnie w czasie Powstania Warszawskiego w *Dzienniku Ustaw RP*, nr 1, część III. *Dziennik* ukazał się około 28. 8. 1944, ale z datą 20. 7. 1944.

61. *PSZ*, *op. cit.*, str. 59-60.

nistrów działającej w Londynie i mogła wydawać rozporządzenia tymczasowe, które regulowały wszystkie sprawy na terenie okupowanego kraju⁶².

Partie polityczne

Delegatura opierała się tylko na części sił politycznych, działających w kraju, to jest na czterech stronnictwach wchodzących do PKP. W roku 1943 przekształcił się on w Krajową Reprezentację Polityczną (KRP), ale nadal wchodziły doń te same cztery stronnictwa, zwane „Grubą Czwórką”. Wiele mniejszych partii, które istniały już przed wojną lub powstały w czasie jej trwania, a których nie dopuszczono do PKP, skupiło się w Społecznej Organizacji Samoobrony (SOS). Były to: Stronnictwo Demokratyczne, Racławice, Front Odrodzenia Polski, Polska Ludowa Akcja Niepodległościowa (PLAN), Polski Związek Wolności i inne⁶³. SOS, pozbawiona udziału w najwyższym ciele politycznym, posiadała jednak swego przedstawiciela w Głównej Komisji Walki Cywilnej⁶⁴ i tym związana była z głównym nurtem podziemnej działalności.

Poza stronnictwami z KRP i częściowo SOS istniały jeszcze inne liczne ugrupowania polityczne, które popierały Delegaturę i Armię Krajową. Z nich trzeba wymienić: ugrupowania Piłsudczyków, Konwent Organizacji Niepodległościowych (KON) i Obóz Polski Walczącej (OPW), a z prawicy, Konfederację Narodu (KN) i Pobudkę. Ich radykalizm uległ w czasie wojny pewnemu stopniowi⁶⁵.

Były także dalsze ugrupowania polityczne, które, w przeciwieństwie do powyższych, trwały w zdecydowanej opozycji do DR i AK, choć stały na gruncie polskiej państwowości i zachowały niezależność w stosunku do obcych. Skrajną prawicę reprezentowała Tymczasowa Rada Narodowa Polityczna, utworzona na początku roku 1944 przez radykalną grupę ABC, będącą główną siłą ONR. Politycznemu kierownictwu tej grupy podlegały również Narodowe Siły Zbrojne (NSZ) przez swoją Radę Polityczną. Ten kierunek był przeciwny jawnej walce z Niemcami, bo automatycznie pomagało to, grożącej Polsce, Czerwonej Armii, oraz zwalczał intensywnie komunizm⁶⁶.

62. Tamże, str. 60.

63. Tamże, str. 55.

64. Tamże. Także: Só Korboński, *op. cit.*, str. 166.

65. *PSZ*, *op. cit.*, str. 62.

66. Tamże.

Na skrajnej lewicy opozycję tworzyła Centralizacja Demokratyczna, której stronnictwa, na wiosnę 1944 roku, utworzyły Centralny Komitet Ludowy Centralizacji Stronnictw Demokratycznych, Socjalistycznych i Syndykalistycznych (CKL). Wchodziły doń: dwie rozłamowe grupy Stronnictwa Demokratycznego, SPD i PSD; Robotnicza Partia Polskich Socjalistów (RPPS), która odłamała się od PPS; Związek Syndykalistów Polskich (ZSP); Polska Ludowa Akcja Niepodległościowa (PLAN), która należała także do SOS; Socjaliści Ludowi „Wolność” i Organizacja Syndykalistyczna „Walka Ludu”⁶⁷. Te ugrupowania domagały się wielkich zmian w strukturze wewnętrznej rządu i podziemia przez odrzucenie Stronnictwa Narodowego i wszystkich ugrupowań narodowo-radykalnych, oraz rozpoczęcia współpracy ze Związkiem Sowieckim, w którym nie widziały groźby dla niepodległości Polski⁶⁸.

Wszystkie te, wyżej wymienione, partie, grupy i stronnictwa mieściły się w ramach Polskiego Państwa Podziemnego, bo wszystkie niezależnie od swych programów i sympatii, stały na gruncie pełnej niepodległości Polski. Poza Państwem Podziemnym znalazło się tylko jedno ugrupowanie, Polska Partia Robotnicza (PPR), była ona bowiem agenturą sowiecką i narzędziem w rękach obcego państwa, które w programie swym miało zagarnięcie polskich ziem i pozbawienie Polski niezależności. Zapoczątkowali PPR, w styczniu 1942 roku, dwaj polscy komuniści, Paweł Finder i Marceli Nowotko, zrzućeni ze wschodu na spadochronach⁶⁹. Mimo dużych środków materialnych, przysyłanych z ZSSR, wpływy PPR w społeczeństwie polskim były małe. Korzystając z kilku, fikcyjnych prawie, grup politycznych, PPR doprowadziła do utworzenia 1 stycznia 1944 roku Krajowej Rady Narodowej (KRN). Obok Związku Patriotów Polskich, działającego w Moskwie, PPR była podstawą do utworzenia Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (PKWN), który powstał 22 lipca 1944 roku, już na ziemi polskiej, opanowanej przez Czerwoną Armię⁷⁰. Wcześniej miały miejsce próby rozmów pomiędzy Delegaturą Rządu a PPR, ale nie dały rezultatu, bo Delegatura stawiała za warunek zerwanie powiązań ze Związkiem Sowieckim. Siłą zbrojną PPR była Gwardia Ludowa (GL), licząca w roku 1942 około 3.000 żołnierzy. W roku 1944 przemianowano ją na Armię Ludową (AL)⁷¹.

67. Tamże, str. 63.

68. Tamże.

69. Jan Ciechanowski, *Powstanie Warszawskie*, Londyn, 1971, str. 27.

70. *PSZ*, op. cit., str. 64.

71. J. Ciechanowski, op. cit., str. 29.

Eksterminacja Żydów

Terror okupantów na ziemiach Polski uderzył prawie we wszystkich jej obywateli. Wśród nich znajdowało się ponad 3 miliony Żydów⁷².

Decyzja eksterminacji narodu żydowskiego nie została jeszcze definitywnie powzięta przed atakiem na Polskę, dlatego pierwsze niemieckie zarządzenia dotyczyły noszenia żółtych gwiazd, ograniczeń w poruszaniu się, konfiskaty majątku i wykonywania różnych zawodów. Bardzo prędko wyszły przepisy o tworzeniu gett i skupianiu w nich wszystkich Żydów. Było to połączone z utratą mienia, z głodowymi racjami żywnościowymi, z przymusem fizycznej pracy i z kompletnym pozbawieniem swobody ruchu. Samowolne opuszczenie getta groziło śmiercią. W gettach Niemcy potworzyli Rady Żydowskie i policję, organizując namiastkę samorządu⁷³. Dzięki temu zapewnili sobie współpracę Żydów w realizowaniu swych planów, bo starsze pokolenie miało nadzieję, że przy uległości uda się jednak przetrwać. Tak bywało w dawnych wiekach. Największe ze wszystkich, getto warszawskie, liczyło 450.000, getto łódzkie 160.000 mieszkańców⁷⁴.

Na wiosnę 1941 roku, przed uderzeniem na ZSSR, wyszło zarządzenie o mordowaniu komisarzy politycznych i Żydów w miarę posuwania się w głąb zdobywanego terytorium. Był to sygnał zbliżającego się „ostatecznego rozwiązania”. Do końca roku 1941 wymordowano około pół miliona Żydów, przeważnie w okolicznych lasach. Wtedy, widząc powolność i zbytnią jawność takich metod, Himmler zarządził utworzenie miejsc natychmiastowej zagłady⁷⁵. Pierwsze powstało w grudniu 1941 roku w Chełmie na Pomorzu włączonym do Rzeszy, drugie w marcu roku następnego w Bełżcu koło Lublina, trzecie w kwietniu w Sobiborze koło Włodawy, czwarte w czerwcu w Treblince koło Małkini⁷⁶. Początkowo do zabijania używano spalin z samochodów a trupy palono w dołach i na stosach, później zaczęto używać gazu i palić w krematoriach. Do miejsc tych zwożono Żydów nie tylko z Polski i ZSSR, ale z wielu innych krajów Europy. Zginęło ich tam ogółem około 1.800.000⁷⁷. Niezależnie od tych

72. Kazimierz Iranek-Osmecki, *Kto ratuje jedno życie, Polacy i Żydzi, 1939-1945*, Londyn 1968, str. 11.

73. Tamże, str. 35-41.

74. Władysław Bartoszewski i Zofia Lewinówna, *Ten jest z ojczyzny mojej*, wyd. II, Kraków 1969, str. 10.

75. Czesław Madajczyk, *Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce*, tom II, Warszawa 1970, str. 308-309.

76. Tamże, str. 316.

77. Tamże, str. 343.

czterech miejsc zagłady Himmler zdecydował, że obydwa obozy koncentracyjne na ziemi polskiej, Oświęcim i Majdanek, muszą także przystąpić do masowego mordowania Żydów. W podobozie oświęcimskim Brzezinka wymordowano około 3 miliony Żydów z całej Europy, dalszych 200.000 zginęło w Majdanku⁷⁸.

Zagłada Żydów sięgnęła bardzo głęboko w życie Polaków pod niemiecką okupacją. Wyszyły drakońskie prawa, które pod groźbą śmierci zabraniały okazywania Żydom pomocy, i groźba ta była spełniana bardzo często⁷⁹. Za przechowywanie Żyda w kamienicy szli na śmierć wszyscy zamieszkali w niej mężczyźni, za ukrywanie żydowskiego dziecka, mordowano całą polską rodzinę. Nic dziwnego, że odstraszało to wielu i że byli tacy, którzy szantazowali Żydów i wydawali ich niemieckiej policji. Ale byli i tacy, co pomagali, były osoby prywatne, były organizacje, szkoły, męskie i żeńskie klasztory, kościoły, parafie. Dzięki im uratowało się w Polsce około 100.000 Żydów⁸⁰.

Z problemem niesienia pomocy bardzo silnie związane było Podziemne Państwo. Pierwsza uderzyła na alarm podziemna prasa, tak wojskowa jak i polityczna⁸¹, po niej przyszyły działania organizacyjne. Gdy w lipcu 1942 roku, w warszawskim getcie, powstała Żydowska Organizacja Bojowa (ŻOB), nawiązała ona kontakt z Armią Krajową i została przez nią uznana za organizację paramilitarną oraz otrzymała pomoc w instrukcjach i broni⁸². Pod koniec roku 1942, przy Delegaturze Rządu, powstała Rada Pomocy Żydom (krypt. „Żegota”). Weszło do niej dwóch przedstawicieli warszawskiego getta⁸³. Zajmowała się ona wyszukiwaniem pomieszczeń dla zbiegłych z getta Żydów, wyrabiała im dokumenty i dostarczała środków do życia. Fundusze otrzymywała z budżetu państwowego, poprzez Delegaturę. Początkowo wynosiło to 150.000 złotych miesięcznie, później 400.000 a od stycznia 1944 roku 1.000.000. Przy Delegaturze istniał Referat Żydowski⁸⁴.

Rząd Polski w Londynie otrzymywał z kraju raporty o sytuacji Żydów i interweniował wielokrotnie, chcąc obudzić zainteresowanie zachodnich aliantów i wywołać ich reakcję. Najbardziej skuteczna była nota z 10 grudnia 1942 roku, w której rząd polski domagał się od sprzymierzonych państw podjęcia kroków, które by zahamowały eksterminację polskich Żydów. Doprowadziło to

78. Tamże, str. 294 i 301.

79. K. Iranek-Osmecki, *op. cit.*, str. 266-285.

80. W. Bartoszewski, *op. cit.*, str. 9.

81. Tamże, str. 17.

82. K. Iranek-Osmecki, *op. cit.*, str. 147-152.

83. Tamże, str. 137-139.

84. Tamże, str. 139.

do wspólnej deklaracji dwunastu rządów, związanych antyniemieckim aliansem, ogłoszonej 17 grudnia 1942 roku i zawierającej ostrzeżenie pod adresem Niemców⁸⁵.

Od połowy roku 1942 getto warszawskie zaczęło podlegać likwidacji przez wywożenie jego mieszkańców do Bełżca i Treblinki, i na początku roku 1943 liczyło już tylko około 60.000 ludzi zatrudnionych w niemieckich zakładach⁸⁶. 19 kwietnia 1943 roku Niemcy przystąpili do ostatecznej likwidacji żydowskiej dzielnicy w Warszawie i wówczas spotkali się ze zbrojnym oporem. ŻOB, korzystając z bunkrów, prawie przez miesiąc prowadziła walkę. Getto otrzymało pomoc z zewnątrz w formie kilku ataków oddziałów AK i jednego GL, pewna ilość bojowców uratowała się przez kanały. 16 maja wygasły walki, ponad 56 tysięcy Żydów padło lub dostało się do niemieckich rąk, cała dzielnica legła w gruzach⁸⁷. Podobne walki, znacznie krótsze, miały miejsce w gettach Częstochowy, Będzina i Białegostoku. Bunty, zakończone częściowym powodzeniem, podjęto także w obozach zagłady Treblinki i Sobiboru⁸⁸.

Oświata, życie kulturalne, książki, prasa

Na terenie okupacji sowieckiej nowe rządy zaczęły się od, pozornie liberalnego, stosunku do Polaków w zakresie spraw kulturalnych. Pozwolono na otwarcie uniwersytetów, szkół średnich, bibliotek, teatrów i muzeów, młodzieży obiecano stypendia, zezwolono na działalność Związku Literatów⁸⁹. Ta zewnętrzna swoboda pokrywała zasadniczą zmianę w kierunku nauczania i działalności kulturalnej. Ze szkół usunięto religię i zmieniono treść wykładów historii, literatom narzucono marksistowski kierunek twórczości. Pozorny liberalizm pomagał w sowietyzacji społeczeństwa⁹⁰.

Niemcy zaczęli zupełnie inaczej, likwidując wszystkie instytucje kulturalne i wszystkie przejawy polskiego życia w tym zakresie. Pozwolono jedynie na prowadzenie szkół podstawowych i zawodowych, kazano zamknąć teatry, radio, biblioteki, muzea, instytucje naukowe, czasopisma i firmy wydawnicze. Na terenach wcielonych do Rzeszy zakazano używania polskiego języka⁹¹.

85. Tamże, str. 303.

86. Tamże, str. 82.

87. Tamże, str. 107.

88. Tamże, 108-109.

89. AK, *op. cit.*, str. 64.

90. Tamże, str. 64-65.

91. C. Madajczyk, *op. cit.*, tom I, str. 149 i 449-452.

W tym stanie rzeczy Polacy musieli przystąpić do podziemnego działania.

Najwcześniej zajęto się oświatą na poziomie szkół średnich. Poczęto tworzyć komplety po kilkunastu uczniów spotykające się w domach prywatnych. Dużą pomoc okazała Tajna Organizacja Nauczycielstwa (TON), która powstała w Warszawie w jesieni 1939 roku. Przy SZP stworzono Komisję Oświecenia Publicznego (KOP), która dążyła do uzgodnienia swego działania z TON'em⁹². Nastąpiło to na początku roku 1941, gdy powstał Departament Oświaty i Kultury przy Delegaturze Rządu⁹³. Jemu podporządkowano wszystkie oświatowe sprawy. Osiągnięcia w zakresie tajnego nauczania były znaczne. Na terenie Generalnego Gubernatorstwa działało prawie 2.000 szkół średnich, na Pomorzu 20 kompletów, w Poznaniu około 1.000 uczniów przeszło tajne wykłady⁹⁴.

W połowie roku 1940 rozpoczął swą tajną działalność, największy w podziemiu, Uniwersytet Warszawski, który w roku 1944 posiadał 2.176 słuchaczy. W stolicy działała ponadto tajna Politechnika, Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego (SGGW), Szkoła Główna Handlowa (SGH) i Wolna Wszechnica Polska⁹⁵. Od końca 1940 roku istniał tam także Tajny Uniwersytet Ziem Zachodnich, gromadzący profesorów i studentów wysiedlonych z Poznania⁹⁶. Uczelnie te, w pewnym zakresie, opierały się o, jawnie działające, szkoły techniczne i rolnicze oraz o szpitale. Ogółem przez wszystkie tajne wyższe uczelnie w Warszawie przeszło około 9.000 studentów⁹⁷. W Krakowie od roku 1942 działał konspiracyjnie Uniwersytet Jagielloński, w Wilnie Uniwersytet Stefana Batorego, we Lwowie Uniwersytet Jana Kazimierza i Politechnika. Razem przez te trzy uniwersytety przeszło około 1.000 słuchaczy⁹⁸.

W podziemiu działał także teatr, bo Niemcy pozwolili jedynie na otwarcie teatrzyków na poziomie najtańszej rozrywki i pornografii. Prywatne inicjatywy spowodowały, że w Warszawie, Krakowie, Łodzi, Poznaniu, Lwowie, Wilnie, Lublinie, Bydgoszczy i w wielu innych mniejszych miastach poczęły powstawać zespoły aktorskie, często złożone z amatorów. Początkowo ogra-

92. Czesław Wycech, *Z dziejów tajnej oświaty w latach okupacji, 1939-1944*, Warszawa 1964, str. 64.

93. J. Michalewski, *op. cit.*, str. 80.

94. C. Wycech, *op. cit.*, str. 70-76.

95. Tamże, str. 88-90.

96. Dr Władysław Kowalenko, *Tajny Uniwersytet Ziem Zachodnich w latach 1940-1944*, Poznań 1946, str. 10-94.

97. C. Wycech, *op. cit.*, str. 92.

98. Tamże.

niczano się do sztuk czytanych dla kilkunastu słuchaczy, później poczęto podejmować ambitne plany tworzenia prawdziwych, małych scen po domach prywatnych, w piwnicach, w małych salkach. Grano klasyków polskich i obcych w kostiumach, w dekoracjach, przy sporych kompletach widzów. Urządzano także wieczory recytatorskie i poetyckie⁹⁹. W Warszawie, w jesieni 1939 roku, odtworzono Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej (PIST) a w roku 1941 utworzono tam Tajną Radę Teatralną z zadaniem opieki nad PIST i przygotowania planów życia teatralnego po wojnie oraz odbudowy gmachów teatralnych. Nad całością poczynań teatralnych roztoczył opiekę Departament Oświaty i Kultury DR i wspomagał je finansowo¹⁰⁰.

Wiele trudu włożono w zabezpieczenie zabytków kulturalnych i dzieł sztuki, rabowanych i wywożonych do Niemiec. Pod koniec roku 1939 powstała specjalna tajna komisja, która zajmowała się rejestracją strat i zabezpieczaniem najcenniejszych eksponatów, które usuwano z zagrożonych miejsc i chowano często na prowincji, w prywatnych domach¹⁰¹. Ta sama komisja przeprowadzała także konserwację zagrożonych zniszczeniem obrazów, rzeźb i starych druków, oraz rejestrowała stan pomników i zbiorów książek¹⁰².

Poważnym działem pracy podziemnej była produkcja książek. Niemcy od razu położyli swoją rękę na księgarniach, bibliotekach, firmach wydawniczych i drukarniach. Powstała lista zakazanych książek, które należało zniszczyć. Ruch wydawniczy prawie zupełnie zamarł, bo to, co mogło się ukazywać jawnie, dotyczyło wydawnictw wyłącznie praktycznych, jak podręczniki uprawy roślin, książki kucharskie itd. Ponieważ życie pod okupacją, mimo terroru, szło naprzód i społeczeństwu potrzebne były nowe wydawnictwa i przedruki dawnych, musiano je produkować konspiracyjnie, w tajnych, przeważnie podziemnych drukarniach. Obok dużych ilości podręczników szkolnych i instrukcji wojskowych drukowano książki i broszury z zakresu literatury pięknej, poezji, teatru, nauki, muzyki, polityki, harcerstwa. Armia Krajowa posiadała własne zakłady wydawnicze w Warszawie i Krakowie, jej książki nosiły najczęściej nadruk KOPR (Komisja Propagandy BIP w Warszawie). Akcję wydawniczą prowadziła także Delegatura Rządu oraz liczne ugrupowania polityczne i organizacje

99. Stanisław Marczak-Oborski, *Teatr czasu wojny*, Warszawa 1967, str. 138-173 i 238-270.

100. Tamże, str. 120-137.

101. Stanisław Lorentz, *Walka o dobrą kulturę, Warszawa 1939-1945*, Warszawa 1970, tom I, str. 20-104. Także: C. Wycech, *op. cit.*, str. 100.

102. Tamże.

wojskowe i społeczne. Bardzo często druki konspiracyjne posiadały ochronne okładki i karty tytułowe o zupełnie niewinnej, fikcyjnej treści. O sile konspiracyjnego ruchu wydawniczego świadczy cyfra 1.075 odrębnych tytułów książek i broszur wydanych w okresie okupacji niemieckiej, częściowo na powielaczu. Nie obejmuje ona wydawnictw, które ukazały się w czasie Powstania Warszawskiego, bo była to działalność jawna, są w niej natomiast uwzględnione wydawnictwa warszawskiego getta¹⁰³.

Zupełnie wyjątkową rolę odegrała w Państwie Podziemnym prasa. Pierwszym jej zadaniem było podtrzymanie na duchu społeczeństwa po klęsce wrześniowej i wstępnych wystąpieniach okupantów, głoszących, że państwo polskie nigdy już nie powstanie. Natychmiastowa reakcja sprawiła, że już 10 października 1939 roku, w kilkanaście dni po kapitulacji Warszawy, ukazał się w niej pierwszy numer tajnego tygodnika *Polska Żyje*. 5 listopada wyszedł pierwszy numer *Biuletynu Informacyjnego*, organu SZP, później ZWZ i AK¹⁰⁴.

Po wstępnych krokach runęła prawdziwa lawina podziemnych pism. Nie tylko oficjalne czynniki wojskowe i polityczne posiadały swoje wydawnictwa, każda organizacja, każda partia polityczna, każda tajna grupa dążyła do legitymowania się własnym organem prasowym. Powstawały pisma ideowe, polityczne, wojskowe, społeczne, literackie, filozoficzne, harcerskie, humorystyczne. Były pisma drukowane centralnie, były lokalne, drukowane w małych, kresowych miasteczkach. Prasa podziemna nie tylko informowała o rozwoju sytuacji politycznej i wojskowej na całym świecie, nie tylko dodawała otuchy i zachęcała do wytrwania, ale także instruowała, szkoliła, zaznajamiała z planami na przyszłość, drukowała prace literackie i naukowe, pomagała w rozwoju myśli politycznej, ogłaszała konkursy. Z niej korzystały oficjalne podziemne czynniki polityczne i wojskowe, drukując rozporządzenia, odezwy, rozkazy, pochwały i wyroki śmierci na zdrajców.

Nieznana jest prawdziwa cyfra samodzielnych tytułów pism, bo nie wszystkie się zachowały choćby w formie jednego, ocalałego egzemplarza. W krajowych i londyńskich archiwach zgromadzono łącznie 1.174 tytuły. Było ich więcej, przypuszczalnie około 1.400¹⁰⁵. Armia Krajowa, Delegatura i wszystkie, związane

103. Władysław Chojnacki, *Bibliografia zwartych druków konspiracyjnych wydanych pod okupacją hitlerowską w latach 1939-1945*, Warszawa 1970, str. 12-13.

104. Lucjan Dobroszycki, *Centralny katalog polskiej prasy konspiracyjnej, 1939-1945*, Warszawa 1962, str. 9.

105. Tamże, str. 6-10. Także: Józef Garliński, *Polska Prasa Podziemna (1939-1945) w zbiorach londyńskich*, Londyn, 1962, str. 1-4.

z nimi, ugrupowania polityczne i wojskowe wydawały łącznie 1.003 pisma, komuniści 82, Żydzi (głównie w warszawskim getcie) 43, Narodowe Siły Zbrojne 33, Ukraińcy 4, nierozpoznanych tytułów 9¹⁰⁶. Wychodziło 25 pism w języku hebrajskim i żargonie, 14 w języku niemieckim (Akcja N), 1 w języku francuskim i 1 w angielskim (obydwa dla jeńców wojennych w niemieckich obozach na polskiej ziemi)¹⁰⁷. Najwyższy nakład osiągnął tygodnik AK, *Biuletyn Informacyjny*, który w roku 1943 wybił kilka razy 47 tysięcy egzemplarzy¹⁰⁸.

Podziemne sądownictwo

W czasie okupacji zaistniała konieczność wprowadzenia własnego sądownictwa, dostosowanego do warunków wojennych. Musiały powstać normy prawne, na podstawie których można było przeprowadzać likwidację zdrajców oraz najbardziej uciążliwych przedstawicieli okupantów, z zachowaniem praworządności. Nie można było dopuścić do samosądów i pochopnego likwidowania ludzi bez rozpatrzenia dowodów przestępstwa. Ten punkt widzenia rozumiany był nie tylko w kraju, ale także na Zachodzie i dlatego pierwszy kodeks sądów wojskowych został opracowany przez rząd polski we Francji. 16 kwietnia 1940 roku Komitet Ministrów dla Spraw Kraju uchwalił statut Sądów Kapturowych, które miały działać pod okupacją w Polsce. Statut przewidywał powołanie sądów przy komendantach okupacji, obszarów i okręgów ZWZ, które miały sądzić jego członków, oraz przy Delegacie Głównym i Delegatach Okręgowych dla sądenia wszystkich innych osób, z władzami okupacyjnymi łącznie. Wyroki śmierci, wymagające zatwierdzenia przez Delegata Rządu odpowiedniej instancji, dotyczyć miały prześladowców, zdrajców, szpiegów i prowokatorów. Wykonanie ich należało do ZWZ. 18 maja 1940 roku, kodeks ten, zatwierdzony przez gen. Sikorskiego, przesłano drogą kurierską do kraju, gdzie stał się obowiązujący¹⁰⁹.

Pierwszy kodeks, skonfrontowany z rzeczywistością, okazał się zbyt ramowy i nieodpowiedni w niektórych punktach i dlatego dowódca ZWZ przygotował własny projekt, który przesłał do Londynu 20 listopada 1941 roku. Proponował on nową

106. *Studium Polski Podziemnej* (dalej SPP), Londyn, „Zestawienie tajnej prasy, tabela”.

107. L. Dobroszycki, *op. cit.*, str. 10.

108. PSZ, *op. cit.*, str. 279.

109. AK, *op. cit.*, str. 220.

nazwę, Wojskowe Sądy Specjalne, i wprowadzał szereg zmian. Przede wszystkim zatwierdzenie wyroku śmierci należeć miało nie do Delegata a do miejscowego komendanta ZWZ, ponadto wprowadzono instytucję prokuratora i sprecyzowano przepisy dotyczące składu sądu, który miał występować w składzie trzech osób. Uwzględniono także szereg punktów dotyczących procedury. Gen. Sikorski proponowany statut zatwierdził i Wojskowe Sądy Specjalne zastąpiły Sądy Kapturowe¹¹⁰.

Do kodeksu WSS wprowadzono dalsze zmiany, z których główna przewidywała, że wyrok śmierci musi być jednogłosny¹¹¹. Ostateczną formę otrzymał statut WSS dopiero 5 stycznia 1944 roku¹¹². Sprawy, które najczęściej kierowano do WSS, dotyczyły donosicielstwa i współpracy z policją okupantów a w drugiej połowie wojny rabunków dokonywanych przez partyzantów, którzy ześliznęli się na bandytyzm. Bardzo rzadko sądzono dezercję, bo najczęściej dotyczyła ona przejścia z jednej podziemnej formacji do drugiej. Równie rzadko szły do sądu sprawy o niewykonanie rozkazu. Pewna część spraw dotyczyła przedstawicieli okupacyjnej administracji. Od roku 1942 wyroki były często publikowane w *Biuletynie Informacyjnym*¹¹³.

W drugiej połowie roku 1942 powołano przy Delegaturze Sądów Karne Specjalne, które miały odciążać WSS i wyrokować w sprawach osób cywilnych, nie należących do AK. Zakres ich działania był niewielki, na wielu terenach nigdy się nie ukostytuowały, rozpatrywały sprawy mniejszej wagi¹¹⁴. W Delegaturze powstał z końcem roku 1941 Departament Sprawiedliwości, który przyczynił się do opracowania „kodeksu moralności obywatelskiej”, to jest norm jakimi powinni się kierować Polacy pod okupacją. Tam również opracowano zasady Sądów Karnych Specjalnych¹¹⁵.

„B u r z a”

W połowie roku 1943 Polska poniosła dwie wielkie straty personalne: 30 czerwca Gestapo aresztowało w Warszawie gen.

110. Statut WSS, korespondencja od Kaliny z 20. 11. 41, L.dz. 79 i 80/42, *SPP*, Londyn,teczka 3.3.7, Sądownictwo.

111. Korespondencja dowódcy AK z 21. 7. 1943, L.dz. 5180/Tjn. 43, *SPP*, Londyn,teczka 3.3.7, Sądownictwo.

112. Statut WSS, zatwierdzenie, 5. 1. 1944, L.dz. 1655/44, *SPP*, Londyn,teczka 3.3.7, Sądownictwo.

113. W. Sieroszewski, *op. cit.*, str. 121-128.

114. Tamże.

115. Tamże.

Roweckiego¹¹⁶ a 5 lipca gen. Sikorski zginął w katastrofie gibraltarskiej. W kraju zewnętrznie nic się nie zmieniło, bo na stanowisko dowódcy wszedł dotychczasowy zastępca, gen. Tadeusz Komorowski (ps. „Bór”), w Londynie natomiast zmiany były wielkie. Połączenie władzy politycznej i wojskowej w jednym ręku, ułatwiające działanie, skończyło się i rozpoczął się dualizm. Premierem został przywódca Stronnictwa Ludowego, Stanisław Mikołajczyk, naczelnym wodzem gen. Kazimierz Sosnkowski. Ludzie ci nie znosili się wzajemnie i zamiast współpracy zaczęły się między nimi nieporozumienia i trudności. Ponadto, co było jeszcze gorsze, dzieliły ich poglądy na najważniejsze zagadnienia polityczne. Odbiło się to jak najfatalniej na sprawach polskich, które właśnie wtedy weszły w fazę decydującą. Mniej więcej w połowie tego roku zachodni alianci zdecydowali, że Polska nie zostanie objęta ich planami strategicznymi, bo znajduje się w orbicie wpływów Sowieckiego Związku. Wpędzało to Polaków w sytuację rozpaczliwą, bo ZSSR zerwał już z nią wcześniej stosunki dyplomatyczne i domagał się jej ziem wschodnich oraz przyjaznego rządu po wojnie, co w praktyce oznaczało uległy Moskwie rząd komunistyczny.

Już wcześniej, nie wiedząc jeszcze co zdecydują alianci, gen. Sikorski podjął dyskusję z gen. Roweckim o dalszym prowadzeniu spraw wojskowych i politycznych na terenie Polski, przewidując, że przed oddziałami zachodnimi w granice jej wkroczy Armia Czerwona. Trzeba było ustalić jak ma się wówczas zachować Armia Krajowa i cywilni przedstawiciele podziemnej administracji.

Odejście generałów przerwało ten dialog bez sformułowania ostatecznego i musieli to wykonać ich następcy. 27 października 1943 roku rząd wypracował instrukcję dla kraju, którą popierał także gen. Sosnkowski¹¹⁷. Zawierała ona kilka wariantów, z których pierwszy przewidywał antyniemieckie powstanie w kraju w porozumieniu i przy poparciu zachodnich aliantów a dalszy takie samo powstanie bez tego poparcia i przywrogim stosunku Sowieców. Instrukcję wysłano do Delegata Rządu i do dowódcy AK, gdzie doznała złego przyjęcia. Pierwszy wariant, wbrew zaistniałym już faktom, które rząd polski powinien był znać, sugerował, że poparcie polskich celów politycznych i wojskowych przez zachodnich aliantów jest możliwe, drugi nakazywał nieujawnianie

116. Przewieziono go natychmiast do Berlina i, po śledztwie, osadzono w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, w izolacji od reszty więźniów. Z rozkazu Himmlera został zgładzony w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego.

117. *PSZ, op. cit.*, str. 551-560.

się polskich władz podziemnych, cywilnych i wojskowych, przy wkraczaniu Czerwonej Armii¹¹⁸.

Ustosunkowując się do tej instrukcji, dowódca AK, pod koniec listopada 1943 roku, wydał rozkaz nakazujący podjęcie wzmożonej akcji dywersyjnej, której nadał kryptonim „Burza”. Polegała ona na lokalnej mobilizacji większych jednostek AK, które, w miarę przesuwania się frontu na zachód, miały podejmować walkę z cofającymi się Niemcami. Wbrew instrukcji rządu rozkaz przewidywał, że terenowi dowódcy AK mają się ujawniać, tak samo jak i przedstawiciele administracji cywilnej, co zostało uzgodnione z Delegaturą i KRP. Chodziło o to, by władze polskie występowały w roli gospodarzy w stosunku do Czerwonej Armii. Stanowisko to zostało zaakceptowane przez rząd i naczelnego wodza¹¹⁹.

„Burza” zaczęła się w styczniu 1944 roku i trwała przez 12 miesięcy. Najpierw wszedł do walki Wołyń, później Wileńszczyzna i Nowogródzyczna, potem Okręg Lwów, Białostocka, Polesie, Lublin, Obszar Warszawa z wyłączeniem samego miasta, jako odrębnego problemu, Radomszczyzna i Kielecczyzna, wreszcie Okręg Kraków i Okręg Łódź. Kolejność zrywów zależała od ofensywy sowieckiej. Ogółem zmobilizowano 16 dywizji, 6 pułków, działających poza dywizjami, i kilka zgrupowań partyzanckich¹²⁰. Ilość zmobilizowanych żołnierzy dochodziła do 100 tysięcy. Dywizje wschodnie były uzbrojone w broń odkopaną po kampanii wrześniowej, w porzuconą w roku 1941 broń sowiecką i w to, co zdobyto na Niemcach, dywizje centralnej i południowej Polski posiadały także uzbrojenie ze zrzutów. Brakowało artylerii.

W ramach wielu bitew i potyczek z Niemcami, duże jednostki AK przeprowadziły trzy poważniejsze operacje we współdziałaniu z Armią Czerwoną: w kwietniu 1944 roku zdobywanie Kowla, 6-13 lipca zdobywanie Wilna, 23-27 lipca zdobywanie Lwowa¹²¹. Wszystkie miały mniej więcej taki sam przebieg. Początkowo frontowe oddziały sowieckie chętnie przyjmowały pomoc AK bez warunków politycznych, zaraz po zwycięskiej, wspólnej walce zaczynały się trudności, które kończyły się rozbrojeniem, aresztowaniem dowódców i wywożeniem wszystkich na wschód, z wyjątkiem tych, którzy zdecydowali się na wstąpie-

118. Tamże, str. 553-554.

119. Tamże, str. 560.

120. Tamże, str. 646-648. Także: K. Iranek-Osmecki, „Zarys rozwoju...”, *op. cit.*, str. 16.

121. Tamże, str. 583-648.

nie do armii gen. Berlinga¹²². Nadzieje, że stosunek władz sowieckich do oddziałów AK i polskiej administracji ulegnie zmianie, gdy walki przesuną się na zachód od linii Curzona, okazały się złudne. Przebieg „Burzy”, która wygasła ostatecznie w czasie zimowej sowieckiej ofensywy w styczniu 1945 roku, wykazał ponad wszelką wątpliwość, że polityczne cele ZSSR nie ograniczają się do polskich wschodnich ziem, nawet gdyby Polacy zdecydowali się na ich oddanie. Chodziło o zajęcie całej Polski i o narzucenie jej rządów, które będą instrumentem działania w rękach Związku Sowieckiego.

Rada Jedności Narodowej

Mimo długotrwałej dyskusji i wymiany poglądów pomiędzy podziemiem politycznym w kraju i rządem w Wielkiej Brytanii, dopiero w roku 1944 doszło do powołania w Warszawie szerokiej reprezentacji walczącego w konspiracji narodu, nazwanej Radą Jedności Narodowej (RJN). Powstanie jej oparło się na dekreście Delegata Rządu z 9 stycznia 1944 roku¹²³. Na wiosnę Rada zaczęła działać. Z jej powstaniem zakończyła swą działalność Krajowa Reprezentacja Polityczna (KRP). Różnica pomiędzy Radą a Reprezentacją polegała na tym, że do Rady weszły trzy mniejsze ugrupowania polityczne oraz przedstawiciele duchowieństwa i organizacji społecznych. Skład jej wyglądał następująco: po trzech przedstawicieli „Grubej Czwórki” (PPS-WRN, SL, SN, i SP), po jednym przedstawicielu trzech mniejszych ugrupowań (Zjednoczenie Demokratyczne¹²⁴, Chłopska Organizacja Wolności „Raclawice” i część SN na ziemiach zachodnich „Ojczyzna”), duchowieństwa i spółdzielczości. Razem 17 osób. Przewodniczącym został Kazimierz Pużak (PPS-WRN)¹²⁵.

15 marca 1944 roku Rada uchwaliła deklarację „O co walczy naród polski”¹²⁶. Dzieli się ona na trzy podstawowe części. W pierwszej przedstawiono polski punkt widzenia na warunki, na jakich powinien być zabezpieczony trwały pokój w Europie, z czym związany jest ściśle problem polskich granic. Po wyra-

122. Gen. Zygmunt Berling, jeszcze jako pułkownik, pozostał w ZSSR, gdy wyszła z tamąd armia polska pod dowództwem gen. Andersa, i począł tworzyć polską armię, podlegającą ściśle rozkazom i dyrektywom politycznym Związku Sowieckiego.

123. PSZ, *op. cit.*, str. 59.

124. Powstało ono w wyniku fuzji Stronnictwa Demokratycznego, Związku Wolnej Polski i Organizacji Polski Niepodległej.

125. PSZ, *op. cit.*, str. 61.

126. Tamże, str. 65.

zeniu opinii, że raz na zawsze należy pozbawić Niemców szansy rozpoczęcia nowej, zaborczej wojny, deklaracja podkreśliła konieczność powołania międzynarodowej organizacji, regulującej współzycie narodów, która by posiadała autorytet i siłę, i w której mniejsze narody także uczestniczyłyby w decyzjach. Ważnym czynnikiem pokoju jest stworzenie w Europie Środkowej związków federacyjnych, które by nie dopuściły do hegemonii jednego państwa. W sprawie granic deklaracja podkreślała, że na wschodzie Polska powinna utrzymać swe granice przedwojenne, oparte na polsko-sowieckim traktacie w Rydze z roku 1921, a na zachodzie i północy rozszerzyć je kosztem Niemiec o Prusy Wschodnie, część Pomorza, ziemie między Notecią i Wartą i Śląsk Opolski¹²⁷. Był to, oczywiście, program maksymalistyczny, niezgodny z realiami ówczesnego polskiego położenia politycznego i militarnego, ogłoszony o kilka lat za późno, ale wynikający z niezmiennej postawy polskiego narodu w czasie całej wojny.

W tej części deklaracji znalazły się sformułowania podkreślające chęć ustalenia dobrych stosunków z ZSSR pod warunkiem uznania granic i nie mieszania się do polskich spraw wewnętrznych.

W drugiej części deklaracja określała ustrój polityczny powojennego państwa polskiego, widząc go jako demokrację parlamentarną z jednoczesną silną władzą wykonawczą. Nowa konstytucja gwarantowałaby wszystkim obywatelom wolność, swobodę religijną i przekonań politycznych, swobodę słowa, druku, zgromadzeń i stowarzyszeń. Wszystkie mniejszości narodowe korzystałyby z równouprawnienia politycznego¹²⁸.

Najważniejszą była trzecia część deklaracji, dotycząca reform społeczno-gospodarczych. Przewidywano, że w powojennej Polsce zostanie upowszechniona własność tak na wsi jak i w miastach, by jak najszersze masy mogły korzystać z dóbr naturalnych kraju. Będzie to wymagać przejmowania przez państwo lub upaństwowiania kluczowych przemysłów, wielkich instytucji finansowych oraz przedsiębiorstw użyteczności publicznej. Nastąpi parcelacja większej własności ziemskiej, powyżej 50 hektarów, i tworzenie jednorodzinnych, samowystarczalnych gospodarstw chłopskich. Wszystkie lasy zostaną upaństwowione. Polityka społeczna pozwoli ludziom pracy na ubieganie się o awans społeczny i, poprzez związki zawodowe, na kontrolę życia gospodarczego i branie udziału w decyzjach. Zostanie rozbudowane szkolnictwo, by wszystkie warstwy narodu mogły zeń korzystać, przede wszystkim sfery chłopskie i robotnicze, rozwinie się oświata pozaszkolna.

127. Tamże, str. 65-68.

128. Tamże, str. 68-69.

26 lipca 1944 roku, tuż przed wybuchem walk w Warszawie, Rada wydała dalszą deklarację, która rozwijała pierwszą. Najważniejsze jej punkty powtórzone w manifestie Rady, wydanym w czasie Warszawskiego Powstania, 15 sierpnia 1944 roku¹²⁹.

Powstanie Warszawskie

Plan „Burza” nie przewidywał walk w miastach, bo obawiano się niemieckiego odwetu, strat w ludności cywilnej i wielkich zniszczeń. Miejskie oddziały AK miały się wycofywać na zachód i tam atakować tylne strażnice niemieckie. Zasada ta odnosiła się także do Warszawy, ale w drugiej połowie lipca 1944 roku uległa zmianie¹³⁰. Przyczyną tej zasadniczej zmiany było polityczne niepowodzenie „Burzy” w dotychczasowych walkach. Wprawdzie na Wołyniu wstępna współpraca 27 dywizji AK z Armią Czerwoną ułożyła się pomyślnie i premier Mikołajczyk próbował zdyskontować to w notach do rządów zachodnich aliantów¹³¹, ale bardzo prędko okazało się, że współpraca wojskowa w niczym nie zmieniła sowieckich celów politycznych. Wielki wysiłek Armii Krajowej miał zupełnie bez echa i Zachód nie zwracał na jej walki żadnej uwagi. Dlatego, zanim doszło do decyzji warszawskiej, już 12 czerwca na odprawie u dowódcy AK w Warszawie, zdecydowano, że trzeba zmienić plany i podjąć walkę o Wilno, by uwolnić miasto polskimi rękami¹³². Po ujawnieniu się polskich władz cywilnych i wojskowych podkreśliłoby to mocno polskie prawa do tamtego terenu.

Gdy w Warszawie, pomiędzy 21 a 25 lipca zapadała decyzja podjęcia walki o miasto, Komenda Główna AK wiedziała już, że po wspólnym zdobyciu Wilna władze sowieckie aresztowały polskie dowództwo i internowały rozbrojonych żołnierzy, ale właśnie dlatego tym mocniej rysowała się konieczność podjęcia walki o Warszawę. Po pierwsze dotychczasowe postępowanie władz sowieckich dotyczyło terenów na wschód od linii Curzona i nie wiadomo było jakie będzie na terenach, do których Moskwa nie wysuwała formalnych roszczeń terytorialnych¹³³, a po drugie stolica była ostatnią redutą, której zdobycie własnymi rękami i ustanowienie w niej polskich władz cywilnych i wojskowych

129. Tamże, str. 69-74.

130. Tamże, str. 651.

131. Tamże, str. 593.

132. Tamże, str. 603.

133. Słowa gen. T. Bora-Komorowskiego, „Jak doszło do decyzji powstania”, *Na Antenie*, nr 8/9, Monachium, 16. 8. 1964.

stwarzało szansę, że Związek Sowiecki uzna ten stan faktyczny. Na wypadek gwałtu spodziewano się, że wreszcie Zachód zwróci uwagę na tragedię Polski. Uważano także, że atak na Niemców od środka, przy jednoczesnym natarciu Czerwonej Armii, przyspieszy zwycięstwo i uchroni miasto od większych zniszczeń¹³⁴.

Zasadnicza decyzja podjęcia walki o Warszawę nie należała do władz krajowych, bo o tym zdecydował rząd w Londynie, do podziemia należało jedynie wybranie najdogodniejszego momentu rozpoczęcia działań. Ponieważ nie miano łączności z sowieckim dowództwem i nie dowierzano Sowietom, podjąć walkę należało dopiero wtedy, gdy Armia Czerwona byłaby już związana w walce z Niemcami o Warszawę. Niestety obawy, że oddziały sowieckie wkroczą wcześniej, zanim uda się ustanowić polską administrację, przeważały i decyzja rozpoczęcia walki, podjęta przez dowódcę AK po konsultacji Delegata Rządu, zapadła w pośpiechu, bez wysłuchania raportu szefa wywiadu, że armia niemiecka podejmuje kontruderzenie po wschodniej stronie Wisły. Fakt tego manewru potwierdzają dokumenty niemieckie¹³⁵. To, że kontrolowana przez Moskwę radiostacja „Kościeszko” nawoływała bez przerwy do powstania nie dawało żadnej gwarancji, że z tamtej strony przyjdzie pomoc. Mogło to natomiast spowodować nieorganizowane rzucenie się na Niemców ludności Warszawy, co zostałyby natychmiast wykorzystane przez komunistów, i z czym trzeba się było liczyć.

Gdy 1 sierpnia Armia Krajowa rozpoczęła walkę o Warszawę, Armia Czerwona nie mogła, przypuszczalnie, podjąć ataku na miasto, bo była związana kontratakiem niemieckim, ale o tendencjach Sowietów świadczył fakt, że wycofały z walk nad Warszawą swoje samoloty, zaprzestały ognia dalekosiężnych dział i nie podjęły ofensywy w połowie sierpnia, gdy było to już w pełni możliwe. Dalszym, bardzo jaskrawym, dowodem tych tendencji było stanowisko Stalina, który na interwencje Churchilla i Roosevelta nie tylko odmówił dania Warszawie pomocy, ale odrzucił także ich żądania, by alianckie samoloty mogły lądować na sowieckich lotniskach na wschód od walczącego miasta¹³⁶. W tym samym czasie, gdy w Warszawie toczyły się pierwsze walki, polski premier, Stanisław Mikołajczyk, znajdował się w Moskwie, dokąd przybył na interwencję Churchilla mimo braku polsko-sowieckich stosunków dyplomatycznych. W rozmowie ze Stalinem, obok zasadniczych problemów politycznych, Mikołaj-

134. Tadeusz Bór-Komorowski, *Armia Podziemna*, Londyn 1951, str. 219.

135. Józef Małecki, „Dziennik działań niemieckiej 9 armii”, *Zeszyty Historyczne*, nr 15, Paryż 1969, str. 79.

136. J. Garliński, *Politycy i żołnierze, op. cit.*, str. 205.

czyk poruszył zagadnienie walczącej Warszawy i prosił o pomoc. Stalin obiecał, ale obietnicy nie dotrzymał¹³⁷.

Siły powstańców liczyły około 50 tysięcy żołnierzy, ale bardzo słabo uzbrojonych, z amunicją na kilka dni walki, siły niemieckie około 40 tysięcy regularnego wojska, z czołgami, artylerią, samolotami i ciężką bronią piechoty¹³⁸. W pierwszych dniach AK zdobyła szereg ważnych punktów i opanowała trzy piąte miasta, ale połączenia komunikacyjne ze wschodu na zachód, początkowo przerwane, dostały się z powrotem w ręce Niemców. Walcząc z całkowitą bezwzględnością, poczęli oni spychać powstańców z zajętych pozycji. Początkowy stak przemienił się w obronę, nie było już szans na zwycięstwo bez pomocy zzewnątrz.

Zrzucenie na Warszawę Samodzielnej Brygady Spadochronowej i wysłanie polskich dywizjonów lotniczych nie wchodziło w grę z powodów technicznych, pozostały więc jedynie zrzuty zaopatrzeniowe, ale i one były bardzo trudne z powodu odległości i niemieckiej obrony. Sądząc z depesz wysyłanych z Warszawy do Londynu, dowództwo AK nie zdawało sobie sprawy z tych trudności¹³⁹. Byłoby łatwiej, gdyby samoloty mogły lądować na lotniskach na wschód od Warszawy, ale Stalin na to się nie zgodził. Z włoskiej bazy w Brindisi 196 polskich, brytyjskich i południowo-afrykańskich samolotów, w nocnych lotach, próbowało dotrzeć do Warszawy, 42 osiągnęły miasto, 39 z nich zginęło. Z 42 zrzutów powstańcy odebrali tylko 25¹⁴⁰. Dopiero 18 września, po sowieckiej zgodzie na lądowanie, odbył się wielki raid 110 amerykańskich Latających Fortec, startujących z Wielkiej Brytanii. Przy stracie dwóch maszyn (trzy zawróciły), zrzucono 1.284 zasobniki, z których tylko 228 odebrali powstańcy. Ogółem Warszawa odebrała 88 ton zaopatrzenia, przy stracie 151 ton, które przeważnie podjęli Niemcy¹⁴¹. W nocy z 13/14 września rozpoczęły się także zrzuty sowieckie, dokonywane z niskiego pułapu i bez spadochronów, więc ulegające częściowemu zniszczeniu. Odebrano około 50 ton broni, amunicji i żywności¹⁴².

W połowie września lądował w dzielnicy Czerniaków batalion z armii Berlinga, ale z braku wsparcia został prawie zupełnie wybity. To samo stało się z oddziałem sowieckim, który lądował na północ od Żoliborza¹⁴³.

137. Józef M. Zarnański, *Świadek wydarzeń*, Londyn, 1968, str. 51 i 55.

138. *PSZ, op. cit.*, str. 687 i 809-810.

139. J. Garliński, *P-Z, op. cit.*, str. 181-193.

140. *Tamże*, str. 212.

141. *Tamże, op. cit.*, str. 245-246.

142. *PSZ, op. cit.*, str. 799-800.

143. *Tamże*, str. 778 i 787.

Po upadku kilku dzielnic powstańcy zostali stłoczeni na niewielu kilometrach kwadratowych Śródmieścia z 250 tysiącami ludności cywilnej. Problem walczącej i ginącej Warszawy oraz braku pomocy ze strony sowieckiej nabrał rozgłosu światowego i zaważył nawet na stosunkach Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych z ZSSR, ale nie doprowadził do zmiany ich polityki i nie uratował stolicy od zagłady. Podjęto rozmowy kapitulacyjne, które 2 października 1944 roku zakończyły się zaprzestaniem walk¹⁴⁴. Czego nie zniszczono w walce, tego dokonali specjalne niemieckie jednostki, wykonywujące rozkaz Hitlera zniesienia miasta z powierzchni ziemi.

Koniec Podziemnego Państwa

Jeszcze przed rozpoczęciem walk w Warszawie dowódca AK, przewidując że powstanie może doprowadzić do konieczności ujawnienia się bez zwycięstwa, zaplanował drugi rzut Komendy Głównej z decyzją, że na jej czele stanie gen. Leopold Okulicki, który wylądował tajnie na spadochronie w nocy z 21/22 maja 1944 roku. Tuż przed kapitulacją, gen. Bór-Komorowski, po decyzji pójścia ze swymi żołnierzami do niewoli, potwierdził to mianując Okulickiego swym następcą¹⁴⁵.

Po wydostaniu się z Warszawy wraz z ludnością cywilną, Okulicki, który przyjął pseudonim „Niedźwiadek”, udał się via Kielce do Częstochowy, by tam odbudować sztab podziemnej armii. Upadek stolicy przekreślił ostatnie nadzieje na zwycięstwo, ale Niemcy okupowali jeszcze dużą część Polski, toczyły się z nimi walki w ramach „Burzy” i trzeba było posiadać aparat dowodzenia. Nastroje pokłękowe i chaos w Obszarach i Okręgach nie sprzyjały odbudowie, ale Okulicki potrafił zaprowadzić jaki taki porządek, mimo, że na formalną nominację z Londynu, podpisaną przez Prezydenta RP, musiał czekać do 21 grudnia¹⁴⁶. Skompletował nową Komendę Główną, nawiązał kontakt z Delegatem Rządu, odwiedził kilka oddziałów partyzanckich. Wśród wielu czynności, dnia 3 stycznia 1945 roku, przyjął także Brytyjską Misję wojskową, którą w nocy z 26/27 grudnia 1944 roku zrzucono do Polski¹⁴⁷. Przybycie jej, opóźnione o wiele miesięcy, miało już charakter zupełnie symboliczny.

144. Tamże, str. 870.

145. T. Bór-Komorowski, *op. cit.*, str. 343 i 378.

146. *PSZ*, *op. cit.*, str. 905.

147. Józef Garliński, *Miedzy Londynem i Warszawą*, Londyn, 1966, str. 131-132.

Nagle, 12 stycznia, ruszyła nieoczekiwanie sowiecka zimowa ofensywa i w ciągu niewielu dni cały obszar Polski znalazł się w sowieckich rękach. Czerwona Armia wypędziła Niemców i uwolniła Polskę od ich okupacji, a jednak Polacy nie mogli jej uważać za prawdziwą armię sojuszniczą, bo przynosiła nową okupację. Należało się jej przeciwstawić, ale nie w walce orężnej, bo było to zupełnie niemożliwe. Dnia 19 stycznia gen. Okulicki wydał swój ostatni rozkaz, w którym rozwiązał Armię Krajową. 8 lutego decyzja ta została potwierdzona w radiowym przemówieniu Prezydenta RP z Londynu¹⁴⁸.

Rozwiązanie AK nie kończyło istnienia Podziemnego Państwa, bo trzeba ją było jeszcze zdemobilizować, co okazało się zadaniem bardzo skomplikowanym, a ponadto istniały i działały władze polityczne w formie Delegatury Rządu i Rady Jedności Narodowej. Był to okres specjalnie trudny, bo w Polsce, obok władz sowieckich, ściganiem AKowców i działaczy politycznych zajmowały się także organy PKWN, uznanego przez ZSSR za tymczasowy rząd polski. Ukrywanie się było znacznie trudniejsze, bo społeczeństwo polskie nie stanowiło już zwartego bloku, jak za niemieckiej okupacji. Demobilizacja AK szła bardzo opornie, bo z jednej strony zachęcano do ujawniania się i wychodzenia z lasów, a z drugiej ścigano AKowców, wyłapywano ich i wywożono na wschód lub siłą wcielano do oddziałów gen. Berlinga.

W dniach 6-12 lutego odbyła się konferencja w Jałcie, która przesądziła ostatecznie o losie Polski. Roosevelt i Churchill poszli całkowicie po linii Stalina, godząc się, by PKWN stał się podstawą nowego polskiego rządu. Obawy, że linia Curzona nie zahamuje sowieckiej zaborczości i że mocarstwa zachodnie zgodzą się na to, przemieniły się w rzeczywistość.

Po otrzymaniu depesz z Londynu ze szczegółami konferencji, zebrała się pod Warszawą, w dniach 21-22 lutego, Rada Jedności Narodowej¹⁴⁹. Obrady toczyły się w atmosferze wielkiej depresji, wszyscy rozumieli, że sowietyzacja Polski jest rzeczą przesądzoną. Niemniej Rada starała się szukać wyjścia z sytuacji i dlatego powzięła jednomyślną uchwałę, w której zaprotestowała przeciwko jednostronnym i krzywdzącym Polskę decyzjom jałtańskim, ale jednocześnie stwierdziła, że jest zmuszona do nich się zastosować. Była to próba ratowania tego, co się da. W uchwale podkreślono także, że przez dostosowanie się do postanowień Jałty, co dla narodu polskiego jest niezwykle bolesne, Rada chce

148. *PSZ, op. cit.*, str. 923-927.

149. Protokół z posiedzenia Komisji Głównej RJN z 22. 2. 1945, str. 10. *SPP*, nr wpływu 3523/4 (teczka z tą sygnaturą).

zamanifestować wolę porozumienia się z Sowietami¹⁵⁰. W dalszej części uchwały stwierdzono, że premierem tworzonego Rządu Jedności Narodowej powinien zostać Stanisław Mikołajczyk¹⁵¹. Nie trzeba było długo czekać, by dowiedzieć się jaka jest reakcja ZSSR na dobrą wolę Rady.

W miesiąc później Delegat Rządu Jankowski i gen. Okulicki, obydwa ukrywający się pod Warszawą, otrzymali kanałami konspiracyjnymi pisma w języku rosyjskim z zaproszeniem na konferencję z gen. Iwanowem, przedstawicielem dowództwa I białoruskiego frontu¹⁵². Okulicki, który przeszedł już sowieckie więzienie na Łubiance po aresztowaniu we Lwowie w styczniu 1941, od razu wyczuł podstęp i nie chciał iść, ale znalazł się pod dużym naciskiem polityków, którzy, via Delegatura, otrzymali podobne zaproszenia¹⁵³. Byli już, podobnie jak i Delegat, po wstępnych rozmowach z władzami sowieckimi, uważali że daje się im ostatnią szansę, wiedzieli że władze te chcą koniecznie widzieć także b. dowódcę AK. Okulicki zadepeszował do Londynu i otrzymał odpowiedź z zakazem ujawniania, się¹⁵⁴, ale mimo wszystko rozumiał, że na rozmowy pójść musi. Inaczej dałby władzom sowieckim do rąk argument, że pozbawił ich szansy sprawiedliwego rozwiązania polskiej sprawy.

Obawy generała okazały się uzasadnione. W dniach 27-28 marca 15 przedstawiciele podziemia, z dodaniem jeszcze jednego (A. Zwierzyńskiego), który już był w więzieniu, pozbawiono wolności i zapakowano do samolotów, które przewiozły ich do Moskwy¹⁵⁵. Tam, w dniach 18-21 czerwca, po kilku miesiącach śledztwa, postawiono ich przed Najwyższym Wojskowym Sądem pod oskarżeniem, że we współpracy z Niemcami przygotowywali atak na ZSSR¹⁵⁶. Ten absurdalny zarzut udawadniany był środkami, które są typowe dla sowieckich sądów. Oskarżonych pozbawiono prawa powoływania świadków, przeciwko nim świadczyli ludzie przyprowadzani wprost z sowieckich więzień. Nie

150. Tamże. Także: S. Korboński, *op. cit.*, str. 383.

151. Tamże, str. 11.

152. J. Garliński, *P-Ż*, *op. cit.*, str. 230.

153. Janina Pronaszko-Konopacka, „O generale Okulickim”, *SPP*,teczka: gen. Okulicki, relacja.

154. J. Garliński, *P-Ż*, *op. cit.*, str. 230.

155. Tamże, str. 232.

156. *Sprawozdanie sądowe w sprawie organizatorów, kierowników i uczestników polskiego podziemia na zapleczu Czerwonej Armii na terytorium Polski, Litwy oraz obwodów zachodnich Białorusi i Ukrainy. Rozpatrzonej przez Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSSR 18-21 czerwca 1945 roku.* (Wyd.: Ludowy Komisariat Sprawiedliwości ZSRR, Moskwa, 1945, wersja polska).

mogło być wątpliwości, sąd uznał winę oskarżonych i prawie wszystkich skazał na więzienie¹⁵⁷.

Okulicki przed udaniem się na rozmowy wyznaczył płk. Jana Rzepeckiego na swego następcę¹⁵⁸. Był on kierownikiem BIP'u w Komendzie Głównej AK, po powstaniu poszedł do niemieckiej niewoli, powrócił z niej i z powrotem wszedł do konspiracji. Miał on prowadzić dalej demobilizację i likwidację agend Armii Krajowej. W niedługim czasie otrzymał z Londynu potwierdzenie swej funkcji z tytułem „Delegata Sił Zbrojnych na Kraj”¹⁵⁹.

Problem ciągłości Delegatury Rządu był bardziej skomplikowany, bo obok Delegata aresztowano także jego zastępców. Z wybitnych działaczy Delegatury pozostał na wolności Stefan Korboński, pełniący funkcję kierownika Walki Cywilnej i dyrektora departamentu spraw wewnętrznych, on więc podjął inicjatywę odbudowy rozbitego aparatu. Zwołał przedstawicieli stronnictw, które tworzyły RJN, i uzyskał uchwałę, że on powinien przejąć obowiązki Delegata i że należy z tym zwrócić się do Londynu. Szybko przyszła stamtąd telegraficzna aprobata tej uchwały¹⁶⁰. Korboński nadal dysponował małą, przenośną stacją nadawczą i on utrzymywał łączność z władzami w Wielkiej Brytanii.

Raz jeszcze, wielkim wysiłkiem, spróbowano podźwignąć rozbity polityczny aparat Podziemnego Państwa, ale był to już wysiłek ostatni. W ciągu kilku miesięcy wiązano porwane nici podziemnej siatki, kilka razy zebrała się Komisja Główna RJN dla przeprowadzenia analizy sytuacji międzynarodowej. Próbowano również uzgodnić sprzeczne poglądy na rozwój sytuacji w Polsce. W Londynie rząd Tomasza Arciszewskiego zdecydowanie odrzucał uchwały jałtańskie, gdy Stronnictwo Ludowe próbowało się do nich dostosować i jego prezes, Stanisław Mikołajczyk, wszedł,

157. Zostali skazani: Leopold Okulicki na 10 lat, zmarł w sowieckim więzieniu; Jan Stanisław Jankowski, DR, na 8 lat, zmarł w sowieckim więzieniu; Adam Bień, Stronnictwo Ludowe, członek Krajowej Rady Ministrów, na 5 lat; Stanisław Jasiukowicz, Stronnictwo Narodowe, członek Krajowej Rady Min., 5 lat; Antoni Pajdak, PPS, członek Krajowej Rady Min., 5 lat; Kazimierz Pużak, PPS, przewodniczący RJN, 18 miesięcy, po zwolnieniu aresztowany ponownie w Polsce, zmarł w więzieniu w kwietniu 1950 roku; Kazimierz Bagiński, Str. Ludowe, 1 rok; Aleksander Zwierzyński, Str. Narodowe, 8 miesięcy; Eugeniusz Czarnowski, Str. Demokratyczne, 6 miesięcy; Józef Chaciński, Str. Pracy, 4 miesiące; Stanisław Mierzwa, Str. Ludowe, 4 miesiące, po zwolnieniu aresztowany ponownie, zmarł w więzieniu; Zbigniew Stypułkowski, Str. Narodowe, 4 miesiące; Franciszek Urbański, Str. Pracy, 4 miesiące; Kazimierz Kobylański, Str. Narodowe, Stanisław Michałowski, Str. Demokratyczne i Józef Śtemler, tłumacz delegacji, zostali uniewinnieni.

158. S. Korboński, *op. cit.*, str. 389.

159. Tamże, str. 401.

160. Tamże, str. 394-396.

jako wicepremier, do Rządu Jedności Narodowej¹⁶¹, opartego głównie na PKWN, będącego narzędziem Moskwy. W kraju, uchwała RJN z 22 lutego, choć z wielkimi zastrzeżeniami, także wyrażała próbę dostosowania się do Jałty. Stanowisko to było za mało radykalne dla Stronnictwa Ludowego, które bardzo ostro zwalczało rząd Arciszewskiego, i dlatego najpierw opuściło „Wielką Czwórkę” a później w ogóle RJN¹⁶².

Dnia 1 lipca 1945 roku odbyło się w Krakowie ostatnie posiedzenie Rady Jedności Narodowej pod przewodnictwem Jerzego Brauna ze Stronnictwa Pracy. Wzięli w nim udział przedstawiciele PPS, Str. Narodowego, Str. Pracy, Zjednoczenia Demokratycznego, „Racławic” i „Ojczyzny”. Przybył także Delegat Rządu. Nie było już wątpliwości, że dalsze pozostawanie w konspiracji do niczego nie prowadzi, że trzeba przejść do form walki jawnej. W jakiż sposób mogło nadal pozostawać w konspiracji kierownictwo Podziemnego Państwa, gdy w odezwach z 17 i 27 maja wezwano ono młodzież do wyjścia z lasów i powrotu do normalnego życia¹⁶³ i gdy demobilizowała się Armia Krajowa?

Przystąpiono do opracowania trudnego tekstu, który, jako manifest, ukazał się dnia 1 lipca 1945 roku¹⁶⁴. Skierowano go do narodu polskiego i do narodów sprzymierzonych, zawierał określenie celów wojennych Polski, stosunku do niej Sowieckiego Związku, programu reform i decyzji podziemnych władz. Manifest kończył się „Testamentem Polski Walczącej”. W dwunastu punktach wyrażono w nim opinię, że wojska sowieckie powinny opuścić Polskę, że należy zaprzestać prześladowań politycznych i dewastacji kraju, że armia polska musi zostać oczyszczona z elementów sowieckich i że wszystkie stronnictwa muszą być dopuszczone do wolnych wyborów. W dalszych punktach określono najważniejsze reformy gospodarcze i polityczne, które zapewnią obywatelom Polski pełnię swobodnego życia¹⁶⁵.

Po manifestcie, jednogłośnie uchwałą, Rada postanowiła rozwiązać Delegaturę Rządu i rozwiązała się sama¹⁶⁶.

Był to ostatni akt Polskiego Podziemnego Państwa.

Józef GARLIŃSKI

161. Stanisław Mikołajczyk, *The Pattern of Soviet Domination*, London, 1948, str. 142.

162. Protokół z posiedzenia Komisji Głównej RJN, *op. cit.*, str. 5. Także: S. Korboński, *op. cit.*, str. 403.

163. S. Korboński, *op. cit.*, str. 405-408.

164. Ostatnie posiedzenie RJN, *Światło, zeszyt drugi*, Paryż 1947, str. 73.

165. *Tamże*, str. 73-78.

166. *Tamże*.

Roman BUCZEK

DZIAŁALNOŚĆ OPIEKUŃCZA AMBASADY R.P. W ZSSR W LATACH 1941-1943

Dnia 17. IX. 1939 roku o godz. 3-ej w nocy wicekomisarz spraw zagranicznych, Włodzimierz Potiomkin, wezwał ambasadora polskiego w Moskwie, Wacława Grzybowskiego, któremu wręczył notę rządu sowieckiego. W nocy tej rząd sowiecki stwierdzał, że wobec rozpadnięcia się władzy na terytorium Polski, Związek Sowiecki zmuszony jest wziąć pod swoją opiekę bratnie narody ukraiński i białoruski. W ten sposób jednostronnym aktem rząd sowiecki zerwał traktat pokoju zawarty z Polską w Rydze w marcu 1921 roku i pakt nieagresji między Polską a Związkiem Sowieckim z roku 1932 następnie przedłużony do roku 1945¹.

Tekst noty sowieckiej przypomina noty carycy Katarzyny z końca XVIII wieku wysyłane do rządów europejskich dla uzasadnienia kolejnych rozbiorów Polski. Dobór argumentów jest prawie identyczny. W obu wersjach Rosja powoływała się na „anarchię” panującą rzekomo w Polsce, w obu też wypadkach Katarzyna Wielka i Włodzimierz Potiomkin, biorą w obronę Ukraińców i Białorusinów, z tą tylko różnicą, że caryca mówiła o ludach prawosławnych a sowiecki wicekomisarz operował pojęciem narodowości. Wprawdzie Katarzyna Wielka nie osiągnęła swoich celów, gdyż „ziemie ukraińskie” nie przypadły nigdy carskiej Rosji i dopiero pokusił się o nie Związek Sowiecki.

Rząd Sowiecki nie ograniczył się zresztą tylko do sformułowania politycznych tez, gdyż już w godzinę po rozmowie Potiomkina z ambasadorem Grzybowskim, Armia Czerwona prze-

1. The Polish White Book. *Official Documents concerning Polish-German and Polish-Soviet Relations, 1933-1939*. Wyd. urzędowe polskiego MSZ (bez daty). Nr 157. Dalej cyt. jako: PWB.

kroczyła granice Polski. Ówczesna sytuacja Polski była wprawdzie trudna, ale nie beznadziejna. Armia polska wytrzymała pierwsze uderzenie niemieckie i na ziemiach wschodnich, gdzie zgromadzone były zapasy sprzętu wojennego, organizowano kontrofensywę. Na te właśnie obszary uderzyła armia sowiecka, licząca 700 tys. żołnierzy. Wojsko polskie nie mogło oczywiście wytrzymać równoczesnego naporu ze wschodu i z zachodu i musiało kapitulować.

Wspólne działanie armii niemieckiej i sowieckiej przeciwko Polsce oparte było na pakcie z dnia 23. VIII. 1939 roku, zawartym po długotrwałych i bezskutecznych rokowaniach w Moskwie z delegacjami rządów angielskiego i francuskiego. Plan został więc przygotowany dokładnie przed agresją niemiecką na Polskę i usuwał groźbę drugiego frontu po złamaniu oporu Polski. Pokonawszy wspólnymi siłami armię polską, rządy niemiecki i sowiecki w tzw. pakcie Ribbentrop-Mołotow z dnia 28. IX. 1939 roku dokonały czwartego rozbioru Polski.

Z ogólnego obszaru 389.720 km.² państwa polskiego, Związek Sowiecki zagarnął 201.090 km.², co stanowiło 51,6 % całego obszaru. Według podziału administracyjnego z roku 1938 do Białorusi i Ukrainy wcielono niemal w całości województwa: białostockie, wileńskie², nowogrodzkie, poleskie, wołyńskie, tarnopolskie, stanisławowskie oraz znaczną większość lwowskiego i kilka powiatów warszawskiego, zamieszkałych przez 13 milionów obywateli.

Wśród tych 13 milionów obywateli, którzy znaleźli się pod okupacją sowiecką, zamieszkiwało według spisu ludności z roku 1931:

Polaków	5.278.000	— 40 %
Ukraińców	4.486.000	— 34 %
Białorusinów	1.055.680	— 8 %
Żydów	1.055.720	— 8 %
O niezdeklarowanej narodowości	923.720	— 7 %
Rosjan	131.960	— 1 %
Inne narodowości	263.920	— 2 %

Ogółem na terenach tych zamieszkiwało 10 narodowości reprezentujących 5 wyznań. Jak wykazuje powyższe zestawienie,

2. W dniu 10. X. 1939 roku Związek Sowiecki odstąpił Litwie Wilno z północno-zachodnim skrawkiem dawnego woj. wileńskiego o łącznej powierzchni 8.336 km. kw. Obszar ten wrócił zresztą do Związku Sowieckiego po zajęciu Litwy w czerwcu 1940 roku.

żadna z wyszczególnionych narodowości nie posiadała sama bezwzględnej większości, chociaż Polacy stanowili grupę stosunkowo najsilniejszą i niewątpliwie przodującą.

Niemcy i Związek Sowiecki zobowiązały się traktatem z 28-go września zabezpieczyć pokój na świeżo zdobytych terenach i brały odpowiedzialność za ich urządzenie. Początkowa działalność władz sowieckich na terenach okupowanych nie wskazywała, aby zamierzały one odwoływać się do woli ludności, uważając, że ziemie te zostały przyłączone definitywnie do Związku Sowieckiego. Rychło jednak okazało się, że pomimo przeciwności wojennych, Polska uratowała prawną ciągłość swych rządów i walkę kontynuował konstytucyjny rząd gen. Władysława Sikorskiego, uznany przez sprzymierzonych jako legalny rząd polski. Ta okoliczność skłoniła zapewne okupanta sowieckiego do zainscenizowania jakichś pozorów legalizmu. Przeprowadzona następnie operacja nie była jednak nie tylko plebiscytem, lecz nawet nie przewidywała jej konstytucja sowiecka. Mianowicie głównodowodzący sowieckiej armii okupacyjnej, marszałek Timoszenko, wydał odezwę zapowiadającą na 22. X. 1939 roku wybory do utworzonych *ad hoc* instytucji pod nazwą Zgromadzenie Narodowe Zachodniej Ukrainy i Zgromadzenie Narodowe Zachodniej Białorusi. W odezwie tej nie wskazał zresztą, iż nowoutworzone ciała mają się wypowiedzieć za przyłączeniem do Związku Sowieckiego lub też mają pozostać pod rządami polskimi. Następnie odezwę tę już po dwóch dniach wycofano i żadnym późniejszym aktem nie wyjaśniono ludności, jakie zadania mają te nowokreowane ciała.

Wybory do obu zgromadzeń narodowych zostały przeprowadzone według zasad niestosowanych nigdy w żadnym demokratycznym państwie. Cały obszar okupowany podzielony został na okręgi wyborcze a w każdym okręgu wystawiona była tylko jedna kandydatura. Wyborcy pozostawało jedynie głosować na tego kandydata lub też głosować przeciwko niemu. W wypadku, gdyby kandydat nie otrzymał połowy głosów, musiałyby się odbyć ponowne wybory. Głosowanie przeciwko, narażało zresztą wyborcę na określone niebezpieczeństwa, ponieważ taki wyborca głosujący w lokalu obsadzonym przez NKWD musiał przekreślić otrzymaną kartkę do głosowania i w ten sposób publicznie stwierdzić, że głosuje przeciw. Nic więc dziwnego, że przy takim systemie głosowania kandydaci władz okupacyjnych otrzymali ponad 90 % głosów.

Przy tym wszystkim jest charakterystyczne, że pełnej listy imiennej członków obu zgromadzeń nigdy nie ogłoszono. Wiadomo tylko ze źródeł oficjalnych, że wystawione były m.in. kan-

dydatury Mołotowa, marszałka Woroszyłowa, szeregu generałów oraz różnych dygnitarzy przybyłych z Rosji. Znany jest również skład członków prezydium, w którym na 43 osób znalazło się aż 11 sowieckich oficerów. W tak skonstruowanych zgromadzeniach rząd sowiecki uzyskał z łatwością jednomyślną uchwałę o przyłączeniu wschodnich ziem polskich do Związku Sowieckiego. Cały porządek dzienny obu zgromadzeń został wyczerpany błyskawicznie: Zgromadzenie Narodowe Zachodniej Białorusi obradowało półtora dnia a Zgromadzenie Narodowe Zachodniej Ukrainy — dwa i pół dnia, po czym nigdy więcej już się nie zebrały.

Pomimo uzyskania takich dowodów „woli ludu” Związek Sowiecki nie czuł się pewnie na okupowanych terytoriach. W Moskwie zdawano sobie dobrze sprawę, że znakomita większość społeczeństwa obca jest ustrojowi komunistycznemu i w każdym razie znaczna jego część przywiązana jest do państwowości polskiej. Stąd geneza masowych deportacji ludności w głąb Rosji w tej nadziei, że zginie ona w morzu rosyjskim a na jej miejsce sprowadzona będzie zdyscyplinowana ludność sowiecka. Liczono zapewne na to, że współczesne środki techniczne i doświadczenia uzyskane w ciągu przeszło dwudziestu lat w związku z likwidacją „sprawy polskiej” w zachodnich prowincjach ZSSR, pozwolą im na doprowadzenie w krótkim czasie do stosunków na tych ziemiach zgodnych z hasłami głoszonymi *a priori* od pierwszych dni okupacji.

Oczyszczenie terenu z aktywnych osobistości politycznych odbyło się już w pierwszych dniach po wkroczeniu Armii Czerwonej. NKWD posiadało widocznie listy wszystkich wybitniejszych działaczy politycznych, związków zawodowych i stowarzyszeń kulturalnych, pozwalające im na przeprowadzenie aresztowań dosłownie w ciągu kilku dni. Na listach aresztowanych znaleźli się przede wszystkim przywódcy organizacji socjalistycznych wszystkich narodowości. Taki sam los spotkał urzędników administracji państwowej i samorządowej, profesorów szkół wyższych, księży, kupców, rzemieślników i rolników³. Większość z nich po długotrwałym śledztwie została skazana na 5-15 lat przymusowej

3. Charakterystycznych przykładów w tym zakresie dostarcza prasa sowiecka z tego okresu:

... „Ludność pomaga wyłapywać ukrywających się wrogów narodu, żandarmów, księży, oficerów [...], pomaga Armii Czerwonej tępić tych wrogów do ostatka”. Art. „Bratnia pomoc”, *Głos Radziecki* z dnia 28. IX. 1939 roku oraz wiadomość z Wilna:

... „Aresztowana cała policja i nie tylko wileńska, ale także i przedstawiciele władz policyjnych Warszawy, Białegostoku i innych miast”. *Izwiestia* z dnia 22. IX. 1939 roku.

pracy w łagrach, wielu zaś zostało straconych. Wyroki na nich wydane zostały przez specjalne instancje sądowe istniejące wewnątrz NKWD. Nie były to jednak jeszcze deportacje w ścisłym słowa tego znaczeniu, nie licząc oczywiście przymusowej rekrutacji na pracę w kopalniach Zagłębia Donieckiego, która objęła w tym początkowym okresie ponad 30 tys. robotników.

Akcję deportacji poprzedziła tajna rejestracja osób tzw. niebezpiecznych społecznie, przeprowadzona przez organa NKWD. Do elementów społecznie niebezpiecznych zaliczono profesorów uniwersytetów, nauczycieli, lekarzy, inżynierów, całą służbę leśną, chłopów, pewne kategorie robotników, rodziny wszystkich wojskowych, którzy znaleźli się poza granicami kraju, uchodźców z innych ziem polskich i „elementy spekulacyjne”, za które uznano drobnych kupców i rzemieślników. Dzięki temu spisy rejestracyjne objęły od 3-4 milionów ludzi na 13 milionów zamieszkujących te tereny.

Rejestracją a następnie deportacją objęto także rodziny powyżej wyliczonych. Rozciągnięcie zasady przesiedlenia również na rodziny jest charakterystyczne dla komunistycznego poglądu na winę i karę. Wychodzi on z założenia, że jednostka jest produktem środowiska i w związku z tym, jeżeli w danym środowisku znalazł się element przestępczy należy ukarać nie tylko jednostkę, ale również wytrzebić całe to środowisko, w którym mogła wychować się dana jednostka. Spisy przeznaczonych do deportacji objęły wobec tego nawet dalsze rodziny, często przyjaciół, współpracowników itp. Stąd masowość deportacji i tak wielki procent kobiet oraz dzieci. Nie jest jednak rzeczą wykluczoną, że grał tu pewną rolę i czynnik gospodarczy, że władze poszukiwały po prostu sił roboczych dla zapewnienia obozów, ośrodków, opustoszałych kołchozów i sowchozów w głębi Rosji.

Po zakończeniu rejestracji wydane zostało zarządzenie podpisane przez wicekomisarza spraw wewnętrznych, Sierowa, o sposobie przeprowadzenia deportacji. W zarządzeniu tym czytamy m.in.:

„Deportacja antysowieckich elementów jest problemem wielkiej doniosłości politycznej. Plan deportacji musi być opracowany w najdrobniejszych szczegółach i wykonany przez „wykonawczą trójkę” w każdym obwodzie. Zadanie powinno być wykonane przy zachowaniu zupełnego spokoju, tak, aby nie wywołać demonstracji lub paniki wśród miejscowej ludności”.

A więc deportacji nie opierano na żadnym określonym oskarżeniu, nie wyrokował ich nawet specjalny sąd NKWD ale po prostu organa terytorialne administracji NKWD („trojki wykonawcze”) przesiedlały tysiące ludności w głąb Związku Sowiec-

kiego. Przesiedleni w tym trybie nie otrzymali wyroku, ani też w konsekwencji nie wiedzieli na jaki okres czasu są przesiedlani. Należy jednak rozumieć, że było to przesiedlenie dożywotnie.

Deportacje masowe ludności z terenów okupowanych, poza indywidualnymi aresztowaniami wybitniejszych jednostek, które miały miejsce stale, przeprowadzone były w kilku wielkich fazach. Pierwsza na wielką skalę deportacja obywateli polskich, rozpoczęła się w nocy z 8 na 9 lutego 1940 roku. Dotknęła ona w pierwszym rzędzie osadników rolnych, prywatną i państwową służbę leśną, pewną ilość pracowników kolejowych oraz niektóre działy administracji państwowej. Deportacja ta odbyła się w najgorszym czasie, bo zimą wśród ciężkich mrozów, zastała ludzi zupełnie nieprzygotowanych i ogarnęła przeważnie rodziny obciążone małymi dziećmi. Według szacunkowych danych liczba deportowanych w tym miesiącu z trzech województw Małopolski Wschodniej wynosiła 70 tys. a z Wileńszczyzny 30 tys. osób⁴. Wywieziono ich na północ Rosji i rozmieszczono w tzw. „specjosiłkach”, przeważnie zatrudniając w lesie.

W miesiącu marcu 1940 roku przeprowadzono wielką deportację ludności wiejskiej z pogranicza polsko-sowieckiego oraz zamożniejszych chłopów z głębi kraju. W niektórych wsiach wysiedlono wszystkich mieszkańców bez wyjątku, jak np. we wsiach Strzałkowie, Biskupice, Wojszytce i Nadymy w powiecie sambońskim oraz w okolicach Horodenki, Grzymałowa i na pograniczu rumuńskim. Deportacje marcowe nie ominęły również poprzednio już uwięzionych, jak też i pozostających dotychczas na wolności działaczy politycznych, sędziów i prokuratorów oraz pracowników wolnych zawodów. Przez jedną tylko stację Baranowicze przeszło od 4 do 6 marca 1940 roku 10 pociągów specjalnych.

W dniu 13 kwietnia 1940 roku przeprowadzono na całym obszarze masowe deportacje rodzin wojskowych, policjantów, urzędników, inteligencji i rolników, uprzednio więzionych lub deportowanych. Przeważnie były to rodziny pozbawione mężczyzn, a więc starcy, kobiety i dzieci. Deportacje przeprowadzone w kwietniu dotknęły głównie mieszkańców miast i miasteczek a w mniejszym stopniu ludność wiejską. Tak więc ze Lwowa i okolic wywieziono około 30 tys. ludzi, z Drohobycza 5 tys., z Borysławia 3 tys., ze Stanisławowa 4 tys. Ponadto duże ilości ludzi wywieziono z Pińska, z całego Polesia oraz z powiatu bra-

4. Opracowanie MSW w Londynie z 15. II. 1944 roku dla Delegata Rządu pt. „Deportacje ludności z Polski przez władze sowieckie”, Archiwum S. Mikołajczyka w Waszyngtonie.

ślawskiego. Obok deportacji masowych przeprowadzonych w tym miesiącu, kontynuowano w dalszym ciągu aresztowania. We Lwowie pomiędzy 12 i 15 kwietnia aresztowano około 25 tys. osób. Wszystkich wysiedlonych wywieziono do Kazachstanu i zatrudniono w kołchozach przy pracach pomocniczych oraz przy budowie kolei.

W maju ilość wywiezionych uległa zmniejszeniu w stosunku do poprzedniego miesiąca. Deportacja objęła głównie tereny północno-wschodnie, koncentrując się przede wszystkim na powiatach białostockim, lidzkim i grodzieńskim. Obok Polaków i Żydów, objęła również większe ilości Białorusinów.

Deportacja z czerwca 1940 roku objęła niemal wyłącznie uchodźców z zachodnich części Polski. Byli to ludzie wyniszczeni wojną i tułaczką, z których prawie każdy pozostawił po tamtej stronie granicy Ribbentrop-Mołotow, drugą ofiarę wojny. Skompletowanie tej listy deportowanych było niezmiernie ułatwione, gdyż na kilka miesięcy przed tym władze sowieckie przeprowadziły rejestrację tych nieszczęśliwych. Do tej grupy dołączono inteligencję zawodową, uznaną za element kontrrewolucyjny i drobnych kupców jako „element spekulacyjny”. Rozmieszczono ich w północnych rejonach Związku Sowieckiego (obłastie archangielska, świerdłowska, nowosybirska, republika maryjska, republika baszkirska, Krasnojarski Kraj itd.).

Ostatnia fala deportacji odbyła się już w obliczu wojny niemiecko-sowieckiej. Wobec grożącej wojny władze postanowiły zlikwidować świadków i współpracowników swej działalności na terenach okupowanych. Wywieziono więc członków tzw. komitetów miejscowych rekrutujących się z komunistów, milicjantów i w ogóle wszystkich, którzy współpracowali z władzami sowieckimi. Poza tym wśród deportowanych znalazły się resztki działalności społecznych i politycznych, którzy przebywali dotąd na wolności oraz wszyscy więźniowie polityczni. Transporty kolejowe z deportowanymi szły z całego terenu okupowanego. Jest znany fakt pędzenia piechotą 800 więźniów z Wilejki do Borysowa i w czasie tej drogi wymordowania przez straż NKWD 300 więźniów, którzy padali ze zmęczenia i nie mogli iść dalej.

Reasumując otrzymujemy następującą charakterystykę czterech głównych deportacji:

- I. Luty 1940 roku. — Z miast urzędnicy państwowi i samorządowi, sędziowie, prokuratorzy, policja.
Ze wsi: służba leśna, osadnicy, drobni rolnicy — Polacy oraz Ukraińcy i Białorusini. Liczne wsie zostały wówczas całkowicie ogołoczone z ludności.

- II. Kwiecień 1940 roku. — Rodziny poprzednio aresztowanych, rodziny osób zbiegłych za granicę, kupcy, osadnicy rolni ze zlikwidowanych majątków ziemskich oraz drobni rolnicy wszystkich trzech narodowości.
- III. Czerwiec 1940 roku. — Wszyscy polscy obywatele z centralnych i zachodnich okręgów Polski, drobni kupcy, wolne zawody, profesorowie uniwersytetów, nauczyciele.
- IV. Czerwiec 1941 roku. — Wszyscy pozostali przynależni do wyżej wymienionych grup, a którzy poprzednio uniknęli deportacji. Dodatkowo dzieci znajdujące się na koloniach letnich i w sierocińcach.

Atak Niemców na Związek Sowiecki 22 czerwca 1941 roku uniemożliwił kontynuowanie planu deportacji ludności z terytorium Polski. Gdyby nie wojna, współczesne środki techniczne umożliwiłyby Rosji wysiedlenie w ciągu najbliższych pięciu lat, całości ludności polskiej z zajętych terenów do Azji i zlikwidowanie „sprawy polskiej” w sposób nieodwracalny.

Określenie ogólnej liczby deportowanych jest niewątpliwie trudne, jest jednak pewne, że dochodziła ona do 1,5 miliona ludzi. Stanowi to około 8 % ludności zamieszkałej na całym obszarze okupowanym przez wojska sowieckie. Deportacje te, jeśli chodzi o poszczególne rejony Polski, można ująć liczbowo w następujący sposób:

1. Rejon Białegostoku, Lidy, Grodna i Wilna	300.000 osób
2. Polesie i Nowogrodzyczna	200.000 "
3. Wołyń	250.000 "
4. Małopolska wschodnia	ponad 400.000 "

Przeprowadzenie ścisłej statystyki pod względem płci, zawodu i narodowości wysiedlonych jest oczywiście niemożliwe. Opierając się jednak na raportach i relacjach, które napłynęły do Ambasady RP w Kujbyszewie, można ustalić przybliżony obraz. Mniej więcej połowę deportowanych stanowiły kobiety i dzieci, gdyż deportacji podlegały, jak wspomniano wyżej, również rodziny osób zbiegłych za granicę lub po prostu zaginionych w czasie wojny. Ilość dzieci deportowanych wzrosła jeszcze na skutek wywiezienia w przeddzień wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 roku wszystkich kolonii letnich oraz sierocińców.

Najtrudniej ustalić zawód deportowanych. Pewne orientacyjne pojęcie o tym może dać nam następujące zestawienie; z zastrzeżeniem jednak, iż dotyczy ono tylko 120 tys. osób zarejestro-

wanych w PCK w Teheranie na podstawie zgłoszeń indywidualnych lub rodzin. W grupie tej stanowili:

a) Robotnicy, rzemieślnicy, rolnicy i służba leśna	50,2 %
b) Wojskowi i sędziowie	16 %
c) Duchowni, profesorowie i naukowcy	11 %
d) Adwokaci i inżynierowie	7 %
e) Nauczyciele szkół średnich i podstawowych	4 %

oraz inne mniejsze grupy zawodowe.

Z powyższego zestawienia widzimy, że połowę deportowanych stanowiły warstwy najuboższe, którym ustrój sowiecki miał przynieść wyzwolenie od ucisku, wolność i dobrobyt.

Deportacjami objęto wszystkie cztery narodowości zamieszkujące te ziemie. Jeżeli chodzi o elementy aktywne politycznie, to w równym stopniu zastosowano deportację do Polaków, Ukraińców, Białorusinów i Żydów, jakkolwiek główne ostrze zostało w praktyce skierowane przede wszystkim przeciwko działaczom lewicowym. Deportacje masowe wykazują jednak pewną gradację. Polacy stanowią około 52 % ogółu deportowanych, udział Żydów wynosił około 30 %, wreszcie Ukraińcy i Białorusini reprezentowali 18-20 % ogółu deportowanych⁵.

Znane są powszechnie fakty stwierdzające, iż wywożenie ludności z Polski odbywało się w warunkach makabrycznych. Ludność tę przeważnie wywożono nocami, pozostawiając godzinę czasu na zabranie ręcznego bagażu, w wagonach towarowych, bez opału, rzadko dostarczając kubek zupy czy gorącej wody. W takich warunkach podróż trwała czasem kilkanaście dni. Nic też dziwnego, że śmiertelność, szczególnie wśród starców i dzieci, była zastraszająca.

Cała ta ogromna rzesza obywateli polskich, szacowana w chwili wywiezienia z Polski na około 1,5 miliona głów, włączona została do grupy obywateli sowieckich, podlegających niewolniczymu wyzyskowi i pozbawionych najelementarniejszych praw obywatelskich. Należy przy tym pamiętać, że obywatele polscy traktowani byli gorzej niż obywatele sowieccy. Używano ich do prac najcięższych, bez wynagrodzenia i przydzielając żywność w zależności od wypracowanej normy. Z reguły nie dopuszczano ich do pracy w przemyśle, rzadziej na kołchozach i sowchozach, częściowo przy budowie trzech linii kolejowych (Archangielsk-Białomorsk, Kotłas-Workuta i Akmołińsk-Kartaty). Natomiast

5. Sprawozdanie o deportacjach z ziem wschodnich Rzeczypospolitej Ambasady RP w Kujbyszewie dla MSW w Londynie, lipiec 1942. Archiwum S. Mikołajczyka.

na barkach ludności polskiej oparto całą gospodarkę leśną. Do głównych gałęzi pracy w tej dziedzinie należał wyręb, zwózka, sztablowanie, ładowanie na traktory i palenie gałęzi. Inne grupy ludzi zajmowały się spalaniem drzewa i wszystkimi pracami z tym związanymi. Liczne posiołki zatrudniono wyłącznie przy zbieraniu żywicy. W okresach letnich *spec-pereseleńcy* zatrudnieni byli przy sianokosach, pracach leśnych oraz używano ich do tzw. *priamej roboty* (proste prace), jak roboty ziemne i budowlane, palenie padłych koni, pasienie bydła, wyrób opału z nawozu itp. Pewna część zatrudniona była w kopalniach złota, miedzi i rudy żelaznej w warunkach niesłychanie ciężkich. Wreszcie dziesiątki tysięcy zesłańców zatrudniono przy budowie wspomnianych trzech linii kolejowych i dróg leśnych.

Prace wstępne nad zorganizowaniem pomocy dla ludności polskiej na terenie ZSSR, zapoczątkowane zostały w Londynie jeszcze przed zawarciem paktu polsko-sowieckiego. Zanim doszło do zawarcia układu 30 lipca 1941 roku wznowiającego stosunki dyplomatyczne pomiędzy obu państwami, Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej (MPiOS) zainicjowało powołanie do życia specjalnej misji opieki pod kierownictwem delegata MPiOS. Opracowaniem planu działania misji opieki zajęła się komisja międzyministerialna pod przewodnictwem ministra Arciszewskiego przy współudziale przedstawicieli MPiOS, MSZ, MSW, Ministerstwa Skarbu, Sztabu Naczelnego Wodza i PCK. Ustalono skład osobowy misji, która pod przewodnictwem delegata MPiOS, Emanuela Freyda, miała niezwłocznie wyruszyć do Moskwy. Skład misji miało uzupełnić kilka osób z Cypru i Palestyny. Wobec zawarcia układu Sikorski-Majski, cały projekt wysłania misji specjalnej stał się nieaktualny. Natomiast podjęto decyzję o utworzeniu działu opieki społecznej w ramach Ambasady RP w Związku Sowieckim. W myśl instrukcji rządu z dnia 25 sierpnia 1941 roku „całokształt akcji społeczno-opiekuńczej koncentruje Ambasada RP w Moskwie. Do Ambasady zostaje przydzielony w charakterze radcy Ambasady urzędnik wskazany przez ministra MPiOS, któremu Ambasada porucza wykonanie całości zadań opieki społecznej nad ludnością polską w ZSSR”⁶. Pismem z dnia 25 sierpnia 1941 roku do prof. Stanisława Kota — Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej mianowało swym przedstawicielem przy Ambasadzie Jana Szczyrka oraz jego zastępcą — Emanuela Freyda.

Przed wyjazdem do Moskwy, minister Stańczyk wręczył

6. Sprawozdanie Biura OS Ambasady RP w ZSSR za czas 1. IX.-15. XII. 1941. Archiwum S. Mikołajczyka.

E. Freydowi instrukcję, która zawierała m.in. następujące zalecenia:

- 1) Możliwie szybkie ustalenie liczby zwolnionych z więzień i łagrów.
- 2) Czy i jaką pomoc otrzymują zwolnieni. Pomocy tej należy się domagać od władz sowieckich.
- 3) Domagać się od władz sowieckich spisów imiennych zwolnionych.
- 4) Dążyć do przeniesienia w korzystniejsze warunki klimatyczne możliwie największej liczby polskich obywateli.
- 5) Prowadzić ewidencję ludności polskiej w postaci pełnej kartoteki.
- 6) Informować stale Londyn o ilości i rodzaju niezbędnej pomocy oraz najdogodniejszych drogach transportu ze szczególnym uwzględnieniem możliwej pomocy z USA (via San Francisco) i Indii.
- 7) Wykorzystać Międzynarodowy Czerwony Krzyż dla komunikowania się z rodzinami w kraju.
- 8) Utrzymywać stałą łączność telegraficzną i listową, wykorzystywać pocztę kurierską oraz przekazywać listy odnalezionych.

Instrukcja zwracała szczególną uwagę na przeniesienie ludności polskiej w lepsze warunki życia. W tym zakresie istniały dwie możliwości: pobór wojskowy przy zastosowaniu najbardziej rozszerzonych granic wieku, rozbudowie służby pomocniczej, służby kobiecej oraz kierowanie specjalistów i pracowników wykwalifikowanych do sowieckiego przemysłu wojennego.

Wraz z pierwszą transzą personelu przybył do ZSSR na początku września 1941 roku ładunek żywności i odzieży. W dniu 22 października 1941 roku ładunek ten wysłano do Buzułuku, miejsca postoju Polskich Sił Zbrojnych. Stamtąd dokonano rozdziału pomocy dla najbardziej potrzebujących. Część tego ładunku wysłano także do delegatury w Taszkencie, dokąd już masowo przesiedlała się polska ludność. Środki lecznicze i narzędzia lekarskie, ofiarowane przez PCK w Londynie, przekazano do administrowania i rozdawnictwa wśród ludności cywilnej prof. B. Szareckiemu, szefowi sanitarnemu PSZ.

Według początkowych zamierzeń, działalność opiekuńcza miała być oparta na czynniku społecznym. Projektowano utworzenie centralnego komitetu obywatelskiego, posiadającego swoje komórki organizacyjne w obłastiach, rejonach i posiołkach. Organizacja ta była pomyślana jako społeczna i autonomiczna. Przez

wciągnięcie wielkiej liczby obywateli polskich do pracy, można było osiągnąć właściwy rozmach i wykorzystać inicjatywę oraz doświadczenie miejscowej Polonii. Pod tym kątem został opracowany regulamin komitetu. Regulamin ten przewidywał, że Ambasada RP koordynuje pracę komitetu przez udział w nim delegowanych urzędników, natomiast wykonanie całości opieki i pomocy spoczywać miało na komitecie.

Bezpośrednio po przyjeździe do Moskwy ambasadora prof. Stanisława Kota, Ambasada RP wystąpiła z inicjatywą powołania Komisji Mieszanej polsko-sowieckiej, której zadaniem miało być regulowanie zagadnień wymagających wyjaśnienia w porozumieniu z władzami sowieckimi. Komisja ta została powołana pod przewodnictwem K. N. Nowikowa, przedstawiciela Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych⁷. Ze strony sowieckiej wszedł w jej skład jeszcze komisarz NKWD a ze strony polskiej dwóch przedstawicieli Ambasady RP.

Na pierwszym posiedzeniu Komisji w dniu 9 września 1941 roku strona polska przedstawiła postulaty opracowane przez dział opieki społecznej w następującym brzmieniu:

„Wychodzimy z założenia, że Związek Sowiecki dąży do stworzenia właściwych warunków pracy i życia dla całej ludności znajdującej się na terenie ZSSR, bez względu na obywatelstwo i przyczyny zjawienia się na tym terenie. Właściwy stosunek do zagadnienia zatrudnienia obywateli polskich znajdujących się na terenie ZSSR przyczyni się do pełnego wykorzystania kwalifikacji i wydajności pracy dla wspólnego wysiłku wojennego oraz do utrzymania i wzmożenia współpracy obu narodów. Zagadnienie właściwego wykorzystania obywateli polskich wymaga uwzględnienia ich przystosowania się do warunków klimatycznych i kwalifikacji zawodowych. Wstępnym warunkiem rozwiązania tego zagadnienia jest ustalenie rozmieszczenia liczebnego obywateli polskich na terenie ZSSR.

W tym celu należy wydać drogą radiową generalne rozporządzenie do władz lokalnych o odwrotną odpowiedź telegraficzną, zawierającą następujące dane: dokładny adres miejscowości (posiołek, rejon, obłast'), liczbę obywateli polskich z zaznaczeniem ilości dzieci i starców [...].

W tym zarządzeniu powinno być podane do wiadomości obywateli polskich wezwanie Ambasady, by:

- a) zdolni do służby wojskowej w wieku 17-50 lat udawali się niezwłocznie do obozu Wojska Polskiego w Buzułuku,
- b) pozostali nie zmieniali miejsca pobytu bez instrukcji Ambasady polskiej, której winni domagać się w krótkiej depeszy.

W myśl zasad społecznych Związku Sowieckiego, przewiduje się kierowanie starców, chorych i w ogóle niezdolnych do pracy do odpowiednich schronisk i lecznic. Organizacja szkolnictwa dla dzieci i młodzieży oraz świetlic dla dorosłych winna być również uprawnieniem komitetów działających pod kontrolą centrali. Akcja ta winna być finansowana ze środków państwowych ZSSR, przewidzianych na ten cel [...].

7. K. N. Nowikow był wówczas dyrektorem IV wydziału w LKSZ (Polska i kraje bałkańskie).

Z uwagi na zamówione transporty znacznej ilości odzieży, medykamentów, artykułów żywnościowych, które mają być skierowane bądź przez Władystok, bądź przez Archangielsk lub drogą południową z Indii przez Afganistan, konieczne jest wydanie zarządzeń ułatwień transportowych.

Celem informowania ludności o zarządzeniach Ambasady, odnośnie spraw wojskowych, opieki itd. oraz ułatwień poszukiwania rozdzielonych rodzin, pożądanym jest przydział w audycjach, w których podawano by adresy miejscowości, gdzie mają się zgłaszać ochotnicy do Wojska Polskiego. Ze względu zaś na potrzeby armii i ludności cywilnej, wskazane jest jak najspieszniejsze wydanie zarządzeń natychmiastowego zwolnienia wszystkich lekarzy polskich (wiadomo nam z pewnością o tysiącu lekarzy, wśród których są najwybitniejsze siły), przy czym zgłaszających się do wojska kierować do Buzułuku, innych skomunikować bezzwłocznie z Ambasadą⁷⁸.

W toku dyskusji strona polska szczegółowo omówiła i wyjaśniła każdy z powyższych postulatów. Do zgłoszonego projektu strona sowiecka ustosunkowała się na następnym posiedzeniu Komisji Mieszanej, udzielając odpowiedzi tylko w kilku sprawach. Przede wszystkim władze sowieckie kategorycznie sprzeciwiły się utworzeniu centralnego komitetu opieki oraz jego odpowiedników terenowych. Pomimo stwierdzenia ze strony polskiej, że komitet będzie miał wyłącznie charakter instytucji opieki społecznej, to jednak rząd sowiecki uznał go za przedsięwzięcie polityczne i jako takie niedopuszczalne. Odmówiono też zgody na działalność Polskiego Czerwonego Krzyża. Natomiast zgodzono się jedynie na powołanie delegatów przez ambasadora, który będzie ponosił całkowitą odpowiedzialność za ich pracę.

Do sprawy tej powraca prof. Kot w czasie rozmowy dnia 10 września 1941 roku z zastępcą Ludowego Komisarza Spraw Zagranicznych, Andrzejem Wyszyńskim. Dyskusja, jaką wówczas na ten temat przeprowadzono, najlepiej charakteryzuje tendencje rządu sowieckiego:

„Kot — Mnie przede wszystkim w tej chwili chodzi o ułożenie podstaw poprawienia bytu masy Polaków cywilnych. Wszędzie muszą oni poczuć, że dziś obowiązuje nowa polityka. Każdy obywatel polski w najdalszym kącie Azji musi się przekonać, że go dosięga opiekuńcze ramię Rządu Polskiego. W tej dziedzinie proszę o skuteczną pomoc. Zawiadamiam, że dzisiaj postanowiłem powołać Polski Komitet Opieki ze znanym działaczem robotniczym Janem Szczyrkiem na czele, z komitetami rejonowymi, miejscowymi i mężami zaufania, tam gdzie jest poniżej 50 rodzin polskich. Zadaniem Komitetu będzie opieka w ścisłym znaczeniu, stwierdzanie potrzeb i rozdział zasiłków”⁷⁹.

„Wyszyński — W sprawie opieki nad obywatelami polskimi, to w myśl noty p. Retingera przysłał mi spis kandydatów na mężów zaufania z różnych ośrodków polskich, z których by Pan Ambasador mógł wybrać swoich delegatów. Sprawę Polskiego Komitetu Opieki zreferuję

8. Cyt. za Sprawozdaniem Biura OS Ambasady RP w ZSSR, *op. cit.*

9. Stanisław Kot, *Rozmowy z Kremlem*, Londyn 1959, str. 44.

rządowi sowieckiemu, obawiam się jednak, że powstanie w ten sposób dwutorowość w pracy delegatów Ambasady i przedstawicieli Komitetu. W czasie wojny wybór komitetów może być niepożądany, nie chcielibyśmy też wznawiać złych doświadczeń z pierwszej wojny światowej. Natomiast pójdziemy całkowicie na rękę Panu Ambasadorowi i udzielimy wszelkich ułatwień mianowanym przezeń delegatom. Komitet mógłby dla nas nie istnieć, pan Szczyrek i inne osoby mogą być mianowane delegatami Ambasady, my pragniemy mieć do czynienia tylko z Ambasadą”¹⁰.

„Kot — Zależy mi na powstaniu Komitetu, gdyż chodzi tu o załatwienie rozdziału żywności i wszelkich pomocy w sposób nie biurokratyczny, według życzeń samych zainteresowanych. Najlepiej przeprowadzą go osoby, znające potrzeby miejscowe i cieszące się zaufaniem obywateli. Pragnąłbym uniknąć urzędniczego załatwiania sprawy, wolałbym, ażeby w tej sprawie więcej miało do powiedzenia serce aniżeli papier. Komitety będą się zajmowały wyłącznie sprawami opieki a będą kontrolowane przez delegatów Ambasady.

Wyszyński — Proponuję, Panie Ambasadorze, aby po zreferowaniu tej sprawy rządowi mojemu została ona przedyskutowana przez Komisję Mieszaną polsko-sowiecką”¹¹.

Zapewnienia ze strony Wyszyńskiego nie przyniosły jednakże żadnych praktycznych rezultatów, ponieważ następne posiedzenia Komisji Mieszanej nie doszły już do skutku. Na interwencję strony polskiej, władze sowieckie udzieliły mglistych obietnic, które następnie tylko w minimalnym stopniu były realizowane. Nie otrzymano natomiast ewidencji przebywających w więzieniach i zwolnionych z więzień ani też żadnego zestawienia liczbowego i topograficznego skupień ludności polskiej. Ponieważ wszystkie problemy poruszone na Komisji Mieszanej były ciągle aktualne, załatwiano je częściowo na drodze dyplomatycznej inne zaś były przedmiotem rozlicznych interwencji przy okazji załatwiania poszczególnych wypadków.

Rozmieszczenie ludności polskiej na terenie ZSSR

Ustalenie rozmieszczenia ludności polskiej na obszarze Związku Sowieckiego napotykało od pierwszej chwili na olbrzymie trudności. Wprawdzie władze sowieckie złożyły Ambasadzie RP w sierpniu 1941 roku oficjalne dane dotyczące globalnej liczby ludności polskiej w ZSSR, ale już wówczas dane te, w zestawieniu z meldunkami z terenu posiadanymi przez Ambasadę, okazały się tendencyjnie niekompletne. W tej sytuacji zaszła konieczność sporządzenia potrzebnych zestawień własnymi siłami w opar-

10. S. Kot, *Rozmowy z Kremlem*, op. cit., str. 47.

11. Tamże, str. 48.

ciu o sprawozdania terenowe. Na skutek jednak najróżniejszych trudności uniemożliwiających skontaktowanie się z wszystkimi skupiskami polskimi, Ambasada RP nie była w stanie porozumieć się z szeregiem ośrodków, nie mówiąc o prawidłowej organizacji akcji rejestracyjnej.

Według niekompletnych danych źródłowych obecnie można się pokusić jedynie o przybliżone zestawienie rozmieszczenia ludności polskiej na terenie Związku Sowieckiego. Za podstawę materiałową przyjęto wobec tego meldunki terenowe, pisma i telegramy z osad, raporty delegatów i mężów zaufania Ambasady RP, zeznania osób przyjeżdżających do polskich ośrodków informacyjnych oraz szacunki działu opieki Ambasady oparte na nabytej praktyce. Zestawienie to zamyka się na dniu 31 grudnia 1941 roku i stanowi podsumowanie kilkumiesięcznego dorobku Ambasady RP w Związku Sowieckim. Ze względów poglądowych dzieli się na dwie części. Część pierwsza zawiera względnie pewne liczby statystyczne, część druga obejmuje szacunkowo szereg skupisk polskich, skąd docierały jedynie sporadyczne i niekompletne wiadomości, jak np. Kołyma, Ziemia Franciszka Józefa, Nachodka, więzienia i obozy oraz pobór do sowieckiego wojska. Wprowadza się w tym dziale poprawkę uwzględniającą niekompletne dane z terenów niekontrolowanych oraz niemożliwości uchwycenia liczbowo elementu ludzkiego będącego w stanie ciągłej migracji.

Część I A.

1. Archangielska obłast'	46.000
2. Czelabińska obłast'	5.000
3. Gorkowska obłast'	5.000
4. Kirowska obłast'	5.000
5. Komi (autonomiczna republika)	35.000
6. Mołotowska obłast'	7.000
7. Maryjska autonomiczna republika	4.000
8. Swierdłowska obłast'	8.000
9. Wołogodzka obłast'	5.000
10. Irkucka obłast'	12.000
11. Nowosybirska obłast'	12.000
12. Omska obłast'	5.000
13. Krasnojarski Kraj	10.000
14. Ałtajski Kraj	12.000
15. Jakucki Kraj	5.000

R a z e m : 176.000

Część I B. Kazachstańska Socjalistyczna Republika Sowiecka:	
1. Ałma-Atyńska obłast'	10.000
2. Akmolińska obłast'	12.000
3. Aktiubińska obłast'	12.000
4. Dżambulska obłast'	30.000
5. Kustanajska obłast'	10.000
6. Pawłodarska obłast'	10.000
7. Południowo-Kazachstańska obłast' ...	30.000
8. Północno-Kazachstańska obłast'	10.000
9. Semipałatyńska obłast'	15.000
R a z e m : 139.000	
Część I C. Kirgiska Socjalistyczna Republika Sowiecka	5.000
Część I D. Tadżycka Socjalistyczna Republika Sow.	5.000
Część I E. Turkmeńska Socjalistyczna Republika Sow.	20.000
Część I F. Uzbecka Socjalistyczna Republika Sowiecka	80.000
R a z e m : 110.000	
Część I G. Ośrodki wojskowe	40.000
Część II. Przyjęto tutaj	300.000
O g ó ł e m : 765.000	

W zestawieniu powyższym pominięto republiki i obłastie o mniejszym nasileniu ludności polskiej.

Do liczby 765.000 należy jednak dodać 25 % zmarłych, otrzymamy wówczas około 1 miliona ludzi. Ale i tak cyfry te należy przyjmować w przybliżeniu, ponieważ odsetek zmarłych, szczególnie dzieci, kobiet i starców przekraczał w wielu okręgach 40 %, co potwierdza początkowe przypuszczenia władz polskich, iż ilość obywateli polskich deportowanych na teren Związku Sowieckiego wynosił około 1,5 miliona.

Podział ludności polskiej na poszczególne grupy jest niemożliwy do przeprowadzenia na podstawie zachowanych i dostępnych materiałów źródłowych. Pewne dane można uzyskać tylko w drodze szacunku. Wypośrodkowanie odsetka osób niezdolnych do pracy możliwe było tylko w odniesieniu do tych obszarów, do których dotarły w większej ilości okólniki Ambasady. Orientacyjnie można podać, że liczba niezdolnych do pracy (uwzględniając dzieci, starców i fizycznie niezdolnych do pracy) wynosiła dla archangielskiej obłasti 57 % a dla republiki Komi 54 %.

Procent ten był niewątpliwie większy dla całości północnego Kazachstanu, dokąd wywieziono przeważnie samotne kobiety i dzieci. Wzrosło on jeszcze bardziej, jeśli uwzględnimy niezdolność do pracy kobiet z małymi dziećmi. Na podstawie powyższych danych sądzić należy, że procent niezdolnych do pracy obywateli polskich w Związku Sowieckim wynosił około 60 %.

Położenie ludności polskiej w ZSSR w czasie wojny

Zawarcie umowy polsko-sowieckiej przez gen. Sikorskiego przyniosło większości obywateli polskich zwolnienie z obozów jeńnieckich, łagrów, spec-posiołków i więzień, aczkolwiek nie objęło wszystkich. Niewątpliwie był to fakt o historycznym znaczeniu, który przyjęty został przez zmaltretowaną ludność polską z prawdziwą wdzięcznością. Niemniej jednak wyłoniły się prawie natychmiast nowe trudności, które w wielu wypadkach wpłynęły nawet na pogorszenie sytuacji materialnej ludności polskiej. Władze sowieckie uznały bowiem, że z chwilą ogłoszenia amnestii nie posiadają już dawnych obowiązków wobec tej ludności. Większość posiołków została zwinięta i wraz ze zwolnieniem z obozów zaprzestano wydawania dotychczasowych skromnych racji żywnościowych. Ludzie, o ile nie zostali przyjęci do wojska, musieli sami poszukiwać pracy i żyć na własną rękę. Zaś znaleźć pracę nie było łatwo, ponieważ w zaświadczeniach wydawanych obywatelom polskim w chwili zwolnienia zabroniono im osiedlania się w miastach pierwszej i drugiej kategorii, będących zwykle większymi ośrodkami przemysłowymi. A poza tymi miastami nie sposób było otrzymać pracę lub zakupić żywność.

Niechętny stosunek władz sowieckich w przyjmowaniu do pracy potwierdza także w swoim sprawozdaniu mąż zaufania Ambasady RP na rejonach Kermine i Kenimech w okręgu bucharskim: „Władze sowieckie obok braku wyżywienia miały też obawy natury politycznej. Nie chciały mieć w obrębie jednego przedsiębiorstwa zgromadzonej dużej ilości Polaków, pozostających w dodatku pod opieką stałą polskich władz cywilnych i wojskowych. Nabożeństwa, pomoc w naturze i gotówce, troska przedstawicieli władzy „faszystowskiej” o swój naród bez różnicy klasy, burzyły im ich robotę propagandową wśród swoich. Zwłaszcza na tle faktycznego wynagrodzenia za pracę. Robotnik zarabiał w sowchozie „Narpoj”, należącym do wyjątkowo dobrze wynagradzających do 120 rubli miesięcznie (co równało się 10 litrom mleka lub 4 kg. kartofli, względnie 1 kg. masła) oraz 600 gr. chleba, 15 gr. jęczmienia śrutowego i 100 gr. jarzyny

surowej dziennie. I to robotnik najlepszy, zdrowy, silny, o ile mu sumiennie obliczono jego zarobek. W tych warunkach robotnik sowiecki widział, że robotnik polski otrzymywał od swoich: białą mąkę, konserwy, pieniądze, odzież, pomoc lekarską. Dla agitatorów sowieckich było to zjawisko nie do zniesienia”¹².

Grozę położenia powiększały masowe migracje ludności polskiej z północy w kierunku południowo-wschodnim (szczególnie Kazachstan, Uzbekistan, Tadżykistan i inne republiki południowe). Przesiedlenia te zostały wywołane szeregiem ważnych przyczyn. Przede wszystkim jednak dominowała obawa przed nadchodzącą zimą w trudnych warunkach klimatycznych, poszukiwanie lepszych warunków bytu, utrata pracy i dotychczasowych siedzib. Ruch ten miał charakter żywiołowy i doznał wzmocnienia z chwilą utworzenia na południu pierwszych formacji wojska polskiego, do którego zdążali nie tylko mężczyźni zdolni do służby wojskowej, ale także całe rodziny pragnące jak najszybciej znaleźć się w środowisku czysto polskim.

Zorganizowanie planowego ruchu przesiedleńczego przez Ambasadę RP uniemożliwiało zachowanie się władz sowieckich. Odmówiły one jakichkolwiek wskazówek i stale uchylały się od udzielania pomocy w wynalezieniu właściwych terenów osiedleńczych. Tymczasem obywatele polscy coraz gwałtowniej domagali się pomocy w przesiedleniu, szczególnie z terenów o najsurowszych warunkach klimatycznych. Sytuacja ta zmusiła Ambasadę RP do podjęcia natychmiastowych decyzji. Po porozumieniu się z dowództwem armii polskiej, Ambasada udzielała zgłaszającym się grupom ludności pomocy w kierowaniu się do czkałowskiej i saratowskiej obłasti, gdzie organizowano wojsko polskie. Wychodzono przy tym z założenia, że przy szybkim rozroście armii powstaną możliwości zatrudnienia znacznej ilości obywateli przy różnych służbach pomocniczych. Autorytet zaś tworzącej się armii polskiej ułatwi opiekę nad ludnością cywilną. Brano także pod uwagę wypowiedzi wojskowych władz sowieckich, w rozmowach z dowództwem polskim, że teren republiki Niemców nadwołżańskich posłuży w znacznej mierze dla celów osiedleńczych ludności polskiej. Niebawem okazało się jednak, że władze sowieckie nie mają najmniejszego zamiaru osiedlenia ludności polskiej w niemieckiej republice nadwołżańskiej. W okręgach czkałowskim i saratowskim udało się zatrudnić w górnictwie, na kołchozach i w sowchozach zaledwie kilka tysięcy osób, zresztą w warun-

12. Sprawozdanie z działalności męża zaufania Ambasady RP w ZSSR na rejon Kermine i Kenimech za okres 27. I. - 7. VIII. 1942 roku. Archiwum S. Mikołajczyka.

kach nie najlepszych. Pod wpływem przyjazdu do Buzułuku, Tocka i Tatiszczewa ogromnych mas ludzkich, bardzo szybko wyczerpały się skromne możliwości lokalowe i aprowizacyjne, dostarczone przez wojsko. W związku z tym powstała nagła potrzeba wyszukania nowych terenów przesiedleńczych.

W tym czasie dowództwo polskie uzyskało od wojskowych władz sowieckich poufne zapewnienie co do dalszego rozwoju armii polskiej i zlokalizowania jej na terenach południowych. Wypowiedzi sowieckich wojskowych potwierdzały wypadki usuwania z pracy obywateli polskich i kierowania ich na południe do polskiego wojska. Władze sowieckie opierały się przy tym na sugestiach kompetentnych czynników Armii Czerwonej. Wobec tego dowództwo PSZ wysłało w teren kilkudziesięciu oficerów, jako swych delegatów, którzy kierowali spływającą ludność, a przede wszystkim zdolnych do służby wojskowej, na południe. Ten ruch migracyjny, jak wspomniano wyżej, o ile początkowo wynikał z przyczyn naturalnych, jesienią 1941 roku przybrał rozmiary prawdziwej wędrowki ludów.

Exodus ludności polskiej obfitował w tysiączne tragedie a śmierć zbierała swoje obfite żniwo. Wielka ilość ludzi, pozbawionych jakiegokolwiek oparcia materialnego, wymarła z głodu lub zginęła od różnych chorób. W eszelonach idących z dalekiej północy na południe a liczących po kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt wagonów towarowych zapchanych ludźmi o skupieniu po 40-50 a często i więcej osób, zawszonych, brudnych i wygłodniałych — panował tyfus brzuszny, szkarlatyna, odra oraz szkorbut i pelagra. Cała droga wzdłuż torów kolejowych pokryła się grobami polskich obywateli.

Na skutek nieprzygotowania akcji przesiedleńczej, droga, którą normalnie można było odbyć w ciągu kilku dni, trwała całymi tygodniami w zimnych wagonach towarowych bez żywności i bez możliwości zakupienia jej gdziekolwiek. Po przybyciu na miejsce, te wynędzniałe gromady ludzkie kierowano do pracy przy zbiorze bawełny, gdzie za łyżkę strawy pracowali po kilkanaście godzin na dobę. Innych przewożono barkami rzeką Syr-Daria do odległych okolic, gdzie zatrudniono ich przy kopaniu kanałów irygacyjnych. Większość jednak obozowała pod gołym niebem przy stacjach kolejowych z powodu braku pomieszczeń.

Dla bliższego scharakteryzowania warunków, w jakich znalazła się ludność polska po przybyciu na południe, warto przytoczyć kilka fragmentów ze sprawozdań delegatów Ambasady RP lub listów nadsyłanych przez osoby godne zaufania. W sprawozdaniu z Nowosybirsk z dnia 10 września 1941 roku, płk dr Torwiński pisze m.in.:

„Do Nowosybirską napływają codziennie bez przerwy z różnych stron, głównie z wschodnich i północno-wschodnich rejonów nowosybirskiego okręgu, z Krasnojarskiego kraju, z okręgu irkuckiego, republiki Jakuckiej, z kraju Chabarowskiego — duże ilości obywateli polskich. Przybywają tu zarówno pojedynczo, jak też w większych lub mniejszych grupach, kierując się na południe [...]. Zaznaczyć muszę, że bardzo wielu z przybywających tu osób znajduje się w stanie wysoce opłakanym: obdarcy, wynędzniali, bez pieniędzy i środków do życia. Niejeden wysprzedał resztki wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, by zdobyć potrzebną kwotę na zakup biletów kolejowych dla siebie i rodziny. Ludzi ogarnęła jakaś psychoza wyjazdu z dotychczasowych miejsc pobytu. Przyczyną tego jest przeważnie obawa przed ciężkimi warunkami życia w okresie zimowym, zwiększające się na miejscu trudności egzystencji, ciężka, wyczerpująca praca, do której ludziom już brak sił żywotnych i wytrzymałości”¹³.

Dziennikarz z Wilna, dr Stanisław Kodź pisze z Taszkientu w sprawozdaniu z 18 listopada 1941 roku, co następuje:

„Z terenu nadchodzą meldunki o zwiększaniu się liczby zachorowań i śmiertelności, zwłaszcza wśród dzieci. Tymczasem transporty idą w dalszym ciągu. Roboty w polu zakończyły się i brak pracy nie pozwala na rozmieszczenie ludzi. Oto parę przykładów cyfrowych: w Kaganie pomieszczono po kołchozach około 7.000 obywateli polskich, około 6.000 pozostaje bez pracy. W Farabie pod gołym niebem obozuje około 4.000 ludzi. Transport ludzi z Farabu w dół Amu-Darii odbywa się na barkach otwartych a w czasie kilkudniowej podróży ludzie są narażeni na przemoczenie i zimno. Wypadki śmiertelności w transportach są coraz częstsze. Niedawno przybył transport z Omska, z którego wyjęto w Taszkencie 9 trupów. Lekarz, dr Trusiewicz z Kaganu melduje, że w czasie od 7-14. XI. [1941] zdjęto z transportu 70 trupów. Ze wszystkich stron kraju donoszą o licznych wypadkach omdleń z głodu. Ludzie, którzy przecierpieli wiele w więzieniach i obozach, dzisiaj na wolności cierpią w dalszym ciągu nędzę, głód i chłód. Warunki życia nawet tych, którzy mają pracę są bardzo ciężkie. W oblasti bucharskiej w najlepszych kołchozach, wynagrodzenie wynosi około 400-500 gr. lepionki i 1 rubel 30 kopiejek dziennie. W gorszych nie płacą gotówki. Z innego terenu podają, że wynagrodzenie wynosi pół kg. mąki i ćwierć litra mleka dziennie. Pułkownik Mączka podaje, że w kołchozie, w którym pracuje, dają tylko 400 gr. lepionki na osobę. Jest to wyżywienie gorsze od więziennego”¹⁴.

Janina Romańska, która odbyła drogę z transportem z Buzułuku do Farabu, w liście z dnia 27 października 1941 roku pisze do Ambasady RP:

„Tu koczujemy pod gołym niebem. Dwa razy dano nam chleb i zupę. Teraz mamy jechać dalej, pić — sześć dni wodą, dokąd — nikt nie wie. A kto nie jedzie nie dostaje chleba i musi sobie sam radzić. Przez dwie doby jedzie się pustynią. Za chleb dawali ludzie buty, ubrania itp. Kto ma herbatę, mydło lub wódkę — ten chleb dostanie. Za pieniądze też można, ale wtedy płaci się 25-30 rubli za bochenek”¹⁵.

13. Sprawozdanie płk. dr. Torwińskiego, delegata Ambasady RP z Nowosybirską. Archiwum S. Mikołajczyka.

14. Cyt. za Sprawozdaniem BO Ambasady RP w ZSSR, *op. cit.*

15. Tamże.

Jan Kwapiński w rozmowie telefonicznej w dniu 6 listopada 1941 roku z Ambasadą, obrazował sytuację w południowych republikach jako rozpaczliwą. Praca wyjątkowo ciężka, normy wysokie, brak żywności, dalsza chłonność minimalna. W każdym transporcie przybywającym znajduje się po kilka osób zmarłych w czasie podróży. W tym czasie w samym tylko Nukus znajdowało się 35 tys. osób, które kierowano do pracy przy bawelninie i kopaniu kanałów. Zdaniem Kwapińskiego, ludzie jadący na południe skazani byli na zagładę¹⁶.

Na przedstawiony przez Kwapińskiego stan rzeczy złożyło się kilka okoliczności. Można je uszeregować następująco:

- a) Masowe gromadzenie się w pewnych punktach transportów napływających każdego dnia z całego terenu, głównie z archangielskiej oblasti i republiki Komi.
- b) Trudności, jakie lokalne władze sowieckie czyniły delegatowi Ambasady w dysponowaniu transportami, zgodnie z chłonnością poszczególnych oblasti.
- c) Rozpaczliwy stan uchodźców trzymanyh tygodniami w nieopalanonych, przepełnionych wagonach towarowych i w wielu wypadkach pozbawionych żywności.
- d) Równoczesna ewakuacja na południe wielkich mas obywateli sowieckich z terenów okupowanych i przyfrontowych.
- e) Przymusowe przesiedlenie Niemców nadwołżańskich w tereny nasyczone już ludnością polską.

Dostarczenie konkretnej pomocy w sowieckich warunkach było niezmiernie trudne. Linie i tabor komunikacyjny służyły w pierwszym rzędzie potrzebom wojskowym. Żywność skoncentrowano w składach państwowych i bez specjalnych dyspozycji nie było można jej nabyć. Przesyłanie pieniędzy, nawet telegraficznie, często trwało kilka tygodni. Dosyłanie pomocy w naturze lub chociażby skierowanie delegata z Ambasady dla doraźnej interwencji, zajmowało również sporo czasu. Jedynym środkiem pomocy było rozdzielanie skierowanych zapomóg gotówkowych na stacjach kolejowych przez przedstawicieli wydziału opieki społecznej Ambasady RP¹⁷. Czasami też udawało się dostarczyć trochę chleba. Wielokrotnie też interweniowano w LKSZ w sprawie przyspieszenia transportów, zaopatrzenia ich w żywność itp. W kilku wypadkach osiągnięto pozytywne rezultaty.

Pragnąc zapobiec dalszemu pogorszeniu się sytuacji Ambasa-

16. Cyt. za Sprawozdaniem BO Ambasady RP w ZSSR, *op. cit.*

17. Pomoc gotówkowa w tym okresie była minimalna, ponieważ budżet miesięczny działu opieki Ambasady RP wynosił zaledwie 300 tysięcy rubli.

da na początku listopada 1941 roku rozesała telegraficzną instrukcję do wszystkich większych skupisk polskich z wezwaniem do zatrzymania wyjazdów na południe ludności cywilnej, zdolnej przetrwać zimę na miejscu. Wyjątek uczyniono tylko dla ludności z oblasti archangielskiej i republiki Komi, gdzie były najtrudniejsze warunki klimatyczne. Do stacji Faragan kierowano tylko element gotowy wojskowo. Działalność Ambasady na tym odcinku była jednak utrudnioną przez dwutorowość, jaka zaistniała pomiędzy instrukcjami Ambasady a praktyką prowadzoną w terenie przez przedstawicieli wojska.

Ruch ludności na południe zatrzymany został dopiero zarządzeniami sowieckimi. Przyniosły one nową klęskę w postaci reewakuacji ludności polskiej z Uzbekistanu. Podobno władze tej republiki otrzymały polecenie władz centralnych ewakuowania 45 tys. obywateli polskich. Akcję tę rozpoczęto w nocy 21 listopada 1941 roku równocześnie w całym okręgu bucharskim. W kołchozach i sowchozach udzielono ludziom zaledwie 15-60 minut na przygotowanie się do wyjazdu. Na drogę nie dano żadnego zaopatrzenia. W Bucharze rozliczano ludność nocą z wykonywanej pracy. Następnego dnia zgromadzono około 15 tys. ludności polskiej na stacjach: Kiseldibi, Buchara, Karczi, Guzar, Kiplap i Kagan. Wobec nagłości akcji podjętej przez władze sowieckie, wysiłki delegatury Ambasady RP w Taszkencie szły w kierunku zaopatrzenia transportów w pieniądze, chleb, leki i konserwy dla chorych i dzieci. Sytuację wśród ewakuowanych charakteryzuje Delegat Jan Kwapiński następująco:

„Stan transportów można określić, jako zrezygowany. Ludzie są zmęczeni i wyczerpani do głębi wędrówkami i przeżyciami ostatnich miesięcy. Boją się nowego terenu nie wiedząc czy znajdą tam pracę i dach nad głową, lękają się warunków atmosferycznych. Liczą na wydajną pomoc zagraniczną, która jeśli ma ratować masy, to winna przyjść w ciągu najbliższych 6 tygodni. Pomoc tę należy realizować na nowym miejscu zamieszkania”¹⁸.

Przeciwko zarządzonym reewakuacjom natychmiast interweniował prof. Kot u zastępcy komisarza spraw zagranicznych, Wyszynskiego, notami z 23 i 24 oraz w rozmowie osobistej w dniu 25 listopada 1941 roku¹⁹. Interwencje te spowodowały częściowe przerwanie przesiedleń. Do sprawy tej powrócił także gen. Sikorski w czasie rozmów moskiewskich, starając się uzyskać zgodę

18. Sprawozdanie Jana Kwapińskiego z dnia 27. XI. 1941 roku. Archiwum S. Mikołajczyka.

19. Zob. S. Kot, *Rozmowy z Kremlem*, op. cit., str. 143 i nast. oraz *Documents on Polish-Soviet Relations 1939-1945*, General Sikorski Historical Institute, London 1961, Vol. I, Nr 155.

władz sowieckich na ustalenie okręgów południowych jako stałych terenów przesiedleńczych dla ludności polskiej²⁰.

Bardzo istotnym aspektem działalności Ambasady RP były stale podejmowane próby u władz sowieckich zmierzające do uzyskania zgody na zrównanie obywateli polskich z obywatelami sowieckimi w zakresie stosowanych norm pracy. Uregulowanie tego zagadnienia było niezmiernie trudne, gdyż wymagało w każdym wypadku interwencji na miejscu zatrudnienia. W późniejszym okresie wydział opieki przystąpił do organizowania stołówek dla ludności polskiej wzorowanych na robotniczych stołówkach sowieckich, co przyniosło znaczne ułatwienie życia niektórym skupiskom Polaków. Z bardziej efektywną pomocą dla ludności władze polskie mogły przyjść dopiero w chwili wzmożenia przesyłek zagranicznych. Ale i to nie było łatwe wobec trudności zarówno z wyładunkiem w porcie, jak i z doprowadzeniem transportu do miejsca przeznaczenia²¹.

Wobec trudności z przesyłką produktów żywnościowych i odzieży dział opieki Ambasady starał się udzielać jak najszerzej rzeszy obywateli polskich zasiłków pieniężnych. Pomoc ta, jakkolwiek skromna, miała tę dobrą cechę, że była stosunkowo szybka i bezpośrednia. Zasiłki te rozprowadzano różnymi sposobami. Najczęściej rozprowadzano je wśród ludności w terenie przez delegatów i mężów zaufania Ambasady, wypłacano transportom na stacjach kolejowych, wysyłano telegraficznie do poszczególnych grup ludności bądź też wypłacano indywidualnie osobom przybyłym do Ambasady. W okresie od 24 sierpnia do 27 września 1941 roku wydatkowano na ten cel (w cyfrach okrągłych)²²:

Sumy przesłane delegatom i mężom zaufania	850.00 rubli
Zapomogi indywidualne	340.000 "
Utrzymanie punktu zbornego w Kujbyszewie	42.000 "
Koszty przekazów pocztowych	14.000 "

R a z e m : 1.246.000 "

20. Zob. S. Kot, *Rozmowy...*, op. cit., str. 159 oraz *Documents...*, op. cit., Nr 159.

21. Poważne trudności oczekiwały transporty na liniach kolejowych, które przetrzymywano po kilka dni na małych stacyjkach a nawet w gołym polu. W konsekwencji do końca 1941 roku do magazynów centralnych w Buzułuku doszły zaledwie dwa transporty wysłane z Anglii 12 sierpnia i 6 września 1941 roku. Transport z dnia 12 sierpnia odszedł z Archangielska już 21 października, ale do Buzułuku dotarł dopiero 27. XI. 1941 roku.

22. Sprawozdanie BO Ambasady RP w Kujbyszewie, op. cit.

W czasie rozmów gen. Sikorskiego ze Stalinem w grudniu 1941 roku rząd sowiecki zgodził się na udzielenie pożyczki w kwocie 100 milionów rubli. Dzięki temu powstała możliwość rozszerzenia akcji zasiłkowej dla najbardziej potrzebującej ludności polskiej. W styczniu 1942 roku wydatki działu opieki na rzecz terenu przedstawiały się następująco²³:

Delegatom przekazano przez Gos-Bank	2.166.000 rubli
Wysłano pocztą do okręgów niezorganiz.	229.000 "
Zapomogi indywidualne, koszty przekazów, punkt zborny w Kujbyszewie, pomoc doraźna	166.000 "
R a z e m :	2.563.000 "

W ten sposób pomoc dla terenu wzrosła prawie trzykrotnie w stosunku do akcji pomocy z ostatnich dwóch miesięcy poprzedniego roku. Globalnie Ambasada RP wydatkowała na cele pomocy indywidualnej w Związku Sowieckim w poszczególnych latach:

W roku 1941	1.233.114,30 rubli
W roku 1942	2.892.243,62 "
W roku 1943	1.828.636,09 "
	5.953.994,01 "
Niedoręczone:	553.117,08 "
R a z e m :	5.400.876,93 "

Przeciętny zasiłek indywidualny w roku 1942 wynosił 560 rubli, zaś w roku 1943 — 486 rubli.

Jest oczywiste, że udzielone zapomogi stanowiły zaledwie drobny ułamek w stosunku do rzeczywistych potrzeb ludności. Ustalenie jednakże tych rzeczywistych potrzeb było bardzo trudne. Koszta utrzymania wahały się bowiem w zależności od okręgu. Tak np. inne były ceny w obłasti archangielskiej, która żywiła się dzięki przywozowi z zewnątrz, a inne były ceny w obłasti nowosybirskiej produkującej żywność na wywóz. W zasadzie ludność miała do czynienia z trzema różnymi cenami: z cenami tzw. twardymi, obowiązującymi w magazynach państwowych, cenami handlowymi w różnych spółdzielniach oraz cenami bazarowymi, to jest płaconymi na wolnym rynku. Wyglądało to w ten sposób,

23. Sprawozdanie ogólne BO Ambasady RP za czas od 15. XII. 1941 do 27. I. 1942 roku, Archiwum S. Mikołajczyka.

że przy nabywaniu produktów po cenach twardych, koszt dziennego utrzymania jednej osoby na poziomie prymitywnym (300 gr. chleba oraz dwa razy zupa na odrobinie kaszy lub kartofli) wynosił około 2 rubli. Wypadek ten ściśle teoretyczny, ponieważ uzyskanie czegokolwiek po cenach twardych było niesłychanie trudne, nie mógł być podstawą do żadnych szacunków. Dla przykładu można podać, że delegatura w Taszkencie ustaliła stawkę 35 rubli miesięcznie zasiłku na każde dziecko, co przy cenach twardych stanowiło równowartość około 20 kg. chleba, zaś po cenach bazarowych nie można było za tę kwotę nabyć nawet jednego kilograma. W zależności więc od tego czy ludność polska posiadała prawo nabywania produktów po tych czy innych cenach, wartość pieniądza była różna. Na początku roku 1942 ceny rynkowe osiągnęły tak wysoki poziom, że pud mąki kosztował od 800 do 1500 rubli, 1 kg. kartofli 10-45 rubli, litr mleka 20-50, 1 kg. mięsa 50-350 rubli itd. W związku z tym wartość zasiłków gotówkowych była minimalna.

Przy nabywaniu towarów po cenach bazarowych, koszt dziennego utrzymania jednej rodziny wynosił około 5-6 rubli. W tym wypadku koszt utrzymania całej ludności polskiej sięgałyby zupełnie zawrotnej cyfry 5-6 milionów rubli dziennie. Rozwiązania tej trudnej sprawy szukał wydział opieki przez zatrudnienie zdolnej do pracy ludności, co było przedsięwzięciem prawie beznadziejnym wobec likwidacji tzw. spec-posiołków i migracji ludności na południe.

Niezależnie od pomocy gotówkowej, władze polskie szły ludności z pomocą w naturze. W poszczególnych obłastach delegatury Ambasady utworzyły domy noclegowe, stołówki i tzw. kotły. Rozdawano też chleb na stacjach i pomagano w uzyskaniu żywności z magazynów sowieckich. Pomoc ta zależała jednak w wielu wypadkach od ustosunkowania się czynników miejscowych do przejeżdżającej ludności. Generalnie jednak można stwierdzić, że w początkowym okresie po amnestii — pomoc tę można było uzyskać.

Pomoc rzeczowa w postaci żywności, odzieży i lekarstw, przychodziła zza granicy jako zakupy rządu polskiego lub dary stowarzyszeń i organizacji społecznych w krajach zaprzyjaźnionych oraz neutralnych.

Transporty odzieży i żywności otrzymywano z Anglii przez Archangielsk oraz z Indii przez Aszchabad. Do końca stycznia 1942 roku nadeszły trzy transporty do Archangielska i jeden przez Aszchabad. Rozprowadzono je do 16 delegatur i 5 odżywczych punktów kolejowych. Każda z tych przesyłek wynosiła przynajmniej jeden wagon. Ale przesyłki te nie stały w żadnym

stosunku do rzeczywistych potrzeb ludności. W dodatku trudności transportowe opóźniały rozprowadzenie i tej skromnej pomocy. W tej sytuacji, niezależnie od zapowiadanych transportów z Anglii i Stanów Zjednoczonych, Ambasada podjęła starania o zakupy w Persji, Turcji, Afganistanie i Indiach, co zostało uzgodnione w czasie pobytu gen. Sikorskiego w Związku Sowieckim.

Stopniowy wzrost pomocy zza granicy stawiał Ambasadę RP przed zadaniami związanymi z tworzeniem nowych placówek przeładunkowych, zorganizowaniem centralnych magazynów w Rosji europejskiej, na Syberii oraz w Azji Środkowej. Dotychczas istniejący centralny magazyn w Buzułuku już nie odpowiadał nowym warunkom organizacji sieci terenowej. Przy wyborze miejsca zdecydował fakt, że był to punkt, do którego można było kierować transporty pod konwojem wojskowym i gdzie istniała możliwość zabezpieczenia magazynów strażą wojskową.

Wobec dużego procentu zachorowań a nawet pojawiających się epidemii — zorganizowano dwie składnice sanitarne. Jedna znajdowała się przy szefostwie sanitarnym PSZ i zaopatrywała całe południe oraz Syberię, zaś druga przy Ambasadzie RP — zaopatrywała ludność polską zamieszkałą na terenach Rosji europejskiej.

Dążeniem Ambasady RP było zastąpienie pomocy indywidualnej pomocą zbiorową, która była trwalsza i z natury rzeczy bardziej efektywna. Pod koniec stycznia 1942 roku nawet władze sowieckie, prawdopodobnie na skutek alarmujących informacji napływających do nich z terenu, wystąpiły do Ambasady RP z wnioskiem o tworzenie różnych instytucji opiekuńczych. W rozmowie z ambasadorem Kotem, wicekomisarz Wyszyński oświadczył 26 stycznia 1942 roku, że zgodnie ze stanowiskiem Ambasady, rząd sowiecki uważa za pilną konieczność organizowanie przez delegatury sierocińców, przedszkoli oraz domów dla starców i inwalidów²⁴. Ten pomyślny zwrot niewątpliwie ułatwiał dalsze prace w tym zakresie, chociaż wykonanie zarządzeń władz centralnych przez władze lokalne, wymagało wiele czasu i przynosiło ciągłe trudności techniczne, które tylko z wielkim poświęceniem zwalczano.

W zestawieniu szczegółowym całokształt pomocy zagranicznej dla ludności polskiej w ZSSR do dnia 30 marca 1942 roku przedstawiał się następująco²⁵:

24. S. Kot, *Rozmowy z Kremlem*, *op. cit.*, str. 218.

25. Zestawienie oparto na Sprawozdaniu ogólnym Działu Opieki Społecznej Ambasady RP w ZSSR, *op. cit.*

<i>Lp.</i>	<i>Artykuł</i>	<i>Ilość</i>	<i>U w a g i</i>
1.	Mleko	700 skrzyń oraz 6 ton	Średnia wielkość od 72 do 366 pu- szek w skrzyni.
2.	Smalec	1700 skrzyń a 88 funtów ang.	
3.	Tłuszcz roślinny ..	4500 kg.	
4.	Cukier	8260 kg.	
5.	Czekolada	72 skrzynie	
6.	Bovril	531 skrzyń	
7.	Kakao	222 skrzynie	
8.	Konserwy mięsne ..	257 skrzyń	
9.	Kawa	160 worków	
10.	Mydło	385 skrzyń, 17 worków, 5000 kg.	
11.	Obuwie	133 skrzyń, 50 worków	
12.	Herbata	2000 kg.	
13.	Kasza	12000 kg.	
14.	Koce	40 bel	
15.	Swetry	78 bel względnie skrzyń	
16.	Szaliki	11 skrzyń	
17.	Ubrania	136 kompletów	
18.	Kołdry	18 bel	
19.	Pończochy	74 skrzynie względnie bele	
20.	Pizamy	66 skrzyń	
21.	Szlafroki	62 bele, 22 skrzynie	
22.	Koszule	44 bele, 67 skrzyń	
23.	Ręczniki	3 bele	
24.	Kominiarki	12 skrzyń	
25.	Palta	18 bel	
26.	Materiał	21 bel	

Pomoc ta, jakkolwiek wysoce niedostateczna, umożliwiła najbardziej potrzebującej ludności przetrwanie trudnego okresu zimowego i w ten sposób spełniła swoje zadanie w sensie moralnym i materialnym. Było jednak oczywiste, że pomoc zagraniczna nie będzie mogła zaspokoić wszystkich potrzeb ludności polskiej. W związku z tym Ambasada RP starała się o uzupełnienie tej pomocy drogą zakupów od rządu sowieckiego niezbędnych artykułów żywnościowych i przemysłowych. Zakupy te miały być przeznaczone przede wszystkim dla osób przebywających w zakładach opieki, bez czego prowadzenie tych zakładów byłoby niemożliwe. W końcu, na szereg wystąpień Ambasady RP, Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych notą z dnia 12 lutego 1942 roku

powiadomił Ambasadę, że wyznaczył specjalne „fondy” dla ludności polskiej²⁶. Miały one dotyczyć następujących kategorii obywateli polskich:

- a) przebywających w polskich zakładach opieki,
- b) nieobjętych tymi zarządzeniami obywateli polskich niezdolnych do pracy,
- c) obywateli polskich zatrudnionych w sowieckich zakładach i instytucjach.

Na podstawie tej decyzji rządu sowieckiego Ambada RP poleciła swoim delegatom w terenie wystąpić do miejscowych władz o przyznanie „fondów” w poszczególnych obłastach i rejonach. Według sprawozdań nadesłanych do Ambasady do dnia 30 marca 1942 roku udało się uzyskać następujące przydziały²⁷:

Lp.	Nazwa okręgu	Artykuł	Ilość	Uwagi
1.	Swierdłowska obłast'	Kiełbasa	600 gr.	Na każdą osobę
		Masło	400 gr.	
		Suchary	400 gr.	
		Krupy	800 gr.	
		Sól	300 gr.	
		Zapałki	30 pudełek	
2.	Pawłodarska obłast'	Mąka	10 ton	
3.	Kirowska obłast' ...	Mąka	12 ton	
		Kartofle	5 ton	
		Mydło	100 kg.	
4.	Kustanajska obłast'			
5.	Południowo - Kazachstańska obłast'	Mąka	2.400 pudów	
		Obuwie wełniane	200 par	
		Obuwie skórzane	Na ogólną wartość 50.000 rb.	
6.	Dżambulska obłast' ..	Mąka	3.050 pudów	
		Obuwie wełniane	300 par	
		Obuwie skórzane	Na ogólną wartość 50.000 rb.	
7.	Kirgiska republika ..	Mąka	52 tony	Dane dotyczą tylko 3 obłasti.
		Krupy	1,3 ton	

Były to przydziały jednorazowe udzielone na jeden miesiąc. Władze miejscowe obiecywały jednak zwiększenie przydziałów w następnych miesiącach, do czego niestety nigdy nie doszło.

Z powyższego zestawienia wynika, że „fondy” udało się otrzymać tylko w siedmiu delegaturach, co wyraźnie wskazuje na

26. Zob. *Documents...*, op. cit., Vol. I, Nr 184.

27. Sprawozdanie ogólne Działu Opieki Społecznej, op. cit.

wielki dystans pomiędzy wydanym zarządzeniem władz sowieckich i jego wykonaniem w terenie. Złożyły się na to i czynniki obiektywne. Wobec wyczerpywania się zapasów państwowych, zdarzały się wypadki, że „fondy” wyznaczone przez administrację obłasti nie zostały wykonane przez rejon z powodu braku artykułów w magazynie. Ambasada starała się zawsze o pełne wykorzystanie tej formy pomocy w naturze, ponieważ niektóre produkty (np.: kartofle, mąka, kasza itp.) trudno było sprowadzać zza granicy w wielkich ilościach ze względu na ich dużą objętość.

Obrót pomocy rzeczowej w okresie od 1 września do 22 kwietnia 1943 roku przedstawiał się następująco²⁸:

Ogółem przybyło w tym okresie do Związku Sowieckiego 158.025 jednostek op. ca 6.300,5 ton:

Rozprowadzono do mężów			
zaufania	87.382 jedn. op. ca	3.478	ton
W drodze do składów mę-			
żów zaufania	14.477 jedn. op. ca	570	ton
Remanent składów na ko-			
niec kwietnia 1943 r.	56.166 jedn. op. ca	2.128	ton
Manco (1,99 %)		124,5	ton

R a z e m : 158.025 jedn. op. ca 6.300,5 ton

W rezultacie Ambasada RP zdołała rozprowadzić między mężów zaufania zaledwie 57 % ogółu pomocy rzeczowej, która przybyła do Związku Sowieckiego. Złożyło się na to kilka przyczyn. Przede wszystkim jednak niedostarczenie wagonów przez władze kolejowe dla składów Ambasady. Tak np. skład w Aszchabadzie nie otrzymał od października 1942 roku do kwietnia 1943 roku aż 263 przyznanych mu wagonów. Przedstawiciele Ambasady interweniowali w tej sprawie wielokrotnie w LKSZ, otrzymując każdorazowo zapewnienie, że wydane zostaną odpowiednie zarządzenia. I faktycznie Ludowy Komisariat Komunikacji kilkakrotnie wydawał władzom kolejowym odpowiednie polecenia, nie zostały one jednak przez lokalne władze kolejowe wykonane.

Znaczna część, bo około 570 ton, znajdowała się w transpor-

28. Zestawienie oparto na opracowaniu Ambasady RP w Kujbyszewie dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Londynie, pt. „Pomoc materialna udzielona przez Rząd RP obywatelom polskim w ZSSR”. Archiwum S. Miłkołajczyka.

tach, a niektóre z tych transportów były w drodze jeszcze od października 1942 roku. Zasługuje na uwagę także fakt, że w kwietniu 1943 roku koleje sowieckie przerzuciły z Badzigiranu do Aszchabadu w szybkim tempie 1.091 ton 375 kg. towarów będących własnością Ambasady. Pośpiech i zbieżność dat pozwalają przypuszczać, że przerzucenie tak wielkiej ilości towarów przed zerwaniem stosunków dyplomatycznych było posunięciem doskonale przemyślanym.

Wyniki pomocy materialnej Ambasady i jej delegatur nie były dostatecznie wielkie, aby wpłynąć zasadniczo na poprawę sytuacji deportowanej ludności polskiej, między innymi na skutek niemożności dotarcia do wielu odległych miejscowości. Poza tym trudności transportowe stały na przeszkodzie szybkiemu dostarczeniu pomocy wszędzie, gdzie była ona potrzebna. Niewątpliwie, jednak, dzięki poważnym dostawom zza granicy, większość deportowanych obywateli polskich w ZSSR otrzymywała przeciętnie na głowę 12,5 kg., co równało się jednemu kompletowi odzieży i obuwia oraz wysokowartościowe produkty spożywcze. Była to oczywiście pomoc nikła, jednak przyniosła ona wielką ulgę w ciężkich warunkach życia, a przede wszystkim pozwoliła utrzymać liczne zakłady opiekuńcze Ambasady RP.

Organizujące się Polskie Siły Zbrojne brały także czynny udział w pomocy dla ludności cywilnej. Oficerowie łącznikowi na węzłowych punktach, otrzymywali pewną ilość porcji żołnierskich, które rozdawano pomiędzy ludność. Wojsko udzielało również pomocy gotówkowej. Brak materiałów źródłowych nie pozwala jednak na jej bliższe określenie.

W działalności wojska były momenty, z którymi Ambasada RP nie mogła się pogodzić. Niewątpliwie władze wojskowe w ZSSR wychodziły ze słusznego założenia, że żołnierz będący w terenie musi mieć pewność, iż rodzina jego ma zabezpieczone, chociaż najminimalniejsze środki utrzymania. Słuszną ta troska nie mogła jednak prowadzić do wyodrębnienia spośród całej ludności polskiej jednej grupy wojskowych, której położenie różniłoby się zbyt jaskrawo od położenia reszty. Tendencje takie znalazły swój wyraz w projekcie regulaminu Biura Pomocy nad Rodzinami Wojskowych przy sztabie PSZ, który przewidywał nawet tworzenie osobnych warsztatów pracy, sierocińców, przedszkoli, szkół itp., wyłącznie dla rodzin wojskowych. Celem uniknięcia dwutorowości w pracy, wydział opieki Ambasady RP przyjął za podstawę zaopatrzenie, jakie otrzymywały rodziny wojskowych sowieckich, uzupełnione przez pomoc w naturze. Według tego projektu zapomogi te miały wynosić 150 rubli dla głowy rodziny i 50 rubli dla pozostałych z wykluczeniem odrębnych

instytucji opiekuńczych. W styczniu 1942 roku specjalnym protokołem zasady te ustalono i przyjęto, ale już w marcu Biuro Pomocy nad Rodzinami Wojskowych wydało nowy regulamin, w którym, wbrew zawartemu z Ambasadą porozumieniu, powróciło do poprzednich swoich projektów. Faktycznie jednak pomoc Biura ograniczała się, z małymi wyjątkami, do zasiłków pieniężnych, które w zależności od stanu rodzinnego i uposażenia wojskowego, wynosiły od 100 do 200 rubli miesięcznie. A więc były wyższe od stawek opieki społecznej.

Stosunek władz miejscowych do zakładów opiekuńczych Ambasady był różny w różnych okresach, przeważnie jednak negatywny. Stąd ciągłe fluktuacje w stanie zakładów, zależnych od uzyskania pomieszczenia, „fondów” żywnościowych, powstawanie jednych a zamykanie drugich itp. Mimo tych wszystkich trudności, wspólnym wysiłkiem Ambasady, mężów zaufania i społeczeństwa powstała duża sieć zakładów opiekuńczych. Według danych z dnia 15 lutego 1943 roku na terenie Związku Sowieckiego istniało²⁹:

Lp.	Rodzaj zakładu	Liczba zakładów	Liczba korzystających	Uwagi
1.	Sierocińce	83	5.364	
2.	Domy inwalidów	58	1.976	
3.	Domy rekonwalescentów ..	5	192	
4.	Domy noclegowe	13	719	
5.	Szpitala	5	145	
6.	Przedszkola	175	5.685	
7.	Szkoły	43	2.999	
8.	Kursy	68	1.466	
9.	Punkty dożywiania	176	10.754	
10.	Stołówki	15	2.160	
11.	Żłobki	1	5	
12.	Ambulatoria	76		Brak danych
13.	Punkty sanitarne	41		Brak danych
14.	Laboratorium bakteriolog. .	1		Brak danych
15.	Warsztaty	47		Brak danych
R a z e m :		807	31.465	

W zakładach zatrudnionych było w charakterze personelu wychowawczego i administracyjnego 2.539 osób. Zaś w warsztatach pracowało ogółem 350 osób³⁰.

29. Według opracowania Ambasady „Pomoc materialna”..., *op. cit.*

30. Tamże.

Reasumując wyniki akcji opiekuńczej Ambasady RP na połowę lutego 1943 roku otrzymujemy dla całego terenu Związku Sowieckiego następujące zestawienie³¹:

Opieką zamkniętą w sierocińcach objęto . . .	72	%	sierot
Opieką zamkniętą w domach inwalidów objęto	6,5	%	inwalidów
Akcją nauczania objęto	20	%	dzieci
Akcją dożywiania objęto	19	%	dzieci
Akcją dożywiania objęto	11	%	inwalidów

W dniu 15 stycznia 1943 roku Rada Komisarzy Ludowych wydała zarządzenie o przejęciu wszystkich polskich zakładów opiekuńczych pod zarząd i administrację sowiecką. Rozporządzenie to nie zostało jednak podane do wiadomości Ambasady. Na skutek tej jednostronnej decyzji wszystkie zakłady przejęte zostały przez władze sowieckie w okresie od połowy stycznia do połowy kwietnia 1943 roku. Ambasada RP nie otrzymała także protokołów przejęcia tych zakładów i nie była w stanie ustalić, jaki inwentarz, zapasy towarów itp., stanowiące własność państwa polskiego, przejęte zostały przez organa sowieckie.

Organizacja delegatur

Dla wykonywania opieki i udzielania pomocy niezbędne było stworzenie sieci organizacyjnej w terenie, Ambasada RP czuła się w obowiązku dotrzeć do możliwie wszystkich środowisk celem przekazywania im instrukcji i poleceń oraz przeprowadzenia sprawnego rozdziału pomocy. Drogą tą istniała także możliwość rozwiązania problemu udzielania odpowiedzi na zapytania listowe i telegraficzne, napływające setkami każdego dnia i skazane początkowo, ze względu na trudności techniczne, na pozostawianie bez odpowiedzi.

Sieć organizacyjną Ambasady RP w terenie oparto na następującym schemacie: centrala, delegatury w stolicach republik i obłastiach o większym nasileniu Polaków, mężowie zaufania w miastach rejonowych, pełnomocnicy mężów zaufania w osadach. Do uprawnień delegatur, oprócz akcji pomocy, należała opieka prawna nad obywatelami polskimi, a w szczególności wystawianie im paszportów i innych zaświadczeń osobistych. Funkcja ta była specjalnie ważna, skoro się weźmie pod uwagę, że deportowanym do ZSSR obywatelom polskim, pozabierano dowody oso-

31. Dane według opracowania Ambasady „Pomoc materialna”..., *op. cit.*

biste, wystawiając bądź paszporty sowieckie dla bezpaństwowców lub obywateli sowieckich, bądź też pozostawiając ich w ogóle bez żadnych dokumentów w obozach i więzieniach. Delegatom, którzy podlegali bezpośrednio Ambasadzie RP powierzony był nadzór nad mężami zaufania, posiadającymi węższy zakres czynności, działającymi jako terenowe organy wykonawcze delegatur. Na mężów zaufania wyznaczani byli poważniejsi przedstawiciele obywateli polskich, zamieszkali w mniejszych miejscowościach prowincjonalnych. Zakres ich kompetencji określał ściśle regulamin. W połowie września 1941 roku Ambasada RP przystąpiła do mianowania pierwszych delegatów i mężów zaufania. Akcja ta została omówiona przez prof. S. Kota na spotkaniu w dniu 10 września z Wyszyńskim oraz uzgodniona na Komisji Mieszanej z władzami sowieckimi, które obiecywały wydanie odpowiednich poleceń władzom terenowym³². Ale już od pierwszych dni powołania sieci organizacyjnej, władze sowieckie nie dotrzymały danego Ambasadzie przyrzeczenia o ułatwieniu działalności w terenie poszczególnym mężom zaufania. Pomimo każdorazowego notyfikowania w LKSZ nazwisk mianowanych mężów zaufania, władze lokalne nie chciały z nimi rozmawiać, zasłaniając się brakiem instrukcji. Mało tego, zdarzały się wypadki wyraźnego szykanowania mężów zaufania przez kompetentne czynniki sowieckie. Natychmiastowe interwencje Ambasady niewiele pomagały.

Pocieszając się nadzieją, że trudności te są przejściowe, kontynuowano nadal akcję organizacji terenu. W listopadzie 1941 roku około połowy rejonów o większych skupiskach polskich posiadało swoich mężów zaufania. Wprawdzie działalność ich ograniczała się do zadań informacyjnych, byli jednak faktem, z którym władze lokalne, chcąc nie chcąc, musiały się liczyć. Ci, którym udało się wywalczyć na miejscu pewną pozycję, rozwinęli w szeregu miejscowości szerszą pomoc doraźną w postaci domów noclegowych, stołówek, sierocińców itp. Równocześnie z tymi doświadczeniami doskonalono system współzależności poszczególnych mężów zaufania. O ile bowiem w początkowym okresie utrzymanie kontaktu Ambasady z wszystkimi mężami nie nastreżało specjalnych trudności, chociażby ze względu na ich małą ilość, to w miarę rozwoju sieci terenowej, zaszła konieczność podporządkowania placówek mniejszych placówkom tworzonym w stolicach republik i obłastiach. Usprawnienie schematu organizacyjnego było tym bardziej konieczne, że ludność polska rozrzucona była na całym terenie Związku Sowieckiego, od Archan-

32. Zob. S. Kot, *Rozmowy z Kremlem*, op. cit., str. 44.

gielska do Władystoku i zamieszkiwała w kilkudziesięciu republikach.

Według danych działu opieki społecznej Ambasady RP, stan organizacji terenu na dzień 15 grudnia 1941 roku możemy ująć w następującą tabelę:

Lp.	Nazwa terenu	Nazwisko	Funkcja	Uwagi
1.	Akmolińska obłast'	Wiśniewski Kazimierz	Mąż zaufania	
2.	Aktiubińska obłast'	Muskus Urszula	Mąż zaufania	
3.	Altajski Kraj	Mattoszek Włodzimierz	Delegat	
4.	Alma-Atyńska obłast'	Więcek Kazimierz	Delegat	
5.	Archangielska obł.	Gruja Józef	Delegat	
		Sikora Stanisław		z-ca delegata
		Kocuper Eugeniusz		z-ca delegata
6.	Gorkowska obłast' ..	Gontorski Bolesław	Mąż zauf.	
7.	Irkucka obłast' i Niżnie Udyński rejon	Puchalski Adam	Mąż zauf.	
8.	Irkucka obłast' i Bodajbo rejon	Małecki Julian	Mąż zauf.	
9.	Jakucki Kraj, Altajski rejon	Pająk Antoni	Mąż zauf.	
10.	Komi ASRR	Grygier Tadeusz	Mąż zauf.	
11.	Komi ASRR, Lecki i Pryłucki rejon ..	Witos Andrzej	Mąż zauf.	
12.	Kirowska obłast', Nagorski rejon	Katuba Józef	Mąż zauf.	
13.	Siewierokazachstańska obłast' Krasnoarmiejski rejon ...	Disterło Aleksander	Mąż zauf.	
14.	Maryjska ASRR, Gornimaryjski rejon	Kasiński Zbigniew	Mąż zauf.	
15.	Nowosybirsk obłast'	Maliniak Julian	Delegat	
16.	Nowosybirsk obłast', Tomski rejon	Kuczewski Władysław	Mąż zauf.	
		Janus Józef		
17.	Asino rejon	Rzadkiewicz Michał	Mąż zauf.	
18.	Zyriański rejon ...	Waldman Abraham	Mąż zauf.	
19.	Suzun rejon	Bilik Marian	Mąż zauf.	
20.	Pawłodarska obłast', Bajak Aut rejon ..	Charowski Leon	Mąż zauf.	
21.	Južno-Kazachstańska obłast'	Zaleski Antoni	Mąż zauf.	
22.	Semipałatyńska obł.	Saraniński Adolf	Mąż zauf.	
23.	Semipałatyńska obł. Bel-Agacki rejon ..	Hechler Henryk	Mąż zauf.	
24.	Semipałatyńska obł. Georgiejewski rejon	Dromicki	Mąż zauf.	
25.	Semipałatyńska obł. Zarminski rejon ..	Dromicki	Mąż zauf.	
26.	Semipałatyńska obł. Urdzar rejon	Jagiełłowicz Władysław	Mąż zauf.	

27. Semipałatyńska obl. Kokpekty rejon ..	Procyk Stefania	Mąż zauf.	
28. Semipałatyńska obl. Nowoszuldyński rej.	Sotnicka Anna	Mąż zauf.	
29. Semipałatyńska obl. Aguz rejon	Samolewicz Wincenty	Mąż zauf.	
30. Swierdłowska oblást', Krasnouralski rejon	Raszka Józef	Mąż zauf.	
31. Krasnouralski rejon	Schreiber Henryk	Mąż zauf.	
32. Swierdłowska oblást', Rewda rejon	Jaworski Alfred	Mąż zauf.	
33. Tadzijska ASRR ..	Matuszek Maria	Mąż zauf.	
34. Uzbekska ASRR oraz Tadzijska ASRR ..	Kwapiński Jan Kazimierzczak Kazi- mierz	Delegat Delegat	Funkcję tę objął po wy- jeździe Kwa- pińskiego do Londynu.

W miejscowościach, w których nie było jeszcze delegatów lub mężów zaufania, zadania ich spełniali wyłonieni przez ludność danej miejscowości pełnomocnicy. W praktyce ich rola niczym się nie różniła od formalnie powołanych delegatów. Dla scharakteryzowania trudności z jakimi borykali się delegaci Ambasady w terenie warto przytoczyć niektóre przypadki. Po uzyskaniu zgody LKSZ na stworzenie w Archangielsku delegatury, został tam wysłany w październiku 1941 roku Józef Gruja w charakterze delegata oraz Eugeniusz Kocuper jako jego zastępca. Natychmiast po przyjeździe na miejsce, Gruja złożył wizytę przedstawicielom władz, którzy przyjęli go wprawdzie z rezerwą, ale obiecali pomoc. Następne jednak wizyty albo nie dochodziły do skutku, albo nie dawały żadnego rezultatu. Władze miejscowe notorycznie uchylały się od współpracy z Grują powołując się na brak instrukcji od władz centralnych. Dla Gruji było jasne, że nie chodziło o brak instrukcji, lecz po prostu o uniemożliwienie mu działalności. W tej sprawie Ambasada RP wielokrotnie interweniowała w LKSZ, który zwlekał z odpowiedzią lub odpowiadał ogólnikowo, że instrukcje zostały wydane. W końcu jednak rząd sowiecki sprecyzował swoje stanowisko: delegatura Ambasady RP w Archangielsku zrozumiana była przez nich jedynie jako placówka transportowa i z tej racji nie przysługiwały jej żadne inne kompetencje. W konsekwencji Gruja przez długi czas nie otrzymywał odpowiedniego magazynu na skład nadchodzących transportów, mieszkał w hotelu i nie miał możliwości wyjazdu w teren celem skontaktowania się z ludnością polską.

Podobne koleje przechodziła delegatura w Taszkencie. Trud-

ności, na jakie napotykał delegat Jan Kwapiński, były jednak o wiele dokuczliwsze ze względu na fakt, że napływająca do Uzbekistanu ludność wymagała większej opieki. Od chwili swojego przyjazdu do Taszkientu w połowie października 1941 roku, mimo intensywnych zabiegów, Kwapiński nie mógł uzyskać przyjęcia u miejscowych władz, które podobnie jak w Archangielsku zaślaniały się brakiem instrukcji. Sytuacja uległa pogorszeniu w połowie listopada, kiedy Kwapińskiemu nakazano opuszczenie Taszkientu. Wówczas Ambasada RP wysłała do Taszkientu A. Żmigrodzkiego, jako specjalnego wysłannika korzystającego z przywilejów dyplomatycznych. Celem tego wyjazdu było nawiązanie kontaktu z władzami Uzbekistanu i zalegalizowanie działalności Kwapińskiego. Podjęta akcja przyniosła ten skutek, że obaj delegaci zostali przyjęci przez władze, które przy tej okazji zakomunikowały im decyzję reewakuacji 46 tysięcy obywateli polskich. Kwapińskiego już nie deportowano, ale nakazano mu zredukowanie personelu i odmówiono przydziału lokalu biurowego.

Delegata w Swierdłowsku, Brunera, NKWD skłaniało do poufnej współpracy, a gdy odmówił został przymusowo wysiedlony. Do odjazdu pociągu pozostawiono mu 40 minut.

Dopiero po wizycie gen. Sikorskiego w Rosji i jego rozmowach ze Stalinem, sprawa delegatów i mężów zaufania weszła na nowe tory. Mianowicie władze sowieckie opracowały projekt przepisów o działaniu delegatów i mężów zaufania, na ogół zgodny z projektem Ambasady. Po ostatecznym uzgodnieniu tekstu, Ambasada ustaliła listę miejscowości, w których mieli być powołani delegaci dla spraw paszportowych, opieki i transportu. Równocześnie z akcją mianowania delegatów stałych i mężów zaufania, Ambasada RP zwróciła się do władz sowieckich o umożliwienie wysłania w teren delegatów objazdowych, których zadaniem miało być badanie położenia ludności polskiej w środowiskach dotąd niekontrolowanych, mianowanie dla tych skupisk mężów zaufania, penetrowanie terenu pod kątem możliwości przesiedlenia Polaków z innych okręgów oraz zbieranie materiałów dla interwencji względnie interweniowania na miejscu. Pierwsza para delegatów objazdowych (prof. Marian Heitzman i dr Romuald Szumski) została wysłana w teren 1 października 1941 roku. Towarzyszył im przedstawiciel NKWD, który oficjalnie miał za zadanie organizowanie podróży od strony technicznej i ułatwienie nawiązania kontaktów z władzami lokalnymi. Delegaci ci odwiedzili skupiska polskie na trasie 8 tys. kilometrów (Nowosybirsk, obwód, Ałtajski Kraj, wschodni i południowy Kazachstan oraz Taszkient), przywoząc wiele cennego materiału.

Po udanej pierwszej podróży, Ambasada RP opracowała ko-

lejno trasy. Przy zestawieniu par delegatów łączono element urzędniczy z elementem społecznym, co dawało gwarancję zarówno lepszego wypełnienia zadań opiekuńczych, jak też bardziej swobodnego poruszania się delegatów w terenie.

W pierwszej połowie listopada 1941 roku na objazd oblasti europejskich skierowani zostali por. Andrzej Jenicz i dr Otto Pehr. Wobec tego, że LKSZ zwlekał z przydzieleniem delegatom przedstawiciela NKWD a zbliżające się mrozy groziły zerwaniem komunikacji wodnej, delegaci wyjechali w teren bez oficjalnej eskorty władz sowieckich, które później przeciwko temu zaprotestowały. Trzecią i czwartą parę skierowano na objazd Krasnojarskiego Kraju i Irkuckiej oblasti.

Niezależnie od delegatów Ambasady w terenie czynnych było kilkudziesięciu przedstawicieli wojska. Ludzie ci często prowadzili własną politykę repatriacyjną bez zgody i porozumienia z Ambasadą. Ambasada była temu przeciwna, ponieważ wojskowi w swojej działalności terenowej wkraczali w kompetencje działu opieki społecznej. W tej sytuacji prof. Stanisław Kot uznał za konieczne wyjaśnienie stosunku wysłanników wojska do delegatów Ambasady. Początkowo stanęła temu na przeszkodzie ewakuacja z Moskwy (pierwszy rzut rozpoczął się 14 października 1941 roku) personelu Ambasady do Kujbyszewa. Dział opieki został przeniesiony do Buzułuku, co niesłychanie utrudniało dalszą pracę i utrzymanie kontaktu z Ambasadą. Ze względu na ograniczone środki łączności (depesze z Buzułuku do Kujbyszewa szły 9 dni) nastąpiło nawet częściowe zahamowanie prac działu opieki. Stan taki trwał aż do końca listopada, kiedy personel działu opieki powrócił do siedziby Ambasady RP w Kujbyszewie.

Ten przymusowy pobyt działu opieki w miejscu postoju PSZ miał tę dobrą stronę, że wykorzystano go, na tymczasowe ułożenie stosunków pomiędzy delegatami Ambasady i wojska. W związku z tym ustalono następujące wytyczne:

- 1) przedstawiciele wojska ograniczają swoją działalność wyłącznie do spraw związanych z rekrutacją do wojska;
- 2) przedstawiciele wojska mogą być powołani na mężów zaufania tylko przez Ambasadę RP w okręgach dotychczas nieobsadzonych;
- 3) powołuje się stałego przedstawiciela Ambasady RP przy sztabie PSZ w Buzułuku dla załatwienia wszystkich spraw wymagających konsultacji z władzami wojskowymi.

W czasie specjalnego spotkania prof. Kota z gen. Andersem i konferencji przedstawicieli działu opieki z szefem sztabu PSZ, usunięto wszystkie sporne kwestie. W wyniku tych rozmów uzgodniono, że wysłannicy wojska w terenie przejdą na etat

Ambasady i zostają podporządkowani delegatom Ambasady. Rejestrację osób wojskowych przeprowadzać będzie w dalszym ciągu Ambasada RP przez swoje delegatury. Przedstawiciele armii polskiej pozostają tylko na punktach węzłowych linii kolejowych. W ten sposób sprawa ujednolicenia sieci organizacyjnej w terenie została ostatecznie uregulowana³³.

Wreszcie w wyniku długotrwałych rokowań między Ambasadą i LKSZ ustalony został wspólny tekst „Postanowień o zakresie działalności delegatów Ambasady RP” z dnia 23 grudnia 1941 roku. Postanowienia te określały kompetencje delegatów i mężów zaufania oraz ustalone zostały ich siedziby w głównych skupiskach ludności polskiej. Liczbę delegatur określono na dwadzieścia³⁴. Roztoczyły one opiekę nad obywatelami polskimi w 46 okręgach administracyjnych, posiadających łącznie około 2.600 skupisk ludności polskiej. Pomimo to poza zasięgiem organizacyjnym działu opieki Ambasady RP pozostało 10 okręgów administracyjnych (obłasti), w których znajdowało się 200 skupisk ludności polskiej.

W związku z powyższym, sieć organizacyjna w terenie bardzo szybko krzepła, zaś doświadczenia zdobyte w poprzednim okresie, pozwoliły na opracowanie w styczniu 1942 roku „Instrukcji dla delegatów i mężów zaufania”, która szczegółowo określała zakres ich działalności oraz zawierała praktyczne wskazówki dla rozwiązania najbardziej palących problemów. W głównych zarysach instrukcja ta postanawiała, że wszelkie świadczenia są jednakowe dla wszystkich obywateli polskich, bez różnicy zawodu, pochodzenia i wyznania. Przy organizowaniu pomocy zbiorowej i podziale posiadanych środków należy przede wszystkim mieć na uwadze zachowanie substancji narodu, jaką stanowią dzieci i młodzież. W dalszej kolejności najbardziej jej potrzebujący biorąc pod uwagę ich wiek, zdrowie, obowiązki rodzinne itp. W ten sposób w miarę posiadanych zasobów, trzeba dążyć do zapewnienia środków utrzymania dzieciom pozbawionym najbliższej rodziny, lub których opiekunowie nie są zdolni do pracy, samotnym starcom powyżej 60 lat, o ile nie udało się umieścić ich w domach starców, całkowicie niezdolnym do pracy, kobietom samotnym utrzymującym dzieci, rodzinom z większą ilością dzieci, osobom częściowo niezdolnym do pracy. W akcji dożywiania i zaopatrywania w odzież, zależnej głównie od transportów zagra-

33. Sprawozdanie BO Społecznej Ambasady RP, *op. cit.*

34. Nota LKSZ nr 18 z dnia 23. XII. 1941 roku i nota Ambasady RP nr D.1078/41 z dnia 24. XII. 1941 roku. Pełny tekst „Postanowień” w: *Documents...*, *op. cit.*, Vol. I, nr 166.

nicznych, należy uwzględnić również tych, którym brak jej uniemożliwia wyjście do pracy. Tak opracowana hierarchia potrzeb była kolejno zaspakajana.

Ponieważ środki, które mieli do rozporządzenia delegaci, były małe w stosunku do rzeczywistych potrzeb, toteż wysokość ich mogła być zmienna. Odpowiednio do tego pomoc udzielona ludności mogła być w pewnych okresach większa w innych zaś ulegać zmniejszeniu. W zasadzie każda pomoc była jednorazowa i otrzymanie jej nie stwarzało podstaw do otrzymywania jej również na przyszłość. Delegaci byli zobowiązani pracować w ramach środków otrzymanych z Ambasady. Wysokość jednorazowego zasiłku nie mogła przekraczać 150 rubli z wyjątkiem szczególnych wypadków, co delegat musiał umotywować. Przyznawanie indywidualnej pomocy gotówkowej i w naturze winno być się odbywać w miarę możliwości komisyjnie przez delegata względnie męża zaufania przy współudziale czynnika społecznego.

Wobec znacznej rozpiętości cen na terenie Związku Sowieckiego oraz wielkiej różnicy cen w zależności od tego czy produkty nabywano po cenach „twardych”, handlowych lub wolnorynkowych, niemożliwe było ustalenie sztywnych stawek pomocy pieniężnej nie tylko dla całego ZSSR, ale nawet dla poszczególnych okręgów na dłuższy okres czasu. Dlatego też dział opieki Ambasady przykładał główne znaczenie do uzyskania przydziału produktów z tytułu tzw. „fondów”, zakupów na kartki i pomocy w naturze zza granicy, traktując zasiłki pieniężne jako drugorzędną formę pomocy.

Instrukcja wydana dla delegatów i mężów zaufania spowodowała że praca terenowa przybrała bardziej konkretne formy niż to było dotychczas.

Ambasada RP doceniając ważność zadań delegatur oraz rozumiejąc wyjątkowo ciężkie warunki pracy społeczno-organizacyjnej wysłała na poszczególne placówki 20 najlepszych swoich urzędników, w tym 9 urzędników dyplomatycznych, którzy do pracy w ZSSR przyjechali z Anglii. Delegaci dobrali sobie odpowiednich mężów zaufania tworząc w ciągu kilku miesięcy sieć organizacyjną o 151 placówkach opieki społecznej nad ludnością polską.

Bilans prac organizacyjnych uzyskanych przez Ambasadę RP na dzień 30 marca 1942 roku zamyka się w następującym zestawieniu³⁵:

35. Zestawienie opracowano na podstawie Sprawozdania ogólnego Działu Opieki Społecznej Ambasady RP za okres od 27. I. do 30. III. 1942 roku. Archiwum S. Mikołajczyka.

<i>Nazwa delegatury</i>	<i>Zakres terytor. oddziaływania</i>	<i>Delegat</i>	<i>Uwagi</i>
1. Archangielsk	Obłastie Archangielska i Wołogodzka	Gruja Józef	II sekretarz Ambasady
2. Kirów	Obłastie Kirowska, Mołotowska, Gorkowska i Rep. Maryjska	Szumski Romuald	
3. Czkałów	Obłastie Czkałowska, Aktiubińska i Rep. Baszkirska	Zarębecki Zdzisław	Attaché Ambasady
4. Sywtywkar ...	Rep. Komi	Grygier Tadeusz	
5. Czelabińsk ...	Obłastie Czelabińska i Swierdłowska	Słowikowski Henryk	
6. Kustanaj	Obł. Kustanajska	Romański Mieczysław	
7. Barnauł	Obł. Nowosybirsk i Altajski Kraj	Mattoszko Włodzimierz	zastępca
8. Pawłodar	Obł. Pawłodarska	Maliniak Julian	
9. Krasnojarsk ..	Obł. Irkucka i Krasnojarski Kraj	Lickindorf Stanisław	Attaché Ambasady
10. Ałdan Jakucki	Jakuckij Kraj	Mieszkowski Józef	
11. Pietropawłowski	Obłastie Północno-Kazachstańska i Omska	Pajak Antoni	Attaché Ambasady
12. Akmolińsk ..	Obł. Akmolińska	Płoski Witold	
13. Czimkent	Obł. Południowo-Kazachstańska i Kzyl Ordynska	Rola-Janicki Kazimierz	
14. Dżambuł	Obłast' Dżambułińska	Kościółkowski Bohdan	
15. Semipałatyńsk	Obłast' Semipałatyńska	Dziewicki Feliks	(do połowy III. 1942) Attaché Ambasady
16. Ałma-Ata	Obł. Ałma-Atyńska oraz Rep. Kirgizka	Saraniński Adolf	
17. Samarkanda ..	Rep. Uzbecka i Tadżycka	Więcek Kazimierz	
18. Saratow	Obł. Saratowska	Kwapiński Jan	
19. Władywostok	oraz Buchta Nachodka	Heitzman Marian	II sekretarz Ambasady
20. Aszchabad ...	Rep. Turkmieńska	Vacat	
		Załęski Maciej	II sekretarz Ambasady
		Głogowski Adam	II sekretarz Ambasady

Do najpoważniejszych a zarazem najtrudniejszych placówek ze względu na charakter ich zadań i obowiązków, należały delegatury w Archangielsku, Aszchabadzie i Władywostoku. Delegaci tamtejsi, którymi byli sekretarze Ambasady RP, zajmowali się poza opieką nad ludnością znajdującą się na ich terenie, przyjmowaniem, magazynowaniem i dystrybucją pomocy w naturze (odzież, żywność i lekarstwa), która przychodziła do tych punktów statkami z Anglii (Archangielsk), z Ameryki Północnej (Władywostok), Indii lub z Palestyny przez Iran (Aszchabad).

Nasilenie pracy organizacyjnej i opiekuńczej w poszczególnych delegaturach było bardzo różne. W jednych posunęła się bardzo naprzód, w innych zaś została dopiero zapoczątkowana. Było to uzależnione od trudności terenowych, stosunku władz miejscowych do ludności polskiej oraz przedsiębiorczości samych delegatów.

Delegatury w Archangielsku, Władywostoku i Aszchabadzie posiadały charakter specjalny. Główne zadanie delegatury w Archangielsku polegało na przyjmowaniu wyładunku i dalszej ekspedycji transportów przychodzących do Archangielska i Murmańska. Wobec braku biura i konieczności wyładunku w trzech punktach oddalonych od miasta, delegat J. Gruja był całkowicie zaabsorbowany sprawami transportowymi. Dlatego też jego działalność opiekuńcza ograniczała się tylko do pomocy gotówkowej. Delegatura we Władywostoku zajmowała się przede wszystkim transportami amerykańskimi i udzielaniem opieki obywatelom polskim, pozostającym nadal w więzieniach i obozach pracy przymusowej. Delegatura w Aszchabadzie została powołana dla celów transportowych oraz ewakuacji dzieci (sierot) poza granice Związku Sowieckiego. Zaś delegatura w Saratowie nie została obsadzona. Zgłoszony w czerwcu 1942 roku na delegata Witold Godlewski — nie został zatwierdzony przez LKSZ. Były tam nieliczne skupiska ludności polskiej.

Ten ogromny wysiłek pracowników Ambasady w rozwoju sieci opiekuńczej docenimy dopiero wówczas, gdy zobaczymy z jakimi trudnościami borykano się przy załatwianiu nawet najdrobniejszych spraw u władz sowieckich. Chociaż początkowo współpraca delegatów z władzami sowieckimi układała się na ogół pomyślnie, to jednak po upływie około dwóch miesięcy Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych zaczął podnosić różne zastrzeżenia. Z uwagi na doniosłość tych spraw warto je przedstawić w szerszym ujęciu.

Już podczas wyjazdu delegatów z Kujbyszewa do objęcia placówek (między 15 stycznia a 15 lutego 1942 roku) powstały liczne trudności pozornie natury technicznej. Trudności te prze-

zwyciężono. Równocześnie jednak na terenie całego Związku Sowieckiego NKWD podjęło energiczną akcję celem przeniknięcia do aparatu delegatur, kaptując sobie konfidentów wśród współpracowników delegatur a nawet starając się pozyskać współpracę samych delegatów. Zabiegi te nie zostały uwieńczone powodzeniem, ponieważ zainteresowane osoby z zasady zawiadamiały władze polskie o czynionych im propozycjach lub pogroźkach. Stosowano szeroko metodę zastraszania, używaną poprzednio przy werbowaniu agentów wśród obywateli polskich w czasie zwalniania z więzień i obozów. Wobec delegata w Sywtywkarze (Republika Komi), Tadeusza Grygiera, któremu NKWD proponowało współpracę zanim otrzymał nominację z Ambasady RP, Nowikow w rozmowie z W. Arletem 21 marca 1942 roku postawił zarzut, iż jest pochodzenia niemieckiego a ojciec jego jest dowódcą w armii niemieckiej. Ambasada RP posiadając przypadkowo dokładne dane o ojcu delegata, pracującym jako lekarz pod okupacją niemiecką, dwukrotnie w rozmowach z Nowikowem wykazała bezpodstawność tych zarzutów. Pomimo to LKSZ zażądał odwołania T. Grygiera, zawiadamiając wręcz, że władze lokalne otrzymały polecenie zaprzestania z nim współpracy. W tej sytuacji Ambasada była zmuszona odwołać delegata w Sywtywkarze. Incydent ten zasługuje na specjalną uwagę, ponieważ T. Grygier energicznie zwalczał akcję werbowania agentów NKWD wśród ludności polskiej.

Kilka dni wcześniej, 9 marca 1942 roku Nowikow w rozmowie z Arletem stwierdził, że personel delegatur nie powinien przekraczać 3-4 osób, personel zaś placówek mężów zaufania w ogóle nie jest przewidziany. Na skutek tego stanowiska LKSZ odbyły się dalsze rozmowy i dwukrotna wymiana not, które jednak nie doprowadziły do uzgodnienia stanowisk. W międzyczasie władze sowieckie postanowiły postawić Ambasadę RP przed faktami dokonanymi i w wielu wypadkach władze lokalne kategorycznie zażądały zmniejszenia personelu delegatur do 5-7 osób. Żądanie to zaopatrzone było w groźbę wysiedlenia personelu przekraczającego tę liczbę. Niektóre delegatury zmuszone były podporządkować się żądaniu władz sowieckich, inne zaś uzyskały zgodę na powiększenie personelu do 9 osób. W ten sposób mechaniczne wykonanie żądania władz sowieckich zahamowało działalność kilku delegatur. Jasne bowiem jest, że liczba personelu delegatur zależała od potrzeb, które miała zaspakajać, liczby ludności, terytorium itp.

Dalszą tendencją sztucznego ograniczenia zakresu działania delegatur, było żądanie LKSZ zgłoszenia przez Ambasadę RP kandydatów na mężów zaufania. W praktyce równało się to

zatwierdzeniu kandydatów przez władze sowieckie wbrew treści „Postanowień” o zakresie działalności delegatów Ambasady RP z dnia 23 grudnia 1941 roku. Odpowiedni przepis ustalał następujący tryb powoływania delegatów i mężów zaufania: „Delegatów Ambasady, ich zastępców oraz delegatów objazdowych mianuje Ambasador RP. Nazwiska ich są notyfikowane niezwłocznie Ludowemu Komisariatowi Spraw Zagranicznych, który ze swej strony powiadamia o ich nominacji oraz charakterze i określa ich działania władze radzieckie danej republiki lub okręgu, polecając im udzielanie delegatom Ambasady koniecznej pomocy”³⁶. Powyższy tekst przewidywał więc jedynie obowiązek notyfikowania delegatów i z chwilą dokonania notyfikacji wchodził oni automatycznie w urzędowanie. W odniesieniu do mężów zaufania „Postanowienia” w ogóle nie przewidywały potrzeby notyfikacji. Ambasada jednak, zgodnie z ustnym życzeniem LKSZ, zgłaszała ich nazwiska do wiadomości. Ambasada RP nie czyniąc żadnych różnic wśród obywateli polskich w zależności od ich wyznania i narodowości powoływała niejednokrotnie na stanowiska mężów zaufania, względnie współpracowników delegatur, osoby pochodzenia żydowskiego. W jednym ze spisów nowych mężów zaufania Ambasady, zgłoszonych do LKSZ zgodnie z ustaloną procedurą, znalazły się nazwiska Rozenchwajga i Lustgartena. Następnego dnia po wysłaniu noty zawierającej powyższe nazwiska do LKSZ, zatelefonował do Ambasady RP jeden z referentów IV wydziału z zapytaniem z polecenia Nowikowa, jakiej narodowości są zgłoszeni poprzedniego dnia mężowie zaufania. Odpowiedziano mu, że „są oni obywatelami polskimi narodowości polskiej”. W kilka godzin później, zadzwonił do Ambasady sam dyrektor Nowikow. Rozmowa, jaka się wówczas wywiązała, warta jest przytoczenia:

Nowikow: — „Chciałbym wyjaśnić poruszoną już w południe kwestię narodowości Rozenchwajga i Lustgartena”.

Ambasada: — „Obaj zgłoszeni przez nas mężowie zaufania są obywatelami polskimi narodowości polskiej”.

Nowikow: — „Czy nie są oni Żydami?”.

Ambasada: — „Nie są Żydami, są Polakami”.

Nowikow: — „Ale przecież bywają Polacy i Polacy... Jak się ktoś nazywa np. Smogorzewski to jest Polak, ale Rozenchwajg i Lustgarten to przecież Żydzi”.

Ambasada: — „To absolutnie niczego nie dowodzi. Ja na przykład nie mam nazwiska polskiego (Arlet), a jak panu dyrektorowi wiadomo jestem Polakiem”.

Nowikow: — „Ta kwestia musi być wyjaśniona. Chodzi tu nie o obywatelstwo tych ludzi, ale o narodowość”.

36. Zob. S. Kot, *Listy z Rosji*, op. cit., str. 491-492.

Ambasada: — „Prawodawstwo polskie nie kieruje się względami rasowymi. Jeśli ktoś jest obywatelem polskim i oświadcza, że uważa się za Polaka, nie udowadniamy mu, że jest Żydem. To zresztą nie ma znaczenia dla obsadzania stanowisk mężów zaufania”.

Nowikow: — „Nie może być mowy o względach rasowych. Zna pan stanowisko nasze w sprawie obywatelstwa polskiego. Proszę żeby pan zechciał kwestię narodowości Rozencwajga i Lustgartena dodatkowo wyjaśnić, gdyż od tego zależy załatwienie pisma Ambasady skierowanego do Nar-komindiełu”.

Ambasada: — „Przedstawię tę sprawę panu Ambasadorowi, ale nie sądzę, by zajął on inne stanowisko”³⁷.

Wobec tego, że Ambasada RP nie widziała możliwości zajęcia stanowiska dyskryminującego obywateli polskich w zależności od ich narodowości, dyrektor Nowikow nie podjął żadnych kroków dla załatwienia sprawy zgłoszonych na mężów zaufania. — Rozencwajga i Lustgartena. Dodatkowo ostrzegł jeszcze W. Arleta, by na przyszłość Ambasada zechciała unikać wyznaczania na swych mężów zaufania osób, które mogą budzić tego rodzaju wątpliwości.

Pod koniec marca i w ciągu kwietnia 1942 roku LKSZ zaczął protestować przeciwko ingerencji delegatów w sprawy aresztowanych obecnie lub przetrzymywanych od dawna w więzieniach i obozach pracy obywateli polskich. Twierdzono przy tym, że dziedzina ta należy wyłącznie do kompetencji Ambasady RP. Następnie posypały się zarzuty na nieformalne i niezgodne z przepisami sowieckimi postępowanie delegatów, a między innymi na opiekowanie się i ingerowanie w sprawy obywateli sowieckich. W rzeczywistości chodziło wyłącznie o osoby posiadające obywatelstwo polskie, pochodzące ze wschodnich obszarów Rzeczypospolitej, które ze względu na żydowską, ukraińską lub białoruską narodowość uznane zostały przez władze sowieckie za obywateli ZSSR.

Polskie władze w ZSSR, zgodnie z podstawowymi zasadami ustrojowymi Rzeczypospolitej Polskiej, nie czyniły żadnych różnic wśród obywateli polskich, niezależnie od ich narodowości, wyznania i rasy. Na takim też stanowisku wydawały się stać również i władze ZSSR przynajmniej w pierwszym okresie po nawiązaniu stosunków w sierpniu 1941 roku. W następnych miesiącach rząd sowiecki stanowisko swoje jednak zmienił. Zaznaczyło się to najwyraźniej na tle organizacji polskich sił zbroj-

37. Cyt. za referatem pt. Sprawa Żydów obywateli polskich w świetle oficjalnych dokumentów i praktyki władz sowieckich z dnia 11. VIII. 1942 roku, opracowanym przez Ambasadę RP w Kujbyszewie dla MSW w Londynie. Archiwum S. Mikołajczyka.

nym w ZSSR. Znaczna część zwolnionych z więzień i obozów, udawała się bezpośrednio do szeregów organizującego się wojska. Wśród nich było również sporo Żydów. Ale podczas gdy władze polskie stały na stanowisku całkowitego równouprawnienia w wojsku polskim Żydów — obywateli polskich, władze sowieckie zaczęły czynić różnego rodzaju trudności obywatelom polskim nie Polakom, pragnącym się dostać do szeregów PSZ. Pierwszy wypadek dyskryminacji obywateli polskich narodowości nie polskiej ze strony władz sowieckich miał miejsce w republice kazachstańskiej w październiku 1941 roku. W związku z nadchodzącymi w tej materii informacjami Ambasada RP wystosowała w dniu 10 listopada 1941 roku do LKSZ notę, w której m.in. komunikowała: „Według otrzymanych informacji wojenny komisarz Kazachstanu, generał Szczerbakow w Ałma-Ata wydał zarządzenie, aby wszystkich obywateli polskich, wysiedlonych przez władze sowieckie z okupowanych terenów Rzeczypospolitej, posiadających w dokumentach narodowość ukraińską, białoruską i żydowską, kierować do Armii Czerwonej, o ile odpowiadają warunkom wieku i zdrowia. Na interwencję zainteresowanych oraz męża zaufania Ambasady, gen. Szczerbakow oświadczył, iż działa na podstawie instrukcji władz centralnych, które poleciły miały traktować wszystkich obywateli RP narodowości niepolskiej, posiadających paszporty sowieckie jako obywateli ZSSR [...]. To samo nie oparte na żadnych obiektywnych przesłankach i sprzeczne z układem polsko-sowieckim z 30 lipca 1941 roku dzielenie obywateli polskich według ich narodowości lub rasy, stosowane jest przez władze wojskowe w Ałma-Ata, które i w tym wypadku zasłaniają się instrukcjami organów centralnych, wobec obywateli polskich, zgłaszających się celem załatwienia formalności związanych z wstąpieniem do wojska polskiego w ZSSR. Tylko obywatele polscy, narodowości polskiej otrzymują zezwolenie na przejazd do miejsca organizacji polskich oddziałów wojskowych, natomiast obywatele polscy Ukraińcy i Żydzi spotykać się mają z kategoryczną odmową ze strony wymienionych władz”. W zakończeniu tej noty Ambasada prosiła LKSZ o bezstronne stosowanie do wszystkich obywateli polskich zasad wynikających z układu z 30 lipca 1941 roku oraz umowy wojskowej z 14 sierpnia 1941 roku a „polegających na zagwarantowaniu każdemu zdolnemu do noszenia broni obywatelowi polskiemu prawa do służenia w wojsku polskim w ZSSR”³⁸.

Powyższa nota spowodowała oświadczenie ze strony LKSZ w sprawie uzależnienia posiadania obywatelstwa od narodowości

38. *Documents...*, op. cit., Vol. I, nr 143.

ci poszczególnych osób. Zaznaczyć tutaj należy, że już w czasie rozmów w pierwszych dniach września 1941 roku przedstawiciele LKSZ, podając liczby obywateli polskich zwolnionych z więzień na podstawie dekretu z 12 sierpnia 1941 roku podkreślali, iż liczby te nie obejmują „obywateli byłych polskich, którzy na mocy ustawy sowieckiej z 1 października 1939 roku uzyskali obywatelstwo sowieckie”, jednakże nie precyzowali bliżej swego stanowiska. Natomiast w odpowiedzi na notę Ambasady RP z dnia 10 listopada 1941 roku, LKSZ w nocy z 1 grudnia 1941 roku komunikował, co następuje: „Ambasada RP powołując się na fakty mobilizacji w Kazachskiej SSR do Armii Czerwonej jako obywateli sowieckich, obywateli narodowości ukraińskiej, białoruskiej i żydowskiej, którzy wyjechali z *obłasti* zachodniej Ukrainy i zachodniej Białorusi, kwestionuje słuszność tego zarządzenia uważając, iż jest ono sprzeczne z zasadami sowiecko-polskiego porozumienia wojskowego z 14 sierpnia 1941 roku. Ludowy Komisariat nie może się zgodzić z takim punktem widzenia Ambasady RP. Ani umowa z 30 lipca, ani umowa z 14 sierpnia 1941 roku nie dają podstaw dla wysunięcia punktu widzenia, wyłożonego w *aide mémoire* Ambasady RP. Zgodnie z dekretem Prezydium Rady Najwyższej ZSSR z 19 listopada 1939 roku wszyscy obywatele zachodnich *obłastiej* Ukraińskiej i Białoruskiej SSR, którzy się znajdowali na terytorium wspomnianych *obłastiej* na 1-2 listopada 1939 roku uzyskali zgodnie z ustawą „o obywatelstwie Związku Sowieckich Socjalistycznych Republik” z 19-go sierpnia 1939 roku obywatelstwo ZSSR. Gotowość rządu sowieckiego, uznania za obywateli polskich osób narodowości polskiej, które zamieszkiwały na 1-2 listopada 1939 roku wskazane wyżej terytoria, świadczy o dobrej woli i uступliwości rządu sowieckiego, ale bynajmniej nie może być podstawą dla analogicznego uznania za obywateli polskich osób innych narodowości, w szczególności ukraińskiej, białoruskiej i żydowskiej, ponieważ kwestia granic pomiędzy ZSSR a Polską nie jest rozstrzygnięta i podlega rozpatrzeniu w przyszłości”.

„Co się tyczy powołania się Ambasady Polskiej na rozkaz wydany w Alma-Ata przez generała Szerbakowa, to według informacji posiadanych przez LKSZ, rozkaz o powołaniu wymienionych obywateli (to znaczy narodowości ukraińskiej, białoruskiej i żydowskiej) do szeregów Armii Czerwonej, nie był wydany, natomiast wydane było rozporządzenie o pociągnięciu ich do robót na tyłach, co stosowane jest również w stosunku do innych obywateli ZSSR³⁹”.

39. Zob. *Documents...*, op. cit., Vol. I, nr 157.

Według posiadanych informacji przez rząd polski, obywatele polscy powołani do robót na tyłach, o których mówiła powyższa nota, byli rozmieszczeni w tzw. „specjalnych batalionach budowlanych”. Władze sowieckie w miesiącach wiosennych 1941 roku przeprowadziły na zajętych terenach Rzeczypospolitej pobór do Armii Czerwonej trzech roczników: 1917, 1918 i 1919 r. Pobrani do wojska ludzie zostali wywiezieni w głąb terytorium Związku Sowieckiego. Opierając się na ogólnym zaludnieniu terytoriów Polski zajętych przez wojska sowieckie, należy przypuszczać, że liczba pobranych wynosiła około 100 tys. ludzi. W miesiącach sierpień-wrzesień 1941 roku na mocy rozporządzeń władz sowieckich, pobrani z terytoriów polskich obywatele polscy zostali częściowo zwolnieni z szeregów armii i rozmieszczeni w owych właśnie „specjalnych batalionach budowlanych”.

W dniu 16 sierpnia 1941 roku dowódca PSZ w ZSSR, gen. W. Anders zwrócił się do przedstawiciela naczelnego dowództwa Armii Czerwonej, gen. Panfilowa, z prośbą o przekazanie armii polskiej pobranych przez rząd sowiecki do wojska obywateli polskich. W dniu 19 sierpnia 1941 roku gen. Panfilow zakomunikował w odpowiedzi, że „pragnąc zadość uczynić Dowództwu Polskiemu, Dowództwo Armii Czerwonej spełnia prośbę Dowództwa Polskiego o wydzieleniu ochotniczym do Wojska Polskiego Polaków znajdujących się w oddziałach Armii Czerwonej⁴⁰”.

W rzeczywistości jednak nie tylko nie przeniesiono obywateli polskich z Armii Czerwonej oraz ze specjalnych batalionów budowlanych, ale nawet zastosowano represje wobec tych żołnierzy, którzy dowiedziawszy się o tworzeniu się armii polskiej w ZSSR składali podania o przeniesienie ich do wojska polskiego. I tylko nielicznym jednostkom z grona pobranych roczników 1917, 1918 i 1919 udało się przedostać do armii polskiej a nota LKSZ z 1 grudnia 1941 roku potwierdzała w całej rozciągłości fakt przetrzymywania obywateli polskich narodowości ukraińskiej, białoruskiej i żydowskiej w specjalnych batalionach roboczych, co oczywiście odbiło się ujemnie na liczebności armii polskiej w Związku Sowieckim.

Stanowisko rządu sowieckiego zostało odrzucone przez Ambasadę RP notą nr D. 902/42 z dnia 9 grudnia 1941 roku. W nocie tej Ambasada RP stwierdzała m.in.: „1) ustawodawstwo polskie zbudowane jest na zasadzie równości wobec prawa wszystkich obywateli bez względu na ich narodowość lub rasę. Ambasadzie RP nie są też znane żadne przepisy prawa sowieckiego, które by tego rodzaju rozróżnienie lub różniczkowanie wprowadza-

40. Zob. *Documents*, op. cit., Vol. I, nr 114.

dzały albo sankcjonowały. Układ z 30 lipca 1941 roku oraz umowa wojskowa z 14 sierpnia 1941 roku w żadnym ze swych postanowień, dotyczących obywateli polskich (amnestia, służba wojskowa, nie wprowadzają pojęcia narodowości lub rasy, odnoszą się zatem do wszystkich obywateli polskich. W tym stanie rzeczy Ambasada nie widzi możliwości zmiany swego stanowiska wyrażonego w nocie D.740/41 z 10 listopada 1941 roku [...].

2) Fakt posiadania przez daną osobę obywatelstwa polskiego ustala prawo polskie, w szczególności ustawa z dnia 20 stycznia 1920 roku o obywatelstwie Państwa Polskiego. Z tego względu oraz z powodów podanych wyżej w punkcie 1, Ambasada ma zaszczyt oświadczyć, że nie widzi możliwości przyjęcia do wiadomości zawiadomienia zawartego w nocie LKSZ z dnia 1 grudnia 1941 roku, iż rząd sowiecki gotów jest uznać za obywateli polskich spośród osób mieszkających 1-2 listopada 1939 roku na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej, przejściowo zajmowanym przez Związek Sowiecki — tylko osoby narodowości polskiej⁴¹.

Ponadto ustawa o obywatelstwie w ZSSR z dnia 19 sierpnia 1938 roku nie mogła mieć zastosowania do obywateli polskich, gdyż „wprowadzenie jej w życie na terytorium Rzeczypospolitej okupowanej przez Związek Sowiecki od drugiej połowy września 1939 roku do czerwca względnie lipca 1941 roku, byłoby sprzeczne z postanowieniami IV Konwencji Haskiej z 1907 roku⁴²”. W zakończeniu noty Ambasada RP zaznaczała, że stanowisko władz sowieckich zawiera tezy sprzeczne i wykluczające się, skoro mówią one z jednej strony, że nie uznają za obywateli polskich osób narodowości ukraińskiej, białoruskiej i żydowskiej, z drugiej zaś podkreślają, iż zagadnienie granic pomiędzy ZSSR i Polską nie jest rozstrzygnięte i ma być rozpatrzone w przyszłości. Wobec tego Ambasada podtrzymywała wyżej przedstawione stanowisko i równocześnie zwracała uwagę, że sowiecki punkt widzenia oznaczałby właśnie jednostronne rozstrzygnięcie sprawy już wówczas, podczas gdy według oświadczenia LKSZ miała być rozpatrywana dopiero w przyszłości.

Argumenty powyższe nie przekonały jednak rządu sowieckiego, który notą nr 2 z dnia 5 stycznia 1942 roku zakomunikował, że „Ludowy Komisariat po zapoznaniu się z przedstawionym w nocie Ambasady z dnia 9 grudnia 1941 roku punktem widzenia na zagadnienie byłych obywateli polskich spośród mieszkańców Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi — Ukraińców, Białorusinów i Żydów — nie widzi podstaw dla zmiany swego

41. *Documents...*, opł. cit., Vol. I, nr 163.

42. *Tamże*.

stanowiska, przedstawionego w nocy z dnia 1 grudnia 1941 roku. Co się zaś tyczy powołania się Ambasady RP na Konwencję Haską, to LKSZ uważa, że postanowienia Konwencji Haskiej z 1907 roku dotyczą stanu okupacji na terytorium nieprzyjacielskim, tymczasem, twierdzenia o „okupacji” w stosunku do Ukrainy Zachodniej i Białorusi Zachodniej pozbawione jest wszelkiej podstawy, zarówno z politycznego, jak i międzynarodowego punktu widzenia, gdyż wejście wojsko sowieckich do Ukrainy Zachodniej i Białorusi Zachodniej w jesieni 1939 roku nie było okupacją. Przyłączenie zaś wskazanych obwodów do ZSSR nastąpiło w wyniku wyrażonej woli ludności⁴³”.

Zasadnicza różnica poglądów pomiędzy rządem polskim a sowieckim na sprawę obywatelstwa osób zamieszkających na terytorium Rzeczypospolitej, okupowanym we wrześniu 1939 roku przez wojska czerwone, występowała jeszcze wiele razy w toku licznych rozmów, ale aż do zerwania stosunków dyplomatycznych w kwietniu 1943 roku nie udało się doprowadzić do ujednolicenia zdania w tej sprawie. Rząd sowiecki wykorzystując sytuację faktyczną narzucił w praktyce swój punkt widzenia, pomimo zasadniczego sprzeciwu i oporu ze strony rządu polskiego.

W działaniu rządu sowieckiego, obok notorycznej nieszczerości, była jednak wielka konsekwencja, czego niestety nie doceniał rząd polski. Było bowiem wyraźnie widoczne, jeszcze przed wizytą gen. Sikorskiego w grudniu 1941 roku w Związku Sowieckim, że Rosja kwestionuje nie tylko granice, ale również obywatelstwo polskie wszystkich osób narodowości niepolskiej, które znalazły się na obszarze ZSSR w wyniku kampanii wrześniowej. Zamiast jednak o tym mówić w roku 1941, kiedy Związek Sowiecki był słaby i ponosił katastrofalne klęski, odpowiednie kroki propagandowe podjęto w Londynie dopiero w roku 1943, kiedy sprawa nie miała już żadnych szans powodzenia.

Dowody nieszczerości ZSSR wobec rządu polskiego można by mnożyć w nieskończoność. Zatrzymajmy się jednak tylko na kilku przykładach z zakresu sporu toczonych wokół obywatelstwa.

W trzy dni po nocy LKSZ z 1 grudnia nastąpiło aresztowanie przez NKWD Henryka Erlicha i Wiktora Altera, o zwolnieniu których, jako obywateli polskich zakomunikował LKSZ Ambasadzie RP notą nr 13 z dnia 23 września 1941 roku⁴⁴.

43. *Documents...*, *op. cit.*, Vol. I, nr 167.

44. H. Erlich ur. w roku 1882 w Lublinie. Został aresztowany we wrześniu 1939 roku przez NKWD na stacji w Brześciu Litewskim. Skazano go na karę śmierci zamienioną następnie na 10 lat obozu pracy. W. Alter ur. w roku 1890 w Mławie. Aresztowany w końcu września 1939 roku w Kowlu. Wyrok jak Erlich.

W toku ustnych interwencji ambasadora Kota w sprawie ich zwolnienia, Wyszyński wysunął w rozmowie 6 grudnia 1941 roku zarzut współdziałania z Niemcami⁴⁵. Następnie zaś LKSZ w nocy z 26 stycznia 1941 roku, powołując się na przytoczone wyżej stanowisko w sprawie osób narodowości niepolskiej (nota z 1-go grudnia 1941), zakwestionował ich polskie obywatelstwo i pomijając milczeniem przytoczone w notach Ambasady RP z 7 marca i 4 kwietnia 1942 roku argumenty logiczne oraz prawne, odmówił notą z 12 kwietnia 1942 roku wszelkiej dalszej dyskusji na ten temat. Ponieważ Erlich i Alter, obaj radni stołeczni miasta Warszawy, nie byli stale zamieszkali na terytorium okupowanym przez wojska sowieckie, stanowisko rządu ZSSR wykraczało poza tezę sformułowaną w nocy z dnia 1 grudnia 1941 roku, kwestionując obywatelstwo polskie wszystkich osób narodowości niepolskiej a w szczególności Żydów. I faktycznie, gdy Ambasada RP gorąco popierała prośbę osobiście znanego Ambasadorowi Kotowi Dawida Aleksandrowicza i jego rodziny, stale zamieszkających w Krakowie, o wydanie wiz wyjazdowych z ZSSR do Palestyny⁴⁶, zastępca naczelnika wydziału konsularnego LKSZ, Bielajew, w rozmowie z I sekretarzem Ambasady RP w dniu 20 grudnia 1941 roku powołał się na notę z 1 grudnia i ostatecznie LKSZ 29 grudnia 1941 roku wizy wyjazdowej Aleksandrowiczom odmówił, uważając ich za obywateli sowieckich⁴⁷.

Rząd polski nie godząc się zasadniczo ze stanowiskiem rządu sowieckiego, nie tylko nie czynił żadnych przeszkód, lecz przeciwnie, popierał wszelkie starania obywateli polskich o wyjazd z ZSSR. Do lipca 1942 roku ogółem przez Ambasadę RP w Kujbyszewie zostało wystawionych ponad 400 paszportów zagranicznych oraz uzyskano wizy tranzytowe krajów zaprzyjaźnionych. Cóż z tego, skoro zaledwie w jednym wypadku władze sowieckie wydały zainteresowanej osobie wizę wyjazdową z ZSSR. Pozostałym, pomimo posiadania przez nich ważnych paszportów zagranicznych polskich oraz wystawionych na krótki okres czasu wiz tranzytowych, władze sowieckie nie udzieliły wiz wyjazdowych. Wiz wyjazdowych nie otrzymali również ci spośród obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, którzy podawali w ankiecie wizowej narodowość polską. Jako jeden z licznych przykładów można tu przytoczyć wypadek Knoebela i Gellera, którzy posiadali wizy irańskie i palestyńskie kończące się w dniu 30-go

45. S. Kot, *Rozmowy z Kremlem*, op. cit., str. 176.

46. Nota nr D. 941/41 z dnia 8. XII. 1941 roku Ambasady RP do LKSZ, Archiwum S. Mikołajczyka,teczka „Stosunki polsko-sowieckie”.

47. Nota LKSZ ZSRR z dnia 29. XII. 1941 do Ambasady RP. Archiwum S. Mikołajczyka, op. cit.

kwietnia 1942 roku. Na skutek interwencji zastępcy delegata Ambasady RP w Samarkandzie u naczelnika okręgowego NKWD, obiecano im wydać wizey wyjazdowe w ciągu dwóch dni. Obaj kandydaci na wyjazd udali się do miejscowego wydziału wizowego i tam otrzymali do wypełnienia ankietę, w której podali narodowość polską. Natychmiast jednak spotkali się z zarzutami podania w ankiecie fałszywych danych i groźbą, że jeżeli deklaracji nie zmienią, sprawa nie będzie w ogóle rozpatrywana. Ponieważ obaj jeszcze w Polsce deklarowali w dokumentach urzędowych narodowość polską i byli w posiadaniu książeczek wojskowych ze wskazaniem polskiej narodowości, odmówili zmiany danych w ankiecie. Wobec tego zwrócono im paszporty i nie udzielono wiz wyjazdowych.

Pomimo zasadniczego odmawiania prawa do obywatelstwa polskiego osobom pochodzenia żydowskiego, nie przeszkadzało to sowieckiej propagandzie zagranicznej głoszenia w Stanach Zjednoczonych i Anglii, że z ZSSR zostaną wypuszczeni do Palestyny wszyscy rabini i kandydaci rabinacy — obywatele polscy. Co oczywiście nigdy nie nastąpiło.

Wobec tego, że w praktyce dekret Prezydium Rady Najwyższej ZSSR o zwolnieniu z zamknięcia wszystkich obywateli polskich nie był wykonywany, Ambasada RP zgłaszała liczne interwencje imienne o zwolnienie wymienionych z nazwiska i adresu obywateli polskich. Ogółem na przestrzeni od września 1941 do lipca 1942 roku Ambasada interweniowała imiennie o 5.100 osób, w tym o 745 posiadających nazwiska o brzmieniu żydowskim. W stosunku do 565 osób LKSZ nie udzielił żadnej odpowiedzi, o 142 (około 20 %) zakomunikował, iż nie są oni obywatelami polskimi, o 12 — iż nie zostali znalezieni a tylko o 25 — iż korzystają już z wolności, będąc zwolnieni w okresie po zawarciu umowy polsko-sowieckiej⁴⁸. Stwierdzono natomiast, że od grudnia 1941 roku obywatele polscy narodowości niepolskiej byli traktowani jako niepodlegający zwolnieniu obywatele sowieccy. Dotyczyło to także osób, które pod zarzutami różnych przestępstw były aresztowane ponownie już po amnestii z 12 sierpnia 1941 roku. Tak np. na interwencję ustną przedstawiciela Ambasady RP w dniu 21 lutego 1942 roku w sprawie 11 obywateli polskich, aresztowanych w Ałma-Acie, przedstawiciel LKSZ odmówił wszelkich wyjaśnień, oświadczając po prostu, że są to obywatele sowieccy. Większość aresztowanych stanowili Żydzi i zostali aresztowani za utrzymywanie kontaktu z delegaturą Ambasady RP. Według zaś obowiązującego ustawodawstwa kontakt

48. Ref. Sprawa Żydów obywateli polskich, *op. cit.*

obywatela sowieckiego z przedstawicielem obcego państwa jest traktowany jako przestępstwo.

W dniu 11 marca 1942 roku I sekretarz Ambasady RP interweniował w LKSZ w sprawie Mieczysława Wajsmiana, skazanego na 8 lat pracy przymusowej za samowolne porzucenie pracy. Przedstawiciel LKSZ rozpoczął dyskusję na temat narodowości i nie chciał w ogóle przyjąć interwencji, ponieważ już z tytułu brzmienia nazwiska Wajzman jest Żydem, a więc nie może być obywatelem polskim⁴⁹. Gdy Ambasada otrzymała telegraficzną wiadomość, że pewna ilość obywateli polskich Żydów ma być 4 lipca 1942 roku wysiedlona z Kirowobadu (Azerbejdżańska SSR) w niewiadomym kierunku, zwróciła się do LKSZ z prośbą o powiadomienie jej „z jakich powodów i dokąd zostali wysiedleni obywatele polscy Żydzi” oraz o zaniechanie dalszych wysiedleń⁵⁰. Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych udzielił 19-go lipca następującej odpowiedzi: „W odpowiedzi na notę Ambasady RP z 10 lipca 1942 roku LKSZ ma zaszczyt zakomunikować, iż podniesiona w wspomnianej nocie kwestia należy wyłącznie do kompetencji organów sowieckich, ponieważ dotyczy ona obywateli sowieckich. Odnośny punkt widzenia Ludowego Komisariatu został w sposób wyczerpujący przedstawiony Ambasadzie w notach 84 z 1 grudnia 1941 i nr 2 z 5 stycznia 1942 roku⁵¹”.

Na marginesie powyższej sprawy warto jeszcze przytoczyć charakterystyczny epizod. W swoim czasie rząd sowiecki na wniosek ambasadora Kota wydał zarządzenie zwalniające od pracy w dniach świąt Bożego Narodzenia obywateli polskich. Powołując się na ten precedens prof. Kot w rozmowie 24 marca 1942 roku z zastępcą Ludowego Komisarza Spraw Zagranicznych, Wyszynskim, prosił go o wydanie zarządzeń zwolnienia od pracy obywateli polskich Żydów w dniach 2 i 3 kwietnia, chrześcijan zaś w dniach 5 i 6 kwietnia 1942 roku. W związku z powyższym wywiązała się dyskusja:

„*Nowikow*: — Jedna rzecz jest tu niezrozumiała, o co właściwie chodzi przy świątach dla Żydów? Co to za data 2 i 3 kwietnia?

Kot: — Chodzi o obywateli polskich, narodowości żydowskiej.

Wyszynski: — No, jeśli chodziłoby o osoby narodowości żydowskiej, które 2. XI. 1939 roku zamieszkiwały na terenie Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi, to są obywatele sowieccy, zgodnie z naszą notą z dnia 1. XII. 1941 roku.

Kot: — Ja tutaj, jako Ambasador polski, reprezentuję wszystkich polskich

49. Ref. Sprawa Żydów obywateli polskich, *op. cit.*

50. Nota nr D.2863/42 z dnia 10. VII. 1942 roku Ambasady RP do LKSZ, Archiwum S. Mikołajczyka,teczka „Stosunki polsko-sowieckie”.

51. Nota nr 137 z dnia 19. VII. 1942 roku LKSZ do Ambasady RP, Archiwum jak wyżej.

obywateli. My nie odróżniamy u siebie Żydów od nie Żydów. Gdy proszę o święta dla chrześcijan, muszę prosić o to samo dla obywateli polskich wyznania mojżeszowego.

Wyszyński: — Jeśli chodzi o Polaków to jest precedens — święta Bożego Narodzenia. Co do Żydów, sytuację utrudnia ta sprawa obywatelstwa.

Kot (śmiejąc się): — Nie mogłem przecież prosić o Boże Narodzenie dla Żydów, którzy świąt tych w ogóle nie uznają. Jeżeli Pan przewodniczący uznaje, iż możliwe jest istnienie obywateli polskich Żydów, to zabiegam o święta właśnie dla nich.

Wyszyński: — Tę sprawę komplikuje zagadnienie obywatelstwa, już lepiej mieć te święta bez Żydów.

Kot: — Trudno, ja reprezentuję tutaj wszystkich polskich obywateli⁵².

Sprawa jednak na tym się nie skończyła. Jeden z korespondentów zagranicznych, mylnie poinformowany o pomyslnym wyniku interwencji co do obu wyznań, zredagował odpowiednią depeszę z informacją, że „ambasador interweniował co do obywateli polskich Żydów i chrześcijan”. Z tekstu tego cenzura sowiecka wykreśliła słowa „Żydów”, pozostawiając resztę, z której można było wnioskować, że interwencja (nie wynik) dotyczyła tylko chrześcijan⁵³.

Gdy korespondent *Dziennika dla Wszystkich* w Buffalo zgłosił w LKSZ depeszę, że delegatury Ambasady udzielają obywatelom polskim pomocy bez względu na narodowość i wyznanie, fragment ten został przez cenzurę skreślony. Podobne skreślenie powtarzano również w innych analogicznych depeszach. Tak np. gdy współpracownik Ambasady RP, znany dziennikarz żydowski, Singer, miał wygłosić przemówienie radiowe do Żydów obywateli polskich, przedstawiciel wydziału prasowego LKSZ, Pietrow, oświadczył, że zezwoli na przemówienie do Żydów znajdujących się pod okupacją niemiecką, natomiast nie może pozwolić na zwracanie się do Żydów obywateli polskich w ZSSR, bo takich tu w ogóle nie ma, albo też jest ich najwyżej mała garstka⁵⁴.

Przykłady stosowanych szykan przez rząd sowiecki wobec polskich Żydów można by cytować w nieskończoność. Tutaj wspomnimy jeszcze o trudnościach przy poborze Żydów obywateli polskich do PSZ w ZSSR. Po uzyskaniu przez gen. Sikorskiego zgody rządu sowieckiego na rozszerzenie PSZ, przeprowadzony miał być pobór obywateli polskich do wojska. Polskie władze wojskowe wydały instrukcję komisjom poborowym, aby nie czyniły pomiędzy powołanymi żadnych dyskryminacji narodowościowych. Zgodnie jednak z porozumieniem polsko-sowieckim, w skład komisji poborowych mieli również wchodzić przed-

52. Cyt. za S. Kotem, *Rozmowy z Kremlem*, op. cit., str. 248.

53. Ref. Sprawa Żydów obywateli polskich, op. cit.

54. Ref. Sprawa Żydów obywateli polskich, op. cit.

stawiciele wojskowych władz sowieckich. Pobór został przeprowadzony faktycznie tylko w kilku republikach i obłastiach. Na pozostałych obszarach nie został przeprowadzony wobec ponownego ograniczenia w marcu 1942 roku liczebności Polskich Sił Zbrojnych w Związku Sowieckim⁵⁵.

Jeszcze przed rozpoczęciem poboru polskie władze wojskowe zostały nieoficjalnie poinformowane, że sowieccy oficerowie łącznikowi otrzymali od swego sztabu instrukcje, w myśl których „do nowych dywizji dozwolony jest pobór Polaków pochodzących z całej Polski, także z Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. Inne narodowości poborem nie mają być objęte⁵⁶”. Pomimo sprzeciwu władz wojskowych, Rosjanie biorący udział w komisjach poborowych do PSZ zdołali praktycznie przeprowadzić swój punkt widzenia. W czasie dokonywania poboru Ambasada RP otrzymywała z różnych stron ZSSR dziesiątki listów i depeesz, w których obywatele polscy narodowości ukraińskiej, białoruskiej i żydowskiej protestowali przeciwko nieprzyjmowaniu ich do szeregów wojska polskiego. Z otrzymanych następnie sprawozdań polskich członków komisji poborowych wynikało, iż sowieccy członkowie tych komisji nie dopuszczali do poboru nikogo, kto budził ich wątpliwości, czy jest narodowości polskiej. Zdarzały się wypadki odrzucania poborowych tylko na podstawie brzmienia nazwiska lub wyglądu zewnętrznego. Z reguły zaś w wypadkach wątpliwych sowieccy członkowie komisji zapytywali zainteresowanych nie tylko o ich narodowość, lecz również o wyznanie. W poszczególnych wypadkach uciekano się nawet do tak drastycznego sposobu stwierdzania „narodowości”, jak oględziny lekarskie (obrzezanie). W wyniku katerycznego sprzeciwu sowieckich członków komisji do szeregów wojska polskiego w ZSSR, trafiały tylko nader nieliczne jednostki pochodzenia ukraińskiego, białoruskiego i żydowskiego.

W nocy z dnia 11 kwietnia 1942 roku LKSZ powrócił jeszcze raz do sprawy mężów zaufania. Domagając się obowiązku zgłaszania mężów zaufania, LKSZ podkreślał z naciskiem, że zarówno delegaci jak i mężowie zaufania „wchodzą w urzędowanie” dopiero od chwili, gdy miejscowe władze otrzymają odpowiednie instrukcje od centralnych władz sowieckich. Następnie LKSZ poszedł dalej, zwlekając w załatwianiu poszczególnych spraw, ponieważ władze miejscowe nie wypowiedziały się rzekomo jeszcze w związku ze zgłoszeniem kandydatur na mężów zau-

55. W. Anders, *Bez ostatniego rozdziału*, Wyd. III, Gryf, Londyn 1959, str. 115.

56. Ref. Sprawa Żydów obywateli polskich, *op. cit.*

fania. Wprawdzie LKSZ nie twierdził, że potrzebne było „zatwierdzenie” delegata lub męża zaufania, utrzymywał natomiast, że nie posiadał on charakteru urzędowego i nie mógł rozpocząć swoich czynności, dopóki władze miejscowe nie otrzymają odpowiednich instrukcji o czym z kolei LKSZ zawiadamia Ambasadę RP.

Nie ulegało jednak żadnej wątpliwości, że chodziło tutaj o instytucję zatwierdzania kandydatów Ambasady, bez używania jednakże samego pojęcia „zatwierdzenie”. Pod koniec kwietnia i na początku maja władze zabroniły liczным mężom zaufania urzędować, powołując się na brak odpowiednich wskazówek od władz centralnych. W praktyce procedura stosowana przez LKSZ oznaczała opóźnienie w rozbudowie sieci terenowej, utrudniała zmiany personalne oraz umożliwiała indywidualne kwalifikowanie każdego kandydata. Od chwili zgłoszenia kandydata na delegata lub męża zaufania upływało przeciętnie miesiąc do chwili „zatwierdzenia”. W wielu wypadkach okres ten władze przeciągały do dwóch miesięcy. Nie było zresztą żadnego hamulca do przeciągania tych spraw w nieskończoność. Najlepszym dowodem jest fakt, że spośród 352 mężów zaufania zgłoszonych do LKSZ, „zatwierdzonych” zostało do 22 lipca 1942 roku zaledwie 131⁵⁷. Przy ogromnych odległościach, trudnościach komunikacyjnych, przesiedlaniu się ludności, wymieraniu i wyjazdach za granicę — stworzenie dodatkowej trudności w postaci procedury zastosowanej przez LKSZ opóźniało a w niektórych wypadkach wręcz uniemożliwiało, pomoc i opiekę Ambasady RP nad obywatelami polskimi.

Z postępowania władz sowieckich wnioszek nasuwał się prosty: rząd sowiecki wyraźnie zmierzał do zahamowania rozwoju sieci terenowej Ambasady RP i ograniczenia jej zasięgu i swobody ruchu. Temu celowi służyła nowa procedura zastosowana przy powoływaniu delegatów i mężów zaufania oraz ograniczaniu personelu w delegaturach. W dalszej perspektywie celem władz sowieckich była zupełna likwidacja sieci opiekuńczej rządu polskiego na terytorium Związku Sowieckiego. Osiągnąć to można było tylko przez dyskwalifikację poszczególnych delegatów oraz przeprowadzenie totalnych aresztowań. Pretekstem do ataku na delegatury była sprawa delegata w Akmolińsku, Kazimierza Roli-Janickiego. W dniu 25 maja 1942 roku został on wezwany do Ambasady RP w celach służbowych. Po przyjeździe do Kujbyszewa zostawia w pokoju hotelowym teczkę z tajnym archiwum

57. Według danych sprawozdawczych „Stan sieci opiekuńczej Ambasady RP w terenie na dzień 22. VII. 1942 roku”. Archiwum S. Mikołajczyka.

delegatury. W czasie spożywania kolacji w restauracji hotelowej, NKWD przeprowadza rewizję w jego pokoju i zajmuje teczkę. W tezcze tej znajdowała się instrukcja kurierska, instrukcja polityczna, nazwiska Polaków obywateli litewskich, którzy zgłaszali się do delegatury i inne materiały, budzące wątpliwości z punktu widzenia sowieckich władz bezpieczeństwa⁵⁸.

W kilka dni później LKSZ zażądał od Ambasady RP odwołania nie tylko Roli-Janickiego, ale także delegata w Ałma-Ata, Kazimierza Więcka, któremu zarzucano wystawianie paszportów polskich obywatelom polskim narodowości ukraińskiej, białoruskiej i żydowskiej. Zdaniem władz sowieckich osoby te nie były obywatelami polskimi.

Zwalnianym z więzień i obozów obywatelom polskim wydawano specjalne „zaświadczenia amnestyjne” z zaznaczeniem wymienialności na paszporty polskie w okresie trzech miesięcy. Trudności techniczne związane z drukiem blankietów paszportowych spowodowały, że wydawanie paszportów rozpoczęło się dopiero w marcu 1942 roku. Sytuację tę uwzględnił LKSZ komunikując Ambasadzie RP w dniu 7 października 1941 roku, że miejscowe organy władzy otrzymały polecenie przedłużania terminu ważności zaświadczeń posiadanych przez obywateli polskich aż do chwili wręczenia im paszportów⁵⁹.

Równocześnie z rozpoczęciem wydawania paszportów polskich do Ambasady RP zaczęły napływać z różnych terenów ZSSR wiadomości o odbieraniu zaświadczeń wydawanych obywatelom polskim przy zwalnianiu z zamknięcia. W pierwszej kolejności dotyczyło to osób narodowości niepolskiej. Ponieważ zaświadczenia te były w większości wypadków jedynymi dowodami, w których władze sowieckie stwierdzały obywatelstwo polskie ich posiadaczy oraz służyły za podstawę do wydania polskich paszportów, Ambasada RP zwróciła się notą z dnia 16 kwietnia 1942 r. do LKSZ o zaniechanie rozpoczętej akcji. W nocy tej Ambasada RP zwracała także uwagę rządu sowieckiego, że według posiadanych informacji w czasie odbierania „tymczasowych zaświadczeń”, obywatelom polskim są przedkładane do wypełnienia kwestionariusze o zrzeczeniu się obywatelstwa polskiego. W poszczególnych wypadkach przedstawiciele władz rejonowych zachęcali obywateli polskich do pozytywnego wypełnienia wręczonego im

58. Zob. także S. Kot, *Listy z Rosji do Gen. Sikorskiego*, str. 555 oraz *Rozmowy z Kremlem*, op. cit., str. 249-250.

59. Nota nr 18 LKSZ ZSSR z dnia 7. X. 1941 roku do Ambasady RP w Kujbyszewie, Archiwum S. Mikołajczyka,teczka „Stosunki polsko-sowietkie”.

kwestionariusza. W innych kwestionowano składane przez zainteresowanych oświadczenia co do ich narodowości, zapytywano o wyznanie, brzmienie imion itp. Osoby, którym odebrano zaświadczenia, następnie powoływano do Czerwonej Armii lub wciągano do sowieckiej ewidencji wojskowej. Jest oczywiste, że przeciwko tym praktykom władz sowieckich ofiara nie mogła się bronić, będąc pozbawioną dowodu jej polskiego obywatelstwa.

Poruszona przez Ambasadę RP 16 kwietnia 1942 roku sprawa, wywołała ożywioną korespondencję dyplomatyczną. LKSZ odpowiedział notą z dnia 6 maja 1942 roku, że:

„zwolnionym na podstawie dekretu Prezydium Rady Najwyższej z 12-go VIII. 1941 roku obywatelom [...] zostały wzięte ich tymczasowe zaświadczenia o zwolnieniu jedynie dla sprawdzenia obywatelstwa tych osób, bynajmniej zaś nie odebrane, jak o tym się komunikuje we wspomnianej nocie. Twierdzenie Ambasady, iż w ankiecie wypełnianej dla otrzymania zezwoleń na zamieszkanie figuruje punkt o zrzeczeniu się przez wypełniającego ankietę obywatelstwa polskiego, jest oparte widocznie na jakimś nieporozumieniu. We wspomnianej ankiecie istnieje istotnie punkt 18 dotyczący kwestii uregulowania obywatelstwa. Jednakże treść tego punktu jest inna, niż to twierdzi nota Ambasady. Tym niemniej dla uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień, kompetentnym organom zostały wydane wskazówki o wyłączeniu z ankiety punktu 18 [...]. Informacja Ambasady o tym, iż jakoby rejonowe komitety wojenne wciągają polskich obywateli na ewidencję wojskową ze wszystkimi z tego wynikającymi skutkami, nie została potwierdzona przez sprawdzenie przez kompetentne organy. Na ewidencję wojskową wciągane są jedynie osoby, które są obywatelami sowieckimi”⁶⁰.

Z odpowiedzi LKSZ wynikało niedwuznacznie, iż „sprawdzanie obywatelstwa” osób zwolnionych miało faktycznie miejsce i w konsekwencji zmierzało do zaliczenia wszystkich nie-Polaków do liczby obywateli sowieckich ze wszystkimi wynikającymi z tego skutkami (wciągnięcie do ewidencji wojskowej). W kolejnej nodzie z dnia 8 czerwca 1942 roku Ambasada RP zwracała uwagę LKSZ na niecelowość sprawdzania obywatelstwa osób zwolnionych z więzień jako obywateli polskich. Przy tym podkreślano jeszcze raz, że wspomniane zaświadczenia o zwolnieniu są dla władz polskich podstawowym dowodem posiadania obywatelstwa polskiego, na podstawie którego wydawane są zainteresowanym osobom polskie paszporty. Dalej nota polska stwierdzała, że „możliwość w związku z zarządzoną akcją sprawdzania obywatelstwa, zmiany poglądów władz sowieckich na obywatelstwo poszczególnych osób zwolnionych z zamknięcia, jako obywatele polscy, wprowadzi duże zamieszanie w całokształcie działalności Amba-

60. Nota nr 85 LKSZ ZSSR z dnia 6. V. 1942 roku do Ambasady RP w Kujbyszewie, Archiwum S. Mikołajczyka,teczka „Stosunki polsko-sow.”.

sady i jej lokalnych placówek” przy wydawaniu paszportów oraz udzielaniu pomocy materialnej⁶¹.

Na powyższą notę LKSZ odpowiedział już tonem obrażonym, notą z dnia 19 kwietnia 1942 roku. W nocy swojej LKSZ stwierdzał, że „kampania odbierania zaświadczeń” od obywateli polskich nigdy nie była przedsięwzięta a wypadki sprawdzania obywatelstwa poszczególnych osób nie mogą być zaliczane do rzędu „kampanii” i w ten sposób prośba Ambasady o wydanie specjalnego zarządzenia w celu zaprzestania rzekomo rozpoczętej „kampanii”, jest oparta widocznie na nieporozumieniu⁶²”.

W czasie wymiany powyższej korespondencji bardzo wielu obywateli polskich (Ukraińców, Białorusinów i Żydów), pozbawionych zostało wystawionych przez władze sowieckie zaświadczeń ze stwierdzeniem ich polskiego obywatelstwa. Ci, którzy zdążyli już uzyskać w Ambasadzie RP lub w poszczególnych jej delegaturach paszporty polskie, byli następnie wzywani na milicję w celach meldunkowych, gdzie paszporty te im odbierano, gdyż jako Ukraińcy, Białorusini i Żydzi byli obywatelami sowieckimi a jako tacy — nie mogli posiadać obcych paszportów.

Przy rozległych obszarach Związku Sowieckiego i różnie urządzącej administracji, trudno było o jakiś jednolity tryb postępowania. W poszczególnych *obłastiach* stosunek do zagadnienia obywateli polskich narodowości niepolskiej był różny. Celem jednak ostatecznego uregulowania całokształtu sprawy i narzucenia jednolitego punktu widzenia centralnych władz sowieckich na kwestię obywatelstwa, LKSZ notą z dnia 9 czerwca 1942 roku zawiadamiał, iż kompetentne organy sowieckie „uważają za konieczne, aby ułożone w porządku alfabetycznym spisy obywateli polskich, którym Ambasada zamierza wydać paszporty narodowe, kierowane były do LKSZ w 4 egzemplarzach oddzielnie, według *obłasti*, gdzie zamieszkują obywatele polscy, z załączeniem — dla przyspieszenia uregulowania — tłumaczenia rosyjskiego”. W powyższych spisach żądano także podawania m.in. narodowości, wyznania, obywatelstwa i miejsca zamieszkania przed listopadem 1939 roku, obywatelstwa i miejsca zamieszkania rodziców zainteresowanej osoby oraz wskazania „jeśli nie jest stałym mieszkańcem Zachodniej Ukrainy i Białorusi, to kiedy i w jakim trybie przybył na terytorium ZSSR”. Ponadto LKSZ komunikował, że wszystkim osobom, do których kompetentne organy sowieckie nie zgłoszą sprzeciwu, będą wydane po przedłożeniu przez

61. Nota nr D.1937/42 Ambasady RP z dnia 8. VI. 1942 roku do LKSZ ZSSR. Archiwum, jak wyżej.

62. Nota nr 119 LKSZ ZSSR z dnia 19. VI. 1942 roku do Ambasady RP. Archiwum, jak wyżej.

nich polskich paszportów, świadectwa na zamieszkanie dla cudzoziemców. Na zakończenie sowiecki elaborat dodawał: „LKSZ ma również zaszczyt zawiadomić Ambasadę o konieczności przedstawiania wskazanych wyżej spisów także i w stosunku do osób, którym już uprzednio zostały wydane polskie paszporty narodowe⁶³”.

Ambasada RP zdając sobie sprawę, że celem narzuconej w tak drastyczny sposób procedury wydawania polskich paszportów jest wyeliminowanie spośród obywateli polskich wszystkich osób narodowości niepolskiej, zwróciła się po instrukcje do rządu polskiego w Londynie. Dla uniknięcia zaś możliwych konfliktów z rządem sowieckim, zarządziła całkowite wstrzymanie wydawania paszportów. Po otrzymaniu właściwych wskazówek od rządu, Ambasada RP zakomunikowała 24 czerwca 1942 roku rządowi sowieckiemu, że „zgodnie z podstawowymi zasadami prawa międzynarodowego, Rząd Rzeczypospolitej Polskiej stwierdza, że sprawy obywatelstwa polskiego rozstrzyga we własnym zakresie i nie uważa za możliwe, by o przynależności państwowej obywateli polskich, którzy zamieszkiwali na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej, a w latach 1939-1941 znaleźli się na terytorium Związku Sowieckiego, jak wiadomo nie dobrowolnie, miały decydować władze sowieckie przy sprawdzaniu żądanych od Ambasady spisów obywateli polskich [...]. Wydawanie paszportów obywatelom polskim przez Ambasadę RP i jej delegatury dokonywane jest na podstawie obowiązujących ustaw i przepisów polskich. W myśl konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej i polskiego ustawodawstwa narodowość, wyznanie czy rasa, względnie miejsce zamieszkania w granicach Rzeczypospolitej Polskiej nie mają żadnego wpływu na obywatelstwo polskie danej osoby. Biorąc pod uwagę, że wymieniona wyżej nota LKSZ zmierza do narzucenia procedury wydawania paszportów niepraktykowanej w stosunkach między suwerennymi państwami, Rząd Rzeczypospolitej nie widzi możliwości merytorycznego dyskusowania zagadnienia tego na podstawie proponowanej procedury⁶⁴”.

Rząd sowiecki podtrzymał swoje stanowisko w nocy z dnia 9 sierpnia 1942 roku stwierdzając, iż „nalega na trybie wydawania polskich paszportów narodowych zakomunikowanym Ambasadzie notą Ludowego Komisariatu oraz zwraca uwagę Ambasady, że tylko przy zachowaniu tego trybu możliwym jest wydawanie na terytorium ZSSR przez organa Ambasady polskich pasz-

63. Nota nr 107 LKSZ ZSSR z dnia 9. VI. 1942 roku do Ambasady RP, Archiwum, jak wyżej.

64. Nota nr D.2362/42 Ambasady RP z dnia 24. VI. 1942 roku do LKSZ ZSSR, Archiwum j.w. oraz *Documents...*, *op. cit.* Vol. I, nr 232.

portów narodowych, jak również wydawanie przez organa milicji posiadaczom wspomnianych paszportów świadectw na zamieszkanie dla cudzoziemców⁶⁵”.

Rząd polski nie mogąc zgodzić się na tę procedurę i nie chcąc pogłębiać na tym tle konfliktu, wydał Ambasadzie RP w Kujbyszenie polecenie wstrzymania paszportów obywatelom polskim.

Zagadnienie paszportyzacji przeprowadzonej przez Ambasadę RP oraz w terenie przez delegatury, posiadało ścisły związek z zaostreniem stosunku władz sowieckich do delegatur, wobec których najpierw zastosowano represje a następnie zlikwidowano. Już z końcem maja nastąpiło kilka aresztowań mężów zaufania i pracowników delegatur na południu Związku Sowieckiego. Ambasada RP nie otrzymała w tej sprawie żadnych powiadomień od władz sowieckich o przyczynach aresztowań. Z czasem wypadki zaczynają się mnożyć. Przy czym należy zaznaczyć, że sytuacja prawna każdego z aresztowanych była zupełnie różna. Tak np. Urszula Muskus, mąż zaufania w Aktiubińsku, została aresztowana już po złożeniu funkcji męża zaufania, Władysław Bugajski, mąż zaufania w Taszkencie, zgłoszony do LKSZ 19 marca 1942 roku nie został jednak jeszcze „zatwierdzony”, wobec czego, zdaniem władz sowieckich, w chwili aresztowania nie był mężem zaufania Ambasady RP. To samo w odniesieniu do Kazimierza Krzyżanowskiego, męża zaufania w Ust-Kamieniogorsku, który w dodatku miał jak najlepsze stosunki z władzami i był nawet współpracownikiem miejscowej prasy sowieckiej. Ambasada interweniowała we wszystkich wymienionych wypadkach i otrzymała odpowiedź, że poszczególne osoby aresztowane zostały za działalność wrogą przeciwko Związkowi Sowieckiemu lub też LKSZ zasłaniał się brakiem informacji.

W kilka dni po otrzymaniu wspomnianej noty Ambasady RP z dnia 24 czerwca, NKWD rozpoczęło aresztowania delegatów. W dniu 26 czerwca został aresztowany Józef Gruja, II sekretarz Ambasady, pełniący funkcję delegata w Archangielsku a 30 czerwca Maciej Załęski, również sekretarz Ambasady pełniący obowiązki delegata we Władywostoku. Aresztowanie w Archangielsku przeprowadzono w czasie wyjazdu służbowego delegata i za zgodą władz sowieckich do Murmańska. Równocześnie przeprowadzono rewizję w obu biurach delegatur i w mieszkaniach pracowników. Zabrano wszystkie akta urzędowe, znajdujące się pod ochroną dyplomatyczną, pieczęcie delegatury, gotówkę oraz wszelką korespondencję prywatną bez sporządzenia ja-

65. Nota nr 129 LKSZ ZSSR z dnia 9. VII. 1942 roku do Ambasady RP, Archiwum j.w. oraz *Documents...*, *op. cit.*, Vol. I, nr 240.

kiegokolwiek protokołu. Po dokonaniu rewizji aresztowano wszystkich pracowników delegatur. W stosunku do aresztowanych wszczęto śledztwo połączone z szykanowaniem zatrzymanych.

Sprawa likwidacji delegatur jednostronnym postanowieniem rządu sowieckiego zbliżała się wyraźnie do końca. W dniu 3-go lipca 1942 roku LKSZ nadesłał do Ambasady RP *Aide-mémoire*, w którym komunikował decyzję likwidacji 4 spośród 20 delegatur (w tym delegatury w Archangielsku i Władywostoku). Jako powód likwidacji tych delegatur podano, iż spełniły one swoje zadanie, chociaż w drodze na Archangielsk i Władywostok znajdowały się poważne transporty darów angielskich i amerykańskich⁶⁶. Poza tym zarzucano obu delegatom działalność wrogą przeciwko Związkowi Sowieckiemu przez ich współpracę z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi. Jest zupełnie jasne, że obaj delegaci współpracowali z władzami tych państw, ale jedynie w związku z transportami nadchodzącymi do poszczególnych punktów wyładowniczych. O czym zresztą Ambasada była regularnie informowana.

W ciągu następnych dni NKWD aresztowało siedmiu dalszych delegatów, również urzędników dyplomatycznych Ambasady RP, w tym jednego na ulicy w Kujbyszewie. Biura ich poddano rewizji, akta zabrano a lokale opieczetowano. Na osobistą interwencję ambasadora prof. S. Kota i dwukrotne zapytania oficjalne skierowane do rządu sowieckiego, czy aresztowania oznaczać mają likwidację instytucji delegatur jako sieci opieki społecznej, LKSZ odpowiedział, że instytucje delegatur będą istnieć nadal i rozwijać swoją działalność w myśl wspólnie ustalonych instrukcji. Niezależnie od tego oświadczenia, po wyjeździe z Rosji prof. Kota, w dniu 20 lipca 1942 roku wicekomisarz Wyszyński, złożył na ręce *chargé d'affaire*, ministra Henryka Sokolnickiego oświadczenie, że rząd sowiecki nie zgadza się na dalsze istnienie delegatur Ambasady RP, bowiem delegaci zamiast lojalnego wykonywania swoich obowiązków przy ścisłej współpracy z miejscowymi organami władzy sowieckiej, zajmowali się wrogą w stosunku do Związku Sowieckiego działalnością oraz prowadzili pracę wywiadowczą⁶⁷.

W międzyczasie zostali aresztowani pozostali delegaci wraz z większością swoich współpracowników. Opieczetowano biura i magazyny z żywnością, lekarstwami i odzieżą oraz zablokowano rachunki bieżące znajdujące się w banku. Ogółem aresztowano do końca lipca 109 osób pod zarzutem prowadzenia wrogiej dzia-

66. Zob. *Documents...*, op. cit., Vol. I, nr 234.

67. Zob. *Documents...*, op. cit., Vol. I, nr 251.

łałości przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Aresztowanych poddano właściwemu w więzieniach sowieckich terrorowi z darciem odzieży, goleniem głów, a nawet w jednym wypadku wybito oko. O dokonanej likwidacji delegatur Ambasada RP w Kujbyszewie dowiadywała się przez pracowników pozostałych na wolności, często przez rodziny aresztowanych, w niektórych wypadkach przez mężów zaufania mających siedziby w pobliżu delegatury.

Sytuację w delegaturze krasnojarskiej po aresztowaniach opisuje Jan Muc, specjalny wysłannik Ambasady, który przybył na miejsce 4 sierpnia 1942 roku:

„Po przybyciu do Krasnojarska, zostałem na stacji przez jakiegoś cywila zapytany: „*Wy gospodin Muc*”? „Ja” — odpowiedziałem mu. „*Pojdities so mnoj*”, powiedział mi pokazując czerwoną książeczkę. Pojechałem autem do NKWD. Tam przez kilka godzin, jak to już w życiu przeżyłem, przesłuchiowano całą generalię mego życia i w jakim charakterze pracowałem. Przez trzy dni wzywano mnie na przesłuchania te same, jak dnia pierwszego. W końcu powiedziano mi: „*Ujedietie, odkuda prijechali*”.

W delegaturze zastałem wszystko w grobowym milczeniu i strachu. Było tam kilku mężów zaufania, też przestraszonych. Wieść o aresztowaniach dotarła do wszystkich rejonów. Aresztowania odbywały się przez NKWD w nocy z pistoletami w rękę i przeprowadzano dokładną rewizję. Niektórym urzędnikom powiedziano: „*Zabierajcie wieszczki, bo tuda nikogda nie wierioties. Zanimaliś nie swoimi dielami*”. Zabrano protokoły, okólniki, sprawozdania mężów zaufania i osób indywidualnych, skonfiskowano lekarstwa, którymi można by się otruć. Zapieczętowano magazyny i zakazano urządzać⁶⁸”.

Na wielokrotne interwencje Ambasady RP i dziekana korpusu dyplomatycznego, Achmed Khana, zwolniono 9 aresztowanych dyplomatów z poleceniem natychmiastowego opuszczenia granic ZSSR. Do końca października 1942 roku zwolniono jeszcze 93 osoby. Resztę zaś, w liczbie 16 osób zatrzymano w więzieniach, wytyczono im procesy i skazano na wieloletni pobyt w łagrach. Ciągłe powtarzaniem zarzutem władz sowieckich było rzekome rozwijanie przez delegatów Ambasady agitacji antysowieckiej i udzielanie informacji Anglii i Stanom Zjednoczonym na temat systemu obronnego Związku Sowieckiego, co było całkowicie wyimaginowane i bezpodstawne. Delegatury Ambasady zostały zorganizowane tylko i wyłącznie w celu opieki nad ludnością polską oraz pracowały jedynie na podstawie ustalonych przez Ambasadę RP instrukcji o ich zakresie działania. Z władzami lokalnymi współpracowały lojalnie i w duchu pełnego zrozumienia.

68. Sprawozdanie Jana Muca z inspekcji Irkuckiej oblasti, Kujbyszew dnia 27. VIII. 1942 roku. Archiwum S. Mikołajczyka.

Ponieważ w oświadczeniu Wyszyńskiego z 20 lipca pominięta została sprawa mężów zaufania, władze polskie były przekonane, że przynajmniej na razie będą oni mogli działać. W tym też przekonaniu wydano im telegraficznie i telefonicznie instrukcje kontynuowania dalszej działalności. W instrukcjach tych polecano mężom zaufania ograniczyć się do opieki nad zakładami zamkniętymi, pomocy gotówkowej, w naturze, pomocy sanitarnej oraz pomocy w znalezieniu pracy. Równocześnie dział opieki przeprowadził kontrolę stanu finansowego placówek mężów zaufania i stopniowo rozpoczął przysyłanie zaliczek na dalszą działalność. Z otrzymanych kwot mężowie zaufania mieli się rozliczać już bezpośrednio przed Ambasadą. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę, że na 352 mężów zaufania zgłoszonych władzom sowieckim, zatwierdzonych zostało jedynie 139, a zdaniem władz tylko ci byli uprawnieni do działania, to trzeba stwierdzić, iż wątpliwość tej sieci nie pozwalała nawet na tymczasowe prowadzenie akcji opiekuńczej. W dodatku pod wpływem aresztowań, wielu mężów zaufania opuściło swoje placówki i udało się do wojska.

Praktycznie rzecz biorąc wszelka pomoc w naturze została unieruchomiona. Składy delegatur, w których znajdowały się znaczne zapasy odzieży, obuwia i medykamentów zostały opieczetowane. Ale nawet tam, gdzie można było nimi dysponować, brak było organów upoważnionych do rozdziału pomocy pomiędzy mężów zaufania. Składy rozdzielcze Ambasady RP w Mamlutce, Archangielsku, Aszchabadzie i Samarkandzie były nieczynne. Skład w Jangi-Julu rozpoczęto likwidować w lipcu 1942 roku przez wysłanie pozostałych zapasów do mężów zaufania. Skład w Kirowie wykonywał dyspozycje w obrębie własnej delegatury, nie mógł natomiast wysyłać transportów poza obszar delegatury, gdyż nie było już takich punktów, do których można było wysyłać przesyłki wagonowe.

Według danych na dzień 22 lipca 1942 roku stan poszczególnych magazynów łącznie z transportami będącymi w drodze do tych magazynów, przedstawiał się następująco⁶⁹:

1. Samarkanda	190 ton odzieży, obuwia itp. 150 ton żywności 25 ton mydła
-------------------------	--

R a z e m : 365 ton towarów

69. Zestawienie oparto na sprawozdaniu pt. Stan sieci opiekuńczej Ambasady RP w terenie na dzień 22. VII. 1942 roku. Archiwum S. Mikołajczyka.

2. Mamlutka	1.100 ton towarów
3. Kirów	1.205 ton towarów
4. Aszchabad	300 ton towarów.

Tak więc łącznie w magazynach Ambasady RP na terenie ZSSR znajdowało się 2.970 ton towarów. W drodze do magazynów znajdowało się 64 wagony, czyli około 2.000 ton różnych towarów. W tym czasie ze Stanów Zjednoczonych płynęło na Archangielsk około 2.400 ton, z Indii, Bliskiego Wschodu i Anglii kierowano do granic Związku Sowieckiego około 1.800 ton⁷⁰. Zestawienie to wykazuje, że likwidacja delegatur nastąpiła w momencie pełnego ich rozwoju i kiedy miały do swojej dyspozycji łącznie 9.170 ton towarów reliefowych.

Oprócz pomocy w naturze, delegatury rozprowadzały w drugim kwartale 1942 roku miesięcznie 10 milionów rubli zasiłków indywidualnych, co stanowiło 43,3 % ogółu wydatków delegatur⁷¹. Dział opieki od początku kładł wielki nacisk na zorganizowanie polskich instytucji opiekuńczych dla dzieci i niezdolnych do pracy. Delegatury powołały wiele szkół i ośrodków kształcenia dzieci i młodzieży. W zakresie opieki sanitarnej zorganizowano ponad sto punktów pomocy lekarskiej, przeprowadzono szczepienia przeciw tyfusowe, malaryczne itp. Dziesiątki tysięcy ludzi zaszczepiono szczepionkami otrzymanymi z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Na odcinku gospodarczym stworzono kilka zakładów pracy o charakterze spółdzielczym, dającym zatrudnienie i chleb kilku tysiącom ludzi⁷².

Jest zrozumiałe, że w stosunku do potrzeb były to wyniki małe, ale jak na warunki sowieckie — były to osiągnięcia bardzo poważne. Wobec ewakuacji wojska i części ludności na południe, znaczna część tych zakładów została opróżniona. Pozostałe zaś trudno było utrzymać, ponieważ władze sowieckie odmawiały im żywności. Nie przeszkadzało to oczywiście rządowi sowieckiemu składać uroczystych zapewnień w Kujbyszewie i Londynie, że nie jest jego zamiarem przeszkadzanie w prowadzeniu akcji opiekuńczej nad ludnością polską. Opierając się na tych zapewnieniach Ambasada podjęła decyzję kontynuowania akcji opieki nad obywatelami polskimi.

Pomimo wielkich trudności Ambasada zdołała w okresie miesięcy lipiec-wrzesień 1942 roku zmontować na nowo sieć terenową, opartą w całości na mężach zaufania. Ustalono ewidencję

70. Stan sieci opiekuńczej Ambasady RP, *op. cit.*

71. Tamże.

72. Zob. *Documents...*, *op. cit.*, Vol. I, str. 608.

mężów zaufania wraz z ich terytorialną właściwością, następnie przeprowadzono rejestrację w LKSZ oraz ustalono budżety i sposoby rozliczania. Tym razem cała praca organizacyjna i instrukcyjna dokonana została wyłącznie w drodze telegraficznej.

Pod koniec października 1942 roku cały aparat terenowy Ambasady RP ponownie wkroczył na tory normalnej pracy. Z poprzedniej organizacji pozostały w nim tylko dwa elementy: magazyny Ambasady w liczbie 10 oraz stale powiększająca się sieć mężów zaufania. Różnił się on jednak od poprzedniego aparatu terenowego. Delegatury tkwiły mocno w terenie i stąd posiadały one możliwość doboru i kontroli mężów zaufania, możliwość bezpośredniego wglądu w potrzeby obywateli i koordynowania pracy na szerszym terenie. Nowa organizacja, jeżeli można tak powiedzieć, zawisała całkowicie na drutach telegraficznych. Ambasada RP nie znała bowiem większości swoich mężów zaufania, nie posiadała żadnej możliwości kontroli ich działalności a jednocześnie odsunięta została od terenu. W związku z tym zakres działalności aparatu terenowego uległ znacznemu zwężeniu a przede wszystkim odpadła możliwość przeprowadzania za jego pośrednictwem akcji paszportyzacyjnej. Siłą rzeczy, chociażby intencje rządu sowieckiego nie szły w tym samym kierunku, działalność mężów zaufania musiała ograniczyć się do pracy opiekuńczej w ścisłym znaczeniu tego słowa.

Nowy aparat terenowy spełniał powierzone mu zadanie stosunkowo nieźle. Obowiązki zlikwidowanych delegatur przejęła Ambasada, która zamiast 20 jednostek organizacyjnych, posiadała ich obecnie kilkaset i musiała ustalać budżety wszystkich mężów zaufania, przekazywać dotacje gotówkowe, rozdzielać między nich i dostarczać im należną część pomocy rzeczowej a równocześnie instruować i zachęcać do dalszego wysiłku. Rząd sowiecki bowiem dążył konsekwentnie do ograniczenia możliwości pracy i tego skromnego aparatu terenowego Ambasady. Stąd kolejno wysuwane przez LKSZ zagadnienia: zlikwidowania personelu placówek mężów zaufania, zlikwidowania składzików podręcznych przy tych placówkach, próby zakwestionowania celowości pomocy sanitarnej, ograniczenia dla tworzenia nowych zakładów opiekuńczych itd.

Równocześnie aresztowania mężów zaufania, chociaż w zmniejszonych rozmiarach, trwały nadal.

Przez cały czas istnienia sieci terenowej Ambasada wyznaczyła łącznie 800 delegatów i mężów zaufania. Przeto obsada zmieniała się prawie trzykrotnie.

Po jednostronnym anulowaniu „Postanowień” z 23/24 grudnia 1941 roku Ambasada RP podjęła w listopadzie i grudniu

1942 roku jeszcze jedną próby uzgodnienia z rządem sowieckim zasad funkcjonowania sieci terenowej i uregulowania jej sytuacji prawnej. Organizacja zaproponowana przez ambasadora Romera komisarzowi Mołotowowi przewidywała istnienie magazynów towarowych, mężów zaufania i osobnych biur, ograniczonych jednak wyraźnie do funkcji kontrolnych. Pragnąc usunąć wszelkie podejrzenia, co do działalności tych biur, projekt Ambasady RP przewidywał przy każdym z nich urzędnika sowieckiego w charakterze łącznika z władzami i *sui generis* nadzorcy. Ale ten właśnie punkt został z miejsca odrzucony przez Mołotowa.

W wyniku następnych rozmów ambasadora Romera z Wyszyńskim, Ambasada RP złożyła w LKSZ projekt „postanowień o działalności mężów zaufania Ambasady RP” i projekt „postanowień o działalności składów Ambasady RP”. W rozmowie z Romerem 23 grudnia 1942 r. Wyszyński wyraził zgodę na zasady obu projektów oraz zapewnił, że w krótkim czasie zostaną one w szczegółach całkowicie uzgodnione⁷³. Ale i tym razem nastąpiło podważenie istnienia aparatu terenowego Ambasady RP. Przyszło ono niespodziewanie z najmniej oczekiwanej strony. Notą z dnia 16 stycznia 1943 roku LKSZ zakomunikował Ambasadzie RP, że wszystkie osoby, które przebywały 1-2 listopada 1939 roku na terytoriach „przyłączonych” do Związku Sowieckiego, są uważane za obywateli sowieckich. Zaś w rozmowie dnia 25-go tegoż miesiąca przedstawiciel LKSZ stwierdził, że wobec znikomej liczby obywateli polskich, która „okazała się teraz” na terytoriach przynależnych do Związku Sowieckiego, dalsze funkcjonowanie sieci opiekuńczej jest praktycznie bezprzedmiotowe. W ten sposób dalsze losy organizacji terenowej i aparatu opieki Ambasady RP zostały przesądzone definitywnie.

Na podstawie dokumentów, które nieco później znalazły się w posiadaniu Ambasady, można było stwierdzić, że jeszcze przed wręczeniem Ambasadzie cytowanej noty o obywatelstwie, a mianowicie już 15 stycznia 1943 roku, Rada Komisarzy Ludowych ZSSR wydała rozporządzenie o przejęciu przez lokalne władze sowieckie wszystkich polskich zakładów opiekuńczych. W dniu 9 lutego 1943 roku ukazało się rozporządzenie Ludowego Komisarzatu Spraw Wewnętrznych (NKWD) o przymusowej paszportyzacji obywateli polskich. Rozporządzenie to przekreśliło ostatecznie dalsze istnienie instytucji mężów zaufania i składów Ambasady, gdyż personel ich albo znalazł się w więzieniu za

73. Oprac. MSW w Londynie dla Delegata Rządu w kraju z lutego 1944 o stanie pomocy obywatelom polskim w ZSSR, Archiwum S. Mikołajczyka.

odmowę przyjęcia sowieckiego obywatelstwa, albo w wypadku przyjęcia obywatelstwa sowieckiego nie mógł pełnić obowiązków funkcjonariuszy Ambasady RP. Nie trzeba dodawać, że treść tych wyżej cytowanych zarządzeń nie została nigdy podana do wiadomości Ambasady, która dowiedziała się o nich ubocznie. Zarządzenia te zostały wykonane w miesiącach lutym, marcu i kwietniu 1943 roku.

W tej sytuacji organizacja terenowa Ambasady RP przestała istnieć jeszcze przed formalnym przerwaniem stosunków dyplomatycznych polsko-sowieckich. Po 26 kwietnia 1943 roku instytucje opiekuńcze wraz ze składami towarowymi, stworzone przez rząd polski, przejęły władze sowieckie. Wśród odnalezionych a pozostałych w ZSSR na wolności 272 tysięcy obywateli polskich znajdowało się 76 tysięcy dzieci, 96 tysięcy kobiet i 30 tysięcy starców niezdolnych do pracy. W tym było około 30 tysięcy rodzin wojskowych odbywających służbę na Bliskim i Środkowym Wschodzie oraz w Wielkiej Brytanii⁷⁴. Od chwili zerwania przez Związek Sowiecki stosunków dyplomatycznych z Polską, wszelka pomoc zbiorowa z zewnątrz dla nich ustała zupełnie.

Należy tutaj wyraźnie podkreślić, że rząd polski pragnął przywrócić atmosferę zaufania w stosunkach z rządem sowieckim i pragnął znaleźć takie formy pomocy obywatelom polskim, które byłyby skuteczne oraz usunęły możliwość drażliwych nieporozumień. Jedną z tych form pomocy mogła być ewakuacja dzieci poza granice ZSSR, które nie mogły ponosić straszliwych skutków nie zawinionych przez siebie działań.

Położenie dzieci polskich w Związku Sowieckim było od samego początku najtragiczniejsze. Wyrwane z domowego środowiska, przerzucone do obcego kraju, pozbawione wychowania szkolnego i religijnego, cierpiały z powodu braku minimum odżywienia. Dzieci polskie najliczniej zapełniły sowieckie cmentarze. Śmiertelność dzieci i młodzieży przekraczała dwukrotnie śmiertelność dorosłych. Do lipca 1942 roku około 40 % polskich dzieci i młodzieży przepłacało życiem dwu i pół letni pobyt w ZSSR. Dla pełności obrazu należy dodać, że ponad 30 % polskiej ludności w ZSSR stanowiły dzieci do lat 16. Były to sieroty i pół sieroty. Zaledwie 25 % dzieci polskich przeniesionych do Rosji w latach 1939-1941 posiadało oboje rodziców⁷⁵.

Od chwili zawarcia porozumienia polsko-sowieckiego w 1941 roku zaczęły się gromadne wędrówki obywateli polskich z półno-

74. Oprac. MSW w Londynie dla Delegata Rządu w kraju, *op. cit.*

75. Dane według referatu Ambasady RP w Kujbyszewie pt. Konieczność ewakuacji dzieci polskiej ludności w ZSSR. Archiwum S. Mikołajczyka.

cy na południe. Bezmyślne te wędrówki nie ujęte w żaden porządek, były nowym cierniem w męczeństwie narodu polskiego. W eszelonach idących z dalekiej północy na południe a liczących po kilkadziesiąt wagonów towarowych, większość dzieci wymarła z głodu lub od różnych chorób. Cała droga wzdłuż torów jest pokryta grobami Polaków. W niektórych wagonach matki potraciły wszystkie swoje dzieci (często czworo i pięcioro). Warunki życia polskiej ludności na południu opisuje w swoim sprawozdaniu naczelny lekarz garnizonu w Karkin-Batasz:

„Wezwany telegraficznie do armii polskiej, przybyłem w dniu 12 marca 1942 roku do Guzaru, gdzie z początku prowadziłem szpitalik opieki społecznej dla osób cywilnych. Przeważnie były chore kobiety i dzieci. Po przebyciu tyfusu plamistego, cierpiały na zaburzenia żołądkowo-jelitowe i na awitaminozy, jak pelagra, szkorbut, Beri-Beri, przy czym procent śmiertelności był wysoki. Od lutego na terenie Guzaru chowano dziennie 30 osób zmarłych na tyfus plamisty. Na cmentarzu spoczywa pochowanych 12 lekarzy i 70 osób personelu sanitarnego a przecież to jeden mały odcinek terenów Rosji.

Na stację zborną [...] w maju i czerwcu, przybywały dzieci tak źle wyglądające, że ze zgrozą spoglądaliśmy na nie, jak na chodzące kościotrupy. Po przybyciu do obozu rozbiegały się i wyławiały ze śmieci odpadki jadalne, jak główki ze śledzi, skórki i inne cząstki jadalne. Przeniesiony na naczelnego lekarza do Karkin-Batasz, stwierdziłem nieodpowiednie odżywianie dzieci. Pokarmy zanadto jednostajne bez wszelkich witamin, jarzyn, owoców, kwasów. Bez tłuszczu, bez odpowiednich soli a zatem brak soli wapna, żelaza i fosforu, co przyczyniło się do rozkwitu chorób na tle awitaminozy jak pelagra, Beri-Beri. Poza tym wybuchła epidemia czerwoności, która przecież w normalnych warunkach jest zupełnie łatwa do zgniecenia i zwalczania, jednak w kombinacji z awitaminozą i nieodpowiednią dietą — daje duży procent śmiertelności. Przeciętnie w ostatnich czasach umierało troje dzieci dziennie, czyli licząc tak dalej, do roku zmarłyby wszystkie, dając swe kości tej niegościnniej uzbeckiej ziemi [...].

Jeśli tak nad tym zastanawiam się wieczorami po przypatrywaniu się całodziennym bladym dzieciom, bez humoru, apatycznym, biernym, bez śladu zadowolenia lub wesołości na twarzy, to chwytam mnie rozpacz, gdyż ta obiecana ziemia widna jest jak fata morgana. Powrót do wolnej ojczyzny będzie smutny i przykry, gdyż wiele tu pozostanie grobów i mogił naszych dzieci i naszych najbliższych. Często wydaje mi się, że jeśli tak żółtym krokiem sprawy oswobodzenia będą iść naprzód, to na tym terenie zostanie jeden wielki cmentarz i jedna wielka mogiła, która da świadectwo naszej bezsilności i słabości. Dlatego za wszelką cenę wyjechać z tych terenów a w pierwszym rzędzie wywieźć najpierw nasze dzieci, przyszłość i podporę naszego państwa”⁷⁶.

Ambasada RP znając doskonale położenie dzieci obywateli polskich na terenie ZSSR, największą uwagę przywiązywała do spraw związanych z opieką nad dziećmi. Opieka ta wyrażała

76. Sprawozdanie naczelnego lekarza garnizonu Karkin-Batasz z dnia 4. VII. 1942 roku dla delegata Samarkandy o śmiertelności dzieci i ludności polskiej na terenie ZSSR. Archiwum S. Mikołajczyka.

się w tworzeniu szkół, ochroniek, sierocińców i punktów dożywiania dzieci. Pomimo wielkich starań udało się umieścić w zakładach opiekuńczych zaledwie kilka procent ogólnej liczby dzieci. W związku z tym planowano dalszą rozbudowę sieci opiekuńczej i według projektu ustalonego przez Ambasadę, liczba dzieci objętych bezpośrednią opieką już we wrześniu 1942 roku wynieść miała ponad 30 tysięcy. Równocześnie rząd polski zabiegał o ewakuację dalszych 50 tys. dzieci, którym nie było możliwości zapewnienia opieki na terenie Związku Sowieckiego.

Wobec tragicznych konieczności wojny, rząd polski musiał się godzić na ponoszenie dotkliwych ofiar wśród ludności starszej zesłanej do ZSSR, ale nigdy dzieci i młodzieży stanowiących biologiczną substancję narodu polskiego na przyszłość. Tym bardziej, że w Polsce Niemcy planowo i systematycznie niszczyli polską młodzież, aby podciąć biologiczne warunki rozwoju państwa polskiego. Pełne zrozumienie dla swego stanowiska znalazł rząd polski w kołach rządzących i w społeczeństwie amerykańskim. Amerykański Czerwony Krzyż zadeklarował gotowość przyjęcia na swój koszt 10 tysięcy dzieci polskich ze Związku Sowieckiego. Ulokowanie tej liczby dzieci zostało zapewnione także ze strony Unii Południowo-Afrykańskiej. Rządy Wielkiej Brytanii, Kanady, Indii, Turcji, Wolnej Francji, Syrii i niektórych państw neutralnych oświadczały gotowość przyjęcia dzieci polskich z ZSSR, zapewniając im pełne utrzymanie i zorganizowanie odpowiedniego szkolnictwa.

Początkowo rząd sowiecki zapewniał Ambasadę RP (notą z dnia 12 lutego 1942 roku), że zakłady opiekuńcze a przede wszystkim sierocińce, będą otrzymywały przydziały żywnościowe⁷⁷. W miarę jednak upływu czasu Ambasada natrafiała na coraz większe trudności w uzyskaniu nie tylko przydziałów żywności, ale nawet nie można było dostać obiecanych lokali. Wreszcie w lipcu 1942 roku LKSZ wycofał się z pierwotnej obietnicy oświadczając, że właściwie w ochronkach mogą się znajdować tylko pełne sieroty oraz, że nie jest wskazane tworzenie sierocińców Ambasady tam, gdzie znajdują się sierocińce sowieckie. Ambasada RP stwierdziła wówczas, że nie chodzi tu tylko o materialną opiekę nad dziećmi, ale także o zapewnienie im nauki języka i historii polskiej oraz wychowania religijnego.

Pomimo, że ewakuacja dzieci polskich nie była dla ZSSR obojętna wobec trudności aprowizacyjnych, które swego czasu stanęły na przeszkodzie szerokiemu poborowi żołnierzy do wojska polskiego, to jednak rząd sowiecki nie zgodził się na propo-

77. Zob. *Documents...*, *op. cit.*, Vol. I, nr 184.

zycję ewakuacji 50 tysięcy dzieci polskich poza granice ZSSR. Sprawę tę poruszał ambasador prof. S. Kot w rozmowie z wicekomisarzem LKSZ, A. Wyszyńskim, w dniach 2 czerwca i 8 lipca 1942 roku. W czasie pierwszej rozmowy prof. Kot podkreślał wielką śmiertelność wśród polskich dzieci, wywołaną brakiem żywności i trudnymi warunkami klimatycznymi. Biorąc pod uwagę, że dzieci te stanowiły element niepracujący, więc wywiezienie ich z granic ZSSR uznać należało za korzystne dla Związku Sowieckiego. Ale Wyszyński najpierw zdecydowanie zaprzeczył jakoby polskie dzieci wymierały masowo a następnie dodał, że „kołchozy zaopatrują w żywność nie tylko pracujących obywateli polskich, lecz nawet karmią leniuchów” a „wywiezienie 50.000, to zupełnie fantastyczny pomysł⁷⁸”. W czasie następnej rozmowy dodał zaś, że w aktualnych warunkach sprawa wywiezienia polskich dzieci nie jest „obecnie rozważana przez rząd⁷⁹”.

Ambasada RP jeszcze wielokrotnie do tej sprawy powracała. W toku dziewięciu rozmów, odbytych przez ambasadora T. Romera i jego współpracowników w czasie między 26. X. 1942 i 11. I. 1943 roku, okazało się, że Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych zgodził się na wyjazd 600 dzieci.

W rezultacie opisanej akcji wyjechało przez Aszchabad w okresie od 12. III. 1942 do 23. VII. 1943 roku razem zaledwie 1.004 dzieci⁸⁰.

Przeprowadzona likwidacja delegatur w drodze aresztowania wszystkich delegatów, ich zastępców oraz całego personelu w liczbie ponad 120 osób, odbiła się katastrofalnie na położeniu ludności polskiej. Ochronki, domy starców, szpitale i magazyny pełne wartościowych towarów pozostały bez nadzoru. Akcja rządu sowieckiego wpłynęła także fatalnie na nastrój ludności polskiej. Stałe poczucie zagrożenia po ciężkich przejściach w więzieniach i obozach, przerodziło się w panikę gdy widomy symbol istnienia państwa polskiego — delegat Ambasady RP — do którego ludność zwracała się z zażaleniami na władze, prośbami i petycjami, padł nagle ofiarą maszyny policyjnej NKWD.

Po represjach wobec delegatów, fala aresztowań spłynęła na niższe szczeble, bowiem w warunkach sowieckich nie mogło się obejść bez zejścia na niższe stopnie administracji w akcji likwidacyjnej rzekomych wrogów Związku Sowieckiego. Aresztowania

78. S. Kot, *Rozmowy z Kremlen*, op. cit., str. 264-265.

79. *Tamże*, str. 294.

80. Opracowanie MSW w Londynie dla Delegata Rządu w kraju, op. cit.

objęły także pojedynczych obywateli polskich, których korespondencję przechwycono w delegaturach. I chociaż w listach tych poszczególne osoby skarżyły się tylko na ciężkie warunki życia lub złe traktowanie przez władze, to jednak zdaniem NKWD korespondencja ta posiadała cechy działalności wrogiej dla Związku Sowieckiego.

Sytuację ludności polskiej pogarszał dodatkowo fakt wydania wiosną 1942 roku specjalnego rozporządzenia, zabraniającego przejazdów publicznymi środkami lokomocji oraz zmieniania miejsca zamieszkania bez specjalnego zezwolenia NKWD. Po zlikwidowaniu delegatur i dworcowych punktów opieki, które zaopatrywały ludność polską w bilety i żywność na drogę, od tej pory obywatele polscy pozbawieni wszelkich ułatwień przy przejazdach, zostali uznani *de facto* za internowanych w miejscach swego pobytu. Z odbywającą się w sierpniu 1942 roku drugą falą ewakuacji, mogły wydostać się za granicę tylko osoby, które znalazły się już wcześniej w rejonie zakwaterowania wojska.

Przypuszczalnych przyczyn likwidacji delegatur było niewątpliwie wiele. Najważniejsze posiadały jednak charakter zewnętrznopolityczny. Przede wszystkim zatarg o delegatury był przez rząd sowiecki przygotowany i stanowił próbę sił, mającą stronie sowieckiej wykazać w jakim stopniu Anglia i Stany Zjednoczone zechcą i są w stanie poprzeć najżywniejsze sprawy Polski. Dążeniem Związku Sowieckiego było osłabienie stanowiska Polski na forum międzynarodowym. Wykorzystując trudną sytuację Wielkiej Brytanii (Egipt, Indie) podjęto próbę narzucenia jej tezy o primacie interesów sowieckich w Europie Środkowo-Wschodniej. Równocześnie na gruncie międzynarodowym coraz uporczywiej lansowano pogląd, że „droga do Polski prowadzi tylko przez Rosję”. Realizatorem tego programu miała być sekcja polska Kominternu oraz akcja *Nowych Widnokręgów*⁸¹. Po zawieszeniu działalności wydawniczej *Nowych Widnokręgów* na jesieni 1941 roku, nagle wznowiono je w maju 1942 roku w zupełnie nowej szacie zewnętrznej w Kujbyszewie. Chodziło tu niewątpliwie o konkurencję dla *Polski* wydawanej przez Ambasadę RP, która nie miała ani tak dobrego papieru jak *Nowe Widnokregi*, ani też nie posiadała czcionek polskich. Ponadto redakcja *Polski* ciągle musiała walczyć z cenzurą, w końcu zakazano pismu drukować nawet wykazy osób poszukiwanych.

81. Wokół *Nowych Widnokręgów* skupiali się: Wanda Wasilewska, Helena Usijewicz, Stefan Jędrzychowski, Janina Broniewska, Roman Werfel, Roman Jasiński, Andrzej Jarecki, Alfred Lampe, Jerzy Putrament i Bruno Kramarczyk.

Sekcja polska Kominternu, znajdująca się w Ufie, ożywiła równocześnie działalność partyjną dawnej KPP przez kaptowanie nowych członków i rejestrację dawnych. W akcji agitacyjnej operowano obietnicami lepszego bytu i pomocy w naturze ze strony partii komunistycznej.

Dla władz sowieckich nie mogło też być obojętne niezadowolenie ludności rosyjskiej z pomocy otrzymywanej przez ludność polską. Jakkolwiek władze sowieckie ignorowały potrzeby własnej ludności, o ile nie była bezpośrednio zaangażowana w gospodarce wojennej, to jednak wysoka jakość przedmiotów otrzymywanych za darmo przez obywateli polskich, była dla rządu sowieckiego propagandowo nieprzyjemna. Upadały w ten sposób nagromadzone mity o stosunkach w krajach kapitalistycznych a przede wszystkim praktycznie obalono legendę o „pańskiej” Polsce, gdyż rząd polski zaopatrywał swoją ludność w 80 % robotniczo-chłopską. W stosunku do własnych obywateli przy likwidacji delegatur — rząd sowiecki posłużył się straszakiem szpiegowskim. Programowo wpajana w ludność i aparat administracyjny nieufność i podejrzliwość wobec zagranicy, została doprowadzona do absurdu. Zarzucanie delegaturom, że pod płaszczykiem pomocy prowadzi się akcję wywiadowczą, znajduje analogię z trudnościami personelu American Relief Administration (ARA) z lat 1922-1924⁸². Tak w tym, jak i w innych wypadkach, motywem głównym była sowiecka podejrzliwość, która w każdej obcej organizacji, chociażby najściślej charytatywnej, dopatruje się zawsze ukrytej działalności wrogiego wywiadu. Z tego względu Rosja Sowiecka była i jest niedostępna dla wszystkich obcych.

Na negatywne nastawienie władz sowieckich do delegatur, poza sferą działalności opiekuńczej, poważny wpływ miały coraz sprawniejsze interwencje Ambasady RP w sprawie wykonania postanowień protokołu dodatkowego do układu z 30 lipca 1941 roku o zwolnieniu przetrzymywanych w zamknięciu obywateli polskich. Zdaniem rządu sowieckiego instrukcja Ambasady RP

82. W 1922 roku amerykańska organizacja dobroczynna Hoovera, znana szeroko pod nazwą „American Relief Administration”, postanowiła pomóc ludności rosyjskiej wyczerpanej długoletnią wojną, rewolucją i głodem. ARA założyła na terenie Związku Sowieckiego ogromną sieć składów, punktów dożywienia, rozdawnictwa odzieży itp. Działalność jej uratowała miliony istnień ludzkich, chociaż nie trwała zbyt długo. Władze sowieckie powzięły bowiem podejrzenie, że pod pozorem tej akcji prowadzona jest działalność wywiadowcza. Jednego dnia cała organizacja została zlikwidowana, znaczna część personelu aresztowana a składy towarowe przejęte przez władze sowieckie.

o zbieraniu materiałów dla referatu interwencyjnego, zbieranie informacji o organizacji obozów pracy z wyszczególnieniem pododdziałów „łagopunktów”, „łagotoczek” a nawet numerów baraków, w których przetrzymywani byli obywatele polscy, stanowiło akcję wywiadowczą. Ambasada RP nie miała jednak innej alternatywy niż zbierać te informacje lub zaniechać interwencji o zwolnienia, gdyż rząd sowiecki nie dostarczył jej obiecanych spisów zatrzymanych obywateli.

W ciągu pierwszego półrocza 1942 roku Ambasada RP interweniowała w sprawie 4.514 obywateli polskich. Otrzymała jednak odpowiedź tylko o 1.555 osobach, z których 1.026 miało już być zwolnionych, chociaż bez wskazania daty i miejsca zwolnienia, 196 nie odnaleziono a 325 nadal zatrzymywano. W tej ostatniej grupie na szczególną uwagę zasługiwało 286 zatrzymanych w zamknięciu obywateli polskich, przeważnie z nazwiskami o brzmieniu ukraińskim, białoruskim i żydowskim, których wobec tego władze sowieckie uznawały za swoich obywateli i nie przyjeły do wiadomości interwencji Ambasady RP o ich zwolnienie. Wraz z interwencjami indywidualnymi z roku 1941, Ambasada RP zwracała się do Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych w sprawie przeszło 5.500 osób przetrzymywanych w łagrach i więzieniach, nie licząc 8.000 oficerów wywiezionych przez władze sowieckie wiosną 1940 roku do Katynia. Ambasadzie RP znane były nazwy 65 obozów i więzień na terytorium Związku Sowieckiego, w których przetrzymywani byli obywatele polscy. Według jednak bardzo skrupulatnych obliczeń, ilość pozbawionych wolności obywateli polskich, znanych Ambasadzie RP z nazwiska, nie przewyższała 5 % ogółu obywateli polskich pozbawionych wolności.

Masowe zwolnienie obywateli polskich na podstawie układu z 30 lipca 1941 roku nie ma precedensu w historii Związku Sowieckiego. Stosunek do własnej ludności, przetrzymywanie w obozach milionów osób sprawiły, że niechęć do elementu polskiego znacznie się wzmogła. Od końca 1942 roku NKWD przeprowadziło oczyszczenie terenu z wszelkich potencjalnych wrogów przed kampanią wiosenną. Wysiedlanie z miast o znaczeniu gospodarczym, strategicznym i komunikacyjnym elementów niepewnych, nabrało nienotowanych dotąd rozmiarów. W tej atmosferze zagrożenia wewnętrznego obrócenie uczuć ludności ku ksenofobii było uważane przez rząd sowiecki jako zręczne posunięcie wewnętrzno-polityczne, chociaż nie mogło być akcją oderwaną od całości polityki. Wraz z wyjściem wojsk gen. Andersa, krok ten stanowił zamknięcie pewnego etapu stosunków polsko-

sowieckich, nacechowanego względym liberalizmem rządu sowieckiego wobec postulatów i potrzeb polskich. Akcja ta wskazywała, że rząd sowiecki postanowił rozwiązać zagadnienie polskie na terenie ZSSR we własnym zakresie. Stąd wznowienie dywersyjnego wydawnictwa *Nowe Widnokreęgi*, ożywienie działalności polskiej sekcji Kominternu i utworzenie Związku Patriotów Polskich.

Roman BUCZEK

OKRUCHY HISTORII

Witold BABIŃSKI

FRAGMENTY ROZMÓW Z GEN. SOSNKOWSKIM

Moja służba w czasie ostatniej wojny u boku generała Sosnkowskiego przerodziła się następnie w węzeł przyjaźni, którą sobie wysoko ceniłem, a która nie uległa zmianie mimo zmieniających kolei losów.

Mam w pamięci szereg rozmów z Generałem dotyczących wydarzeń, które dziś należą już do historii. W tym przekonaniu przelewam je na papier, wydaje mi się bowiem, że mogą się przydać w przyszłości. Tym bardziej, że Generał, który chętnie opracowywał i naświetlał poszczególne tematy, nie miał przekonania do pamiętników w ścisłym tego słowa znaczeniu. Często powtarzał, że im więcej zapoznaje się z literaturą pamiętnikarską, tym mniej ma do niej zaufania. Najbardziej szanowne i zasłużone osoby, pisząc pamiętniki, nie mogą się ustrzec od subiektywizmu, który razi i raczej odpycha czytelnika. Nie miał także zwyczaju odpowiadać na krytyki, zwykle niesprawiedliwe, których nie szczędzono mu, zwłaszcza w ostatnim okresie życia, na zmianę ze „zmową milczenia”. Tym bardziej wydaje mi się potrzebne zanotowanie rozmów, w których Generał swobodnie i z prostotą wspominał szereg ważnych momentów z przeszłości.

Przeszłość — to z górą półwiecze tak obfite w zdarzenia, w których Generał brał udział, jako jedna z *dramatis personae*...

1) Bitwa pod Kostiuchnowką. Tej bitwie generał Sosnkowski przypisywał szczególne znaczenie nie tylko ze względów wojskowo-taktycznych. Bitwa ta była także punktem zwrotnym w dziejach Legionów. Wtedy bowiem, wśród ciężkiej walki — Piłsudski powziął decyzję wycofania Legionów z frontu. Wiemy, że

decyzja ta w konsekwencji położyła nacisk na organizację P.O.W. oraz spowodowała ostateczne zerwanie z państwami centralnymi.

2) W pierwszych latach niepodległości generał Sosnkowski, bądź jako wiceminister, bądź minister spraw wojskowych, reprezentował politykę Naczelnika Państwa wobec Sejmu. Cierpliwością i siłą argumentacji udało mu się przekonać wielokrotnie oponentów, zarówno na Komisjach sejmowych, jak i na plenum sejmu. Jak wiadomo, przeciwników polityki Naczelnika Państwa w Sejmie nie brakło. Opozycja zaznaczała się najostrzej w związku z proponowanymi rokowaniami w Borysowie, a także w związku z wyprawą kijowską. Odnoszę wrażenie, że wspomnienie tego okresu, w którym udało się Generałowi przekonać oponentów, było mu szczególnie miłe. Był to okres, w którym wysiłek dawał moralną satysfakcję. W tym miejscu przypominam, jak Witos w swych pamiętnikach podkreśla niezwyklej lojalność generała Sosnkowskiego wobec Rady Obrony Państwa w roku 1920. Będąc rzecznikiem Piłsudskiego, który niezawasze był w zgodzie z Radą Obrony, generał Sosnkowski umiał postawą pełną taktu utrzymać lojalność wobec Rady i wobec Piłsudskiego. Ten okres pierwszych lat niepodległości był bezsprzecznie „okresem bohaterskim” pracy Generała. Organizacja wojska od podstaw, dowodzenie armią rezerwową, dostarczenie Naczelnemu Wodzowi elementów zwycięstwa w postaci uzupełnień oraz zaopatrzenia w krytycznych miesiącach roku 1920, wreszcie — co chyba najważniejsze — nie miały udziału w mobilizacji duchowej narodu, który tę ciężką próbę wytrzymał. A więc ogrom pracy wówczas włożonej dał widoczny — jakże piękny rezultat.

Generał chętnie podkreślał żelazną wolę Piłsudskiego, która tak decydującą rolę odegrała w roku 1920. Pamiętał także o krzywdach, jakie wtedy spotkały Piłsudskiego ze strony rodaków. A więc plotki o rzekomym tajnym telefonie Szefa kancelarii Naczelnika Państwa w celu utrzymania łączności z bolszewikami. A więc broszury, rozdawane żołnierzom w sierpniu 1920, powtarzające tę potworną plotkę, oraz inne, oskarżające Piłsudskiego i Sosnkowskiego o zdradę, wymieniające sumy (10 milionów i 5 milionów dolarów) jakie mieli za tę zdradę otrzymać. Lub ta przerażająca w swej potworności scena, gdy odbywało się posiedzenie Rady Obrony Państwa w czasie, kiedy wojska sowieckie zbliżały się do Warszawy. Obecny na posiedzeniu Marszałek Sejmu oznajmił, że delegacja z Poznańskiego prosi o rozmowę z Naczelnikiem Państwa. Piłsudski wyszedł do sąsiedniego pokoju w towarzystwie generała Sosnkowskiego, aby przyjąć delegację. Składała się ona z kilkunastu osób i przewodniczący delegacji wygłosił krótkie przemówienie, zakończone oskarżeniem

Naczelnego Wodza o zdradę. „Zdrada jest tu!” powiedział, wskazując palcem na Piłsudskiego. Piłsudski opanował się nadludzkim wysiłkiem woli, zawrócił i wyszedł, na zewnątrz zachował wyniosły spokój. Ale czyż podobne krzywdy moralne, które były owocem oszczerczej propagandy politycznych intrygantów nie mogły nie odbić się w latach późniejszych na stosunku Piłsudskiego do opozycji?

3) Jak wiadomo generał Sosnkowski towarzyszył marszałkowi Piłsudskiemu, łącznie z ministrem Spraw Zagranicznych, Sapiehą, w oficjalnej wizycie w Paryżu w początkach 1921 roku. Owocem tej wizyty był akt przymierza między Polską z Francją. Po odjeździe Naczelnika Państwa generał Sosnkowski pozostaje we Francji, przeprowadza rokowania o konwencję wojskową, którą następnie podpisuje razem z marszałkiem Fochem. Z własnej inicjatywy uzyskał wtedy u rządu francuskiego pożyczkę 400 milionów franków na cele uzbrojenia armii polskiej.

Generał odrzucał jako niezgodne z prawdą pogłoski, jakoby marsz. Foch utrudniał ówczesne rokowania i jakoby to miało spowodować napięte stosunki marsz. Focha z prezydentem Millerand. Mógł marszałek Foch mieć swoje zastrzeżenia co do nowych zobowiązań Francji, nie utrudniało to jednak rokowań. Autorytet Focha stał wówczas niezwykle wysoko we Francji i działanie prezydenta w sprawach obrony wbrew woli Focha nie było wprost do pomyślenia.

Mimochodem wspomnę, że generał Sosnkowski był dekorowany wielką wstęgą Legii Honorowej „Grand Cordon”, co jest rzeczą niezwykle rzadką, jeśli nie chodzi o dekorację głowy państwa. Dekorację otrzymał Generał z rąk Focha.

4) Doświadczenie nabyte w okresie tworzenia się władz państwowych polskich a w szczególności współpraca ze stronnictwami na terenie Sejmu utwierdziły w Generale przekonanie o konieczności „zgody narodowej” w okresie wojen o granice i odbudowy państwa. W przekonaniu generała Sosnkowskiego największe wyniki zbiorowych wysiłków i siłę wewnętrzną mogła Polsce zapewnić współpraca Piłsudskiego z Dmowskim. W końcu roku 1919 oraz w pierwszej połowie 1920 roku. Generał poświęcił tej sprawie wiele zabiegów. Z Piłsudskim widywał się stale, z Dmowskim spotykał się w mieszkaniu prałata Marcelego Nowakowskiego (posła na Sejm ze Stronnictwa Narodowego). Po wielu rozmowach Piłsudski wyraził wobec Generała zgodę na próbę współpracy z Dmowskim („a ja bym tego pana Romana chciał mieć w Gabinetie”). Dmowski jednak, po wahaniach, zajął wówczas stanowisko odmowne. Podejmowane w późniejszych

latach próby — już bez udziału Generała — również nie dały rezultatu.

5) Wiadomo powszechnie, że generał Sosnkowski był ministrem Spraw Wojskowych w wielu zmieniających się gabinetach; że zasiadał w rządach o różnych odcieniach politycznych, będąc zawsze uważany (słusznie) za męża zaufania marszałka Piłsudskiego. Ostatnim Gabinetem, którego Generał był członkiem — był gabinet Grabskiego w roku 1924. Gdy mu premier Grabski zaproponował tekę spraw wojskowych, generał Sosnkowski, jak zwykle, zwrócił się do marsz. Piłsudskiego o wyrażenie aprobaty. Marszałek dał wtedy aprobatę, ale pod warunkiem, że Sosnkowski uzyska od prezydenta Wojciechowskiego i od premiera Grabskiego *zgode pisemną* na organizację najwyższych władz wojskowych i na osobę Piłsudskiego, jako Generalnego Inspektora. Po szeregu konferencji z Prezydentem i Premierem, gen. Sosnkowski — ku swemu nawet zdziwieniu — zdołał uzyskać taką pisemną zgodę. Gdy następnie wręczył te dokumenty marsz. Piłsudskiemu, ten wyraził swoje zadowolenie, ale wysunął żądanie, aby w tej nowej organizacji otrzymał on także Szefostwo Sztabu Głównego. Na to generał Sosnkowski odparł, że ta sprawa wedle niego jest więcej niż trudna do załatwienia, gdyż wydaje mu się, iż po uzyskaniu od Prezydenta i Premiera maksimum to nowe żądanie nie ma szans realizacji, że jednak raz jeszcze pójdzie do Prezydenta i Premiera i zapyta ich, czy przyjmą nowy warunek. Gdy Generał ponownie zwrócił się do Prezydenta Wojciechowskiego i do Premiera Grabskiego owe żądanie marsz. Piłsudskiego wywołało zdziwienie i oburzenie, Prezydent Wojciechowski zawołał: „prędzej mi włosy wyrosną na dłoni, niż zgodzę się na coś podobnego”... Premier Grabski przekonywał, że skoro Marszałek ma zostać Generalnym Inspektorem, to przecież może sobie dobrać, kogo tylko zechce na stanowisko Szefa Sztabu Głównego. Generał powrócił z tymi wiadomościami do Piłsudskiego. Wtedy marsz. Piłsudski oświadczył, że wobec tej odmowy, nie przyjmie stanowiska Generalnego Inspektora i zażądał, aby generał Sosnkowski natychmiast podał się do dymisji. Generał tłumaczył marsz. Piłsudskiemu, że ponieważ właśnie w owym czasie była przeprowadzona reforma waluty i miał być wprowadzony złoty, więc uważa za swój obowiązek czas jakiś przebyć w Gabinetcie, aby w tak zasadniczej dla państwa sprawie, jak sprawa reformy walutowej, swoją dymisją nie wywołać niepotrzebnych i niebezpiecznych komplikacji. Odmowa Generała podania się natychmiastowego do dymisji wywołała gniewną reakcję ze strony Marszałka. Po paru miesiącach Generał ustąpił z Gabinetu, by dać jeszcze jeden dowód

lojalności, lecz dymisja ta nie doprowadziła do ponownej intymnej współpracy z Marszałkiem. Dlatego też rok 1924, a nie 1926 przyjąć należy jako zakończenie okresu tej najściślejszej przyjaźni i zupełnego porozumienia we wszystkich sprawach, jakie do tej pory cechowały ich stosunki. Ale wiernym piśsudczykiem pozostał Sosnkowski do ostatniej chwili swego życia.

Jeśli chodzi o ten okres „przedmajowy”, notuję także, że Generał wyrażał niejednokrotnie żal, że Marszałek nie doszedł do porozumienia z Witosem, co wedle Generała leżało wówczas w granicach możliwości.

6) Wiosną roku 1925 generał Sosnkowski stał na czele delegacji polskiej na Międzynarodową Konferencję w sprawach handlu materiałami wojennymi. Konferencja ta miała miejsce w Genewie w ramach Ligi Narodów (sprawy arbitrażu, bezpieczeństwa i rozbrojenia). Generał Sosnkowski został wybrany spośród przedstawicieli 47 państw na przewodniczącego Komisji Wojskowej (*Military, Naval and Air Technical Committee*) na wniosek delegata Imperium Brytyjskiego. Konferencja była sukcesem, gdyż udało się przeprowadzić wszystkie polskie postulaty. Była także sukcesem osobistym gen. Sosnkowskiego. W szczególności udało się wówczas przeprowadzić tzw. klauzulę rosyjską tj. uwzględniającą specjalne warunki państw sąsiadujących z ZSSR, jeśli chodzi o zobowiązania co do handlu bronią.

W związku z propozycjami delegacji amerykańskiej, dotyczącymi zakazu wojny chemicznej, generał Sosnkowski z własnej inicjatywy wystąpił z wnioskiem objęcia zakazem także środków wojny bakteriologicznej. Wniosek, znakomicie uzasadniony, został przyjęty i włączony do Protokołu. Ta konferencja jest także pamiętna dlatego, że po raz pierwszy od zawarcia traktatu wersalskiego brała w niej udział delegacja amerykańska, w skład której wchodził m.in. Hugh S. Gibson oraz Allen W. Dulles. Delegacja ta odegrała wtedy dużą rolę, stawiając wniosek o zakazie wojny gazowej i popierając poprawkę polską o zakazie wojny bakteriologicznej. Niestety Stany Zjednoczone nie ratyfikowały następnie zawartej wówczas konwencji.

Generał wspominał niekiedy o tej konferencji na tle atmosfery jaka wówczas panowała w Lidze Narodów. Śledząc w czasie wojny zastosowanie broni i środków technicznych przez państwa wojujące, żartobliwie zaznaczał: „... jak dotąd, moja konwencja jest dotrzymana”...

7) Roku 1926 Generał nie lubił wspominać. Było to dla niego niewątpliwie przeżycie bardzo głębokie. Obiecywał nieraz, że zostawi w osobnej kopercie swoje na ten temat uwagi. Jednak uwag tych nie spisał, najwidoczniej odkładał ten bolesny temat

do ostatnich dni swego życia. O przygotowaniach do zamachu majowego nie był poinformowany. Gdy 11 maja 1926 wieczorem przybył z Poznania do Warszawy, aby udać się znów do Genewy, zaniepokojony krążącymi pogłoskami, wezwał dwóch wybitnych polityków, którzy go zapewnili, że zamachu nie będzie. Obaj byli o przygotowaniach do przewrotu niewątpliwie poinformowani. Jak wiadomo generał Sosnkowski wrócił do Poznania 13 maja o 8-ej rano i strzelił do siebie w zamiarze samobójczym w swym gabinecie w DOK około południa po uprzednim zreferowaniu przez gen. Hausera o wydanych rozkazach wysłania wojsk z Poznania do Warszawy. Pobyt w szpitalu trwał 5 miesięcy, Generał przeszedł 3 ciężkie operacje. Wedle świadectwa ludzi, którzy stali blisko ówczesnych przygotowań do przewrotu, to w listopadzie roku 1925 zapewniano gen. Sosnkowskiego, że zamachu stanu nie będzie. Istotnie wówczas mogło się wydawać, że między Marszałkiem a Prezydentem dochodzi do porozumienia, czego widomą oznaką miała być oficjalna, nawet uroczysta wizyta Marszałka w Belwederze.

Jeśli chodzi o maj 1926 roku, to Wieniawa, człowiek tak blisko związany ze spiskiem, miał się dowiedzieć o rozpoczęciu działań wojskowych dopiero w przeddzień. Również przyjąć można, że Marszałek nie sądził, aby dojść miało do rozlewu krwi: sama demonstracja wojskowa miała, wedle tej oceny, zmusić prezydenta Wojciechowskiego do ustąpienia.

Faktem jest, że generał Sosnkowski nie był do ostatniej chwili o szykującym się zamachu uprzedzony. Ludzie, stojący wówczas bardzo blisko marsz. Piłsudskiego, dają do tej sprawy komentarz następujący: Marszałek dał instrukcję, aby generała Sosnkowskiego, gdy przyjechał do Warszawy, ostrzec: niech nie przyjmuje teki w formującym się gabinecie Witosa, co mu na pewno będą proponować; gdyby tekę taką przyjął — postawiłoby go to w konflikcie moralnym. Otóż ta instrukcja do rąk generała Sosnkowskiego wtedy tj. 12 maja nie doszła.

Tegoż dnia popołudniu Marszałek, będąc przekonany, że ta instrukcja znana jest generałowi Sosnkowskiemu, przesłał drugą instrukcję (przez gen. Jakuba Krzemińskiego) aby generał Sosnkowski wracał niezwłocznie do Poznania.

Po powrocie do Poznania Generał dowiedział się, że zastępujący go w czasie nieobecności gen. Hausner otrzymał od Rządu rozkaz kierowania wojsk na Warszawę.

Od maja 1927 roku gen. Sosnkowski obejmuje kolejno stanowisko Inspektora Armii, na kilku odcinkach ziem wschodnich. Był także przewodniczącym Komitetu Uzbrojenia armii i Komitetu Wyższej Szkoły Wojennej. Okres od 1927 do 1935 roku

był dla generała Sosnkowskiego okresem wyłącznej pracy wojskowej. Projekty nowoczesnego uzbrojenia natrafiały na przeszkody nie tylko finansowe. Walczyć trzeba było z doktryną odziedziczoną po poprzedniej wojnie, a wówczas już przestarzałą. To panowanie przestarzałej doktryny miało miejsce także we Francji. Są to dziś rzeczy powszechnie wiadome.

8) W okresie poprzedzającym drugą wojnę światową wypadki toczyły się szybko. Hitler opuszcza w roku 1933 Konferencję rozbrojeniową. 14 października 1933 występuje z Ligi Narodów. Rozpoczyna się okres zbrojeń niemieckich na wielką skalę. Na rok 1933 przypada inicjatywa Piłsudskiego zastosowania sankcji, na które Francja zdobyć się nie chce lub nie może. 6 marca 1933 wzmocnienie polskiego garnizonu Westerplatte. 26 stycznia 1934 ambasador Lipski podpisuje pakt o nieagresji z Hitlerem. Wizyta Göringa w Polsce od 27 do 31 stycznia 1935. W ostatniej swej rozmowie z Lipskim w roku 1939 Göring powoływał się na to, że Polska odrzuciła wszelkie propozycje wspólnej akcji przeciw Rosji, bo „Sosnkowski do tego nie dopuścił” (patrz *Zeszyt Historyczny* Nr XIII, moje wspomnienie o Józefie Lipskim). Powszechną służbę wojskową wprowadzono w Niemczech 16 marca 1933. Wreszcie remilitaryzacja Nadrenii przypada na 7 marca 1936 roku.

W tym okresie, już po śmierci Marszałka tzw. sukcesję obóz rządowy przelewa na marsz. Śmigłego. Gen. Sosnkowski, w dalszym ciągu oddany pracy wojskowej, ale w oparciu o swój wielki autorytet, stara się wpłynąć na zmianę polityki zarówno wewnętrznej, jak i zagranicznej. We wrześniu 1935 roku prezydent Mościcki proponuje generałowi Sosnkowskiemu objęcie ambasad w Paryżu. Generał gotów jest przyjąć nominację pod warunkiem, że ma ona oznaczać wyrównanie stosunków z Francją, które wówczas były napięte. Na ten warunek jednak Prezydent się nie godzi.

W roku 1935 generał Sosnkowski z własnej inicjatywy wszczyna wstępne rozmowy o pożyczkę wojskową francuską.

W roku 1936 w styczniu, a więc na 2 miesiące przed wkroczeniem wojsk niemieckich do Nadrenii, generał Sosnkowski reprezentował Polskę na pogrzebie króla Jerzego V w Londynie — spotkał się tam z przedstawicielami rządu francuskiego oraz z gen. Gamelin. Gen. Gamelin i przedstawiciele rządu zwrócili się do Sosnkowskiego pytając go o zdanie jaką będzie reakcja rządu polskiego w razie wkroczenia wojsk niemieckich do Nadrenii. Prosimi Generała o przybycie do Paryża z Londynu, aby odbyć oficjalne konferencje w sprawie ewentualnych reakcji rządów francuskiego i polskiego. Generał skomunikował się tele-

fonicznie z marsz. Śmigłym i poinformował go, że Francuzi życzą sobie jego przyjazdu do Paryża na oficjalne konferencje, celem ustalenia planów działania. Śmigły odpowiedział, żeby Generał raczej zwrócił się do Becka. Uzyskanie połączenia z Beckiem trwało bardzo długo, wreszcie minister Beck niechętnie oświadczył, że Generał może jechać do Paryża na rozmowy, że to mają być raczej „rozmowy prywatne”... Generał udał się do Paryża i rozmowy trwały 4 dni. Generał Sosnkowski stwierdził wtedy, że Polska dotrzyma zobowiązań swego sojuszu z Francją, zaproponował jednoczesną mobilizację w obu państwach sojuszniczych w razie wejścia wojsk niemieckich do Nadrenii. Jednocześnie kontynuował rozmowy co do pożyczki francuskiej na cele uzbrojenia armii polskiej. Po powrocie do Warszawy, generał Sosnkowski zobowiązał ministra Becka, po dramatycznej rozmowie, do stwierdzenia, że propozycja wspólnej interwencji polsko-francuskiej będzie mieć charakter oficjalny i stanowczy. Oświadczenie Becka o gotowości wypełnienia obowiązków sojuszniczych nastąpiło 7 marca o godz. 9-ej rano, a więc gdy Hitler wkroczył do Nadrenii. Niestety, jak wiemy, inicjatywa ta nie zamieniła się w czyn, gdyż rząd francuski nie decydował się na akcję bez poparcia Wielkiej Brytanii, która swego poparcia odmówiła. Francja dotknięta była wtedy paraliżem woli.

Rokowania o pożyczkę francuską toczyły się następnie drogą oficjalną bez udziału gen. Sosnkowskiego. Doprowadziły one do pomyślnego rezultatu.

Warto zaznaczyć, że po sfinalizowaniu pożyczki francuskiej marszałek Śmigły prosił generała Sosnkowskiego, aby udał się do Paryża na uroczysty akt podpisania. W następnych jednak dniach prezydent Mościcki zmienił decyzję, na uroczyste podpisanie pojechał marszałek Śmigły.

Wobec nadciągającej burzy generał Sosnkowski zaproponował marsz. Rydzowi w dniu 13 maja 1936 roku, że gotów jest stanąć na czele rządu, mając opracowany program, obejmujący: 1) ożywienie sojuszu z Francją, 2) uzdrowienie stosunków wewnętrznych przez zmianę polityki wobec opozycji, 3) reformy gospodarczo-finansowe, zmierzające do rozwoju na wsi pól przemysłów i przemysłów lekkich, dających ludności wiejskiej możliwość zarobków w okresie jesieni i zimy oraz reformy przyspieszające dozbrojenie Sił Zbrojnych. Odpowiedź marsz. Śmigłego była negatywna. Motyw: właśnie uzgodnił z prez. Mościckim kandydaturę na premiera. Tym kandydatem był gen. Składkowski...

9) Sprawa Zaolzia rozgrywała się między ostatnimi dniami września a połową października 1938 roku. Gen. Sosnkowski, zaniepokojony przygotowaniami, postanowił w połowie września

interweniować u prezydenta Mościckiego. Rozmowa odbyła się w pociągu Prezydenta — Generał Sosnkowski wszedł do tego pociągu na jednej ze stacji. Został wezwany przez Prezydenta nagłą depeszą, wysłaną na Polesie, gdzie Generał kierował manewrami wojska i flotylli pińskiej. Rozmowa trwała parę godzin, gdy wszelkie perswazy Generała i bardzo jasno przedstawione przez niego zagrożenie Polski nie przekonało Prezydenta, wówczas w konkluzji tej dyskusji Generał oświadczył, iż widzi zbliżającą się katastrofę wojenną. Przeciwny był kategorycznie występowaniu łącznie z Niemcami w rozbiórze Czechosłowacji. Prezydent jednak bronił gorąco ówczesnej polityki zagranicznej rządu i oświadczył ze swej strony, że... „Polska nigdy nie miała lepszego ministra Spraw Zagranicznych jak pułkownik Beck”...

10) Stosunek Generała do wspomnień legionowych był zawsze nacechowany wielkim sentymentem i przekonaniem o dużym znaczeniu politycznym legionowego czynu.

Natomiast z goryczą wspominał o legionistach, którzy dyskutowali swe zasługi bojowe na terenie politycznym. Bardzo krytycznie oceniał kierunek, zwany „sanacją”. ... „Jak oni mogli” — mawiał — „taką piękną żołnierską legendę tak zmarnować”... Generał był w swych przekonaniach nie tylko legalistą, ale i szczerym zwolennikiem ustroju demokratycznego. Uznawał jednak jak najbardziej potrzebę silnej władzy wykonawczej. Co do partii politycznych uważał, że mieliśmy ich zbyt wiele, był zwolennikiem systemu dwupartyjnego. Ustroje totalne lub ich karykatury oceniał surowo. Również system polityczny, jaki mieliśmy w czasie wojny we Francji i w Anglii — łącznie z odebraniem Prezydentowi jego prerogatyw (pakt paryski) nie odpowiadał poglądom Generała. Nazywał ten system „neosanacją” w sensie traktowania opozycji w sposób autorytatywny i niedopuszczania do rządów rzekomej jedności narodowej szeregu stronnictw i kierunków, a wśród nich — największego, jakim było Stronnictwo Narodowe jak również piłsudczyków.

11) Zwolennik zgody narodowej w chwilach dla Kraju niebezpiecznych, generał Sosnkowski stara się przekonać jesienią 1938 roku prezydenta Mościckiego, że wobec nadciągających wypadków jest rzeczą niezbędną i pilną rozszerzenie podstawy rządu, a więc zrobienie wysiłku celem porozumienia się z opozycją. Wprawdzie tym razem nie wysuwał Generał swojej kandydatury na premiera, skoro oferta jego została poprzednio odrzucona. Chodziło więc jedynie o zasadę, którą Sosnkowski uważał za podstawowy warunek uzdrowienia stosunków wewnętrznych; tej oczywistej prawdy rząd ówczesny zdawał się nie dostrzegać.

Po raz trzeci apeluje do Prezydenta w marcu 1939 roku,

o rząd jednności narodowej. Było to w czasie, kiedy wojny można się już było spodziewać w najbliższej przyszłości. I tym razem interwencja Sosnkowskiego została odrzucona.

12) Po wybuchu wojny w roku 1939 gen. Sosnkowski prosił, na razie bezskutecznie o przydział frontowy. Natomiast marszałek Rydz-Śmigły, po porozumieniu z Prezydentem i Premierem proponował gen. Sosnkowskiemu stanowisko wicepremiera, któremu miały podlegać wszelkie sprawy, związane z gospodarką wojenną. W czasie rozmowy zjawił się premier Składkowski. Sosnkowski odparł, że obowiązków wicepremiera może się podjąć tylko w rządzie, do którego weszłaby także opozycja. Premier Składkowski na to oświadczył, że rozszerzenie podstawy rządu nie jest potrzebne, gdyż jego rząd cieszy się zaufaniem społeczeństwa. W ten więc sposób sprawa wicepremierostwa upadła.

Sosnkowski zwrócił się ponownie do Naczelnego Wodza o przydział frontowy, w szczególności prosił o powierzenie mu obrony Warszawy. I tu znowu spotkał się z odmową. Naczelnny Wódz użył natomiast gen. Sosnkowskiego jako swego oficera łącznikowego. Gdy był wysłany do armii „Karpaty”, Sosnkowski otrzymał we Lwowie w dniu 10 na 11 września rozkaz objęcia dowództwa „frontu południowego”.

Sytuacja była krytyczna. „Front południowy” już nie istniał. 12 września Niemcy osiągnęli linię Lwów-Rawa Ruska. Wydzielone oddziały niemieckie wdarły się do Lwowa, po walkach ulicznych zostały wyparte, ale otoczyły Lwów pierścieniem. Generał Sosnkowski wydał zarządzenia celem wzmocnienia obrony miasta, m.in. dodając brygadę pancerno-motorową płk. Maczka (większa jej część była pod Janowem 12 września), sam zaś z 3-ma oficerami odlatuje 13 września do resztek armii „Karpaty”, odciętych na zachód od Przemyśla. Zamierza na ich czele przebić się w kierunku Lwowa. Była to więc akcja pomyślana jako odsiecz dla oblężonego Lwowa, ponadto zamierzone było połączenie z armią „Kraków” i zorganizowanie obrony południowo-wschodniego obszaru państwowego w oparciu o Lwów. Tego rodzaju skrócony front miał zapewnić połączenia z Zachodem przez sojuszniczą Rumunię. Walcząc na dwa fronty, gen. Sosnkowski stacza pomyślną bitwę z 15 na 16 września na północno-wschód od Sądowej Wiszni, zaskakując wielką jednostkę niemiecką, zdobywając duże ilości sprzętu motorowego i około 30 armat. Następują walki z Niemcami w rejonie lasów janowskich 16 i 17 września. Sowiety przekraczają granicę polską 17 września, nazajutrz 18 września Sosnkowski walczy z Niemcami pod Hołoskiem Wielkim, starając się wyjść z lasów. Tym razem jednak nie udaje się przebić przez siły niemieckie. Oddziały generała

Sosnkowskiego są nacierane z trzech stron przez niemieckie jednostki pancerne. Najwyższym wysiłkiem Polacy odbijają ataki w walce wręcz, Niemcy tracą kilkanaście rozbitych czołgów. Próby przebicia się garnizonu lwowskiego także nie dają rezultatu. W międzyczasie Naczelnny Wódz wycofał ze Lwowa brygadę Maczka i skierował ją ku granicy węgierskiej, co oczywiście utrudniło próby przebicia się garnizonu lwowskiego. Mimo to w nocy z 20 na 21 września Sosnkowski próbuje raz jeszcze przebić się do Lwowa. Marszem nocnym Generał obchodzi od tyłu stanowiska niemieckie. Jednak gdy dotarli do Dublan, przekonali się, że wszędzie dokoła są już wojska sowieckie.

Po wydaniu rozkazu zniszczenia sprzętu i zarządzeń co do rannych i jeńców grupa zostaje rozwiązana. Generał nakazuje, aby pojedynczy żołnierze przedzierali się na Węgry. Sam generał Sosnkowski z paroma oficerami i podoficerami przedziera się w Karpaty. Generał wspominając ową tragiczną wędrówkę zawsze podkreślał, że ze strony włościan i ludzi prostych spotykał się z życzliwością, nigdy nie odmawiali mu schronienia, natomiast w paru wypadkach drzwi domów, należących do ludzi zamożnych, do urzędników na wyższych stanowiskach, zostały przed nimi zamknięte. 4-go października przekracza granicę węgierską (już strzeżoną przez Sowiety po stronie polskiej). Z Budapesztu po kilku dniach, dzięki bardzo życzliwej pomocy regenta Horthy'ego udaje się do Francji.

13) Dwa przesilenia: w roku 1940 i 1941. W obu wypadkach gen. Sosnkowski był następcą prezydenta. Przesilenie „lipcowe” w roku 1940, wkrótce po przybyciu polskich władz państwowych do Anglii, powstało na tle niezadowolenia, wywołanego przez niedociągnięcia w ewakuacji polskiego wojska z Francji. Politycznie sprawa była komentowana, jako odwet dawnych kół rządowych, które stały się wówczas opozycją. Coś jakby spór „sanacji” z „neosanacją”. Najważniejszym jednak czynnikiem było głębokie zaniepokojenie Prezydenta z powodu treści memoriału, jaki premier, gen. Sikorski, złożył rządowi brytyjskiemu w czasie pobytu w Londynie w dniach 18 i 19 czerwca 1940. Memoriał proponował tworzenie na terenie Rosji oddziałów wojskowych z jeńców polskich. Redakcja memoriału wydawała się w pewnych ustępach niebezpieczna, gdyż mogła być z czasem użyta przeciw nam w sprawach terytorialnych.

Prezydent postanowił dokonać zmiany rządu i mianować premierem osobę cywilną. Generał Sikorski miałby być nadal naczelnym wodzem. Gen. Sosnkowski był wprawdzie zwolennikiem rozdzielenia władzy cywilnej od wojskowej, ale odradzał Prezydentowi stanowczo wywoływanie wówczas przesilenia. Byłoby ono

w danym momencie niebezpieczne, gdyż mogło utrudnić sprawę odbudowy sił zbrojnych i zawarcia umów wojskowych. Na terenie politycznym sprawa nie uzyskiwałaby poparcia większości stronnictw, rząd zaś urzędniczy, bezpartyjny nie miałby dość poparcia w Kraju i słabą pozycję wobec obcych. Wykonalność zmiany stała pod znakiem zapytania, wobec niefortunnego „paktu paryskiego”, który wiązał ręce Prezydentowi. Trzeba było ponadto utrzymać wobec obcych fasadę tzw. jedności narodowej. Konflikty na obcym terenie nie są więc wskazane „z wyjątkiem chyba tylko konfliktów w sprawach wielkich, dotyczących niepodległości i całości państwa” mówił wtedy Sosnkowski Prezydentowi. Dlatego też, gdy sytuacja doszła do stanu kryzysowego po udzieleniu przez Prezydenta dymisji premierowi, gen. Sosnkowski podjął się mediacji i ułatwił Prezydentowi wycofania się z wytworzonej sytuacji bez nadmiernych konsekwencji prestiżowych.

Inaczej zachował się gen. Sosnkowski w rok później. Ale też inaczej oceniał wtedy powagę, a nawet grozę sytuacji — właśnie, jako konflikt w sprawach wielkich, dotyczących niepodległości i całości państwa. Sprawa porozumienia polsko-sowieckiego stała się pilną po napadzie Hitlera na Rosję (22 czerwca 1941 roku). W rokowaniach pośredniczył rząd brytyjski. Zarówno Churchill, jak Eden wywierali duży nacisk na rząd polski, aby jak najszybciej doprowadzić do układu z ZSSR. Układ został podpisany 30 lipca 1941. Wywołał on duże sprzeczki ze strony Prezydenta, opinii publicznej oraz dużej części sfer politycznych. Krytykowano niejasne sformułowanie układu, które w rozumieniu wielu, otwierało sprawę naszych granic wschodnich. Taką interpretację nadawali układowi obserwatorzy zagraniczni. Związek Sowiecki nie taił, że tak właśnie interpretuje układ. Ponadto odnosiło się wrażenie, że rząd brytyjski jest uszczęśliwiony, że może po układzie zostawić swego polskiego sojusznika sam na sam z Sowietami.

Gen. Sosnkowski wystąpił z rządu łącznie z ministrami Seydą i Zaleskim na tle różnicy zdań z Premierem w sprawie sformułowań układu. Wówczas Sosnkowski doradzał Prezydentowi (który nosił się z myślą własnego ustąpienia), że jedyną formą poważnego protestu jest odwołanie się Prezydenta do Kraju i udzielenie dymisji rządowi oraz mianowanie nowego. Prezydent wahał się początkowo, jednak po paru dniach zwrócił się do Sosnkowskiego, aby przeprowadził rozmowy, mające na celu utworzenie nowego rządu pod swoim przewodnictwem. Rozmowy zostały przeprowadzone pomyślnie i bardzo szybko. 3 sierpnia gen. Sosnkowski miał już listę nowego gabinetu, w skład

którego mieli wejść przedstawiciele Stronnictwa Narodowego, P.P.S. i części Stronnictwa Ludowego. Generałowi Sikorskiemu miało być zaproponowane stanowisko Naczelnego Wodza (Lista tego gabinetu, skreślona ręką gen. Sosnkowskiego, zachowała się do dziś dnia). Przez chwilę zdawało się że zrealizuje się marzenie gen. Sosnkowskiego: doprowadzenie do współpracy P.P.S. ze Stronnictwem Narodowym w imię interesów nadrzędnych.

Gdy jednak listę tę, wraz z tekstem depeszy Prezydenta do Kraju zawiózł Generał na spotkanie z Prezydentem 3 sierpnia wieczorem — zastał zupełną zmianę postawy. Prezydent zaniechał myśli odwołania się do Kraju i zmiany rządu. Wrócił znowu do projektu swego ustąpienia, następnie rozważał także projekt „zasadniczej rekonstrukcji rządu” z pozostawieniem gen. Sikorskiego jako premiera.

14) Gen. Sosnkowski nie taił swego głębokiego żalu w związku z przysłaniem przez Kraj gen. Tatara. Zastępca Komendanta A.K. do spraw operacyjnych przysłany jako mąż zaufania. Otoczony więc atmosferą glorii w Londynie, jako ten co wie naprawdę co myśli Kraj. Jakże nie miał być uznany za eksperta w sprawach Armii Krajowej?... Nikt nie uprzedził Naczelnego Wodza o kłopotach, jakie miano z gen. Tatarem w Kraju; o jego politycznych przekonaniach i — ambicjach. Stąd wynikała cała jego „własna polityka” w tragicznym okresie. Jedyne wyjaśnienie, jakie gen. Sosnkowski otrzymał po wojnie: że Tatar dał słowo honoru, że wyjawi przed Naczelnym Wodzem swoje przekonania, i, że się nie będzie zajmował polityką...

15) Mianowanie ppłk. Utnika szefem Oddziału Specjalnego Sztabu. Generał chętnie przyznawał, że popełnił błąd, zastępując płk. Protasewicza człowieka o wielkiej lojalności, przez płk. Utnika, który związał się całkowicie z gen. Tatarem i na równi z nim jest odpowiedzialny za szereg posunięć idących wbrew intencjom Naczelnego Wodza. W szczególności odpowiedzialny jest za przetrzymywanie depesz Naczelnego Wodza w okresie poprzedzającym powstanie. Opóźnianie łączności między Naczelnym Wodzem a D-cą Armii Krajowej w owym okresie równało się przecięciu łączności.

Gen. Sosnkowski wyjaśniał, że nominacja płk. Utnika była jednym wypadkiem kiedy uległ presji politycznej: w tym wypadku groziło jakoby nawet cofnięcie poparcia przez Ligę Niepodległości, która domagała się „miejsca dla młodych”. Istotnie płk Utnik był czynny w organizacji „młodych”. Organizacja nie była zresztą tak silna za jaką się podawała, a „młodzi” nie byli znowu tak młodzi.

Atmosfera, warunki pracy czy to w „sojuszniczym Londynie”

czy w „sojuszniczym Paryżu”, nie były łatwe. Bardziej, niż trudności zewnętrzne, przeszkadzały stosunki panujące w rodzimych sferach politycznych. Potępiénice swary.

Pamiętam, jak kiedyś w chwili gorzkości mówił do mnie Generał: jednak Margrabia miał rację: „dla Polaków można zrobić wiele, z Polakami — nic...”

16) Generał odrzucał z oburzeniem insynuacje, jakoby dał jakieś tajne instrukcje gen. Okulickiemu przed jego zrzućeniem do kraju. Nie. Wysłał gen. Okulickiego do całkowitej dyspozycji gen. Bora.

17) Projektowany rozkaz o wypowiedzeniu rządowi posłuszeństwa. Z wielu stron wyrażano zdziwienie i niedowierzanie. Jak to? Sosnkowski taki legalista, dbający, aby wszelkie działania odbywały się w ramach ładu państwowego i porządku prawnego, miałyby się decydować na naruszenie porządku prawnego?

Prawdą jest, że Generał dbał o nienaruszanie ładu prawnego. Ale są przecież chwile szczególnie ważne, gdy naruszenie ładu jest dopuszczalne, niekiedy jest obowiązkiem. Wtedy gdy chodzi o rzeczy wielkie, o byt i niebyt, o całość i niepodległość. Wiemy, że różnice poglądów zasadniczych między premierem a Naczelnym Wodzem pogłębiały się. Wiosną 1944 gen. Sosnkowski obawiał się, że polityka ciągłych ustępstw („ześlizgów” — termin udatny, przejęty od gen. Kukiela) doprowadzi do „kapitulacji” wobec Moskwy to jest do wyrażenia zgody na twarde warunki jakie stawiał Stalin. Zwycięski Stalin zrealizował później swój plan podboju Polski. Ale stało się to bez akceptacji ze strony prawowitych władz polskich. Wówczas natomiast Generał obawiał się, że te ześlizgi mogą doprowadzić do akceptowania przez premiera warunków, narzucanych przez Stalina. Czyli innymi słowy, że nastąpić może powtórzenie Sejmu Grodzieńskiego. Gdy Generał przygotowywał się na tę tragiczną chwilę, nie przypuszczał, że powstanie wybuchnie tak szybko, zresztą miał nadzieję, że uda mu się utrzymać akcję przeciwko Niemcom w ramach „Burzy”, zgodnie z Instrukcją z dnia 7 lipca 1944. Gdy rozważał ewentualność wypowiedzenia posłuszeństwa — miejscem, z którego taki rozkaz miał być wydany, była zawsze Kwatery 2-go Korpusu. Tam było gros naszych Sił Zbrojnych, tam panowały nastroje, które przyjęłyby taki rozkaz wydany *in extremis* ze zrozumieniem.

Wiadomość, otrzymana na froncie włoskim, o nagłym odlocie premiera do Moskwy, wstrząsnęła głęboko generałem Sosnkowskim. Nie doszły go wtedy jeszcze wiadomości o przygotowaniach do wybuchu powstania. Zapowiedział Generał możli-

wość wypowiedzenia posłuszeństwa dość wyraźnie w depeszy do Prezydenta z dnia 28 lipca.

Donosiły o tym także meldunki agentów ministra informacji do rządu w Londynie. Oczywiście, wybuch powstania w Warszawie odwrócił porządek rzeczy i sprawa rozkazu wówczas upadła.

Gdy w polemikach prasowych podnosi się lament: co by było, gdyby było. Że to niby za druty, że duch szczypiorniacki, że alianci etc.

Mogą te żyły krokodyle osuszyć: będący w moim posiadaniu projekt rozkazu nakazywał kontynuowanie walki z Niemcami i dochowanie wierności soюзom.

Witold BABIŃSKI

Jan M. CIECHANOWSKI

NOTATKI Z ROZMÓW Z GEN. MARIANEM KUKIELEM

Gen. Marian Kukiel, ur. 15 maja 1885 r. a zmarły 15 sierpnia 1973 roku., był żołnierzem, historykiem i politykiem, który w okresie drugiej wojny światowej stał się jednym z najbliższych wojskowych i politycznych współpracowników gen. Władysława Sikorskiego, z którym łączyły go więzy głębokiej, starej i serdecznej przyjaźni. Najlepiej świadczy o tym ostatnia większa praca gen. Kukieła — *Generał Sikorski* — wydana w Londynie w 1970 roku.

Gen. Kukiel w okresie październik 1939 - wrzesień 1940 był zastępcą ministra Spraw Wojskowych w gabinecie gen. Sikorskiego, a następnie w latach 1940-42 dowódcą Wojsk Polskich w Szkocji. We wrześniu 1942 r. zostaje Ministrem Obrony Narodowej i pełni tę funkcję we wszystkich pozostałych wojennych gabinetach rządu polskiego w Londynie: Sikorskiego, Mikołajczyka i Arciszewskiego. Fakt ten czyni go jednym z współautorów zapadających w tym czasie w Londynie decyzji.

Stąd, relacje gen. Kukieła stanowią ważny, chociaż siłą rzeczy subiektywny, przyczynek do naszej najnowszej historii.

Wszystkie rozmowy podałem na podstawie własnych notatek, nie autoryzowanych przez gen. Kukieła.

J.M.C.

Londyn, 10 lipca 1964

Zdaniem gen. Kukieła Mikołajczyk przez PSL miał duży wpływ na Bora-Komorowskiego, który umiał rozmawiać z politykami. Sosnkowski, który ustąpił z Rządu w lipcu 1941 roku na skutek zatargu z Sikorskim w sprawie polsko-sowieckiego paktu był czerwoną płachtą na Sowiety. Wokół Sosnkowskiego grupowała się anty-rządowa opozycja¹. Po śmierci Sikorskiego, Mikołajczyk objął funkcje premiera, a Sosnkowski — naczelnego wodza. Anty-piłsudczycy chcieli aby Anders został naczelnym wodzem. Kandydatura jego upadła jednak, kiedy zaczął się domagać utworzenia rządu „uczciwych ludzi”, gdyby nie to, to Anders zostałby chyba naczelnym wodzem. W układzie Mikołajczyk-Sosnkowski premier przeszkadzał naczelnemu wodzowi, a naczelny wódz premierowi.

Sosnkowski chciał aby AK strzelała do Sowietów; aby przeprowadziła anty-sowiecką demonstrację. Nie widział *możliwości dogadania się ze Stalinem*. Mikołajczyk był zaś przekonany, że Stalinowi niezmiernie zależało, ze strategicznych względów, na doprowadzeniu do wojskowej współpracy pomiędzy AK i siłami sowieckimi, co ułatwiałoby im ogromnie prowadzenie operacji przeciwko Niemcom w Polsce. Mikołajczyk przeceniał militarne znaczenie AK i jej potencjalną przydatność dla Rosji, a nie doceniał możliwości Armii Czerwonej wyrzucenia Niemców z Polski bez większej pomocy ze strony AK. Ponadto nie zdawał on sobie sprawy z innej możliwości, mianowicie, że Stalin może nie zgodzić się na uznanie AK za sprzymierzeńca bez uprzedniego załatwienia sprawy granic i doprowadzenia do porozumienia w Kraju pomiędzy Delegaturą Rządu i PPR.

Mikołajczyk i Sosnkowski byli skłóceni. Trudno im było ze sobą współpracować. Chciałem ich pogodzić. Stąd 3 lipca (1944) zorganizowałem w Rubensie roboczy obiad, na który zaprosiłem Mikołajczyka i Sosnkowskiego, gdyż chciałem, aby omówili oni rozwój ostatnich wydarzeń dyplomatycznych i wojskowych oraz rozważyli sprawę wysłania dodatkowych instrukcji do Warszawy². Było rzeczy konieczną, aby Premier i Naczelny Wódz spotkali się i ponownie omówili rolę jaką kraj miał odgrywać w ciągu nadchodzących miesięcy. Stosunki pomiędzy Sosnkowskim i Mikołajczykiem były napięte, gdyż Naczelny Wódz obawiał się, iż Premier skapitułuje wobec nacisków Rosji. Co więcej Sosnkow-

1. Patrz też: M. Kukiel, *Generał Sikorski* (Londyn, 1970), str. 172-78.

2. O szczegóły patrz: J. M. Ciechanowski, *Powstanie Warszawskie* (Londyn, 1971), str. 339-44 — dalej Ciechanowski.

ski miał w ciągu najbliższych dni udać się do Włoch celem od-
wiedzenia 2-go Korpusu.

Przy końcu spotkania Mikołajczyk i ja prosiliśmy Sosnkowskiego aby odłożył swój wyjazd do Włoch i pozostał w Anglii, ze względu na toczące się wydarzenia na froncie wschodnim. Argumentowaliśmy to tym, że tylko z Londynu Naczelny Wódz mógł trzymać rękę na pulsie wypadków; tu w Londynie zbiegały się wszystkie nici. Poza tym sądziliśmy, że wszystko rozegra się w drugiej połowie lipca. Mikołajczyk mówił, że Sowietci przejdą Bug i dotrą do środkowej Wisły. Znajdą się pod Warszawą. Pomimo naszych próśb Sosnkowski nie zrezygnował z wyjazdu, obiecał jednak wrócić do Londynu w ciągu 48 godzin, o ile zaszła-
by tego potrzeba.

Mikołajczyk nie życzył sobie wyjazdu Sosnkowskiego do Włoch. Sosnkowski jechał do Włoch aby tam zorganizować bunt na wypadek gdyby Mikołajczyk *wszystko sprzedał i zdradził*³. Pisał o tym Babiński⁴ w swej relacji w *Kulturze* w 1958 roku⁵. Anders chciał aby Sosnkowski wracał do Londynu⁶.

Tymczasem w Warszawie stało się *nieszczęście*. Dwudziestego pierwszego lipca dowództwo AK dokonało zbyt optymistycznej oceny sytuacji na froncie wschodnim. Doszło do przekonania, że Niemcy na froncie wschodnim zostali pobici — ponieśli klęskę — i od 25 lipca zarządziło stan czujności do powstania. Wszystkie późniejsze decyzje podejmowane w kraju, które doprowadziły do wybuchu powstania w Warszawie w zasadzie były wynikiem tej wadliwej oceny sytuacji na froncie wschodnim⁷. Dowództwo AK źle wybrało moment rozpoczęcia walki w Warszawie. Oni pociągnęli fałszywą kartę — jokera — kiedy ostatecznie zdecydowali się działać. Dla mnie pojawienie się Rosjan w okolicach Pragi było niewystarczającym dowodem, że Armia Czerwona będzie w stanie przekroczyć Wisłę i zająć Warszawę. Sowietci podeszli pod Warszawę, dostali po pysku i odeszli podobnie jak w 1920 roku. — Co Pan myśli, że to tylko Polacy umieją bić Moskali. Już 30 lipca doszedłem do przekonania, po otrzymaniu wiadomości z Warszawy, że Niemcy ściągali pancerne posiłki do

3. O szczegóły patrz: Ciechanowski, str. 349-51.

4. Kpt. Witold Babiński zaufany adiutant i oficer do zleceń specjalnych Naczelnego Wodza.

5. Witold Babiński, „Na marginesie polemiki”, *Kultura* Nr 5 (127), 1958, str. 97-106; patrz też: tegoż samego autora *Przyczynki Historyczne*, Londyn, 1967), str. 380-81.

6. Patrz też: Z. S. Siemaszko, „Rozmowa z gen. Andersem, *Kultura* Nr 7/8 (274/275), 1970, str. 37; oraz Witold Babiński, „Na marginesie książki J. M. Ciechanowskiego, *Zeszyty Historyczne*, Nr 22/1972, str. 173-77.

7. O szczegóły patrz: Ciechanowski, str. 255-58.

rejonu stolicy, że rosyjsko-niemiecka bitwa o Warszawę przeciąga się i że trzeba było czekać na jej wyniki przed rozpoczęciem akcji AK⁸. W Warszawie sztab AK działał pod presją wypadków i zlekceważył przybycie niemieckich posiłków⁹. Niejasna jest też sprawa meldunku „Montera” o pojawieniu się czołgów sowieckich pod Pragę, który stał się bezpośrednią przyczyną wybuchu powstania¹⁰.

W sprawie instrukcji Rządu dla kraju, z października 1943 roku¹¹ gen. Kukiel oświadczył, iż na jej tle doszło do poważnych rozdzźwięków pomiędzy Premierem a Naczelnym Wodzem. — Różnili się oni w sprawie zachowania się kraju na wypadek wkroczenia Sowietów do Polski bez uprzedniego polsko-sowieckiego porozumienia politycznego. Mikołajczyk chciał aby Kraj w takich okolicznościach minimum sił demonstrował walką swą anty-niemiecką postawę. Sosnkowski zalecał zaś aby Kraj po stoczeniu walki z Niemcami ponownie zszedł do podziemia. Różnice te poważnie się odbiły na ich dalszych stosunkach, oraz instrukcjach dla Kraju.

W rzeczywistości przejście do ponownej konspiracji pod Sowietami było niemożliwością gdyż w Kraju konspiracja była względna i wszyscy wszystko o sobie wiedzieli: AK o komunistach i na odwrót. Ujawnianie się było po prostu koniecznością. Stąd, Rząd po otrzymaniu rozkazu Bora-Komorowskiego do „Burzy”¹² zgodził się w lutym 1944 na ujawnienie się AK i Delegatury Rządu wobec Sowietów¹³. Z drugiej strony robienie organizacji „Nie”¹⁴ i ujawnienie się prowadziło do sprzeczności. Jedno waliło w drugie; przekreślało możliwość rzeczywistej współpracy wojskowej pomiędzy AK i Sowietami. Te niekonsekwencje były wynikiem rozbieżności jakie istniały pomiędzy Premierem i Naczelnym Wodzem. Dopinguwało to Kraj do sformułowania trzeciej linii. Stosunek Kraju do „Londynu” zmienił się pod wpływem sprzeczności w instrukcjach Rządu i Naczelnego Wodza.

8. Gen. Kukiel zapytany przeze mnie — w sierpniu 1972 roku — dlaczego nie przekazał swej oceny sytuacji do Kraju oświadczył, że Minister Obrony Narodowej nie mógł się bezpośrednio komunikować z Borem-Komorowskim, gdyż nie posiadał do tego żadnych uprawnień. Było to wyłączną domeną Naczelnego Wodza.

9. Patrz też: „Minister Obrony Narodowej: Wywiad z Gen. Kukielem”, *Na Antenie* (Wiadomości), Nr 962, 6 września 1964.

10. O szczegóły patrz: Ciechanowski, str. 280-93.

11. O szczegóły patrz: tamże, str. 83 i dalsze.

12. O szczegóły patrz: tamże, str. 191 i dalsze.

13. O szczegóły patrz: Ciechanowski, str. 199 i dalsze.

14. Tajna organizacja anty-sowiecka, organizowana przez A.K. na rozkaz gen. Sosnkowskiego.

Sosnkowski zgodził się na ujawnienie się ale z restrykcjami. Sosnkowski nie wierzył że ujawnienie się bez uprzedniej umowy politycznej coś da. W wypadku 27 d.p. twierdził że musimy zawrzeć umowę polityczną przed umową wojskową. Mikołajczyk uważał nawiązanie współpracy wojskowej pomiędzy 27 d.p. i Armią Czerwoną za „wielki moment”, który może utorować drogę do politycznego porozumienia z Kreml¹⁵. Mikołajczyk przeceniał rolę AK. Moskale nie palili się do współpracy z AK — niepożądanym sojusznikiem.

W lipcu 1944 roku „Burza” przerodziła się w powstanie; w cykl działań powstańczych w dużym stylu; i daleko wyszła poza swoje pierwotne pojęcie. „Burza” wyrosła na Powstanie, które kryło się pod tym nic światu nie mówiącym pojęciem. W „Burzy” brały udział całe powstańcze dywizje. Gen. Kukiel bezskutecznie namawiał Naczelnego Wodza aby „Burzę” ogłosić powstaniem.

Zdaniem gen. Kukiela Moskale nie mogli wejść do Warszawy w pierwszych dniach powstania ze względów wojskowych. Churchill chciał Warszawę ratować. Niemcy likwidując powstanie załamali ducha Polski. Dla komunistów zlikwidowanie przez Niemców AK-owskiego aktywu było wielką okazją do wypłynięcia na szerokie wody.

Rząd udzielił Krajowi pełnomocnictwa na wywołanie powstania tylko na wypadek przerwania łączności pomiędzy Warszawą a Londynem. Mikołajczyk wypaczył sens uchwał Rządu, gdyż chciał z czymś pojechać do Moskwy. Dał Krajowi *passee-partout*.

Rząd o wybuchu powstania dowiedział się 2 sierpnia¹⁶.

Londyn, 10 stycznia 1969

Zdaniem gen. Kukiela termin wybuchu powstania warszawskiego był źle wybrany — była to pomyłka. Gen. Kukiel pod wpływem wiadomości z Kraju, depeszy mówiącej o przybywaniu niemieckich oddziałów pancernych do rejonu Warszawy¹, doszedł do przekonania 29 lipca że zbliża się niemiecko-sowiecki bój o stolicę. Nie przypuszczał więc że w tym czasie — w okresie najbliższych dni — dojdzie do wybuchu powstania w War-

15. O szczegóły patrz: Ciechanowski, str. 221 i dalsze.

16. Rozmowa odtworzona na podstawie własnych notatek nie autoryzowanych przez gen. Kukiela.

1. Depesza Dowódcy A.K. do Naczelnego Wodza, datowana 27 lipca 1944, otrzymana w Londynie 29 lipca 1944, Ldz. 6114/tjn. 44, I.G.S. — 6.

szawie. Gen. Kukiel powiadomił 29 lipca gen. Ismay'a, że Niemcy ściągają posiłki do walki o Warszawę².

Według gen. Kukieła meldunek „Montera” z 31 lipca o pojawieniu się czołgów sowieckich pod Pragę był przesadzony, lub zgoła fałszywy, „nie wiadomo jest z jakim meldunkiem 'Monter' przyszedł”. Okulicki dopingował Bora-Komorowskiego do walki. W końcu nie wytrzymały nerwy.

Jeśli Borowi-Komorowskiemu chodziło o walkę o Warszawę, a nie demonstrację, to powinien się porozumieć z Rokossowskim przed poderwaniem stolicy do boju. Mógł to zrobić „Monter”, lub Bór-Komorowski. Nie ulega kwestii, że walka AK o Warszawę miała być demonstracją, która miała zaskoczyć zarówno Niemców jak i Rosjan.

Gen. Kukiel stwierdził, że Grabski³ mówił raz Sosnkowskiemu, w jego obecności, że było nieszczęściem iż Wilno i Lwów zostały oddane bez strzału bolszewikom w 1939 roku. Po tej rozmowie Grabski-Sosnkowski-Kukiel, której daty nie podał, jego zdaniem Naczelný Wódz zaczął prawdopodobnie dopingować AK do „postrzelania się z Moskalami”. Rozum niestety nie rządzi światem.

Sosnkowski pojechał do Włoch szykować bunt wojska na wypadek „kapitulacji” Mikołajczyka w Moskwie — rekonstrukcji i wyjazdu nowego rządu do Warszawy przez Moskwę. Gen. Kukiel i gen. Kopański wzywali Sosnkowskiego do powrotu do Londynu w związku z sytuacją jaka w ostatnich dniach lipca wytworzyła się w kraju⁴. W tym samym czasie Babiński⁵ mówił „po co go sprowadzacie, niech siedzi we Włoszech”.

Zebranie (obiad) Mikołajczyk-Sosnkowski-Kukiel, do którego doszło z inicjatywy gen. Kukieła 3 lipca 1944 roku, miało na celu pogodzenie Premiera z Naczelnym Wodzem, analizę sytuacji w kraju oraz odmówienie Sosnkowskiego od wyjazdu do Włoch.

2. Memorandum Ministra Obrony Narodowej do gen. Sir Hastings L. Ismay'a, K.C.B., D.S.O., 29 lipca 1944 roku, I.G.S., A. XII. 3/90.2.

3. Stanisław Grabski, Przewodniczący Rady Narodowej w Londynie w latach 1942-45.

4. Patrz: Jan M. Ciechanowski, *Powstanie Warszawskie: Zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego* (Londyn, 1971), str. 344 — dalej Ciechanowski.

5. Kpt. Witold Babiński, zaufany adiutant gen. Sosnkowskiego do spraw specjalnych. Jak podchodził do tego zagadnienia sam Babiński patrz: Witold Babiński, *Przyczynki Historyczne: do okresu 1939-1945* (Londyn, 1967), str. 369 i dalsze; oraz „Pokłosie Dyskusji”, *Zeszyty Historyczne* Nr 16/1969, str. 226-227.

Po tej naradzie odbyła się konferencja Raczkiewicz- Mikołajczyk- Sosnkowski, na której zapadły jakieś uchwały.

Londyn, 31 stycznia 1971
(w obecności inż. Jerzego Kulczyckiego)

Pytanie: — Panie Generale jaki przebieg miały rady gabinetowe Rządu 25, 26 i 28 lipca 1944 roku, i co w ich czasie uchwalono?¹

Odpowiedź: — Na posiedzenie Rady Ministrów 25 lipca przyszedłem spóźniony wprost od Prezydenta, u którego byłem na konferencji wraz z Szefem Sztabu, gen. Kopańskim. Na konferencji omawialiśmy kwestię rozszerzenia pełnomocnictw dla Kraju we wszystkich istotnych sprawach, na wypadek zerwania łączności z Rządem. Istniała bowiem obawa, że Komenda AK może zostać odcięta od jej głównych radiostacji znajdujących się na południe od Warszawy — w okolicach Karczewa — na wypadek silnego, głębokiego włamania się Rosjan w tym rejonie. Radiostacje te mogłyby wtedy zostać „spalone”. Chodziło o upoważnienie Kraju do podjęcia każdej akcji i decyzji — a więc powstania, czy akcji w Warszawie — którą by okoliczności narzuciły, ale tylko na wypadek zerwania łączności z Londynem. Prezydent zgodził się na to, wyrażając przy tym pełne zaufanie do rozsądku zgodnie działających władz krajowych. Prezydent czynił to z wyraźną ulgą, gdyż ugiął się pod odpowiedzialnością i miał dosyć kłótni między Mikołajczykiem a Sosnkowskim. Chciał aby pełnomocnictwa te zostały do Kraju wysłane. W czasie konferencji nie sformułowano jednak konkretnej instrukcji dla władz krajowych, których przygotowaniem miał się zająć Sztab, a Rada Ministrów omówić 27 lub 28 lipca².

Okolo godz. 11-ej przybyłem na odbywające się posiedzenie Rady Ministrów, której zreferowałem przebieg narady u Prezydenta. Mikołajczyk podkreślał, że pełnomocnictwa dla władz krajowych muszą dotyczyć też ewentualnie powstania. Po wypowiedzi Mikołajczyka nastąpiła beładna dyskusja, której sens Pre-

1. O szczegóły patrz: J. M. Ciechanowski, *Powstanie Warszawskie* (Londyn, 1971), str. 352-56 — dalej Ciechanowski.

2. Stanisław Kopański, *Wspomnienia wojenne 1939-1946* (Londyn, 1961), str. 319.

Kwestią dyslokacji radiostacji A.K. w lipcu 1944 zajmuje się też Z. S. Siemaszko „Łączność Radiowa Sztabu N.W. w okresie Powstania Warszawskiego”, *Zeszyty Historyczne*, Nr 6/1964, str. 64 i dalsze.

mier podał do Kraju w swej depeszy z 26 lipca³. Niemniej, pamiętam, że większość opuszczająca posiedzenie była pod wrażeniem, iż kwestia przekazania pełnomocnictw nie została jeszcze ostatecznie załatwiona i będzie ponownie omawiana. Pełnomocnictw miano udzielić trójce kierowniczej — Delegatowi Rządu, przewodniczącemu Rady Jedności Narodowej i Dowódcy Armii Krajowej — która miała wspólnie działać i decydować. O przelaniu pełnomocnictw na jedną osobę — Delegata Rządu — nie było w ogóle mowy.

26 lipca nie było formalnego posiedzenia Rady Ministrów, a tylko toczyły się ciągle narady poszczególnych ministrów, którzy przychodzili po wiadomości, a następnie wspólnie je omawiali. Mikołajczyk szedł się do wyjazdu do Moskwy.

28 lipca przedstawiłem Radzie Ministrów projekt instrukcji do Kraju⁴. W czasie dyskusji nad projektem Banaczyk, Minister Spraw Wewnętrznych, oświadczył, iż wysłanie świeżych pełnomocnictw do Kraju jest zbyt ciężkie, gdyż posła już do Warszawy depesza w tej sprawie. Wywołało to konsternację u ministrów i powstał harmider. Nastąpiło odczytanie wysłanej depeszy i protokołu z posiedzenia Rady Ministrów z 25 lipca, którego nikt nie chciał podpisać, gdyż ministrowie uważali, iż był sfabrykowany. Ministrowie byli przekonani, że 25 lipca nie uchwalili oni żadnej konkretnej rezolucji w sprawie pełnomocnictw dla Kraju, a tylko przyjęli *pro domo* zasadę wysłania dużych upoważnień dla władz podziemnych. Depeszę z 26 lipca Mikołajczyk wysłał wraz z Banaczykiem bez wiedzy innych ministrów. Depeszą tą był zaskoczony Kwapiński⁵, Seyda⁶; nie pamiętam czy rozmawiałem w tej sprawie z Popielem⁷. Kot⁸ zajmował stanowisko nijakie, ale był zakłopotany. Osobiście byłem przekonany, że nic nie poszło do Kraju, co mogłoby być zachętą do powstania. W rozmowie mogło dojść do nieporozumienia i Mikołajczyk mógł uważać, że zapadła decyzja, aby upoważnić Kraj do podjęcia powstania, ale tylko w wypadku niemożności skomunikowania się z Rzą-

3. Depesza Mikołajczyka brzmiała: „Na posiedzeniu Rządu R.P. zgodnie zapadła uchwała, upoważniająca Was do ogłoszenia Powstania w momencie przez Was wybranym. Jeżeli możliwe, uwiadomcie nas przedtem. Odpis, przez wojsko, do Komendanta Armii Krajowej”. — Depesza Premiera do Delegata Rządu, 26 lipca 1944, Ldz. 2088/tjn./44., I.G.S., P.R.M., L 11.

4. Patrz też: Ciechanowski, str. 361 oraz St. Kopański, *op. cit.*, str. 321.

5. Jan Kwapiński wicepremier Rządu.

6. Marian Seyda — minister bez teki.

7. Karol Popiel, prezes Stronnictwa Pracy oraz minister Sprawiedliwości i odbudowy administracji. W sprawie oświadczenia Prezesa Popiela na ten temat patrz: Ciechanowski, str. 353-54, przypis 2.

8. Stanisław Kot — minister informacji.

dem. Mikołajczyk depeszę do Kraju z 26 lipca tak *sfabrykował*, iż Rada Ministrów z jej treści nie mogła się wycofać, gdyż już 25 lipca była przekonana o konieczności przekazania upoważnień do Kraju⁹. Upoważnienie wysłane przez Mikołajczyka do Kraju 26 lipca miało przesądzić kwestię wybuchu powstania; było ono zachętą do wywołania powstania. Mikołajczyk uważał, że wybuch powstania da mu potężny atut do ręki w czasie rozmów ze Stalinem. Niemniej, już w kilka dni po jego wybuchu okazało się, że Warszawa nie była atutem, lecz zakładnikiem w rękach Stalina, który mówił, albo zgadzacie się na wszystko — nowy rząd, linię Curzona — albo ja zostawię tę całą niepoczytalną awanturę własnemu losowi.

Mikołajczyk jechał do Moskwy w gorączce. Trapiło go pytanie: czy oni zaczęli, czy jeszcze nie. Oddział VI-ty też był w gorączce działania. Tatar¹⁰, który był fatalistą, uważał, że teraz wszystko musi walczyć, nawet bez względu na szanse powodzenia i straty. W czasie powstania Tatar mówił: „Upadnie Warszawa, to należy powtórzyć w Krakowie, Łodzi...” to są jego żywe słowa. Stratami się nie przejmował.

Rano 30 lipca wysłałem notatkę do Gen. Ismay'a¹¹, notatkę sytuacyjną, donoszącą o ruchach wojsk niemieckich w rejonie Warszawy, do którego przybyły dwie lub trzy niemieckie dywizje pancerne¹². Ostatnie wiadomości z Kraju wydawały się wskazywać że sowiecko-niemiecka bitwa o Warszawę może się przewlec i długo się rozgrywać.

Wyglądało że Powstanie się odwlecze. Stąd, był jeszcze czas na dokonanie zrzutów w rejonie Warszawy. Naciskałem Ismay'a aby poruszył kwestię zrzutów do Polski u najwyższych brytyjskich władz wojskowych, co obiecał uczynić.

W dniach 31 lipca i 1 sierpnia Rząd był spokojny, że w najbliższych dniach walki w Warszawie nie będzie ze względu na sytuację wojskową w jej rejonie. W Londynie siedząc w wygodnym fotelu łatwo było sprawę walki analizować i wyciągać odpowiednie wnioski. Tam, w Warszawie, wyciągnięto wniosek odwrotny.

9. Patrz: Ciechanowski, str. 352-53; St. Kopański, *op. cit.*, str. 320-22; ciekawe wywody na temat uchwały Rządu z 25 lipca 1944 snuje też Adam Pragier, *Czas Przeszły Dokonany* (Londyn, 1966), str. 759-61.

10. Gen. Stanisław Tatar zastępca Szefa Sztabu do Spraw Krajowych.

11. Sir Hastings Lionel Ismay Szef Sztabu Ministerstwa Obrony.

12. W notatce tej opartej na depeszy z Kraju gen. Kukiel podawał, że Niemcy w rejonie Warszawy mieli „prawdopodobnie” 10 dywizji, w tym 2 pancerne. — Memorandum Ministra Obrony Narodowej do gen. Sir Hastings Ismay'a, K.C.B., D.S.O., 29 lipca 1944, Instytut Gen. Sikorskiego, A. XII, 3/90.2. Patrz też: Ciechanowski, str. 272-3.

Pytanie: — Czy Gen. Sosnkowski był za walką?

Odpowiedź: — Sosnkowski był przeciwny Powstaniu w ówczesnych warunkach, ale nie mógł się zdobyć na decyzję zabronienia go, gdyż nie chciał być tym, który jest przeciwko dalszej walce z Niemcami. Siódmego lipca Sosnkowski był za zdobywaniem w ramach „Burzy” wielkich miast i ośrodków, chociaż później się z tego wycofywał. Gnębiły go fakty dokonane w Kraju. Niemniej, kiedy 25 lipca radio podało pobudkę wojska polskiego — sygnał czujności do powstania — to wszyscy wiedzieli, że idzie do powstania. — Ja nie wiedziałem co to znaczy, ale się zaraz domyśliłem. Stąd, sądziłem że Sosnkowski zaraz do Londynu wróci. On jednak nie wracał i w depeszach, które wysyłał do Londynu, mówiących o dekoracjach, audiencji u Papieża, wizycie u de Gaulle’a i innych takich ważnych rzeczach, robił sobie jakieś alibi na pozostanie we Włoszech¹³.

Nie chciał być w Londynie. Nie miał cywilnej odwagi, aby jasno i krótko powiedzieć: „Zabraniam walki w Warszawie, gdyż bez uprzedniego *ułożenia się z Rosjanami, nie widzę żadnych szans jej powodzenia*”. Trzeba było powiedzieć: Zabraniam. Nie wolno robić powstania czy „Burzy” w Warszawie. Mikołajczyk by się na to zżymał i dąsał, ale wreszcie by przystał.

Pytanie: — Chyba istniało jakieś nieporozumienie? — Sosnkowski był przeciwny powstaniu, a Bór-Komorowski tłumaczył: ja nie robię powstania, a tylko przeprowadzam „Burzę” w stolicy?

Odpowiedź: — Bór-Komorowski rozgrzeszył Rząd od wszelkiej odpowiedzialności za wybuch powstania w Warszawie, mówiąc że walka o Warszawę nie była powstaniem, a tylko „Burzą” w stolicy, za wszczęcie której odpowiedzialny był on sam, a nie powstaniem do którego zachęcał Mikołajczyk. Bór-Komorowski czuł się powołany do przeprowadzenia „Burzy” w Warszawie.

Powstanie warszawskie to straszna negatywna próba prowadzenia wojny bez połączenia w jednym ręku władzy politycznej i wojskowej. Tak wojny się nie prowadzi; tego u nikogo nie było. To nie mogło grać w naszych okropnych warunkach.

Kiedy Piłsudski jadąc na front w sierpniu 1920 roku zrzekł się na ręce Witosza funkcji naczelnika państwa to on o tym nikomu nie mówił, a pozostawione mu przez Piłsudskiego pismo

13. O oszczegóły patrz: Ciechanowski, str. 346 i dalsze.

w tej sprawie zamknął w pancерnej kasie i nikomu nie pokazywał¹⁴.

Pytanie: — Czy to prawda, że gen. Sosnkowski chciał być zrzucony do Kraju na krótko przed powstaniem, czy też w jego trakcie?

Odpowiedź: — Sosnkowski mówił mi przed swym odlotem do Włoch, że chciałby być zrzucony do Kraju, udać się do Warszawy i osobiście objąć dowództwo nad A.K. Powstrzymywałem go od tego zamiaru, tłumacząc, że Naczelný Wódz nie może z podziemia prowadzić wojny.

Pytanie: — Czy Gen. Sosnkowski mówił o wyjeździe do Kraju na serio, czy to były po prostu jakieś pogrózki pod adresem Rządu?

Odpowiedź: — Sosnkowski zawsze mówił serio. Kiedy był na bakier z Rządem to chciał jechać do kraju, aby wyjść z honorem z ciężkiej i kłopotliwej dla niego sytuacji.

Sosnkowski to wielka inteligencja i dobry generał, ale w 1944 roku dziwnie chadzała jego myśl. Ludzie wtedy nie byli sobą. Sosnkowski był załamany lub nadkruszony przez swój stosunek do Piłsudskiego. Po ciężkim postrzale w maju 1926 roku i odsunięciu go na margines i wyeliminowaniu na rzecz Śmigłego nie był już sobą.

Śmigły do Sosnkowskiego nie dorastał. To był mój dowódca pułku w Legionach, miły i przyjemny pułkownik. Był on opiekunem malarzy i poetów, ale nie umiał poważnie pracować nad sobą i pułkiem w sensie wojskowym¹⁵. Jego pułk był oficyną malarzy i poetów.

Zresztą Piłsudski też był chory. Cierpiał na uremię, która robiła wielkie spustoszenie już przed 1914 roku, a obezwładniła go w 1920 roku. Przed ofensywą w 1920 roku od 12 sierpnia Piłsudski był chory, pół-przytomny, trudno mu było zdobyć się na decyzję. Od śmierci Narutowicza Piłsudski nie był w stanie myśleć kategoriami wojskowymi.

14. O szczegóły patrz: Wincenty Witos, *Moje Wspomnienia*, Instytut Literacki, Paryż, 1964, tom II, str. 289 i dalsze.

15. Spotykałem się z wręcz odwrotnymi relacjami na ten temat — m.in. gen. Stanisława Tatara — według których marszałek Śmigły-Rydz w okresie międzywojennym dużo pracował nad sobą w sensie wojskowym.

Pytanie: — Czy Gen. Sosnkowski był więcej politykiem niż żołnierzem?

Odpowiedź: — Sosnkowski to był polityk i żołnierz co wynikało z tytułu zajmowania przez niego przez dłuższy okres czasu funkcji ministra spraw wojskowych¹⁶. Pociągała go bardzo polityka zagraniczna. W styczniu 1920 roku Sosnkowski uważał, iż wojna polsko-bolszewicka był już skończona, gdyż warunki pokojowe ofiarowywane przez Rosjan były lepsze, niż te których my chcieliśmy. A wojsko nasze było ubogie, a kraj zniszczony. Piłsudski poszedł jednak na Ukrainę.

Pytanie: — Czy gdyby żył Sikorski też doszłoby do historii z 1944 roku? Czy pozwoliliby Krajowi stawiać Rząd przed faktami dokonanymi?

Odpowiedź: — Sikorski by Kraju pilnował. Nie dałby Władzom Krajowym skakać. Może chciałby jechać do Kraju, ale sądzę że po doświadczeniach francuskich z 1940 roku do tego by nie doszło¹⁷.

Pytanie: — Jak Rząd przyjął wiadomość o wybuchu powstania?

Odpowiedź: — Wiadomość o wybuchu powstania w Warszawie, która dotarła do Londynu 2 sierpnia, wywołała żywą konsternację wśród władz politycznych i wojskowych, które od 30 lipca były pod wrażeniem, iż ze względu na przedłużenie się sowiecko-niemieckiej bitwy o Warszawę, w ciągu najbliższych dni nie dojdzie do wystąpienia AK w stolicy. Anglicy na wiadomość o powstaniu zdębieli. Wszyscy byliśmy zaskoczeni wybuchem Powstania 1 sierpnia.

Londyn, 19 lipca 1971¹

Tatar sam meldował Sosnkowskiemu o swoich poglądach w sprawie Rosji. Z poglądami swymi się nie krył. — Po powro-

16. Sosnkowski był w latach 1919-20 wice-ministrem, a następnie w okresie 1920-24 ministrem Spraw Wojskowych.

17. Patrz: M. Kukiel, *Generał Sikorski* (Londyn, 1970), str. 112 i dalsze.

1. Do rozmowy tej doszło po przeczytaniu przez gen. Kukiela maszynopisu mej rozmowy z gen. Borem-Komorowskim z 3 maja 1965 roku. — Patrz: „Gdy ważyły się losy stolicy”, *Wiadomości*, Nr 39 (1330), 26 września 1971.

cie z Waszyngtonu² sam mi mówił, że mając takich przyjaciół musimy sami porozumieć się z Rosjanami, którzy będą Polskę zajmować i w niej panować.

Tatar w Londynie czuł się źle; nie pasował do otoczenia. Sosnkowski dał mu szósty oddział³. To była bardzo wybitna jednostka. W szóstym oddziale wszyscy mu się poddali. Myśleli tak jak Tatar. Przestali myśleć na swoje konto. W Londynie Tatar niewiele mógł zrobić poza nieparlamentarnym, złym wyrażaniem się na temat polityków, ale zresztą nie tylko polityków.

Bór-Komorowski powinien pozostawić go w Polsce; nie pozbywać się jego. Gdyby Tatar był w Polsce, kiedy szykowano się do walki, to z pewnością nawiązałby on nieformalny kontakt z Rokossowskim. Tatar to wielka indywidualność. Może zbyt wielka jak na ówczesne krajowe warunki. Jeśli Bór-Komorowski chciał się bić z Niemcami w Warszawie to należało się porozumieć z Rosjanami. Dowiedzieć się jakie były ich zamiary i możliwości. O ile zaś Bór-Komorowski chciał stawiać opór Rosjanom w Warszawie to lepiej było powstania nie robić, gdyż miałyby to fatalne skutki.

Z pana rozmowy z Borem-Komorowskim wynika że był to szlachetny, uczciwy człowiek, wielki, twardy dowódca, który przyjmował całą odpowiedzialność na siebie i na nikogo winy nie zwał. Wierzył on swoim podkomendnym. Nie panował jednak nad wypadkami, które rozgrywały się i szły poza nim. Raz podjąwszy decyzję ignorował nieprzyjemne fakty. Nie dostrzegał niemieckich sił pancernych przybywających i koncentrujących się pod Warszawą, chociaż sam o tym zameldował do Londynu 27 lipca. Jego depesza w tej sprawie doszła do Londynu 29 lipca i znalazła się na moim biurku. Wynikało z niej, iż szykuje się niemiecko-sowiecka bitwa o Warszawę, która będzie się toczyć na wschód, a nie na zachód od Warszawy. Niemcy pobili Moskali.

To że powstanie w Warszawie mieściło się w ramach „Burzy”, jak twierdzi biedny Bór, to przesada. Głównym orędownikiem i projektodawcą walki o Warszawę był Okulicki, którego

2. O szczegóły patrz: J. M. Ciechanowski, *Powstanie Warszawskie* (Londyn, 1971), str. 22-39 — dalej Ciechanowski.

3. VI Oddział Sztabu Głównego, który zajmował się sprawami krajowymi. Gen. Stanisław Tatar pełnił w Londynie funkcję zastępcy Szefa Sztabu Głównego od spraw krajowych. Przy innej okazji gen. Kukiel powiedział mi, że gen. Sosnkowski znał poglądy gen. Tatara w sprawie Rosji, ale uważał iż po dłuższym pobycie w jego otoczeniu wyzbędzie się on swego „prosyjskiego” nastawienia.

Sosnkowski wysłał do Polski. „Monter” popełnił straszliwe głupstwo składając swój meldunek Borowi⁴. Trzeba było wysłać kogoś w przebraniu w okolice Pragi, aby zobaczyć co się tam dzieje.

W Londynie nikogo nie było. — Mikołajczyk popędził jak szalony do Moskwy. Walka o Warszawę miała być atutem w jego rozmowach ze Stalinem. Stało się jednak inaczej. Sosnkowski był we Włoszech i nie wydał żadnego konkretnego rozkazu. Powinien być na miejscu w Londynie. Bór mówi że wykonałby każdy rozkaz Naczelnego Wodza. Myślał że wykonuje „Burzę” i nie widział żadnych sprzeczności między swoimi decyzjami i instrukcjami Naczelnego Wodza.

Bór twierdzi, że Okulicki myślał realnie opowiadając się za ujawnianiem się wobec Rosjan, ale to niewiele pomagało. Ułatwiał im robotę w likwidowaniu AK. To wszystko to straszna tragedia.

Dobrze że Bór-Komorowski odciął się od depeszy w sprawie zgładzenia Retingera⁵. Na to nie poszedł, co dobrze o nim świadczy. Retinger, sześćdziesięcioparoletni człowiek, nie skakał do Polski w celach turystycznych. Jechał do Polski aby zorientować się czy porozumienie z Rosjanami było możliwe. Mikołajczyk zgodził się na skok Retingera do kraju, gdyż po zajęciu Polski przez Rosjan, mógł on być pośrednikiem w rozmowach ze Stalinem. Bór-Komorowski powinien był porozmawiać z Retingerem na ten temat. Nie orientował się on jednak we wszystkich niuansach różnych spraw. Był za bardzo prostolinijszy. Nie widział wszystkich aspektów bardzo skomplikowanego problemu.

Chciał się bić z Niemcami a zarazem dopuszczał możliwość stawiana oporu Rosjanom. Co miałyby fatalne skutki. Bór-Komorowski był dużej miary dowódcą. Sam dowodził, ale nie panował nad sytuacją. Ludzie w kraju nie mieli warunków do spokojnej pracy; nie mogli nawet usiąść i spokojnie pomyśleć. To wszystko jest straszne, bardzo tragiczne, wstrząsające, ale tak było. Taka jest prawda historyczna.

Gratuluję panu rozmowy. Zrobił pan z tego wspaniały dokument. Bardzo dużo pan z Bora wycisnął.

Rozmawiał J. M. CIECHANOWSKI

4. Patrz: Ciechanowski, str. 290-3 oraz 306-8.

5. Szczegóły patrz: „Retinger w Polsce”, *Zeszyty Historyczne*, Nr 12/1967, str. 56 i dalsze.

NIEKTÓRE WYPOWIEDZI PŁK. BĄKIEWICZA

W styczniu 1974 zmarł w Londynie płk dypl. Wincenty Bąkiewicz. Na ogół był on mało znany, a tymczasem odnosi się wrażenie, iż wywierał poważny wpływ na polski sztab w ZSSR, a później na Środkowym Wschodzie i we Włoszech. W ciągu całego tego okresu miał on również łatwy dostęp do gen. Andersa i z pewnością był jednym z jego głównych doradców.

Poznałem go późno, bo dopiero w początku lat 60-tych, kiedy prowadziłem badania nad łącznością radiową Sztabu NW. Potrzebne mi były informacje na temat komunikowania się 2-go Korpusu ze Sztabem NW. Wiedziałem, że ta sieć radiowa podlegała Drugiemu Oddziałowi. Odnalazłem więc w książce telefonicznej Bąkiewicza, który był szefem tego Oddziału w 2-gim Korpusie, zadzwoniłem, wyjaśniłem o co mi chodzi i prosiłem o spotkanie. Umówiliśmy się. Kiedy przyjechałem w oznaczonym czasie na daleki Streatham (dzielnica w południowym Londynie), do domu który przypominał nieco dworek kresowy, Pułkownik otworzył drzwi osobiście i powiedział: — Dzień dobry, panie Zbigniewie. Stało się dla mnie jasne, że, jak przystało na dobrego dwójkarza, dowiedział się już o mnie tyle, ile mu było potrzeba, bo przecie nie przedstawiałem mu się z imienia.

To było pierwsze spotkanie, potem były dalsze, zarówno w domu państwa Bąkiewiczów jak i w mieście. Rozmowy z Pułkownikiem należały do przyjemności. Miał on rzadko spotykaną u Polaków, a szczególnie u wojskowych, szerokość spojrzenia i zdolność zrozumienia przesłanek innych ludzi, należących nieraz do przeciwnego obozu. Jednocześnie swoje własne poglądy formułował zwięźle i jasno, bez uników i niedomówień.

Pomimo, iż Pułkownik pochodził z Sandomierszczyzny, mówił z lekkim wschodnim akcentem, co było chyba skutkiem służby w armii carskiej, a później, po 1917 roku, w dywizji syberyjskiej.

Niestety, nie robiłem notatek ani w czasie rozmów, ani też z miejsca po powrocie do domu. Wobec tego to co będę pisał, to jedynie zapamiętane skrawki rozmów, o tyle dokładne, o ile dokładna jest moja pamięć. Sądzę jednak, że należy spisać to co pozostało mi z tych spotkań, ażeby upamiętnić niektóre przynajmniej wypowiedzi tego oficera, który odgrywał poważną rolę w ośrodku wojskowo-politycznym kierowanym przez gen. Andersa.

ARCHIWA DRUGIEGO ODDZIAŁU

Pierwsza rozmowa zaczęła się od informacji w sprawie wewnętrznej łączności radiowej 2-go Korpusu, o którą mi wówczas chodziło. Bąkiewicz zareagował mniej więcej w taki sposób.

— Wolałbym nie odpowiadać z pamięci, bo mogę coś pomylić. Niech Pan poda mi konkretne pytania, zanotuję je, potem przy najbliższej okazji zajrzę do naszego archiwum i na podstawie dokumentów przysłę Panu odpowiedź na piśmie.

Tak się też potem stało (patrz 6-e Zeszyty Historyczne, str. 79 i 89). Tymczasem Pułkownik kontynuował:

— Całe archiwum Drugiego Oddziału 2-go Korpusu zdeponowałem po wojnie, zapewniając dostęp sobie i paru innym osobom (niestety, nie spytałem, gdzie zostało zdeponowane to archiwum — Z.S.S.). Sądzę, że jeszcze jest stanowczo za wcześnie, żeby ktoś w tych dokumentach grzebał. Są to jeszcze sprawy zbyt świeże i emocjonalne zaangażowanie zbyt wielkie. Niech upłynie jakiś czas, jak gen. Anders umrze, jak ja umrę, jak inni odejdą z tego świata, to dopiero wówczas będzie może odpowiednia atmosfera do studiowania tych dokumentów. Zresztą nie jestem zwolennikiem zajmowania się historią wywiadów, bo nigdy nie dojdzie się do tego, jak tam było naprawdę. Są to niekiedy sprawy zbyt tajne, żeby na bieżąco zostawiać po nich ślad w dokumentach lub uświadamiać zbyt wiele osób. W niektórych sprawach zaledwie paru ludzi wie jaki był przebieg wypadków w rzeczywistości, ale i oni nawet nie zdołaliby udowodnić swoich wiadomości, szczególnie po pewnym czasie. Z tych powodów nie mogę Panu udostępnić naszych archiwów, ale na Pana konkretne pytania postaram się jak najdokładniej odpowiedzieć listownie.

NIEWOLA SOWIECKA

Wyraziłem zdziwienie, że władze sowieckie w których ręce dostał się Bąkiewicz we wrześniu 1939, nie zlikwidowały oficera Oddziału Drugiego, majora dyplomowanego, który specjalizował się przed wojną w sprawach sowieckich. Bąkiewicz odpowiedział w ten sposób.

— W czasie pierwszego badania zauważyłem, iż *sledowatiel* trzyma w ręku mój ostatni raport, sporządzony latem 1939. Były zaledwie trzy kopie tego raportu, jedną miał Rydz-Smigły, drugą (nie pamiętam kto — Z.S.S.), a trzecia była w moim biurze. W jaki sposób bolszewicy dostali jedną z tych kopii nie wiem. Ale ona mnie uratowała, bo z tego raportu wynikało niezbiecie, że nie kierowałem wywiadem przeciwko ZSSR, a jedynie prowadziłem studia nad militarno-ekonomicznymi możliwościami Sowietów na podstawie wiadomości dostarczonych przez wywiad, jak również czerpanych z innych źródeł.

W czasie mego dalszego pobytu w więzieniu wielokrotnie dyskutowali ze mną sprawy poruszone w tym raporcie. Wyglądało, iż przerażeni byli tym, że moje wnioski były tak bliskie

stanu rzeczywistego, co im sugerowało, iż inne zewnętrzne wywiady mogą wiedzieć o nich tak samo wiele.

Nawiasem mówiąc jeszcze przed wojną doszedłem do wniosku, iż ryzykowna i kosztowna praca wywiadu nie jest zbyt skuteczna, że o wiele łatwiej, taniej i bez ryzyka można uzyskać bardzo dobre wiadomości poprzez systematyczne i drobiazgowo studiowanie wydawnictw obcego państwa, a szczególnie wydawnictw technicznych i fachowych. W czasie moich przedwojennych studiów właśnie z tego źródła dostawaliśmy najlepsze wiadomości o Sowietach.

Chciałem również dodać, że pod koniec wojny we Włoszech wzięliśmy do niewoli niemieckie biuro studiujące sprawy sowieckie. Nie zlikwidowaliśmy go, a nawet rozszerzyliśmy. Biuro to posiadało ogromny zasób bieżących wiadomości o Sowietach, ale niestety, wkrótce po zakończeniu wojny musieliśmy to wszystko rozwiązać, bo w owej sytuacji Anglicy nie zgadzali się na utrzymanie tego biura.

CZY WOJSKO BĘDZIE SIĘ BIĆ?

O nastrojach w Armii Polskiej w ZSSR mówił płk Bąkiewicz mniej więcej tak:

— Początkowo w wojsku nastroje antysowieckie nie były tak silne, jak później, kiedy zaczęli napływać więźniowie zwolnieni z łagrów i więzień. Na skutek wzmożenia się w oddziałach wrogości do Sowietów, która zresztą była w pełni zrozumiała, zaistniał problem czy wojsko nasze zechce walczyć u boku Armii Czerwonej jako sprzymierzeńcy. Istniały co do tego pewne wątpliwości i gen. Anders kazał mi zbadać nastroje. Poświęciłem temu zagadnieniu sporo wysiłku, ale odpowiedzi jednoznacznej nie mogłem dostać. Wynikało z tego, że istnieją wątpliwości czy nasze wojsko zechce walczyć na froncie sowieckim. Te wątpliwości zostały częściowo potwierdzone później, kiedy niektórzy żołnierze z oddziałów Berlinga, a był to element żołnierski bardzo podobny do naszego, przeszli na stronę niemiecką.

Osobiście byłem zwolennikiem pozostania w Sowietach i na ten temat miałem z gen. Andersem rozmowy, które nieraz przybierały nieco kontrowersyjną formę. Ale gen. Anders „unieszkodliwił” mnie stwierdzając, iż z jednej strony uważam że powinniśmy zostać w ZSSR, a z drugiej składam meldunki, że nie wiadomo, czy wojsko zechce się bić obok Sowietarzy, że to są

sprzeczne stwierdzenia, albo jedno, albo drugie. Musiałem zamilknąć. Gen. Anders miał rację.

POZOSTANIE BERLINGA

Stwierdziłem, iż podejrzewam, że pozostanie Berlinga w Sowietach było po cichu uzgodnione ze sztabem gen. Andersa. Bąkiewicz zapytał o przestanki na których to przypuszczenie opieram. Wymieniłem następujące:

- (a) Berling do ostatniej chwili zajmował odpowiedzialne stanowiska, najpierw jako szef sztabu Piątej Dywizji, a potem jako komendant bazy ewakuacyjnej w Krasnowodsku;*
- (b) Tradycyjnie, transporty odpływające z Krasnowodska były żegnane mową przedstawiciela bazy ewakuacyjnej (mój transport żegnał Ignacy Jeśman, mój starszy kolega z gimnazjum, dotychczas mam numer Orła Białego który mi wówczas подарował). Ostatni transport z Krasnowodska żegnał Berling osobiście. Jego mowa da się streścić tak: — Wy pojedziecie tam gdzie będzie dobrze, gdzie będzie jedzenie, broń i ciepło, a my zostaniemy tu, może jeszcze coś da się zrobić;*
- (c) Z wojska można wyjść na dwa sposoby, albo można zostać zwolnionym, albo stać się dezterem i wówczas jest się odpowiedzialnym przed sądem. Ponieważ Berlinga nie sądzono zaocznie na Środkowym Wschodzie, co propagandowo byłoby chyba pożądane, więc widocznie nie był on dezterem, a natomiast został po cichu zwolniony.*

Bąkiewicz wysłuchał mojej argumentacji i odpowiedział w ten sposób:

— W zasadzie tak powinno było być jak Pan mówi. Skoro jeden zespół ludzi, który opierał się na niezależności państwowej i nienaruszalności granic, już się zgrał i musiał się wraz ze swoim dorobkiem wycofać, powinien był on zostawić za sobą inny zespół, którego celem byłoby ratowanie jedynie tego co się da uratować. Ale u nas, Polaków, takich rzeczy nie da się zorganizować. Jesteśmy zbyt skrajni, zbyt jednostronni. Niestety, nie ma Pan racji, pozostanie Berlinga nie było w żaden sposób uzgodnione ze sztabem gen. Andersa. Berling został samowolnie, a z nim razem zaledwie paru oficerów (mjr Leon Bukojemski — obecnie w kraju, gen. w st. spoczynku i por. pilot Wircherkiewicz — zginął nad Żoliborzem we wrześniu 1944 w stopniu mjra, została również pani, o którą wynikły nieporozumienia

między gen. Borutą-Spiechowiczem i Berlingiem, późniejsza żona Berlinga, w sumie zostały tylko cztery osoby z całej armii Andersa — Z.S.S.). Reszta towarzyszy Berlinga z „willi szczęścia” w Małachowce pod Moskwą wyjechała z nami na Środkowy Wschód. Wstrętów im nie robiliśmy, ale żadnego z nich nie zabraliśmy ze sobą do Włoch.

DZIAŁANIE POLSKICH SZTABÓW

Kiedy na jego zapytania, mówiłem płk. Bąkiewiczowi o swoich dociekaniach nad wizytą Retingera w kraju w 1944 roku, a między innymi o tym, iż z jednej strony były oficjalne funkcje, tytuły i hierarchia dowódcza, a z drugiej dwaj pułkownicy, jeden w kraju (Iranek-Osmecki), a drugi w Londynie (Demel), pomiędzy którymi nie było żadnej służbowej współzależności, wymieniali telegramy o treści dotyczącej spraw nie błahych (wizyta Retingera w kraju) używając wojskowych kanałów łączności, płk Bąkiewicz zareagował tak:

— Jakież to znajome i nasze, co Pan mówi. W armii brytyjskiej regulaminy były uświęcone tradycją, to było życie. Nie trzeba było studiować regulaminów, żeby wiedzieć jak należy postępować. Wystarczało obserwować bieżącą procedurę. A u nas regulamin swoje, a życie swoje, regulamin to teoria, a sprawy załatwiała się po znajomości — Stasiu, Jasiu. Stanowczo za krótko istnieliśmy, żeby ugruntować w naszym wojsku procedurę i ożywić regulaminy.

RETINGER

Mówiąc w dalszym ciągu o moich ówczesnych dociekaniach zapytałem Pułkownika, kto właściwie wysyłał, czy sprowadzał Retingera do 2-go Korpusu, kto legalizował jego przyłoty z Londynu i kogo on właściwie reprezentował przybywając do 2-go Korpusu?

— Nie potrafię na te pytania odpowiedzieć. Nie wiem kim on był i kogo reprezentował, chociaż niekiedy oddawał on nam drobne przysługi. Wiem tylko, że gen. Anders kazał mi nim się opiekować w czasie jego pobytu u nas i pokrywać jego wszystkie rachunki z mego funduszu specjalnego. A to był koszt nie byle jaki, szczególnie, że już od samego rana Reinger chodził z butelką whisky jak ze smoczką.

Co łączyło gen. Andersa z Retingerem? — zapytałem.

— Może kontrast fizyczny, a może brydż — odpowiedział Pułkownik. — (Chociaż nie ma na to niezbitych dowodów, ale można domyślać się, że przyjaźń pochodziła z okresu, kiedy Retinger, wbrew gen. Sikorskiemu, popierał skutecznie ewakuację całości Armii Polskiej z Sowietów — Z.S.S.). Ale mówiąc o Retingerze, chciałem zwrócić uwagę, że nie powinien Pan być publikować tego co powiedział Panu płk Demel na temat zamiarów zgładzenia Retingera, a przynajmniej nie należało tego publikować za życia Demela. Z chwilą kiedy Pan to ogłosił, płk Demel nie miał wyjścia i musiał się tego wyprzeć, a to z następujących powodów (*Kultura* nr 5/223 i 9/227 — 1966). Po pierwsze, nikt nie jest zbyt skory przyznawać się publicznie, iż sugerował zgładzenie kogokolwiek, a po drugie, nie wiadomo kto i kiedy zechce wyciągnąć konsekwencje z tego rodzaju oficjalnego przyznania się.

OFICEROWIE WYWIADU

Zwróciłem się do płka Bąkiewicza z zapytaniem, jak załatwiają w polskich sztabach sprawy nie mieszczące się w granicach prawa, a wiadomo, że takie sprawy istnieją w każdym wywiadzie, czy kontrwywiadzie. Odpowiedź była następująca.

— Oficer Drugiego Oddziału, wchodzący w skład danego sztabu, nie miał obowiązku meldowania o takich sprawach dowódcy jednostki, do której był przydzielony, dopóty dopóki ten dowódca nie zażądał meldunku. Zwykle dowódcy wielkich jednostek byli na tyle rozsądni, że takich meldunków nie wymagali dopóki nie było to absolutnie konieczne, to znaczy dopóki sprawa nie wyszła na jaw. W tych okolicznościach dowódca zostawał czysty, co było celem tej procedury, a odpowiedzialność spadała na oficera Dwójki, który musiał ponieść konsekwencje, ale wówczas przychodziła mu z pomocą cała organizacja Oddziału Drugiego, pod warunkiem, że nie przekroczył on swoich kompetencji. Czasami zdarzało się, iż dowódca jednostki zaczynał interesować się wewnętrznymi sprawami. Oddziału Drugiego i wówczas wynikały kłopoty, ale zdarzało się to rzadko. No i trzeba pamiętać, że tych spraw leżących poza „granicami prawa” nie było znowuż tak wiele.

OKULICKI

Prosiłem o wyjaśnienie pewnych rzeczy, na które natrafiłem w dokumentach. Na przykład: Płk Okulicki miał odprawę u Nacz. Wodza w Londynie, mogła ona trwać dwie, trzy godziny. Potem, kiedy we Włoszech czekał na zrzut do kraju, depeszował do Nacz. Wodza zapytując, czy została zrzucona jego poczta, bo bez niej nie będzie mógł składać swego meldunku dowódcy AK. Jakto, nawet w warunkach konspiracyjnych pułkownik dyplomowany nie mógł zapamiętać co Nacz. Wódz powiedział mu i musiał postugiwać się notatkami? Na to płk Bąkiewicz odpowiedział:

— Ma Pan rację, przeciętny pułkownik byłby w stanie zapamiętać co mu Nacz. Wódz powiedział w przeciągu paru godzin, ale Poldek to był specjalny oficer, to był człowiek akcji. Dać mu grupę operacyjną i konkretne zadanie na froncie, a jednocześnie stać i patrzeć jak on to zadanie wykonuje, to on byłby świetny, ale do myślenia, do zapamiętywania, Poldek nie nadawał się, to nie była jego specjalność.

PODPULKOWNIK HAŃCZA

Sprawę Hańczy (ppłk Ryszard Dorotycz-Malewicz) przedstawił płk Bąkiewicz w sposób następujący (na sprawę tę rzuca nieco światła relacja płk. dypl. Roli w niedawno wydanej książce „Dziękuję wam rodacy”, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1973 — str. 180):

— Baza Oddziału Specjalnego koło Brindisi, którą kierował Hańcza, była jednostką sztabową i nie wchodziła w skład 2-go Korpusu. Ta niezależność została również zachowana po zlikwidowaniu Bazy na południu i ulokowaniu jej resztek jako Szkoły Radiotechnicznej pod Rzymem, a częściowo w samym Rzymie (warsztaty ulokowano w budynkach firmy Safar pod Rzymem, a dowództwo i szkołę na placu Remuria w stolicy; zdaniem płk. Roli, który w tym czasie był dowódcą łączności 2-go Korpusu, latem 1945 Szkoła Radiotechniczna podlegała służbowo 2-mu Korpusowi, chociaż Hańcza w dalszym ciągu komunikował się bezpośrednio z gen. Tatarem w sprawach zlikwidowanej Bazy nr 11 — Z.S.S.). Stosunki między 2-gim Korpusem i Bazą oddziału Specjalnego nie były zbyt przyjazne, ale też nie były one wrogie. Pamiętam, iż wkrótce po zakończeniu działań wojen-

nych Hańcza zwrócił się do mnie z prośbą o przerzucenie kilku jego skrzyń na drugą stronę Brenner'u. Nie odmówiłem i skrzynie zostały przerzucone. Nie kazałem nawet swoim ludziom do nich zaglądać, więc nie wiem co w nich było, chociaż mogłem się domyślać, iż były one przekazywane do dyspozycji gen. Tatara. Wychodziłem z założenia, że skoro inny polski wyższy oficer zwraca się do mnie z prośbą, to powinienem mu pomóc.

Nie wiem dokładnie kiedy Hańczy zakazali korespondować z krajem (oficjalnie korespondencja z Włoch miała być zakończona 1 kwietnia 1945 — Z.S.S.), ale w jakiś czas potem, już po zakończeniu wojny, gen. Alexander zwrócił się do gen. Andersa z żądaniem, aby dopatrzeć żeby zaprzestano korespondencji radiowej z Polską z terenu Włoch i podkreślił, iż nie chce wchodzić w detale polskiej organizacji i rozróżnienia pomiędzy polskimi sztabowymi oddziałami i oddziałami 2-go Korpusu. Stwierdził, iż z jego punktu widzenia gen. Anders jest całkowicie odpowiedzialny za wszelką polską działalność we Włoszech. Gen. Anders obiecał mu wówczas, iż korespondencji radiowej z Włoch nie będzie. Wówczas już mieliśmy własną sieć 2-go Korpusu nastawioną na kraj, która nie posługiwała się radiem.

Wkrótce po tej rozmowie z Alexandrem wezwał Anders do siebie Hańczę i zażądał od niego obietnicy, iż nie będzie korespondował z krajem. Hańcza dał taką obietnicę, zdaje mi się że nawet na piśmie, bez żadnych oporów, czy komentarzy. (Podobno Hańcza miał trzy radiostacje, jedną działającą na placu Remuria i dwie w odwodzie, w fabryce Safar i w konspiracyjnym mieszkaniu w mieście — Z.S.S.).

Wyglądało, że sprawa została załatwiona. Tymczasem w kilka tygodni później, w czasie jednego z licznych bankietów, kiedy już wypito sobie dobrze, Alexander przechylił się do Andersa i powiada: — „My tu cacy, cacy, niby wielcy przyjaciele, a tymczasem raz mnie nabrałeś”. Na pytanie Andersa o co mu chodzi, Alexander odpowiedział: „Obiecałeś, że nie będzie korespondencji radiowej z Włoch, a tymczasem wasze stacje w dalszym ciągu nadają stąd do Polski”. Pan wyobraża jakie tego rodzaju zarzut ma znaczenie, na tym szczeblu, wśród takich osobistości. Anders był zły i następnego dnia wezwał do siebie Hańczę.

Hańcza jak zwykle przyjechał jeep'em z szoferem i zaparkował go w tym samym miejscu co zwykle w czasie swoich wizyt w naszej Kwaterze Głównej, w Porto San Giorgio nad Adriatykiem.

Jak wyglądała rozmowa Andersa z Hańczą, nie wiem. Rozmawiali w cztery oczy, świadków nie było. Na zakończenie zostałem wezwany do gabinetu Andersa. Obaj z Hańczą byli spokojni,

ale twarze mieli poważne. Gen. Anders oświadczył mi, iż ppłk Hańcza jest pod aresztem domowym i ma pozostać tu u nas w Kwaterze Głównej, a ja jestem osobiście za niego odpowiedzialny.

Wyszlśmy razem z Hańczą z kancelarii Generała. Hańcza był całkiem spokojny, a nawet jakby bez troski. Przydzieliłem mu osobny barak i gońca, kaprała. Był to sprytny chłopak, używałem go do podobnych funkcji jeszcze w Sowietach z bardzo dobrym skutkiem. Kazałem mu nosić wszystkie posiłki z kasyna do baraku pułkownika, jako jeden z prostych sprawdzianów, że pułkownik nie uciekł. Kazałem mu również mieć oko na zaparkowany jeep, zaprzyjaźnić się z szoferem Hańczy i przebywać z nim jak najwięcej.

Przez kilka dni był spokoj. Kaprał meldował kilka razy na dzień, że wszystko w porządku. Pułkownik dobrze jadł i spał, z nikim się nie kontaktował, co dzień spędzał pewien czas na plaży, chodził na krótkie spacery, ze swoim szoferem nie konferował. Nie wiedziałem co ma się stać dalej, gdyż gen. Anders nie rozmawiał ze mną na ten temat.

Po kilku dniach z rana przybiegł zaafcerowany kaprał i zameldował, że zaniósł Hańczy śniadanie, ale nie ma go w baraku, a łóżko, choć rozrzucone, zimne. Jednocześnie zameldował, że jeep stoi na swoim miejscu, a szofer zachowuje się normalnie i wygląda, że nic nie wie. Zbagatelizowałem te informacje i powiadziłem kapralowi, żeby poszedł na plażę, bo pewno pułkownik zażywa rannej kąpieli. Po chwili kaprał wrócił strapiiony, bo ani pułkownika, ani też jego garderoby na plaży nie znalazł. Zarządziłem poszukiwania w całym rejonie Kwatery Głównej — bez skutku, nikt Hańczy nie widział i nie słyszał. W parę godzin później rozesłałem listy gończe z fotografią do wszystkich placówek Oddziału Drugiego z rozkazem aresztowania. Byłem przekonany, że całe Włochy, od Alp po samo południe, mam obsadzone tak, że pościg za taką osobistością jak pułkownik nie potrwa dłużej niż jeden dzień. Tymczasem płynęły dnie a śladu po Hańczy nie było. Gen. Anders nie mówił nic, ale widziałem, że nie patrzy na mnie łaskawym okiem. Wreszcie nadszedł meldunek z placówki w Rzymie, iż są na tropie Hańczy, a wkrótce potem następny że Hańcza zastrzelił się. Było to dla mnie poważnym zaskoczeniem, gdyż nie spodziewałem się, że targnie się na swoje życie, chociaż z drugiej strony, przed wojną w Krakowie Hańcza usiłował popełnić samobójstwo, więc musiała to być psychika niestabilna. Wówczas chodziło o jakieś sprawy kwatermistrzowskie, zresztą Hańcza osobiście miał czyste ręce, to jego

podwładni robili jakieś machlojki (płk Rola potwierdza te fakty — Z.S.S.).

Celowo zostawiliśmy sprawę w ręku Anglików i nie braliśmy udziału w sekcji zwłok i ustaleniu przyczyny śmierci. Angielscy eksperci stwierdzili, iż było to samobójstwo. Tymczasem krążą plotki, że myśmy go zamordowali. Gdyby rzeczywiście był zamiar zlikwidowania Hańczy, to przecież nie zostawiłbym tej tak drażliwej sprawy w rękach przypadkowego zespołu placówki rzymskiej, a wysłałbym specjalny patrol bardziej nadający się do tego rodzaju, dość zresztą niezwykłego, zadania.

Ostatnio płk Michniewicz ogłosił w *Kulturze* (Nr 10/192, 1963) artykuł oskarżający nas o zamordowanie Hańczy w celu dostania w swe ręce pieniędzy przeznaczonych na akcję krajową, które były pod jego opieką. Jest to pomylenie faktów. Sprawa Hańczy zaczęła się od korespondencji z krajem, a sprawa pieniędzy, która rzeczywiście zaistniała, wynikała dopiero po samobójstwie Hańczy. Zastanawiałem się jak należy wobec oskarżenia Michniewicza zachować się. Kontaktowałem się w tej sprawie z dawnym pchor. Aksanem, mieszka on w Anglii, który według Michniewicza zachować się. Kontaktowałem się w tej sprawie sądową, ale komu, czy Michniewiczowi w Argentynie, czy też *Kulturze* we Francji? A poza tym, gdyby sprawa poszła do sądu brytyjskiego, to chcąc nie chcąc wypłynęłaby kwestia pieniędzy, które w końcu faktycznie znalazły się w naszych rękach. Niewątpliwie zadano by mi pytanie, co myśmy z tymi pieniędzmi zrobili? A ja na to pytanie publicznie odpowiedzieć nie mogę. Większość tych pieniędzy zużyliśmy w naszej własnej sieci krajowej. Mam kompletną imienną listę sum przekazanych do kraju poszczególnym osobom. Tu był nie dawno jeden z takich panów, przyjechał do Londynu i udawał, że mnie nie zna. Ale przecie nie mogę tej listy udostępnić sądowi brytyjskiemu, czyli praktycznie rzecz biorąc opublikować — to byłoby nieuczciwe. Niewątpliwie Bezpieka wszystkiego nie wie i o ile mogę się zorientować to w niewielu jedynie wypadkach zdołała ustalić komu pieniądze przekazywaliśmy. W tej sytuacji publiczne rozliczenie się z tych sum byłoby karygodnym przestępstwem wobec pewnych osób w kraju. Tego zrobić nie mogę.

Zresztą w międzyczasie ukazał się drugi artykuł Michniewicza (*Kultura* nr 5/199, 1964), w którym jest on dla nas nieco łaskawszy i właściwie wycofuje się ze swego uprzedniego oskarżenia nas o rozmyślne morderstwo, a jedynie obciąża nas moralną odpowiedzialnością za śmierć Hańczy. Wstyd, że wyższy oficer tak lekko szafuje oskarżeniami. Był on człowiekiem o wielkich ambicjach, a małych możliwościach. Wyobraża on sobie, że ja stanąłem

na przeszkodzie jego kariery i widocznie, może nawet podświadomie, szuka rewanzu, nie zdając sobie sprawy z tego, że w dziedzinie zawodowej doszedł on do kresu swoich możliwości.

Jedynym świadkiem wypadków jest pchor. Aksan, gdyż on sam wchodził do pokoju Hańczy i tylko on wie co się naprawdę stało. Zapytałem więc Pułkownika, czy jest możliwe, że pchor. Aksan stracił panowanie nad sobą, bo przecie „branie” pułkownika z bronią w rękę i to pułkownika konspiracyjnego, akowskiego, nie było sprawą codzienną i na pierwszy odruch Hańczy, spowodowany jego wejściem, zareagował Aksan serią z pistoletu. Płk Bąkiewicz odpowiedział:

— Teoretycznie nie byłoby to wykluczone, ale Aksan, to „twardy chłop”, nerwy miał mocne. Nie wierzę żeby taki był przebieg wypadków, a zresztą, gdyby tak było, to angielskie badania wykazałyby to.

NIEKTÓRZY MINISTROWIE

Bąkiewicz opowiadał mniej więcej tak:

— Niektórzy ministrowie w czasie ostatniej wojny byli ludźmi nie nadającymi się na tego rodzaju stanowiska. Szczególnie rzucała się w oczy ich naiwność. Na przykład gen. Kukiel. Byłby chyba świetnym profesorem historii, ale jako minister, a szczególnie minister odpowiedzialny za kontrwywiad, wzbudzał zastrzeżenia. W Londynie przeszli na system angielski, to znaczy, wywiad podlegał Sztabowi NW, a kontrwywiad Ministerstwu Obrony Narodowej, na którego czele stał gen. Kukiel. Natomiast u nas w 2-gim Korpusie pozostała jeszcze dawna polska organizacja. Wywiad i kontrwywiad podlegały szefowi Oddziału Drugiego, czyli krótko mówiąc mnie. Wobec tego kiedykolwiek przyjeżdżałem do Londynu musiałem meldować się u płka Gano w sprawach wywiadu, a u gen. Kukiela w sprawach kontrwywiadu. Gano był człowiekiem na poziomie, więc konferencje z nim były konkretne i fachowe. Natomiast wizyty u Kukiela wzbudzały politowanie. Biegał po pokoju, zamykał szafy na klucz, jakbym mógł mu coś wykraść. I cóż za tajemnice mógł mieć w tych szafach? A poza tym, nie chodzi o mnie, ale przyjeżdża oficer bądź co bądź na odpowiedzialnym stanowisku, a tu demonstruje się przed nim, że nie ma się do niego zaufania. Jeżeli tak, to należało doprowadzić do zwolnienia go ze stanowiska, a nie poprzestać na zamykaniu przed nim szaf na jego oczach. Niepoważnie to wyglądało.

A z Kotem było jeszcze gorzej. Miałem z nim całkiem dobre stosunki, polubił mnie jeszcze w Rosji, a ja z przyjemnością słuchałem jego opowiadań o francuskiej literaturze. Był wspaniałym znawcą romanistyki i z pewnością był świetnym profesorem, ale minister to z niego żaden. Kiedyś w Iraku wezwał mnie Anders i powiedział, że Kot, który przebywał wówczas w Palestynie jako minister pełnomocny, chce mnie natychmiast widzieć. Spytałem o co chodzi, ale Anders nie wiedział. Wsiadłem więc do jednego z samolotów, które mieliśmy do naszej dyspozycji i poleciałem do Palestyny.

Normalnie Kot witał mnie przyjaźnie. Tym razem, po moim wejściu do gabinetu, nawet ręki mi nie podał, tylko biegał i zamykał drzwi, a kiedy skończył, stanął przede mną i powiedział wzburzonym głosem:

— Panie Pułkowniku, zawiodłem się na Panu.

Nie wiedziałem o co chodzi, więc prosiłem o wyjaśnienie.

— Mam niezbite wiadomości — wyjaśnił Kot — iż wykradł Pan Rydza-Smigłego z Rumunii, przywiózł go samolotem i umieścił w willi na północy Palestyny pod ochroną Dwójki. Dokładnie nie wiem w jakiej miejscowości.

Z wrażenia, chociaż nie proszony, usiadłem w fotelu i powiedziałem:

— Panie Profesorze, przecież gdybym miał takie możliwości, to wojnę bym wygrał. Z własnego doświadczenia szczerze radzę, niech Pan Profesor rozpędzi na cztery wiatry tych oszustów, którzy te wiadomości dostarczyli i wzięli za to grube pieniądze.

Sprawa została załagodzona, potem przyznał mi się nawet jak horendalną sumę za te bzdurne wiadomości zapłacił, i jak dawniej zabrał mnie na dobrą kolację w luksusowej restauracji nad Morzem Martwym. Sam pił soczki, a mnie częstował szlachetnymi trunkami i bawił interesującym opowiadaniem o francuskiej literaturze.

Minęło kilka lat. Wojna skończyła się, a myśmy jeszcze byli we Włoszech. Jechałem służbowo do Francji wagonem pierwszej klasy wzdłuż Riwieri. Wyszedłem na korytarz i ku memu zdziwieniu zobaczyłem Kota, który wówczas był ambasadorem PRL w Rzymie. W miarę możliwości, staram się ze wszystkimi rozmawiać. Przywitaliśmy się więc, ale trochę sztywno. Po kilku wstępnych zdaniach bez większego znaczenia, Kot powiada:

— Cokolwiek złego możecie obecnie o mnie powiedzieć, to jednak musi Pan Pułkownik przyznać, że nigdy nie potępiałem 2-go Korpusu.

— Czy na pewno, Panie Profesorze? — spytałem.

— Na pewno.

— A mnie się wydaje, że w dniu takim a takim wysłał Pan Profesor do Warszawy telegram o mniej więcej takiej treści (telegram uwłaczający 2-mu Korpusowi — Z.S.S.).

— Skąd Pan o tym wie?

— No jak to, Panie Profesorze, przecież jestem szefem wywiadu 2-go Korpusu, przecież za to mi płacą. Przecie każdy Pana telegram mam u siebie na biurku w parę godzin po wysłaniu go z Rzymu do Warszawy.

Kot zbaraniał.

Tacy to byli naiwni polscy ministrowie.

BRYGADA ŚWIĘTOKRZYSKA

Na moje zapytanie, czy Brygada Świętokrzyska podporządkowała się 2-mu Korpusowi, płk Bąkiewicz odpowiedział:

— Na początku naszych kontaktów z nimi wyglądało, że chcą nam się w pełni podporządkować. Przyjeżdżali do nas, przyjemne chłopaki, tylko jednego z nich, Zub-Zdanowicza, nie mogłem ścierpieć. To było dobre wojsko, chętnie byśmy ich wzięli, ale pod jednym warunkiem, iż jeżeli służą nam, to nie służą komu innemu. Tymczasem zauważyliśmy, że oni kombinują na wszystkie strony, z Amerykanami i z innymi czynnikami. Chcieli widocznie z różnych pieców wyciągać kasztany, a może już ich przywódcy nie byli zdolni do lojalności w stosunku do jednego autorytetu. Tego nie mogliśmy tolerować. Więc skończyło się na tym, iż jedynie pomogliśmy im, szczególnie zapobiegając wydaniu ich Sowiecom, o co robiły one starania, i na tym koniec. Do 2-go Korpusu oni nie dołączyli, chociaż możliwości były, i poszli swoją ścieżką.



Jednak pamięć to czynnik zawodny i dlatego w tych notatkach pewne zagadnienia, jak na przykład sprawa Hańczy, są przesadnie wyolbrzymione, inne zaledwie wspomniane, a jeszcze inne, niekiedy ważne, całkowicie pominięte ze względu na to, iż nie pamiętam dość dokładnie, co o tych sprawach mówił płk Bąkiewicz i dlatego nie mogę o nich pisać.

Powiniennem wyjaśnić, iż płk Bąkiewicz postawił następujący ogólny warunek naszych rozmów — pisząc mogę korzystać z jego wypowiedzi bez prawa powoływania się na jego osobę, chyba żebym uprzednio to z nim uzgodnił. Natomiast w niektórych wypadkach zastrzegł się, iż z danej wiadomości nie mam prawa korzystać. Dotychczas stosowałem się do żądań Pułkownika, ale z chwilą jego śmierci, uważam, iż ta ugoda już nie obowiązuje.

Obowiązki zawodowe nie pozwoliły mi wziąć udziału w pogrzebie Pułkownika.

Z. S. SIEMASZKO

PAMIĘTNIKI

Wiktor Tomir DRYMMER

WSPOMNIENIA (3)

(ciąg dalszy)

CZĘŚĆ II

Rozdział I

PRZYDZIAŁ DO ODDZIAŁU II SZTABU GŁÓWNEGO. —
PRZEJŚCIE DO MINISTERSTWA SPAW ZAGRANICZNYCH

Po odwołaniu mnie z Tallina (Rewla) dostałem przydział do Oddziału II Sztabu Głównego. Oczywiście myślałem o dalszej służbie wojskowej, ale chciałem również ukończyć moje dwukrotnie zaczynane studia wyższe. Byłem bardzo zadowolony z przydziału do Warszawy toteż niezwłocznie zapisałem się do Szkoły Nauk Politycznych, która powstała w Warszawie w okresie mego pobytu w Estonii. W międzyczasie zdałem egzamin majorowski.

Po dwuletnim pobycie w Warszawie radość moja została przerwana przydziałem do jakiegoś pułku piechoty w Brodnicy. Byłem rozgoryczony, bo to i studia na ukończeniu, no i przydział do nieznanego pułku i nieznanego miejsca. Nawet nie bardzo wiedziałem gdzie ta Brodnica się znajduje. Koledzy moi pokpiwali ze mnie, że będę uczył rekrutów maszerować i salutować, odmawiał z nimi codzienną modlitwę poranną i wieczorną, no i pilnował gotowania zupy. W takim nastroju spotkałem się na ulicy z moim starym przełożonym z czasów peowiackich, płk. Wacławem Jędrzejewiczem. Wyzaliłem się mu z tego pieroń-

skiego przydziału. Płk Jędrzejewicz pomyślał chwilę i zapytał mnie czy nie chciałbym przejść do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w którym pracuje po odwołaniu go z Tokio. Pytanie to zaskoczyło mnie, jak również konkretna propozycja objęcia w MSZ stanowiska zastępcy naczelnika wydziału prasowego. Oszołomiony tą propozycją, widziałem masę związanych z tym trudności, a zwłaszcza bałem się stanowiska prasowego, o czym nie miałem pojęcia. Płk Jędrzejewicz począł mi wyjaśniać istotę mojej ewentualnej pracy, której główna rola ograniczałaby się do pracy organizacyjnej i administracyjnej. Zresztą poradził mi porozmawiać na ten temat z płk. Ignacym Matuszewskim, tak jak i on zajmującym poważne stanowisko w M.S.Z.

Płk Matuszewski nakłaniał mnie przed ośmiu laty do powrotu do wojska i wysłał do Tallina, obecnie zaś zachęcał do opuszczenia wojska.

Po paru dniach namysłu, złożyłem podanie, które wręczyłem płk. Jędrzejewiczowi. W moją decyzję nie wtajemniczałem nikogo, nie bardzo wierzyłem w realizację. Ku memu wielkiemu zdumieniu zostałem wkrótce wezwany przez wiceministra Alfreda Wysockiego, który mnie zapytał czy chcę przejść z wojska do M.S.Z. i czy się znam na pracy prasowej. Odpowiedziałem, że pragnę się wydostać z wojska, bo nie uśmiecha mi się praca koszarowa, ale na robocie prasowej nie znam się zupełnie. Wysocki był tym bardzo zaskoczony, ale nic nie powiedział, i na tym rozeszliśmy się. Po paru dniach otrzymałem pocztą pismo powiadamiające mnie, że zostałem przyjęty do MSZ w charakterze urzędnika prowizorycznego w VII stopniu służbowym, co odpowiadało mojemu stopniowi kapitańskiemu. Przydział był ważny od 1 maja 1929.

Przejęcie moje do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zakończyło moją 15-letnią karierę wojskową.

Chciałem się, zgodnie z przepisami, zameldować u ministra Spraw Zagranicznych Zaleskiego, ale on się tymi sprawami nie interesował, wobec tego zameldowałem się u wiceministra Wysockiego. Dostałem od niego przydział na zastępcę naczelnika Wydziału Prasowego dla spraw propagandowych.

Moje pierwsze kroki w ministerstwie ani nie były przyjemne ani łatwe. Byłem przez nowych kolegów uważany za intruza n a r z u c o n e g o przez wojsko, a przez moich przełożonych za niefachowca (kto w owych czasach był fachowcem?), w dodatku z tymi okropnymi manierami wojskowymi. Tu znów wkracza przypadek w moje życie. Gdzieś na jakimś przyjęciu spotkałem płk. Józefa Becka, szefa gabinetu ministra Spraw Wojskowych, tj. marszałka J. Piłsudskiego. Płk Beck dowiedziawszy się ode

mnie, że jestem od niedawna w MSZ i że pełnię funkcję zastępcy Naczelnika Wydziału Prasowego do spraw propagandy, wypytywał mnie jak wygląda moja praca, jak sobie daję radę, wreszcie w jakim stopniu mnie przyjęto. Odpowiedziałem. Beck wyraźnie obruszył się, że mnie z takim stażem, dano tak niski stopień i to na etat prowizoryczny. Niedługo po tej rozmowie zostałem znów wezwany przez wicemin. Wysockiego. Myślałem, że chce się mnie pozbyć z ministerstwa. Ku memu zdziwieniu podał mi wszystkie pięć palców do uściśnięcia (dawniej tylko dwa) i z uśmiechem wręczył mi dekret na urzędnika stałego w VI stopniu służbowym, dodając, że dopiero teraz dowiedział się o moim stażu zarówno w roku 1920 jak i o attachatach w Tallinie i Rydze. Pogratiulował mi awansu. Rozstaliśmy się w uśmiechach i ukłonach. W ciągu paroletniego ministrowania A. Zaleskiego raz tylko miałem szczęście być przez niego wezwany w jakiejś błahszej sprawie, usłyszałem natomiast parę dowcipów.

Moim bezpośrednim szefem był Konrad Libicki kolega z Legionów i POW. Wkrótce poszedł na placówkę w Tallinie, jako poseł RP. Jego miejsce zajął przyjaciel czy dobry znajomy min. Zaleskiego, redaktor Leon Chrzanowski. Cieszyliśmy się wszyscy. Mówiono: zawodowy dziennikarz, mający stosunki w prasie krajowej jako były pracownik *Kuriera Warszawskiego* i *Świata*, no i ma podobno koneksje zagraniczne. Rzeczywistość okazała się straszna. To był szef!! Szef bałaganu i dezorganizacji. Człowiek bez poczucia czasu własnego i cudzego. Najzupełniejsza katastrofa.

Rzekomo miałem samodzielność; byłem szefem propagandy polskiej na cały świat z personelem składającym się z dwóch urzędników i maszynistki! Żadnych funduszy na cele propagandowe. Moim odpowiednikiem w wydziale prasowym był — Stefan Litauer.

W parę tygodni po objęciu wydziału pan Chrzanowski wyruszył na urlop, rozdając na prawo i lewo urlopy każdemu kto chciał jechać a mnie zostawiając Wydział. W Wydziale zrobiło się pusto. Zostałem z paroma urzędnikami. Na szczęście nie wzięła urlopu panna Irena Konarzewska¹, pracująca w Wydziale od paru lat. Była osobą bardzo zdolną i dokładnie zorientowaną w Wydziale i w ministerstwie. Pracowita, dokładna, uczynna. Zawdzięczam jej wiele, była ona bowiem jedyną w Wydziale, która starała się pomóc a nie utrudnić mi robotę. Nadeszły dla mnie czasy pracy, wydawało się ponad siły. Nagle z depešy z którejś placówek, powołującej się na okólnik wydziału praso-

1. P. Irena Konarzewska wyszła wkrótce za mąż za prokuratora, później-
szego ministra Sprawiedliwości, Witolda Grabowskiego.

wego, dowiedziałem się, że pan Chrzanowski zaprosił *wszystkich dziennikarzy z całego świata* na zwiedzenie naszej pierwszej Powszechnej Wystawy w Poznaniu, na koszt naszego MSZ i to w okresie swego urlopu².

Zaproszenie obejmowało również rodziny dziennikarzy zagranicznych, wszystko na koszt państwa. Poszedłem z okólnikiem pana Chrzanowskiego do wiceministra Wysockiego. Nic o tym nie wiedział, a funduszków na te wycieczki w budżecie MSZ — nie ma. Wysocki powiedział mi, że za kilka dni da mi znać czy nie należy tego zaproszenia odwołać. Porozumiałem się z zainteresowanymi Naczelnikami Wydziałów Wschodniego i Zachodniego. Byli kategorycznie przeciwni odwołaniu. Poszedłem z tą sprawą do ministra Skarbu, w owym czasie, płk. Matuszewskiego. Po dyskusji min. Matuszewski przyznał Ministerstwu na ten cel 500 tys. złotych. Chciałem przekazać organizację wycieczek jednemu w owym czasie biuro podróży „Orbisowi”. Okazało się, że tak jak i my nie jest do tego przygotowane. Wobec tego zamieniłem nasz Wydział, na biuro podróży. Pannie Irenie Konarskiej powierzyłem kasę.

Zobaczyło Polskę kilkuset dziennikarzy z rodzinami.

Kosztowało to skarb państwa ponad 600 tys. złotych. Właśnie gdy wycieczki miały się ku końcowi powrócił pan Chrzanowski!

Ten okres czasu był dla mnie świetną szkołą poznania organizacji i funkcjonowania urzędów, a zwłaszcza naszego ministerstwa i jego personelu. Przydało mi się to później na stanowisku szefa personalnego.



Gdy powróciłem do zleconych mi spraw propagandowych, doszedłem do wniosku, że skoro nie ma pieniędzy należy starać się wykorzystać możliwości placówek zagranicznych, a także zastęp kilkunastotysięczny naszej młodzieży studiującej (w owym czasie) poza granicami kraju. Oczywiście w pierwszym rządzie należało użyć młodzież współdziałającą ze zmianami jakie w kraju przeprowadził Maj 1926 roku. Były to: Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej, Legion (Związek Pracy dla Państwa), Myśl Mocarstwowa i Odrodzenie. Współdziałali oni z Ministerstwem Spraw Zagranicznych w formie „Komitetu” czy „Komisji zagranicznej”.

Wszelkie moje próby współpracy z Naczelnym Komitetem

2. Poczynając od VI stopnia służbowego urzędnikom przysługiwał sześciotygodniowy urlop wypoczynkowy.

Akademickim (N.K.A.), mimo wielogodzinnych rozmów, rozbiły się o sztywne, partyjne (endeckie) stanowisko młodych ludzi, stanowiących naczelne władze młodzieży studiującej. Wystąpienia tej młodzieży (N.K.A.) na terenie międzynarodowym, jak np. w Confédération des Etudiants (C.I.E.), stawiały się antyrządowym popisem naszych młodych endeków. Zaobserwowałem, że wiele państw deleguje do C.I.E. swoich najzdolniejszych akademików, często w dość zaawansowanym wieku. Organizacja ta cieszyła się szczególną opieką Ligi Narodów a specjalnie rządu francuskiego, które przez C.I.E. robiły swoją długofalową robotę propagandową.

Po długich rozmowach z przedstawicielami młodzieży akademickiej oraz młodymi urzędnikami MSZ, opracowaliśmy projekt utworzenia akademickich bilateralnych kół współpracy międzynarodowej np. polsko-angielskiej, polsko-francuskiej itd. z kierownictwem centralnym w Warszawie. Patronat nad tą organizacją, jak również nad poszczególnymi kołami mieliby spełniać specjalnie wybrani przeze mnie kuratorzy (młodzi urzędnicy MSZ), którzy by traktowali to jako pracę społeczną, koleżeńską, a nie urzędową. Koła takie miałyby powstać w całej Polsce, na wszystkich wyższych uczelniach. Rolą ministerstwa byłoby czuwanie przez kuratorów nad dostarczaniem materiałów, prelegentów, organizowanie spotkań, wycieczek i wizyt dla wzajemnego poznania się i współpracy nad zaciśnięciem węzłów wzajemnego zrozumienia się i ewentualnej pomocy.

Po licznych dyskusjach powstała w roku 1930 „Liga”, Akademicki Związek Zbliżenia Międzynarodowego. Ministerstwo dało fundusze na wynajęcie kilkupokojowego lokalu przy ul. Czystej. Powoli zaludniały się pokoje „Ligi” młodzieżą obojga płci, widzącą w kołach bądź możliwości pogłębienia studiów, bądź po prostu wiedzy i rozrywki. Z czasem znalazły się fundusze na wydawanie w języku polskim *Dekady Akademickiej* i w języku francuskim i angielskim *Tribune de Jeunesse*. Organizowano wzajemne odwiedziny młodzieży z zagranicy i młodzieży polskiej, wycieczki i kursy. Zarząd dbał, by łączyć przyjemne z pożytecznym.

Od chwili rozpoczęcia działalności „Ligi” w roku 1930, byłem w stałym kontakcie z jej pracą aż do września 1939.

Do najwybitniejszych młodych ludzi, z którymi się spotykałem, zaliczam byłego prezesa Ligi Jana Scazighino, którego — z pewnymi oporami z jego strony — wciągnąłem do pracy w MSZ. Zakończył swoją karierę emeszetowską, jako jeden z konsulów w Konsulacie Generalnym w Nowym Jorku. W roku 1940 zezwolono mu, nie bez trudności, na wstąpienie do wojska. Wi-

dywałem go jako porucznika ułanów karpackich w Palestynie. Zginał, już po zdobyciu klasztoru Monte Cassino, ciężko ranny przez jakąś zabłąkaną kulę. Jan Scazighino łączył w sobie nieprzeciętne zdolności z wybitną inteligencją, skromnością i prostotą, przy bardzo silnym charakterze. Był wzorem młodego, nowoczesnego urzędnika Polskiej Służby Zagranicznej.



Ligę i naszą młodzież studiującą poza granicami RP, starałem się użyć do „szerzenia wiedzy o Polsce”. Oczywiście praca ich, jakkolwiek użyteczna, nie mogła zastąpić ciągłej, trwałej i rzetelnie opracowanej informacji zagranicy o Polsce. Używanie wyjeżdżających za granicę rodaków, było nie tylko bezcelowe, ale mogło być groźne wobec oburzającej ignorancji przedstawicieli naszej tzw. inteligencji w latach trzydziestych. Czego ich uczono w szkołach średnich i wyższych było zawsze dla mnie tajemnicą.

W częstych rozmowach z przyjaciółmi dyskutowałem kto powinien tę informację o Polsce szerzyć: Ministerstwo Spraw Zagranicznych czy jakaś instytucja prywatna? Skąd na ten cel wziąć środki?

Poruszyłem kiedyś to zagadnienie w rozmowie z przyjezdnym z Londynu p. J. Retingerem. Przyrzekł mi napisanie broszury pt. „Co Polak o Polsce wiedzieć powinien”. Szkic takiej broszury wkrótce od niego dostałem. Szkic był znakomity.

Moją myślą przewodnią było, by broszurę taką wręczać niektórym Polakom, udającym się na dłuższy pobyt za granicę.

Innym razem powstał pomysł wysłania do naszych placówek zagranicznych ankiety: Co zagranica wie o Polsce i czego naucza i o czym informuje w swoich podręcznikach szkolnych i encyklopediach.

Ankieta ta nie tylko otworzyła oczy naszemu MSZ na bieżący stan ignorancji zagranicy — ale i na szereg fałszów szerzonych przez wieloletnią dezinformację rosyjską (a następnie sowiecką) i niemiecką, oraz przez naszych „pobratymców” Czechów. Mało tego, ankieta zmusiła naszych dyplomatów i konsulów do wejścia w te sprawy.

Wreszcie powziąłem myśl powołania do życia instytucji społecznej, niezależnej od organów państwowych, której zadaniem byłoby szerzenie wiedzy o Polsce współczesnej i o jej przeszłości. Za zgodą moich ówczesnych przełożonych poprosiłem o przewodnictwo nad tą instytucją dr. Henryka Grubera, prezesa Polskiej Kasy Oszczędności. Miałem wielokrotnie sposobność poznać wa-

lory osobiste dr. Grubera, jego szerokie horyzonty, zainteresowania kulturalne, polityczne i historyczne. Dr Gruber, po szczegółowym omówieniu zadań oraz naszych braków i potrzeb, zgodził się objąć kierownictwo.

Tak powstał „Polski Instytut Współpracy z Zagranicą”. Instytut, utworzony w latach trzydziestych, działał pod jego kierownictwem do końca istnienia RP. Oddał Polsce olbrzymie usługi, zwłaszcza w dziedzinie prostowania błędów lub nieścisłości w szeregu zagranicznych encyklopediach, o zasięgu światowym, podręcznikach szkolnych itd. Muszę się przyznać, że udział finansowy MSZ był niewielki, tak jak niewielki był cały budżet MSZ, który równał się sumom wydawanym przez Czechosłowację na swoją prasę i propagandę.



Ważnym zagadnieniem pracy młodzieżowej była Opieka nad młodzieżą studiującą poza granicami kraju na obcych wyższych uczelniach. Obliczaliśmy w latach 1930-32 ilość studiujących poza Polską na 20 do 25 tysięcy. Nie bardzo był wytlumaczalny ten pęd do nauki za granicą, tym bardziej, że w niektórych działach, młodzież po powrocie do kraju musiała nostryfikować swoje zagraniczne dyplomy a przedtem, w czasie studiów, znajdowała się nie jednokrotnie w bardzo ciężkich warunkach materialnych. Niekiedy musiała z tego powodu powracać do kraju, bez ukończenia studiów. Z czasem, gdy przeprowadzono przymusową nostryfikację wszystkich dyplomów wyjazdy za granicę ustały.

Pomoc zorganizowana w formie „Koła Opieki nad młodzieżą polską studiującą za granicą”, polegała na dokładnym informowaniu o warunkach studiów na poszczególnych uniwersytetach, jak również o warunkach bytowych; w bardzo rzadkich wypadkach Koło starało się o pomoc finansową dla chorych, znajdujących się nagle bez możliwości ukończenia studiów. Koło to założyłem wraz z ludźmi dobrej woli. Nazwaliśmy je „Kołem Opieki nad Akademikiem Polskim Zagranicą”. Z czasem organizacja ta została włączona do zakresu prac Departamentu Konsularnego MSZ i korzystała ze stałej pomocy Ministerstwa Oświaty. Organizacyjnie podlegała Światowemu Związkowi Polaków. Gdy ilość studentów za granicą zmalała Koło przekształciło się w Wydział Młodzieżowy Światowego Związku Polaków, którym aż do samej wojny kierował Władysław Zachariasiewicz. Zachariasiewicz w czasie wojny przeszedł przez łagry sowieckie. Obecnie znajduje się w Stanach Zjednoczonych; przez szereg lat pracował nad ułatwianiem życia Polakom, uciekającym z Polski Ludowej.

Wprawdzie to o czym za chwilę powiem, miało miejsce kilka lat później, lecz dla całości obrazu prac propagandowych ministerstwa, zamieszczam poniżej:

W roku 1937 dowiedziałem się od pośła estońskiego w Warszawie, min. Markusa, że w Tallinie ma zostać zamknięta politechnika z powodu braku funduszy. Około 100 studentów musi szukać uczelni zagranicznych. Znałem zamiłowanie Estończyków do nauk technicznych i rozumiałem jaki cios spotyka tych młodych ludzi. W czasie mego prawie codziennego raportu u ministra Becka, opowiedziałem mu o zamknięciu politechniki tallińskiej i zasugerowałem udzielenie stypendium około stu studentom-Estończykom, chcącym się przenieść na politechnikę warszawską czy inną w Polsce. Minister wyraził natychmiast swoją zgodę i polecił mi wysłać list do min. Markusa, zapraszający w imieniu rządu polskiego, wszystkich studentów, przyznając im stypendia do czasu ukończenia studiów.

Min. Oświaty W. Jędrzejewicz nie tylko wyraził swoją zgodę, ale udzielił poparcia na politechnikach polskich.

Studenci estońcy przybyli do Polski. Opiekę nad nimi roztoczyła „Liga” Akademicki Związek Zbliżenia Międzynarodowego.



Dwa lata pracy w Wydziale Prasowym dały mi wiele sposobności do przyjrzenia się temu szczególnemu gatunkowi ludzi, którzy nadawali „ton” naszemu urzędowi.

W pierwszym okresie po uzyskaniu niepodległości „ton” nadawała grupa „fachowców” z dawnej służby austro-węgierskiej i paru podrzędniejszych urzędników z dawnej służby carskiej. Małopolanie jeszcze w okresie powstania Rady Regencyjnej, przynieśli niewątpliwie znajomość form obowiązujących w korpusie dyplomatycznym, nieco słownictwa, ale jednocześnie wnieśli ze sobą balast biurokratyczny. Każde skiniecie palcem musiało być w „aktach odnotowane”, „paraflowane”, włożone „do koszulek”, dane „do wglądu zainteresowanym”, ponownie „paraflowane” i wreszcie po wielu „adnotacjach” posłane *ad acta*. Koledzy pracujący w tym samym pokoju pisali do siebie tzw. „karty służbowe”, wszystko bowiem musiało być na papierze, nawet rozmowa telefoniczna musiała być „odnotowana”. Napłynęła w ślad za „fachowcami” nasza arystokracja lub pseudoarystokracja, legitymująca się jako jedynym wkładem do służby, znajomością języków, no i form towarzyskich, co uważano za szczyt sztuki dyplomatycznej. Przyznam się, że mnie, człowieka prostego, zwykłego,

drażniła i irytowała ta przesadna elegancja i nonszalancja, mająca naśladować sposób bycia i swobodę angielską.

Trzeba dodać do tego używanie, bez żadnego uzasadnienia, wyrazów francuskich (modnych przez kilka lat), potem angielskich (modnych przez kilka następnych lat), gdzie nawet urzędnik informacyjny MSZ nie znał polskiego, bo był Francuzem!

Telefony w MSZ były środkiem dla popisania się przed kolegami, u kogo był na „śniadaniu lub obiedzie” w jakim poselstwie, lub — nieco gorzej — bo w konsulacie (według tych panów służba konsularna była czymś znacznie gorszym niż służba dyplomatyczna, a więc poselska). Przyjmowano telefoniczne zaproszenia od przeróżnych przedstawicielstw zagranicznych, które na pewno świetnie orientowały się z jakim materiałem ludzkim mają do czynienia i jak łatwo naszych młodocianych wiekiem i doświadczeniem „dyplomatów” wywieść w pole i uzyskać informacje.

Miałem bardzo za złe kolegom — zwłaszcza młodym — zwracanie się do personelu niższego (woźni, kierowcy samochodowi) przez „ty” lub w strasliwej formie bezosobowej „niech”, „niech zanieś, niech pośle” itd., i to często do ludzi starych, nawet do inwalidów wojennych.

Do szyku w MSZ należało przychodzenie do biura około 10-ej rano zamiast o 8-ej; około 13-ej lub 14-ej zaczynał się *exodus* na „proszone śniadania”.

Taki widziałem MSZ, gdy wstępowałem do niego w r. 1929.

R o z d z i a ł I I

OBJĘCIE SZEFOSTWA PERSONALII MINISTERSTWA SPRAW ZAGRANICZNYCH. — OBOWIĄZKI URZĘDNI- KÓW I ŚWIADCZENIA NA RZECZ URZĘDNIKÓW

W grudniu 1930 roku nastąpiła zmiana na stanowisku wice-ministra Spraw Zagranicznych. Alfred Wysocki poszedł do Berlina jako poseł RP. Na jego miejsce wiceministrem został mianowany płk Józef Beck. W kołach politycznych Warszawy mówiło się, że marszałek Piłsudski trzymał tak długo Becka przy sobie w charakterze szefa gabinetu, by zaprawić go do przyszłej roli ministra Spraw Zagranicznych. Beck jako wiceminister dostał szerokie pełnomocnictwa w zakresie personalii i organizacji mi-

nisterstwa. Stosunek min. Zaleskiego do Becka był więcej niż oziębły.

Płk. J. Becka poznałem, jak już pisałem, w roku 1919. Po skończonej wojnie spotykałem go dość rzadko, ale w moim okresie tallińskim miałem sposobność rozmawiania z nim o Rosji i krajach bałtyckich.

Wkrótce, po objęciu wiceministerstwa i odejściu A. Romana, na stanowisko radcy ekonomicznego MSZ'u — Beck zaproponował mi objęcie personalii w MSZ-cie.

Idąc do ministra wszystkiego mogłem się spodziewać tylko nie tego. W dalszej rozmowie min. Beck powiedział mi, że Komendant dał mu wyraźną dyrektywę, by zrobić porządek w personaliach MSZ'u: — „gdzie nie można przenieść urzędniczek z granicy do Warszawy, by dziesięć ciotek nie interweniowało, gdzie awanse zależne są od stosunków i protekcji, tak zresztą jak i każdy wyjazd za granicę. Trzeba z tym zrobić porządek. — Komendant pytał mnie czy mam jakiegoś odpowiedniego kandydata, który by nie obawiał się ani pani X ani pani Y. Odpowiedziałem, że mam i wymieniałem pańskie nazwisko”. — „A czy ten Wasz, moje dziecko, kapitan Drymmer nie zleknie się utytułowanych ciotek i czy potrafi nie zmienić powziętej decyzji pod czyimś naciskiem czy wpływem?”. — „Zapewniłem Komendanta, że nic pan bez mej wiedzy nie zrobi, że jest pan stanowczy, ale nie uparty, i niepoddający się wpływom. Jestem przekonany, że tylko dobro służby będzie miał na względzie”.

Pierwszym poleceniem jakie dał mi min. Beck było zmniejszenie ilości personelu, ze względu na ograniczenia budżetowe państwa. Dotyczyć to miało w pierwszym rządzie placówek zagranicznych. Oszczędność miała wynieść 15 do 20 % budżetu na wydatki personalne. Miałem również polecenie przyjrzenia się dużemu zgrupowaniu urzędników w wysokich stopniach służbowych, korkujących możliwości awansowe dla młodszych wiekiem.

W lutym 1931 roku objąłem tak zwany Wydział Osobowy (personalny).

Wydział mieścił się w kilkopokojowym, ciemnym mieszkaniu na Świętokrzyskiej — w tym okresie czasu ministerstwo mieściło się w kilku punktach miasta. Departament Polityczny mieścił się w całości w zajętej ongiś przez Niemców tej części pałacu Brühlowskiego, która wychodziła na ulicę Wierzbową. Stąd zawsze o ministerstwie naszym mówiło się: na Wierzbowej.

Lokal na Świętokrzyskiej wyglądał ponuro, urzędnicy bladezieloni, jedynie ich szef, nac. Antoni Roman, kwitł. Był to miły, sympatyczny, dobrze i starannie wykształcony ekonomista i jak

się później okazało doskonały dyplomata, poseł w Sztokholmie. Dlaczego był personalnym?

Jego duża postać, dobra postawa i umiarkowana otyłość, sprawiały to, że mówiono o nim, że wygląda reprezentacyjnie. Ta reprezentacyjność Antoniego Romana, wywołała kiedyś wesołość na międzynarodowej konferencji ekonomicznej w Londynie. Roman dla jakichś przyczyn spóźnił się. Zmierzając do drzwi sali, gdzie właśnie rozpoczęła się narada, został zatrzymany przez umundurowanego majordomusa, który zapytał go kogo ma zanonsonować. Roman w pośpiechu, nie wymienił państwa które reprezentuje, lecz swoje nazwisko. Majordomus rozwarł szeroko podwoje, stuknął laską w podłogę i głośno oznajmił: „Mister Anthony — *Roman delegation*” (przedstawicielstwo Rzymu).

Obeznawszy się z grubszą z personaliami przygotowałem spis około 30 osób, które powinny pójść na emeryturę, zwłaszcza, że wielu przekroczyło już wiek emerytalny. Podpisane przez ministra dekrety wręczałem każdemu osobiście, zrywając z tradycją posyłania tego rodzaju dokumentów pocztą, unikając jakby tchórzliwie stanięcia oko w oko ze zwolnionym. Każdemu wyjaśniałem czemu postawiłem ministrowi wniosek na zwolnienie go ze służby. W większości wypadków były to konieczności budżetowe lub organizacyjne, czasami ze względu na nieprzydatność do służby.

Gdy defraudanta (złodzieja) oddałem pod sąd, zrobiło się małe poruszenie i w ministerstwie i nawet w prasie. Nigdy poprzednio (to znaczy przed przybyciem „wojska” do ministerstwa) nic podobnego nie zdarzyło się: urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych pod sąd! Wprawdzie istniał w MSZ Sąd Dyscyplinarny, bardzo demokratyczny, bo wyłoniony z grona urzędniczego, ale sąd ten obchodził się z kolegami bardzo pobłażliwie.



Urzednicy dzielili się na etatowych i kontraktowych. Tak samo funkcjonariusze niżsi. Etatowi mieli wszelkie uprawnienia, kontraktowi żadnych. Wymówienie 3-miesięczne i koniec. Żadnych emerytur, żadnych świadczeń. W tym samym położeniu byli niżsi funkcjonariusze. Urzednicy kontraktowi — mimo że ilość ich przekraczała znacznie ilość urzędników etatowych — byli nie tylko niedoceniani, ale niezauważani i lekceważeni. Nie było na przykład żadnego spisu — nie mówiąc już o ewidencji — urzędników kontraktowych, przydzielonych do placówek zagranicznych, na których wielokrotnie zajmowali bardzo odpowiednie

działne stanowiska. Istniał jakiś obyczaj, przyniesiony z nieboszczki Austrii, że urzędnicy kontraktowi to taki pośledni gatunek człowieka, którym centrala MSZ nie powinna się zajmować. Władzę nad nimi pozostawiono szefom placówek poselskich czy konsularnych. Tym placówkom przyznawano ryczałt na zatrudnienie personelu i na tym kończyło się zainteresowanie ministerstwa.

Gdy objąłem personalia MSZ'u postanowiłem dokonać „jednodniowego spisu wszystkich urzędników”. Tak etatowych, jak przeróżnych „przydzielonych” przez różnorakie ministerstwa i oczywiście wszystkich urzędników kontraktowych jak i funkcjonariuszy niższych: gońców, woźnych, szoferów.

Spisy te posyłałem, w miarę napływania, do policji i do Oddziału II Sztabu Głównego.

Odpowiedzi były sensacyjne. Człowiek poważnie poszlakowany w procesie szpiegowskim na rzecz Niemiec, zatrudniony właśnie w Niemczech; oficer, dezterter z roku 1920, zatrudniony w poselstwie RP w Pradze; kilku poszukiwanych za przestępstwa mniejsze. Służba niższa, jak np. w Moskwie i w Berlinie, rekrutowała się z ludzi miejscowych. W poselstwie w Berlinie, dozorcą gmachu i głównym woźnym u którego pozostawiano klucze gmachu — był Niemiec. Ponadto — cała plejada doradców ekonomicznych, rolniczych, finansowych itp., z reguły niezależnych od szefów placówek, no i przeważnie nic nie robiących.

Wielu szefów placówek pod pozorem woźnych utrzymywało swoich prywatnych służących. Zaufani woźni pełnili często rolę szmuglerów za wiedzą i zgodą kierownika placówki. W jednym wypadku i konsul i woźny musieli być zwolnieni za zorganizowany szmugiel (w Niemczech).

Nie znaczy to, że obmawiam moich poprzedników, kierowników wydziałów osobowych. Byli po prostu bezsilni, tym bardziej że sprawy personalne załatwiano się ponad ich głowami. Padali ofiarą bezhołwów i bezsiły swoich przełożonych.

Przeglądając papiery personalne dowiadywałem się, że znaczna część urzędników, po wysłaniu na placówkę, nie odwiedzała Polski, a byli i tacy co uzyskiwali tzw. etaty za granicą i w Polsce w ogóle nie byli. Co dziesiąty urzędnik był żonaty z cudzoziemką. Taką zasadę zalecał w swoim czasie wiceminister Bertoni, że to niby „dla polskiej propagandy dobre”.

Z czasem stwierdziłem, że byli na służbie urzędnicy, którzy mieli na sumieniu defraudacje budżetów placówkowych. Pospolitą kradzież, pokrywano kwitami przez siebie podpisanymi, które

w MSZ-ie zwano „białymi kwitami”³. Patrzano na to przez palce i przenoszono „za karę” na inną placówkę, a w razie większej defraudacji — „za karę” — do Warszawy (tak).

Do gmachu MSZ, nawet już po przebudowaniu go i skupieniu wszystkich urzędników pod jednym dachem, mógł wejść z ulicy kto chciał, nawet handlarze kwiatów snuli się po korytarzach. Słowem sielanka.



Jasną plamą na tym ciemnym obrazie, była skomplikowana rachunkowość MSZ, prowadzona sprawnie i bez zarzutu przez naczelnika Wydziału Budżetowego, Leonarda Szepietowskiego. Kontrolę rachunkową placówek sprawowała równie sprawnie p. Helena Pieślakówna.

Mówiąc o biurokracji, z którą walkę prowadziłem aż do roku 1939 włącznie⁴, przytaczam jeden z najfantastyczniejszych przykładów marnowania czasu urzędników i pieniędzy na papier i pocztę:

Ktoś kiedyś wydał zarządzenie do wszystkich placówek, a było ich około stu, o sporządzanie dorocznego raportu administracyjnego w trzech egzemplarzach. Raport zawierał kilkadziesiąt pozycji między innymi takie: ile telefonicznych rozmów poselstwo (konsulat) odbyło, ile pism służbowych otrzymano a ile wysłano,

3. Urzędnik odpowiedzialny za przechowywanie pieniędzy państwowych obowiązany był prowadzić książkę kasową. Częstokroć nie wpisywano całej sumy do „przychodu”, lecz pieniędzmi obracano, udzielając sobie pożyczek i pozostawiając w kasie kwit ze swoim podpisem. W wypadku kontroli, która była zazwyczaj z góry zapowiedziana, delikwent na gwałt pożyczał pieniądze, aby na czas kontroli wszystko się zgadzało. Czasami „kontrolerzy” — ludzie miękkiego lub bojaźliwego serca — patrzeli na te „białe kwity” z pobłażliwością. Pobłażliwość ta kończyła się niejednokrotnie katastrofalnie — zwłaszcza dla młodych. Znane były wypadki kiedy MSZ pokrywało „manco”.

4. Biurokracja była pasożytem, który rozwijał się nie tylko w MSZ. Spędzałem często urlopy wakacyjne robiąc wycieczki kajakowe po Polsce. Zapędziłem się kiedyś na rozlewistą, porośniętą sitowiem i tatarakiem Szczarę. Wyczytałem, że na Szczarze są jeszcze bobry, w okolicy ujścia Szczary do Niemna. Przedzierając się tu i tam przez tę zieloną, olbrzymią puszcę wodną — szukałem oczami żerem bobrowych. Darma. Podpłynąłem pod brzeg na którym zobaczyłem przechadzającego się gajowego w mundurze. Zapytałem go czy nie wie przypadkiem gdzie się tu prowadzą bobry. — „Bobry? nijakich bobrów tu nie ma”, stwierdził. — „Panie gajowy, mówię, czytałem w Warszawie, że na Szczarze prowadzą się bobry”. — „Nijakich bobrów tutaj nie ma, wiem dobrze, bo ja jestem tu od pilnowania bobrów. Od kilku lat ich już tu nie ma”. — Bobrów nie ma, ale posada jest, pomyślałem. Opowiadano mi o posterunku wojskowym w Wilnie pilnującym prochneri. Posterunek był, prochneri natomiast nigdy nie było.

ile węgla (opału) zużyto, ile godzin paliły się żarówki i jakiej mocy, itp. bzdury. Pamiętam w Estonii, jak maszynistka poselstwa obliczała na palcach piece, żarówki, listy i telefony, mnożyła to przez 365, po czym pisała raport całymi tygodniami. Już wtedy nie mogłem zrozumieć sensu tej roboty. Gdy zostałem szefem personalii postanowiłem zbadać to zagadnienie. Istotnie, w Departamencie Administracyjnym zajmował się tym jakiś radca, który od rana do wieczora czytał te stosy raportów, jak kolumny sterczące po obu stronach biurka. Po przeczytaniu przesyłał swemu przełożonemu — oczywiście z „kartą służbową” — który nie czytając stawiał parafę i krótkie *vidi* oraz *ad acta*. I papierzyska szły do archiwów wypełniając i tak już szczupłe pomieszczenie. Na tym kończyła się akcja i reakcja Departamentu Administracyjnego. Tak to trwało, bez zmiany przez szereg lat.

◆

Jednym z pierwszych moich zarządzeń w sprawach personalnych był zakaz *o s o b i s t y c h* interwencji. Wszystkie sprawy osobiste dotyczące służby, powinny były być załatwiane w dziale personalnym przez przełożonych, lub za ich wiedzą.

Tepliłem jak najbardziej donosicielstwo, nawet w formie zawołowanej. Postawiłem ministrowi wnioszek na usunięcie z naszej służby wicekonsula i pracownika kontraktowego za tego rodzaju praktykę. Nie tylko nie robiłem z tego tajemnicy, ale głośno o tym mówiłem. „Przyjacielskie” donosy ucięły się definitywnie.

Byłem przeciwny małżeństwom mieszanym, co przy znanym wówczas polskim kompleksie niższości, było w MSZ-ie nagminne. Za zgodą ministra ostrzegałem młodych ludzi przed zawieraniem tego rodzaju małżeństw. W okresie mej pracy na stanowisku szefa personalii, nie było tego rodzaju małżeństw.

Wydąłem zarządzenie aby szanowano godność osobistą tzw. funkcjonariuszy niższych, tj. woźnych, gońców i kierowców. Zakazałem zwracania się do nich per „ty” lub bezosobowo: „niech weźmie itp.”. Kazałem zwracać się do nich używając słowa „pan”. Tylko jeden jedyny człowiek zareagował na to, zresztą głupawo, był to b. poseł w Wiedniu Gawroński, obecnie służący PRL-owi. Szoferom i woźnym MSZ-u chodzącym w mundurach, zabroniłem z kolei „czapkowania”, polecając przykładac dłoni czy dwa palce do daszka na znak powitania.

◆

Organizacja Ministerstwa Spraw Zagranicznych lub Polskiej Służby Zagranicznej, jak starałem się tę nazwę spopularyzować, składała się w końcu roku 1939 z:

a) Urzędu Centralnego i b) Placówek Zagranicznych.

a) *Urząd Centralny* dzielił się na:

1. Gabinet Ministra z jego dyrektorem Michałem Łubieńskim i zastępcą S. Sokołowskim (do spraw administracyjnych).
2. Protokół Dyplomatyczny z dyr. Aleksandrem Łubieńskim, (nie krewny Łubieńskiego Michała).
3. Departament Polityczny z wiceministrem Janem Szembekiem jako dyrektorem, z 6-ma Wydziałami: Zachodnim, Wschodnim, Ustrojów Międzynarodowych, Prawnym, Prasowym oraz Radcy Ekonomicznego.
4. Biuro Personalne z W. T. Drymmerem jako p. o. dyrektora i Wł. Siedleckim — wicedyrektorem.
5. Departament Konsularny z wydziałami Polityki Emigracyjnej, wydz. Polaków Zagranicą i wydz. Opieki Prawnej, z W. T. Drymmerem jako dyrektorem.
6. Departament Administracyjny, z dyr. Stan. Schitzkiem i wydziałami: budżetowym i gospodarczym.

b) *Urzędy (placówki) zagraniczne* składały się z:

- 10 ambasad z wydziałami konsularnymi,
- 20 poselstw z wydziałami konsularnymi,
- 30 konsulatów w tym konsulaty generalne i zwykłe,
- 4 samodzielne wicekonsulaty,
- 8 agencji konsularnych.

Ogółem 72 placówki konsularne tzw. etatowe i pełnoprawne, a prócz tego:

135 konsulatów i wicekonsulatów honorowych, których ilość wielokrotnie zwiększyła się od początku mego urzędowania. Te placówki, które spełniały swoją rolę w dziedzinie propagandowej i pomocy w eksporcie towarów produkowanych przez Polskę, robiły świetną robotę — bezpłatnie. Jedynie do tych bardzo czynnych i wydajnych konsulatów honorowych, przydzielałem urzędników kontraktowych opłacanych przez nasz rząd. Przy placówkach dyplomatycznych mieliśmy 25-ciu attachés wojskowych.



Pod koniec roku 1939 mieliśmy w całym Ministerstwie Spraw Zagranicznych: 530 urzędników etatowych (tj. stałych) — w roku

1931 było ich 702 oraz 763 urzędników kontraktowych tj. pracowników umysłowych na kontrakcie. W roku 1931 było ich ponad 1.000.

A więc przy znacznie zwiększonym zakresie prac zarówno Urzędu Centralnego jak i przy rozbudowie placówek zagranicznych, na skutek lepszej wydajności pracy, lepszej organizacji, zmniejszenia biurokracji, można było zmniejszyć ilość pracowników o 30 %.

W ciągu bez mała 10 lat mojej pracy na stanowisku szefa Biura Personalnego przyjąłem i dopuściłem do egzaminu dyplomatyczno-konsularnego około 170 młodych ludzi, a więc trzecią część stałych urzędników, którzy ukończyli szkołę polską od powszechnej do wyższej włącznie, posiadali dobrą znajomość dwóch języków obcych, odbyli służbę wojskową, zakończoną przeważnie w stopniu ppor. rezerwy, no i odznaczyli się dobrą sprawnością fizyczną.

Na kilka lat przed wojną przyjąłem, na skutek polecenia min. Becka, dwóch młodych Ukraińców. Był to wyłom w dotychczasowej praktyce MSZ i wyłom bardzo dobry. Również prawie w tym samym okresie czasu uzyskało stypendium na studia w słynnym uniwersytecie muzułmańskim w El-Azhar w Kairze dwóch Tatarów wileńskich. Po dwóch latach studiów jeden z nich, Mustafa Aleksandrowicz, został przyjęty do MSZ'u i został urzędnikiem stałym. Ostatni raz widziałem go w Krzemieńcu. Co się z nim stało nie mogłem się dowiedzieć. Drugi nasz stypendysta powrócił do Wilna i poświęcił się naukom teologicznym.

Kandydat do służby w MSZ, tak zwany praktykant, miał dość trudną drogę zanim został stałym urzędnikiem. Musiał przejść roczną praktykę na placówce zagranicznej, po czym także praktykę w centrali MSZ, wreszcie zdać trudny, komisyjny egzamin z prawa międzynarodowego prywatnego i publicznego a w szczególności konsularnego, z ekonomii światowej i polskiej, z historii ze szczególnym uwzględnieniem najnowszej historii Polski i historii dyplomacji, z geografii z naciskiem na dobrą znajomość geografii Polski. W tej materii mieliśmy w pierwszych latach smutne doświadczenia.

◆

Ambasady i Poselstwa zajmowały się nie tylko pracą polityczną i dyplomatyczną. Z biegiem lat nasze placówki zagraniczne były coraz bardziej obciążane pracą ekonomiczną i finansową. Przy ułatwieniach telefonicznych i telegraficznych, a zwłaszcza przez zainstalowanie w MSZ własnej sieci radiotelegraficznej,

zwiększyła się wydajność w zakresie przekazywania poleceń czy instrukcji i informacji. Szybkość informacji i instruowania coraz bardziej skupiały w rękach ministra czy upoważnionych przez niego urzędników wszystkie elementy niezbędne w pracy politycznej. Placówki zagraniczne stawały się organem wykonawczym.

Konsulaty, poczynając od generalnych a kończąc na agencjach konsularnych, były miniaturami tego wszystkiego, co się w Polsce działo i wytwarzało, po wszystkie troski i kłopoty codziennego życia i bytu obywatela polskiego tak w kraju jak i poza jego granicami: a więc służba wojskowa, śluby, rekwizycje sądowe, spadki, urodziny i śmierci, interesy i przedsiębiorstwa handlowe, praca i przeróżne świadczenia, opieka nad wszystkimi obywatelami polskimi. W oczach szerokiej publiczności konsul był czymś znacznie ważniejszym aniżeli poseł RP.

Budżet Ministerstwa Spraw Zagranicznych

Sejm na rok 1939/40 uchwalił budżet Ministerstwa Spraw Zagranicznych w wysokości 42.203.000 złotych.

Pozycja *Urzędy dyplomatyczne i konsularne*: wynosiła — 22.058.000 zł., z której około 40 % szło na „Opiekę i pomoc Polakom za granicą”.

Jak z tej pozycji wynika wysiłek ubogiego państwa był olbrzymi w stosunku do jego skromnych możliwości.

Zdając sobie sprawę z odpowiedzialności za wydawanie tych cennych pieniędzy państwowym, byłem surowy i dokuczliwy w kontrolowaniu celowości wydatków.



Zostałem w MSZ niezależność Konsulatów od ambasadorów czy posłów. Zniosłem tę autonomię, podporządkowując konsulaty zarówno w dziedzinie politycznej jak i reprezentacyjnej placówkom dyplomatycznym. W dziedzinie czysto fachowej i technicznej konsulaty nadal podlegały Departamentowi Konsularnemu.

Ze względu zarówno na bezpieczeństwo jak i na bezrobocie w Polsce, zabraniałem zatrudniania cudzoziemców na jakimkolwiek stanowisku, ze służbą domową włącznie. Zatrudnionych cudzoziemców poleciłem zwolnić. Z centrali przysyłałem kierowników, woźnych i oczywiście urzędników.

Uporządkowałem i ujednoliciłem sprawę druków (nagłówków) na oficjalnych pismach wychodzących z placówek, jak rów-

nież zamieniłem we wszystkich urzędach zagranicznych stare pieczęcie na nowe, *jednolite*. Standartowy papier i koperty były dostarczane z centrali MSZ. W ten sposób przeciałem indywidualizm i fantazje niektórych urzędników, nadając jednolitą ale estetyczną formę i drukom (nagłówkom) i orłom.

Doradca artystyczny ministerstwa, p. J. Warchałowski, miał za zadanie, w miarę naszych możliwości finansowych i potrzeb, zaopatrywać placówki w meble, dywany, obrazy i urządzenia wnętrz, dostosowane do wymogów estetyki — wszystko z Polski.

Lokale nasze, zwłaszcza w Rosji, były naszpilkowane aparatami podsłuchowymi. W małym konsulacie w Mińsku, oficer techniczny Oddziału II Sztabu, znalazł w jednym tylko pokoju 15 ukrytych w ścianie aparatów podsłuchowych. W Niemczech było podobnie. Z pomocą Oddz. II zastosowaliśmy cały szereg aparatów zagłuszających, nasze kasy z aktami tajnymi i szyframi zaopatrzone były w aparaty alarmujące, które z powodzeniem spełniały swoją rolę.

Świadczenia na rzecz urzędników i funkcjonariuszy niższych

Do czasu przebudowy pałacu Brühlowskiego, pomieszczenia nasze były bardzo złe i niehigieniczne. Ilość zachorowań, zwłaszcza słabo płatnego personelu pomocniczego, była znaczna. Pomoc z Kasy Chorych niewystarczająca. Inspekcyjując biura na początku mej pracy jako naczelnik wydziału osobowego, czułem zapach niedomytych ciał. Winą tego było ubóstwo czy złe mieszkanie warszawskie ze znanym brakiem łazienek.

W nowoprzebudowanym gmachu Ministerstwa, kazałem w wysokich i dobrze wietrzonych piwnicach, zrobić na koszt MSZ łaźnie, tj. wanny i natryski. Używalność darmowa. Na koszt MSZ zaangażowałem instruktora gimnastyki, masażystę i masażystkę. Gimnastyka była bezpłatna, masaż kosztował 10 gr., to jest równowartość 10 papierosów. Łaźnie i prysznice były oczywiście dostępne i dla funkcjonariuszy niższych. Oddałem pomieszczenie do dyspozycji fryzjera, który nie płacił za lokal, ale z zakładu korzystać mogli *wyłącznie* urzędnicy i funkcjonariusze niżsi. Ceny były stosownie umiarkowane.

Zorganizowałem tanią i zdrową jadalnię, samoobsługową, pod kontrolą naszej Samopomocy Urzędniczej. Ministerstwo dawało lokal, paliwo i opłacało kucharki. W związku z otwarciem jadalni zarządziłem 30-minutową przerwę na zjedzenie tzw. drugiego śniadania. Dla niektórych urzędników ten posiłek był

tym cenniejszy, że zastępował często obiad, a często był jedynym gorącym posiłkiem. Jadalnia była bardzo duża i widna. Ze kuchni była smaczna świadczyła o tym częsta obecność wiceministra Szembeka, znanego smakosza. Gratulował mi tej jadłodajni. Ceny posiłków były niskie. Korzystać mogli wszyscy, poczynając od ministra do niższych funkcjonariuszy włącznie.

Długi korytarz w podziemiu wykorzystałem dla urządzeń sportowych jak np. strzelnica małokalibrowa.

Widząc trudności jakie mają nasi chorzy z dostawianiem się do przeciążonych Kas Chorych i nie mogąc sobie dać rady z ciągłymi zachorowaniami i zasląbnięciami, zaangażowałem na koszt MSZ'u dwóch lekarzy z prośbą, by zajęli się naszym personelem i wskazywali mi w swoich miesięcznych raportach środki zaradcze. Starszym lekarzem i świetnym organizatorem pracy był dr Aleksander Rytel. Na jego wniosek dałem mu lokal i zgodę na otwarcie w MSZ małej przychodni lekarskiej (ambulatorium), w których udzielał bezpłatnych porad naszym koleżankom i kolegom. Staraniom jego zawdzięczaliśmy zniżki na lekarstwa w aptekach. Lekarze nasi pośredniczyli i załatwiali sprawy nagłe w Kasie Chorych, starali się o miejsca w szpitalach i załatwiali sprawy związane z operacjami. Korzystając z sugestii dr. Rytle'a załatwiłem sprawę domów wypoczynkowych i urlopów. Na jego wniosek przeprowadziłem u ministra zgodę na dwa pięciodniowe urlopy świąteczne w okresie Bożego Narodzenia i Wielkanocy.

Przeprowadziłem, za zgodą min. Becka, dłuższe o tydzień urlopy wakacyjne zimą. Intencją moją było równomierne rozkładanie urlopów na cały rok; poprzednio w okresie dwóch miesięcy letnich praca w MSZ praktycznie zamierała, bo połowa personelu była na urlopach.

Organizowane przez MSZ kursy narciarskie, pływackie i jazdy konnej, oraz domy wypoczynkowe w okresie wakacyjnym — o cenach bardzo przystępnych, jak również inne świadczenia, wykazywały nie tylko dbałość o zdrowie i dobre samopoczucie urzędników, ale w pewnym stopniu rekompensowały niskie płace i brak awansów, na które zasługiwali.

Kursa „odświeżające” dla starszych stopniem urzędników

Corocznie odbywały się w MSZ kursa dla urzędników starszych stopniem, względnie odwołanych w międzyczasie z placówek, celem odświeżenia starych wiadomości, zweryfikowania ich

z nowymi teoriami czy osiągnięciami w dziedzinie prawa, ekonomii i obronności.

Wykłady mieli bądź koledzy, wykładowcy na wyższych uczelniach, bądź też zapraszani znawcy i profesorowie. Często na naszych kursach wykładali profesorowie krakowscy Roman Dybowski i Adam Krzyżanowski. Stałym prelegentem z zakresu wojskowości i obronności kraju był gen. Tadeusz Kutrzeba.

Ustaliłem zasadę, by każdy szef placówki zgłaszał się do mnie podczas każdorazowego pobytu w Warszawie.

Z szefami placówek omawiałem zarówno sprawy personelu im podległego jak i sprawy organizacyjne *zmierzające do usprawnienia przez zmianę metod pracy.*



W rozmowach z kierownikami konsulatów, mającymi największą styczność z interesantami, kładłem nacisk na porzucenie sztywnego, formalistycznego załatwiania spraw. Zwłaszcza w stosunku do osób szukających w konsulacie rady, opieki, a nawet możliwości uskarżenia się na trudności pracy czy życie osobiste. Zdarzały się często skargi posłów sejmowych, dziennikarzy i wszelkiego rodzaju działaczy społecznych lub po prostu ludzi dobrej woli, na opryskliwe, niegrzeczne postępowanie naszych urzędników, starających się jak najszybciej pozbyć „natrętnych” interesantów. Inspekcyjując placówki — jeszcze mało znany urzędnikom — stawałem w kolejce do urzędnika rozdzielającego interesantów do poszczególnych działów czy osób w konsulacie. Słyszałem sposób zwracania się do interesantów, czasami wręcz ordynarny. Zdarzyło się raz że urzędnik nie chciał dopuścić do konsula oświadczać, że „pan konsul generalny byle kogo nie może przyjąć”. Konsul generalny według jakiegoś obyczaju, przyjmował tylko osoby sobie znane, wysoko postawione, lub skierowane przez podwładnego urzędnika. Przekonałem się na własnej skórze jak słuszne było zarządzenie gen. Sławoja Składkowskiego, nakazującego starostom w pewnych godzinach przyjmować wszystkich zgłaszających się do starostwa. Zarządzenie to, z pewnymi korektywami, nie było tak bezsensowne, jak sztydziła prasa.

Inspekcyjując konsulaty, urządzałem odprawy dla urzędników domagając się od nich bardziej życiowego podejścia do interesanta, szukającego w Konsulacie nie tylko formalistycznego załatwienia jego spraw, ale cierpliwego i życzliwego wysłuchania jego skarg czy żalów. Konsulat jest nie tylko urzędem lecz i opiekunem.



Podobne rozmowy miałem również z praktykantami na comiesięcznych spotkaniach z nimi, które kończyły się wspólnym posiłkiem w Klubie Urzędników MSZ. Na tych „obiadach” z praktykantami wprowadziłem zasadę szczerego wypowiadania się o złych i dobrych stronach pracy w MSZ. Starałem się wskazywać na najwyższą cnotę — odwagę cywilną. Sekundowali mi w tym Jan Scazighino, Bolesław Celiński, Ludwik Łubieński, Antoni Tarnowski i inni, tak zwani „wójtowie” praktykantów. Bardzo uważnie przysłuchiwałem się ich opiniom i na pewno zawdzięczałem im niejedną poprawę w pracy Polskiej Służby Zagranicznej.



Akademicki Związek Zbliżenia Międzynarodowego „Liga” był dla MSZ’u doskonałym terenem selekcyjnym dla personelu Polskiej Służby Zagranicznej, jakkolwiek nie jedynym.

Jako zasadę przy przyjmowaniu do MSZ postawiłem sobie, że będę przyjmował 40 % prawników, 40 % ekonomistów i resztę z wszelkiego rodzaju szkół i studiów „ nauk dyplomatyczno-konsularnych”, których namnożyło się w Polsce bardzo wiele mimo, że mogliśmy przyjąć rocznie tylko około 15 młodych ludzi, by pokryć naturalny ubytek MSZ.

R o z d z i a ł I I I

BIURO PERSONALNE W PREZYDIUM RADY MINISTRÓW

Premier Janusz Jędrzejewicz, postanowił w roku 1933 przeprowadzić reformę uposażeniową z jednoczesnym usprawnieniem administracji. Na te tematy napisano tomy, a sejm przegadał wiele dni by — wszystko zostawić po staremu. Premier postawił sobie rok czasu dla dokonania reformy, poruczając to swojemu szefowi Biura Personalnego Prezydium Rady Ministrów. Po paru miesiącach szef B.P. zrezygnował. Nie mógł dać sobie rady z interwencjami ministrów i wiceministrów, broniących swego stanu posiadania, etatów i wysokości uposażeń.

W tym stanie rzeczy p. Janusz Jędrzejewicz zwrócił się do min. Becka o wypożyczenie kapitana Drymmera dla dokonania pracy. Po rozmowie ze mną min. Beck wyraził zgodę z zastrzeżeniem, że okres mego odkomenderowania nie potrwa dłużej

aniżeli 6 miesięcy, tj. do preliminowanego przez premiera terminu kończenia reformy.

Dostałem od premiera nominację na Szefa Biura Personalnego Prezydium Rady Ministrów, oraz szereg praktycznych wskazań, jak również zapewnienie pomocy w wypadkach gdybym miał trudności z ministrami.

Nominacja moja spotkała się wkrótce z interpelacją Klubu posłów narodowych, że mimo głoszonych przez rząd haseł oszczędnościowych i walki z protekcjonalizmem — kumuluje się posady i wynagrodzenia w jednych rękach, jak np. w wypadku kapitana Drymmera. Kapitan Drymmer jest szefem biura personalnego MSZ obecnie dostał drugą posadę, lepiej płatną, jako szef biura personalnego Prezydium Rady ministrów. Wziął mnie w obronę ówczesny wicemarszałek sejmu Bogusław Miedziński, oświadczając — poza kilkoma komplementami pod moim adresem — że skarb państwa nie tylko nic nie traci, lecz przeciwnie zarabia, bo dyr. Drymmer otrzymuje tylko jedną pensję, mimo że zajmuje dwie posady.

Tak jak i w Ministerstwie Spraw Zagranicznych postanowiłem przejść od razu do ataku na nadmiernie rozbudowaną biurokrację i fikcyjną pracę.

Pierwszą ofiarą padł Urząd Emigracyjny, podległy Ministerstwu Pracy. Urząd ten, według zebranych przeze mnie opinii znawców, dublował pracę Wydziału Emigracyjnego Departamentu Konsularnego MSZ, składającego się z 5 urzędników. Urząd natomiast zatrudniał 40 osób. Postawiłem premierowi wniosek zlikwidowania Urzędu Emigracyjnego, jako zbędnego, oddanie urzędników do dyspozycji ministra Pracy, skreślenie z jego etatu 40 osób, przekazanie agend Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Z całego zespołu urzędników U.E. wziąłem do MSZ dwóch, między innymi dr. Witolda Langroda nie tylko doskonałego znawcę zagadnień emigracyjnych, ale również dobrego demografa. Oczywiście etat MSZ nie został podwyższony. Po pewnym oporze minister Pracy poddał się decyzji premiera. Nie przebaczył mi tego nigdy B. Nakoniecznikoff, dyr. Urzędu Emigracyjnego.

Drugie moje uderzenie skierowane było przeciwko „Funduszowi Węglowemu”, utworzonemu nielegalnie i sprzecznie z prawem, przez Ministerstwo Przemysłu i Handlu. Ktoś przed laty wpadł na pomysł cichego opodatkowania dyrekcji kopalni i eksporterów węgla z czego powstał jakby fundusz dyspozycyjny ministra i z którego między innymi opłacano dodatkowych urzędników ministerstwa, a może nawet wypłacano dodatkowe pensje. Kontroli funduszu nie miałem prawa ani chęci przeprowadzać. Sprawa nielegalności Funduszu Węglowego i jego

dysponowania dyskrejonalnego przez ministra, poszła na Radę Ministrów. Okazało się że minister sądził, że jest to fundusz jak najbardziej legalny, przekazany mu zresztą przez poprzedników. Uchwałą Rady Ministrów Fundusz został zlikwidowany. Urzędnicy przeszli na etat ministerstwa, ale o tę samą ilość etatów Ministerstwo zostało zmniejszone.

Po tych i innych podobnych posunięciach miałem mniej oporu ze strony panów ministrów i mogłem zająć się z całą energią reformą uposażeniową i redukcją przerostów biurokratycznych i personalnych.

Ustawa uposażeniowa nie była przyjęta dobrze. Zdawałem sobie z tego sprawę. Padło ofiarą wiele osób tracących pracę, lub też tracących wyższe uposażenia, ale jednocześnie była to konieczność, którą wcześniej czy później należało przeprowadzić, wprowadzając jakiś sens w chaotycznie pomyślane uposażenia. Uważałem, że na dłuższą metę, ustawa będzie dla urzędników korzystna a dla państwa niezbędna.

Wprowadziłem poza ustawą uposażeniową nakaz dla ministra skarbu, a przez niego do wszystkich resortów państwowych, że wszystkie wydatki personalne mają być płacone z jednego paragrafu budżetowego, akceptowanego przez sejm. Od tej pory nie wolno było przyjmować i opłacać urzędników z innych pozycji budżetowych. Ustawa sejmowa położyła kres tendencjom każdego resortu powiększania ilości urzędników.

Drugą zasadę, jaką wprowadziłem, to zakaz opodatkowania pensyj urzędniczych, oraz

trzecią — *niepotrącanie* z pensyj składek emerytalnych. Urzędnik miał otrzymywać na rękę tyle pieniędzy, ile przewidywała ustawa sejmowa. Minister Skarbu w budżecie swoim musiał umieścić stosowną pozycję na opłacanie emerytur państwowych. Niestety, w kilka lat potem, gdy wicepremierem został E. Kwiatkowski, opodatkował pensje urzędnicze; uzasadnienie: potrzeby Skarbu Państwa.

Na zakończenie mych prac nad reformą uposażeniową wprowadziłem we wszystkich resortach państwowych pięciodniowe urlopy świąteczne na Boże Narodzenie i Wielkanoc tak jak w MSZ-cie. Oczywiście urlopy te nie mogły wpływać na normalny tok urzędowania.

Nie dobiegł jeszcze termin mego „wypożyczenia” do Prezydium Rady Ministrów, gdy zostałem wezwany przez min. Becka. Po rozmowie z nim dostałem trzecią „posadę”: dyrektora Departamentu Konsularnego (oczywiście ciągle przy tym samym, uposażeniu).

Rozdział IV

DEPARTAMENT KONSULARNY

Departament Konsularny składał się z 3 wydziałów: Polityki emigracyjnej (nacz. dr A. Zarychta), Polaków Zagranicą (nacz. dr W. J. Zaleski) i Opieki prawnej (nacz. B. Samborski).

Departament Konsularny był niejako ekspozyturą i organem wykonawczym *wszystkich resortów państwowych*, poczynając od opieki religijnej a kończąc na sprawach handlowych.

Obejmując Departament zapytałem ministra Becka o wytyczne. Beck zastanowił się chwilę i powiedział mi: „powtórzę ci to co kiedyś powiedział Komendant o Polakach za granicą: pracujcie nad tym by nareszcie Polacy wyszli z getta”.

W Departamencie zastałem urzędników nie tylko dobrych i doświadczonych, ale wybitnych, traktujących swoją pracę ideowo.

Nowym działem w Departamencie było zagadnienie *emigracyjne*, kierowane przez dr. A. Zarychtę. Ten kilkusobowy wydział spełniał z naddatkiem pracę dawnego Urzędu Emigracyjnego, pracując nie tylko nad wyszukiwaniem nowych możliwości emigracyjnych, tak trudnych po kryzysie światowym roku 1931, ale ponadto sprawował opiekę zawodową i prawną nad świeżymi emigrantami.

Poważnym zagadnieniem dla Departamentu Konsularnego i jego konsulatów było *szukanie rynków zbytu dla naszego eksportu przemysłowego i rolniczego*, oraz szukanie najintrygatniejszych warunków pracy poza granicami kraju dla naszej wykwalifikowanej młodzieży i tym samym wprowadzanie jej na drogę początkującej ekspansji gospodarczej naszego kraju. Mieliśmy już pewne sukcesy w tej dziedzinie w Afganistanie, Turcji i państwach Ameryki Południowej. Poważną trudnością był absolutny brak polskich domów handlowych poza granicami Polski. Powoli zaczęła drążyć myśl tworzenia ich i to z inicjatywy państwa.

OPIEKA nad POLAKAMI poza granicami Polski a więc na pograniczu w Niemczech, Rosji sowieckiej, Litwie, Łotwie, Rumunii i Czechosłowacji, oraz na terenach emigracji sezonowej na Łotwie, w Niemczech i Francji, emigracji stałej w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, krajach Ameryki łaćńskiej, spoczywała w rękach dr. W. J. Zaleskiego, naczelnika wydziału Opieki.

Pracowaliśmy oczywiście via Konsulaty za pośrednictwem lokalnych organizacji terenowych, skupionych w swojej centrali, tj. w Światowym Związku Polaków z Zagranicy, na której czele w ostatnich latach stał woj. W. Raczkiewicz. Prócz tej organizacji centralnej było jeszcze szereg innych, współpracujących ściśle z Departamentem Konsularnym:

Towarzystwo Pomocy Szkolnictwu Polskiemu Zagranicą z prezesem wicemin. Kolei Państwowych inż. J. Piaseckim, Związek Harcerstwa Polskiego (woj. dr M. Grażyński), Liga Morska i Kolonialna z patronem gen. br. K. Sosnkowskim, Związek Strzelecki, Sokół, Organizacja Młodzieży Katolickiej, Org. Młodzieży Protestanckiej, Towarzystwo Opieki nad Młodzieżą Polską Studiującą Zagranicą, Akademicki Związek Zbliżenia Międzynarodowego „Liga”, wreszcie bliski kontakt i współpraca ze Stowarzyszeniem Rycerzy Chrystusowych w Potulicach z ks. przeorem Posadzym.

Jak z tej listy wynika, główny nacisk został położony na pracę wśród młodzieży i przez młodzież.

Ze wszystkimi państwami, o których mówiłem, udało się ułożyć jakieś możliwości współpracy w dziedzinie opieki i kontaktu z Polakami, nawet z hitlerowskimi Niemcami.

Nie udało się nigdy nawiązać jakiegokolwiek kontaktu z milionową rzeszą Polaków w sowieckiej Rosji.

Wysyłaliśmy i utrzymywaliśmy za granicą około stu nauczycieli, instruktorów spółdzielczych, handlowych, rolniczych, harcerskich, teatralnych i sportowych.

Kierownikiem Działu Zagranicznego Związku Harcerstwa Polskiego (na etacie MSZ) był p. Kwapiszewski, jego zastępcą p. Bolesław Wierzbiański. Praca prowadzona przez nich dawała dobre rezultaty we wszystkich zagranicznych środowiskach polskich. Jeszcze ostatnio, na emigracji w Kanadzie, spotykałem się ze śladami ich pracy.



W dziedzinie wydawniczej zrobiliśmy kilka prac pionierskich. Mam na myśli przede wszystkim Czterotomową Encyklopedię pod nazwą: „Polska i Polacy w Cywilizacjach Świata”. Praca nad tą encyklopedią, pod kierownictwem p. Władysława Pobóg-Malinowskiego, trwała szereg lat. Rozpoczęta w roku 1935, była gotowa do druku w roku 1939. Pobóg-Malinowski pokazywał mi pierwsze zeszyty, przysłane do korekty. O ile wiem Malinowski wywiózł z Polski całość materiału.

Przy pomocy finansowej i z naszej inicjatywy ukazała się

książka pod tytułem „Życiorysy świętych polskich”, redagowana przez poślanek Wandę Pełczyńską a ilustrowana przez graficzkę pannę Goryńską.

W ślad za Życiorysami świętych polskich, ukazał się „Modlitewnik Polski”, wydany również naszym staraniem.



Z budżetu Dep. Konsularnego utrzymywaliśmy dwa gimnazja polskie w Niemczech w Opolu i w Kwidzynie, oraz trzecie gimnazjum w Charbinie (Mandżukuo). Gimnazjum Polskie w Gdańsku było na budżecie Min. Oświaty, pewne uzupełnienia dawało MSZ.

Polonia charbińska dostarczyła paru wybitnych ludzi, że wymienię Włodzimierza Bączkowskiego, znanego znawcę Rosji i komunizmu.

O wspólnocie z daleką ojczyzną, świadczy pielgrzymka 20 młodych chłopców, którzy via Władywostok przybyli do Jerozolimy, by dołączyć do Brygady Karpackiej. Przeprowadził ich urzędnik konsulatu, oficer rezerwy Romuald Damiński.



Ministerstwo Skarbu, gdy ministrem był I. Matuszewski, dawało nam od czasu do czasu poważne zastrzyki pieniężne. Na kilka lat przed wojną dostałem z Ministerstwa Skarbu 5 milionów złotych (około 1 miliona dolarów) na uzdrowienie polskich Banków Spółdzielczych na Śląsku Zaolziańskim i Górnym Śląsku (niemieckim). Wraz z pieniędzmi Ministerstwo Skarbu posłało swego wyrobionego społecznie urzędnika, który na miejscu udzielił wielu cennych uwag i rad; nie tylko je akceptowałem, lecz dopilnowałem wykonania.

Bank Polska Kasa Opieki, pod kier. dr. H. Grubera udzielił, nie tylko pomocy kredytowej, ale i wielu cennych wskazań dla naszych banków w Niemczech.

Bank ten i jego oddziały we Francji, Argentynie i Stanach Zjednoczonych coraz bardziej zyskiwały na znaczeniu nie tylko jako instytucje dla składania oszczędności, z której korzystali nasi emigranci i osadnicy, ale coraz częściej jako normalne banki.



Do Polski rok rocznie ściągaliśmy setki młodych Polaków i Polek ze wszystkich części świata (poza Rosją oczywiście) czy

to jako wycieczkowiczów czy też na przeróżne kursa: teatralne, kukielkowe, harcerskie, gier ruchomych, szybowcowe, kajakowe lub też normalne kursa naukowe wyższe, z teologią włącznie (ostatnim stypendystą w roku 1939 na teologii był ks. Śledź ze Stanów Zjednoczonych).

Kładłem duży nacisk na szerzenie wiedzy o Polsce, oczywiście w skali dostosowanej do poziomu słuchaczy.

Planowałem stworzenie 2 lub 3-letniego studium wiedzy o Polsce przy Uniwersytecie Warszawskim, jak również jednorocznego studium w Stanach Zjednoczonych z językiem wykładowym angielskim, dla Polaków względnie Amerykanów polskiego pochodzenia słabo lub wcale nie mówiących po polsku.

Rozmowy na ten temat były prowadzone z profesorem Romanem Dyboskim z Krakowa.

Kursa dla młodzieży o których mówiłem, odbywały się pod kierunkiem p. W. Zachariasiewicza ze Światopoli. Koszt kursów, przejazdy i utrzymanie ponosił Departament Konsularny.

Nie dopuszczałem do wciągania Polaków, zwłaszcza na terenach pogranicznych do jakiegokolwiek pracy wywiadowczej, choćby to miało być z czasową korzyścią dla kraju. Odpowiedzialność za schwytanie kogoś na robocie szpiegowskiej, obciążałoby wszystkich Polaków, co mogłoby spowodować katastrofalne rezultaty dla życia polskiego w Niemczech. Uzyskałem w tej sprawie całkowite poparcie ze strony kolejnych szefów Oddziału II Sztabu Głównego.



Wielką pomoc w spełnianiu tych prac, okazywali mi ludzie stojący poza organizacjami społecznymi, współpracującymi z MSZ, ale odwiedzający często ośrodki polskie za granicą i interesujący się tym problemem. Dzielili się ze mną swoimi spostrzeżeniami. Ceniłem sobie ich odwiedziny w MSZ-cie i ich uwagi, o czym pamięć przechowuję po dzień dzisiejszy. Przede wszystkim chcę wymienić prof. dr. Odo Bujwida, który pierwsze kroki po swoich dalekich podróżach (Południowa Ameryka), kierował do mnie, zawsze żywy, pełen entuzjazmu i dumy z pracy naszych rodaków na drugiej półkuli. Drugą osobą była posłanka pani Wanda Pełczyńska, która interesowała się bardzo emigracją zarobkową we Francji i dawała mi swoje cenne uwagi i rady. Trzecim moim nauczycielem był najskromniejszy człowiek jakiego znałem, Jerzy Stempowski, którego rozległą wiedzę i doświadczenie ceniłem głęboko.

Rozdział V

PIERWSZY ŚWIATOWY ZJAZD POLAKÓW Z ZAGRANICY

W lecie roku 1934 odbył się pierwszy masowy zjazd Polaków z zagranicy, zwołany przez Światowy Związek Polaków z Zagranicy. Wzięło w nim udział kilka tysięcy osób.

Światowy Związek powstał na miejsce istniejącej już od paru lat Rady Polaków z zagranicy. Na czele Światowego Zw. Polaków (Światpolu, jak nazwaliśmy go w skrócie) stanął marszałek senatu Władysław Raczkiewicz.

Ze zjazdu Polaków utkwiła mi w pamięci osoba F. X. Świetlika, reprezentanta Związku Narodowego Polskiego w USA i jego dyskusja z pp. Raczkiewiczem i Hełczyńskim, na temat polskości Polonii Amerykańskiej. Obaj rozmówcy chcieli wmówić w p. Świetlika, że jest Polakiem, a p. Świetlik upierał się, że jest Amerykaninem polskiego pochodzenia. Podobną rozmowę obaj panowie przeprowadzili znów w mojej obecności z p. Świetlikiem, tym razem w Ambasadzie amerykańskiej, która urządziła wielkie przyjęcie dla wycieczki Polaków amerykańskich i prezydium Zjazdu. Tym razem pp. Raczkiewicz i Hełczyński byli agresywniejsi, doprowadzając do łez p. Świetlika. Po rozmowie z paru Polakami amerykańskimi, uderzyło mnie to, że wszyscy uważają się za Amerykanów polskiego pochodzenia. Dało mi to dużo do myślenia.

Postanowiłem zbadać to zagadnienie. Miałem dwie opinie: jedną Światowego Związku Polaków — z którą solidaryzowało się paru urzędników mego departamentu — że w Stanach mamy do czynienia z olbrzymią masą Polaków (7-8 milionową), i z drugą, reprezentowaną przez nasz Wydział Zachodni Departamentu Politycznego, że w Stanach Polacy są w okresie regresji, jest ich zaledwie garstka, może kilkudziesięcio-tysięczna, ludzi starych. Reszta, tak zwana Polonia Amerykańska, uważa się za Amerykanów polskiego pochodzenia. By być zupełnie pewnym i ścisłym, wysłałem do Stanów dwóch młodych socjologów z prośbą o możliwie dokładnie zbadanie tego zagadnienia. Konsulom poleciłem udzielać im wszelkiej pomocy. Panowie ci (niestety nazwiska wyleciały mi z pamięci) po kilkumiesięcznych studiach złożyli mi swoje bardzo sumienne prace. Ich stanowisko pokrywało się w zupełności ze stanowiskiem pana Świetlika. Amerykanie polskiego pochodzenia urodzeni w Stanach bardzo są wrażliwi na losy „starej ojczyzny”, ale czują się Amerykanami.

Wewnątrz Departamentu Konsularnego przeprowadziłem na ten temat dyskusję, po której zajęliśmy następujące stanowisko:

W Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie dla szeregu powodów następuje szybki proces asymilacyjny. Młode pokolenie ulega szybko wynaradawianiu się szybko i szybko traci znajomość języka polskiego. Być może, że następne pokolenia, bardziej oświecone, kulturalniejsze, aniżeli gros Polonii, będzie nawracać do polskości, do nawiązań z kulturą przodków, ale nie będą już Polakami.

W ostatniej wojnie, minimalny udział Polaków amerykańskich w polskich oddziałach ochotniczych i fiasko ochotniczego zaciągu w Stanach i w Kanadzie, potwierdziły nasze stanowisko. W czasie wojny ostatniej tylko kilkadziesiąt tysięcy Polaków miało jeszcze obywatelstwo i paszporty polskie. Płk I. Matuszewski, działający w okresie wojny w Stanach Zjednoczonych, powołał do życia Komitet Narodowy Amerykanów Pochodzenia Polskiego (KNAPP), rozumując jak i my w Departamencie Konsularnym przed wojną.

Opieka prawna i zdrowotna

Wydział Opieki prawnej rozciągał opiekę prawną nad obywatelami polskimi, przebywającymi poza granicami RP; do niego należała opieka prawna na wypadek zatargów w pracy, wypadków w czasie pracy, opieka zdrowotna, zawieranie i egzekwowanie umów zawartych bądź z obcym państwem (jak np. z Francją) bądź z poszczególnymi przedsiębiorstwami. Wydział wystawiał świadectwa małżeńskie, narodzin lub zgonów, rekwizycji sądowych lub też ułatwiał albo przeprowadzał dochodzenia spadkowe. On też przeprowadzał akcję poborową do wojska lub ułatwiał odraczanie służby wojskowej. Tam też załatwiano się poświadczenia wwozu i wywozu towarów i czuwało się w tej dziedzinie nad działalnością naszych konsulatów honorowych.

Wydział ten załatwiał z poszczególnymi rządami, z którymi mieliśmy umowy pracy i opieki zdrowotnej, wszystkie sprawy sporne na ten temat.

W wydziale tym załatwiono wielką akcję przewiezienia (z Francji do Polski) kilkuset chorych umysłowo. Transportu dokonano przy pomocy dwóch naszych statków, zamienionych czasowo na szpital dla umysłowo chorych. Według opinii naszych lekarzy, zaburzenia umysłowe naszych robotników czy pracowników rolnych powstawały z przyczyny nostalgii, braku znajomości języka, obcego środowiska, notorycznej nieuprzejmości francus-

kiej, złego i obcego jedzenia, itd. Akcja ta nastąpiła za poradą naszych lekarzy — którzy zapewniali, że powrót do normalnych warunków powinien w bardzo wielu wypadkach przywrócić chorem zachwianą równowagę umysłową.

Po kilku miesiącach miałem już wiadomości jak najpomyślniejsze. Wielu chorych szybko powracało do zdrowia.

Sprawa opieki nad chorymi w szpitalach francuskich, pozostawiała bardzo wiele do życzenia. Stosownie do umowy polsko-francuskiej, koszty leczenia i operacji ponosił rząd francuski. W warunkach jakie polskim chorym dawano w szpitalach, o których meldowali nasi konsulowie, chorzy z trudem i powoli powracali do zdrowia. Musieliśmy angażować dla opieki nad chorymi pielegniarki bądź tłumaczki czy tłumaczy Polaków, a od czasu do czasu zapewniać im wizytę lekarza-Polaka.

(c.d.n.)

Wiktor Tomir DRYMMER

Płk Zygmunt BORKOWSKI

WSPOMNIENIA Z DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ — 1939-1943

Francja

Moje pierwsze spotkanie z gen. Sikorskim podczas 2-giej Wojny Światowej miało miejsce przy przejściu granicy rumuńskiej we wrześniu 1939 roku. Powołany do wojska z rezerwy, w sierpniu tegoż roku, zostałem przydzielony w stopniu majora do Sztabu Naczelnego Wodza, ale bez ściśle określonej funkcji. Razem ze Sztabem odbyłem całą drogę przez Brześć do Uściugu i stamtąd do granicy rumuńskiej. Podczas tej wędrówki słyszałem, że gen. Sikorski, również w stanie nieczynnym od maja 1926 roku, usiłował dwa razy zobaczyć się z Marszałkiem Rydzem-Śmigłym w sprawie przydziału wojennego dla siebie. Za każdym razem Marszałek go nie przyjął. Dopiero przed samym mostem granicznym gen. Sikorski spotkał się z Marszałkiem i

wyraził życzenie powrotu do Warszawy, która się jeszcze bro-
niła. I ta propozycja Sikorskiego pozostała bez odpowiedzi. Mar-
szałek orzekł, że w tych warunkach nie ma czasu i możliwości na
rozmowy i radził Sikorskiemu aby się zameldował u niego w
Rumunii. Najwidoczniej łudził się, że będzie miał tam swobodę
ruchu i działania.

Zaraz po przejściu granicy zauważyłem mały samochód pry-
watny. Jechał w nim mój dobry znajomy Antoni Bogusławski,
a z nim Kułakowski, późniejszy sekretarz Generała i sam gen.
Sikorski. Na mój widok samochód się zatrzymał i Generał przy-
wołał mnie do siebie. Byłem tym raczej zaskoczony. Wprawdzie
gen. Sikorski znał mnie dobrze i od dawna. Spotykałem go jako
dowódcę grupy poleskiej w 1919 roku, kiedy został generałem,
następnie jako dowódcę 5 Armii w okresie wojny 1920 roku
z Bolszewikami. Wreszcie, kiedy został Ministrem Spraw Wojs-
kowych miałem z nim wciąż do czynienia, będąc szefem gabi-
netu Szefa Sztabu, gen. Stanisława Hallera. W całym tym cza-
sie byłem zawsze pełen podziwu dla jego talentów dowódczych
i miałem dla gen. Sikorskiego uczucie prawdziwej sympatii. Ale
przyszły „wypadki majowe” i cały mój stosunek do gen. Sikor-
skiego zmienił się. Nie mogłem zrozumieć jego biernego stano-
wiska w tej sprawie, nie opowiedział się bowiem po żadnej
stronie. Ja sam po 1926 roku przeszedłem do rezerwy na włas-
ne żądanie i od tej pory nie miałem żadnych osobistych kontak-
tów z gen. Sikorskim. Nawet ich unikałem. Zdziwiony więc,
podszedłem do samochodu. Nawiązała się rozmowa, znowu nie-
oczekiwanie szczerą i bezpośrednią. Generał wspomniał o swoim
ostatnim widzeniu się ze Śmigłym, mówiąc stanowczo, że w Ru-
munii Marszałek już nie będzie dla niego Wodzem Naczelnym,
nie ma więc zamiaru tam się meldować. Przeciwnie, postara się
jak najprędzej przedostać do Francji na własną rękę. Kończąc
rozmowę, radził mi uczynić to samo i obiecał wszelką pomoc
abym mógł jechać do Paryża. Samochód ruszył i na tym skończy-
ło się nasze pierwsze, po wielu latach, spotkanie.

W Bukareszcie zwróciłem się do ambasadora Rogera Raczyń-
skiego powołując się na powyższą rozmowę i prosząc o ułatwie-
nie mi wyjazdu. Okazały się jednak różne trudności. Ambasadę
oblegaly tłumy uchodźców, o pozwolenie na wyjazd z Rumunii
nie było łatwo, a wiza do Francji bez specjalnego poparcia pra-
wie niemożliwa. Tymczasem gen. Sikorski przejechał szybko przez
Rumunię ale zanim dotarł do Paryża, zanim się jego sytuacja tam
ustaliła, mijały dni. Musiałem czekać w Bukareszcie, sprzedając
własny samochód, którym przyjechałem, aby zdobyć pieniądze
na przetrwanie. W kieszeni miałem zaledwie 100 złotych i nie

miałem pojęcia jak się moje sprawy ułożą. Wreszcie, zostałem nagle wezwany do Attaché wojskowego przy Ambasadzie Polskiej. Objął mnie, że przyszła depesza od gen. Sikorskiego, już jako Premiera, wzywająca mnie do Francji. Naturalnie wszelkie trudności ustały i w parę dni później ruszyłem w drogę.

Był to początek października 1939 roku. Nie miałem jasnego wyobrażenia co zastanę w Paryżu. Wiedziałem, że ciągłość państwowości polskiej została uratowana przez antydatowane zrzeczenie się Prezydentury przez Mościckiego na rzecz Władysława Raczkiewicza, który jako Prezes Związku Polaków Zagranicą miał kontakty z polskimi ugrupowaniami na obczyźnie i znalazł się w Paryżu już bardzo wcześniej. Wiedziałem, że tworzy się nowy Rząd z gen. Sikorskim jako Premierem i Ministrem Spraw Wojskowych. Wiedziałem, że przez Rumunię i Węgry ciągną do Francji liczni wojskowi i politycy polscy. To wszystko. Ani z atmosfery jaka panuje w Paryżu, ani z widoków jakie się przed nami otwierają w nowej sytuacji, nie mogłem sobie zdawać sprawy.

Przybywszy do Paryża zameldowałem się natychmiast u gen. Sikorskiego, który mieszkał jeszcze w skromnym Hotelu Danube, znanym mu z poprzednich pobytów we Francji. Przyjął mnie zaraz i rozmawiał ze mną długo, otwarcie, mówiąc o zadaniach jakie widzi przed sobą. Znowu byłem tym zdumiony. W pewnej chwili przerwałem nawet Generałowi, pytając go wprost dlaczego mnie wyróżnił specjalnym wezwaniem do siebie. Nie byłem przecież w żadnym znaczeniu „jego człowiekiem”. Odpowiedział, że właśnie takich ludzi potrzebuje — o niezależnych od nikogo poglądach. Dalej już nie poruszał żadnych spraw osobistych, lecz po ogólnym wprowadzeniu mnie w sytuację, dał mi przydział do osoby Prezydenta Raczkiewicza. Wyszedłem od Generała pod silnym wrażeniem tej rozmowy i roli jakiej się podjął. Był to w moim życiu moment decydujący.

Prezydent leżał wówczas w naszej Ambasadzie w Paryżu ciężko chory na zapalenie płuc. Były nawet obawy o jego życie, stąd moje obowiązki ograniczały się znowu do czekania. Już jednak w parę dni po mojej nominacji zjawił się u mnie o 11-tej wieczorem polski żandarm z poleceniem, abym się natychmiast udał do Prezydenta. Złakłem się, że może nastąpiło pogorszenie i Prezydent umiera. Kiedy jednak stawiłem się w pokoju chorego, zastałem przy jego łóżku gen. Sikorskiego. Ten, w obecności Prezydenta i przy jego udziale, objął mnie, że w związku z odbudową Polskich Sił Zbrojnych powstała niezmiernie trudna komplikacja. Zewsząd zgłaszają się żołnierze, oficerowie, ochotnicy. Cały naród rozumie, że Polska musi dalej brać udział w woj-

nie jako pełnowartościowy sojusznik Państw Sprzymierzonych, z własnym wojskiem, pod własnym dowództwem. Tymczasem nie ma Wodza Naczelnego, faktycznie stanowisko to jest w tej chwili fikcją, gdyż Marszałek Rydz-Śmigły nie może wykonywać swoich obowiązków. Jest w ręku Rumunów i widać jasno, że nie mają zamiaru go wypuścić. Tu Prezydent stwierdził, że już dwukrotnie zwracał się do Marszałka z prośbą aby podał się do dymisji, bowiem wołałby uniknąć zwolnienia. Obie próby nie dały rezultatu. Wobec tego chce teraz za moim pośrednictwem przesłać raz jeszcze do Marszałka pismo, którego treść będzie mi zaraz odczytana. Ponieważ zależy bardzo na czasie, więc proszę mnie abym go zawiadomił szyfrem z Bukaresztu, jak tylko uzyskam taką czy inną decyzję Śmigłego. O ile pamiętam, treść listu brzmiała mniej więcej jak następuje:

„Panie Marszałku,

Ponieważ przystępujemy w miarę możliwości do odtworzenia Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie, na co już mamy zgodę Rządu francuskiego, przeto powstaje problem stanowiska Wodza Naczelnego. Skoro Pan Marszałek najlepiej musi zdawać sobie sprawę, że tej funkcji pełnić nie może, bo Rumuni Pana nie wypuszczą, a ja ze swej strony nie chciałbym korzystać z mego prawa zwolnienia Pana ze stanowiska, proponuję więc, aby Pan Marszałek zechciał złożyć dymisję na moje ręce.

Prezydent Władysław Raczkiewicz”.

Po odczytaniu wręczono mi pismo zapieczętowane pieczęcią Prezydenta. Co do mojej podróży wydane były wszelkie zarządzenia dla ułatwienia i przyspieszenia przejazdu, a Ambasador Roger Raczynski dostał polecenie, aby załatwić sprawę z Rumunami w celu uzyskania pozwolenia na moje spotkanie z Marszałkiem. Rzeczywiście, po przybyciu do Bukaresztu, Ambasador zakomunikował mi, że wszystko jest w porządku i że podczas mojej wizyty u Marszałka towarzyszyć mi będzie wysoki urzędnik z rumuńskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

W tym czasie Marszałek Rydz-Śmigły znajdował się dość daleko od Bukaresztu, w rezydencji ważnego dostojnika Kościoła Rumuńskiego. Jadąc tam, przekonałem się jak pilnie Marszałek i jego otoczenie byli strzeżeni przez wojsko i policję rumuńską. Na drogach i mostach spotykało się ciągle zbrojne posterunki.

Przyjęty przez Marszałka wręczyłem mu zapieczętowany list Prezydenta, mówiąc, że znam jego treść. Marszałek przeczytał przy mnie list i kazał za godzinę wrócić po odpowiedź. Kiedy stawiłem się wedle rozkazu, Marszałek chciał wręczyć mi tę odpowiedź w zapieczętowanym piśmie. Odmówiłem przyjęcia, tłuma-

cząc się, że mam polecenie zawiadomić natychmiast Prezydenta depeszą o wyniku mojej misji, muszę więc znać treść decyzji Marszałka. Po dalszym namyśle Rydz-Śmigły znowu mnie wezwał do siebie i oświadczył, że składa dymisję. Po powrocie do Bukaresztu zawiadomiłem o tym Prezydenta szyfrowaną depeszą i dnia 7-go listopada 1939 roku, gen. Sikorski został mianowany Wodzem Naczelnym.

W parę dni potem byłem już z powrotem w Paryżu i stawiłem się u Prezydenta, którego stan zdrowia znacznie się poprawił. Dziękując mi za załatwienie sprawy, Prezydent polecił mi zameldować się zaraz u gen. Sikorskiego w Hotelu Regina, gdzie mieścił się teraz Sztab Główny. Generał wypytывał mnie bardzo szczegółowo o rozmowę z Marszałkiem i wszystkie moje wrażenia z wizyty u niego. Po czym oświadczył, że zmienia mój przydział, zabiera mnie od osoby Prezydenta i mianuje swoim oficerem do zleceń. Odtąd miałem towarzyszyć gen. Sikorskiemu prawie bez przerwy aż do upadku Francji, a później w Anglii aż do jego śmierci.

Jedna z takich przerw nastąpiła prawie bezpośrednio po moim mianowaniu. Już 14-go listopada Generał, z ministrem Spraw Zagranicznych Zaleskim i Szefem Sztabu płk. Kędziorem, jedzie do Anglii na przegląd floty polskiej. Szereg naszych okrętów zdołało przedrzeć się tam z Gdyni, dwa inne dołączyły z Casablanki, tak więc Polska Marynarka Wojenna z pełnymi załogami i dowódcą, Admirałem Świrskim, znalazła się w portach szkockich w gotowości bojowej. Oprócz inspekcji planowane były rozmowy z Rządem Wielkiej Brytanii.

Podczas krótkiej nieobecności Generała miałem sposobność rozejrzeć się po Paryżu. Każdego, kto przeżył katastrofę wrześniową, uderzała przede wszystkim beztroska atmosfera *drôle de guerre*. Miasto było wprawdzie zaciemnione, ale tylko częściowo. Gdzieś tam, w worki z piaskiem, zabezpieczające niektóre ważniejsze pomniki, przypominały, że coś nie jest w porządku. Jednak życie toczyło się zwykłym torem, a u ludności cywilnej czuło się obojętność, lub nawet niechęć wobec grożącego konfliktu. Jedynym znakiem stanu wojennego były tłumy urlopowiczów z frontu, gdzie nic się nie działo. Włóczyli się po ulicach zarośnięci, w rozchełstanych mundurach, każdy z manierką wina u boku i — nie wiadomo dlaczego — z kosturem w rękę. Wszystko to tworzyło jaskrawy kontrast z postawą Polaków napływających do Francji w coraz większych ilościach. Tu wola walki była motorem wszelkich poczynań. Wprawdzie rozgrywki partyjne i osobiste zatruwały polskie życie, a gorzkie klęski jeszcze je pobudzały. Jednak niezłomne postanowienie dalszej obecności Polski

w wojnie, jako Państwa i Sił Zbrojnych, pozostawało jednoczącą siłą. Istniał dalej, choć na obczyźnie, Rząd prawowity. Nasz Sztab pracował pełną parą w Paryżu w Coëtquidan i Partenay rozpoczynała się organizacja wojska. W Kraju działały już pierwsze ruchy oporu. Jako Premier i Wódz Naczelny, gen. Sikorski łączył swoją osobą wszystkie te wysiłki.

Z Anglii Generał wrócił zadowolony. Inspekcja floty polskiej napełniała otuchą. Rozmowy z Królem i Rządem angielskim doprowadziły do podpisania umowy morskiej. Polska Marynarka Wojenna została uznana za część sprzymierzonych sił morskich, z zachowaniem bandery polskiej, własnych dowódców i administracji, pod ogólną komendą angielską. Część polskiego personelu lotniczego miała również przenieść się do Wielkiej Brytanii.

Wkrótce po powrocie Generał postanowił przemówić do Kraju i zdaje się, że właśnie z tym przemówieniem łączą się pewne, dość niezwykle okoliczności. Niespodziewanie, Generał zwrócił się do mnie i paru innych oficerów z najbliższego otoczenia, proponując abyśmy naszkicowali projekt takiej wypowiedzi. Znalazłem się w głupiej sytuacji, bo nie mam żadnych skłonności do wyrażania myśli w bądź co bądź literackiej formie. Ale był wówczas w Paryżu Ignacy Matuszewski, z którym łączyły mnie przyjazne towarzyskie stosunki. Udałem się do niego i zwierzyłem z mego kłopotu. Matuszewski słuchał uważnie, po czym wyszedł do drugiego pokoju i po piętnastu minutach wrócił podając mi świetnie napisane przemówienie. Gen. Sikorski był zachwycony. Powiedziałem mu naturalnie skąd tekst pochodzi i ten właśnie, w niczym niezmienny, poszedł na Kraj.

Wizyta Generała Sikorskiego w Wielkiej Brytanii nawiązała jego bezpośredni kontakt z angielskim sprzymierzeńcem. Jednak w jego planach i umyśle pierwsze miejsce zajmowała Francja. Tu miał od dawna bliskie stosunki z wybitnymi ludźmi, tu przebywał często w okresie swego odsunięcia od działalności w Polsce, tu czuł się — jak mu się zdawało — na dobrze znanym sobie terenie. Gen. Sikorski wierzył we Francję i stawiał na Francję. Wierzył w jej potencjał wojenny, w jej ducha i odporność gdy nastąpi decydujące zderzenie z nieprzyjacielem. Toteż uwaga jego skupiała się przede wszystkim na jak najszybszej rozbudowie wojska polskiego na terenie Francji. Miał po temu wszelkie dane jeżeli chodzi o materiał ludzki. Żołnierze polscy i nowi ochotnicy napływali zewsząd przez Węgry, Rumunię, Turcję, Grecję i Jugosławię. Od władz francuskich uzyskał zgodę na zaciąg Polaków osiadłych we Francji, nawet tych co już mieli obywatelstwo francuskie. Można było liczyć na formowanie armii zakrojonej na około 100.000, obejmującej cztery dywizje

piechoty, lekkie jednostki zmechanizowane, lotnictwo myśliwskie, a zaleźnie od sprzętu, także jednostki pancerne. Tu właśnie, w dziedzinie sprzętu i ekwipunku nasunęły się pierwsze trudności.

W Coëtquidan bywałem parokrotnie z gen. Sikorskim z okazji różnych inspekcji i odpraw, a także w związku z wizytą tam Prezydenta. Jednak w pamięci pozostał mi najżywiej mój pierwszy pobyt w obozie, kiedy pojechałem tam sam, delegowany przez Generała. Warunki zastałem opłakane. Umundurowanie liche, stare francuskie, broń przestarzała i w niedostatecznej ilości. Poza tym samo Coëtquidan było przetłoczone, więc według francuskiego zwyczaju wojsko rozmieszczano po kwaterach cywilnych w pobliskich wsiach i miasteczkach. Tu los żołnierzy był pożałowania godny podczas niezwykle ostrej zimy 1939-40 roku. Gnieździł się po strychach i stodołach, często bez opału. Na jednym z takich stryszków odkryłem dwóch dobrych znajomych. Był to Józef Lipski, nasz ostatni ambasador w Berlinie i Malhomme, członek tej ambasady. Podziwiałem ich ducha, jak też i innych żołnierzy, ale były również narzekania, szemrania, wcale nie bez powodu.

Wrażenia moje zameldowałem gen. Sikorskiemu, który zaraz interweniował u władz francuskich. Pomimo tego sprawy ekwipunku i sprzętu szły jak po grudzie. Było to niewątpliwie znakiem ogólnego nieprzygotowania Francji do wojny. Generał Sikorski był jednak nadal, uporczywie, dobrej myśli, choć napotykał wciąż na zawody i trudności. Umowa wojskowa polsko-francuska zostaje podpisana dopiero w styczniu 1940 roku, po długich i żmudnych rokowaniach. Nawet osoba Naczelnego Wodza Francji, gen. Gamelin, nie powinna, zdawałoby się, skłaniać do zbyt-niego optymizmu.

Pamiętam śniadanie urządzone dla niego w Ambasadzie Polskiej w Paryżu, na które towarzyszyłem gen. Sikorskiemu. Kontakty z Gamelin były naturalnie ścisłe i nieprzerwane od samego początku. Ale po tym śniadaniu, zresztą oficjalnym, gen. Sikorski mówiąc ze mną wyraził się po raz pierwszy dość niepochylnie o gen. Gamelin. Najwyraźniej uważał go za nieodpowiedniego na to stanowisko w tak krytycznej chwili, która wymagała specjalnych cech charakteru u Wodza, aby rozbudzić prawdziwą wolę walki i w wojsku i w narodzie.

Natomiast cechy takie widział Sikorski u gen. Weyganda. Łączyła ich przyjaźń jeszcze z czasów kampanii polskiej 1920 roku. Toteż gen. Sikorski ucieszył się bardzo na wiadomość, że Weygand przybywa do Paryża z Syrii, gdzie miał powierzone sobie dowództwo. Podczas swego krótkiego pobytu we Francji, Weygand chciał się naturalnie widzieć z Generałem i zaprosił go do

siebie na śniadanie. Spotkanie, przy którym byłem obecny, miało charakter prywatny, przyjacielski i gen. Sikorski dużo sobie po nim obiecywał. Tymczasem właśnie rozmowa z Weygandem wzbudziła w nim pierwsze niepokoje co do roli Francji w losach wojny. Gen. Weygand wyraził otwarcie swój pesymistyczny pogląd na stan przygotowania Francji. „Znam nastroje w wojsku” — mówił — „znam nastroje w społeczeństwie. Znam przestarzały stan uzbrojenia i sprzętu i w moim przekonaniu wojna ta będzie przez nas przegrana. Właściwie, już jest przegrana”. A był to jeszcze okres zupełnej ciszy na froncie.

Po tej rozmowie gen. Sikorski powziął dwie decyzje. Jedną z nich był projekt, wysunięty przez Weyganda, aby utworzyć jednostkę wojskową na terenie Syrii z żołnierzy, którzy przez Karpaty przechodzili z Polski na Węgry i dalej przez Grecję, Jugosławię i Konstantynopol docierali aż na Bliski Wschód. W ten sposób powstała Brygada Karpacka, której pierwszym dowódcą został płk Kopański.

Druga decyzja była krokiem dość niezwykłym. Gen. Sikorski, tłumacząc francuskim władzom wojskowym, że ma nadmiar oficerów bez przydziału, zaproponował rozesłanie ich jako łącznikowych do różnych oddziałów francuskich na pozycjach frontowych. Chodziło o to, aby zorientować się jaka naprawdę jest sytuacja i duch w wojsku. Raporty tych oficerów potwierdzały w całej rozciągłości opinię Weyganda. Poza tym, dowództwo francuskie najzupełniej neglizowało doświadczenia kampanii polsko-niemieckiej, pomimo że Sztab Polski przedstawiał szereg opracowań na ten temat.

Wszystko to budziło niepokoje, ale nie zachwiało ani wiary ani energii Generała. Organizacja wojska polskiego i władz państwowych nadal postępowała, a z tym mnożyły się i komplikowały jego zadania. Przeżył chwile osobistej radości, gdy żona i córka, p. Zofia Leśniowska, przybyły do Francji, wywiezione z Polski dzięki pomocy Włoszki, p. Gawrońskiej. Ale prywatne życie właściwie nie istniało, nie było na nie ani czasu, ani miejsca. Już w grudniu 1939 roku, Rząd Polski został przeniesiony do Angers, siedziby uznanej przez Francuzów za eksterytorialną. Natomiast Naczelne Władze Wojskowe pozostały w Paryżu. Jako Premier, gen. Sikorski miał przydzieloną sobie willę koło Angers, gdzie mieszkała jego rodzina. Jako Wódz Naczelny musiał często przebywać w Paryżu ze względów wojskowych i kontaktów z władzami francuskimi. Wobec tego był w ciągłych rozjazdach i nie miał właściwie stałego miejsca pobytu. Zlikwidował nawet swoje *pied-à-terre* w Hotelu Danube i przyjeżdżając do Paryża zatrzymywał się w Polskiej Ambasadzie.

Podwójna rola Generała sprawiała, że wszelkie problemy dotyczące wojska i polityki skupiały się w jego ręku. Poza tym okoliczności po-wrześniowe i siła jego osobowości postawiły go na pierwszym miejscu, zarówno w oczach rodaków jak obcych. Miał też bezwzględnie silne poczucie swej roli przywódczej, nie był wolny od uczuleń prestiżowych. Ale jeżeli chodziło o władzę, od pierwszej chwili stanął na stanowisku zgodnym ze swym przekonaniem, że praworządność wyrażona w ustroju demokratyczno-parlamentarnym jest istotna dla państwowości polskiej. Czuł zresztą — co potwierdzały informacje przybyszów z Polski — że dzieli to przekonanie z opinią w Kraju, gdzie tragedia klęski wywołała w społeczeństwie reakcję przeciwko rządowi Sanacji. Stąd próby utworzenia Rządu Jedności, z ludzi o różnych przekonaniach politycznych. Stąd — pomimo niechęci do tak zwanego Obozu Piłsudskiego — Minister Koc i Zaleski znajdują się w Gabinetzie Generała, a gen. Sosnkowski zostaje wyznaczony do kontaktów z Krajem. Stąd powołanie Rady Narodowej, przedstawiającej jakby Sejm na emigracji, złożonej z przedstawicieli wszystkich partii, której uroczyste inauguracyjne posiedzenie odbyło się w końcu stycznia 1940 roku w Paryżu, pod przewodnictwem Paderewskiego. Stąd wreszcie, skrupulatna lojalność Sikorskiego wobec Raczkiewicza jako Prezydenta, choć miał zastrzeżenia co do jego osoby ze względu na powiązania sanacyjne. Z biegiem czasu zresztą i te osobiste stosunki uległy znacznej poprawie.

W pierwszym okresie organizacji władz państwowych na obczyźnie wielkie znaczenie miał głos Paderewskiego. Gen. Sikorski był z nim serdecznie związany przez lata tzw. „Frontu Morgès”, kiedy bywał częstym gościem w jego willi nad Lemanem. Miał dla niego podziw, uznawał jego autorytet i czuł jakby synowskie przywiązanie. Niewątpliwie też wpływ Paderewskiego, oparty o gorący patriotyzm, miał charakter jednoczący, pozbawiony osobistych rozgrywek. Ale Paderewski, bardzo już wiekowy i chory, po krótkim pobycie w Paryżu wrócił do Szwajcarii i wkrótce odjechał do Ameryki. Natomiast zjawił się we Francji człowiek o innym zupełnie pokroju, z którym także łączyły Generała bliskie, choć bardzo różne stosunki.

Był to profesor Kot. Pamiętam doskonale jego przyjazd z Polski do Angers. Byłem obecny przy jego spotkaniu i długiej wieczornej rozmowie z Generałem, która zrobiła na mnie przykre wrażenie. Profesora Kota nie znałem przedtem i poczułem do niego od razu antypatię. Miałem nawet z tego powodu krótkie spięcie z Generałem, bo po prostu nie mogłem zrozumieć jego stosunku do tego człowieka, którego najwidoczniej uważał za

kogoś bardzo wybitnego. Wpływ Kota na gen. Sikorskiego był ogromny, w wielu wypadkach fatalny. Tworzył atmosferę intryg i przyczynił się do różnych trudności w polskim życiu politycznym. Generał jednak wierzył w jego rozum i okazywał mu specjalne względy. Kiedyś, na jakimś posiedzeniu Rady Ministrów, Stanisław Stroński — zawsze skory do dowcipu — wyraził uczucie wielu osób życzliwych Generałowi, mówiąc: „Generale, dlaczego Pan Generał traktuje niektórych ludzi jak psy, a niektórych jak koty?”.

Tymczasem zachodziły zmiany na terenie międzynarodowym. Uderzenie sowieckie na Finlandię wywołało reakcję zachodnich Aliantów, którzy zamierzali przyjść z pomocą napadniętym. Gen. Sikorski chciał, aby wojska polskie wzięły udział w tej akcji i okazały światu, że Polska dalej jest i walczy. Zwraca się z tym do Francuzów, uzyskuje ich zgodę i natychmiast przystępuje do formowania w Coëtquidan specjalnej jednostki, to jest Brygady Podhalańskiej, pod dowództwem płk. Bohusza-Szyszki. Zanim jednak Brygada osiągnęła gotowość bojową, wojna w Finlandii dobiegła końca. Natomiast Niemcy, dalej bezczynni na froncie francuskim, ruszyli ku północy atakując Norwegię. Odpowiedzią Sprzymierzonych było zaplanowanie wyprawy do Narwiku i Sikorski postanowił tam skierować Brygadę Podhalańską, już dobrze i nowocześnie wyposażoną. Ostatecznego przeglądu Brygady dokonuje Generał dn. 21 kwietnia 1940 roku, po czym ma ona dołączyć do dwóch brygad francuskich i razem, pod dowództwem Generała Betouard, skierować się do Norwegii. Władze francuskie odradzały Sikorskiemu jazdę do Brest, skąd wyprawa miała wyruszyć, obawiając się, że jego obecność może zwrócić uwagę nieprzyjaciela. Wobec tego Generał wysłał tam mnie, aby pożegnać Brygadę i zameldować jak się odbyło załadowanie. Przybywszy na miejsce zorientowałem się, że w polsko-francuskim składzie oddziałów mogą zajść komplikacje dowódcze i, że dla ich wyrównania należałoby awansować płk. Bohusza-Szyszkę na generała. Połączyłem się zaraz telefonicznie z Paryżem i otrzymałem zgodę gen. Sikorskiego.

W nocy z dnia 23 na 24 kwietnia trzy wielkie statki francuskie odplynęły bez przeszkód z Brestu na północ, mając na pokładzie około 5.000 polskich żołnierzy. Pośród nich znajdował się mój przyjaciel, Stefan Zamoyski, który odmówił wszelkich proponowanych mu przydziałów do Sztabu czy Adiutantury. Głęboko wstrząśnięty katastrofą wrześniową, jedno miał tylko pragnienie, by jak najprędzej znaleźć się znów w akcji. Dla nas, żegnających Brygadę, była to chwila przejmująca. Pierwszy raz po klęsce, polskie wojsko ruszało znów do boju. Oczywiście,

pomimo ostrzeżeń Francuzów, gen. Sikorski zjawił się w ostatniej chwili i był przy tym odjeździe obecny.

Długo trwająca cisza na froncie francuskim, która tak demoralizująco wpływała na wojsko i społeczeństwo Francji, przyczyniła się z drugiej strony do spokojnej organizacji Polskich Sił Zbrojnych. Dwie pełne dywizje, 1-sza Grenadierów płk. Ducha i 2-ga Strzelców Pieszych płk. Prugar-Ketlinga, były już gotowe i wkrótce odeszły do strefy przyfrontowej. Poza tym dwie inne, 3-cia i 4-ta Dywizje Piechoty były zapoczątkowane, a formacja Brygady Pancerno-Motorowej płk. Maczka prawie na ukończeniu. Przy tym gen. Sikorski miał czas na polityczną działalność jako Premier, na układy — jak zawarcie umowy wojskowej z Dala-dier, na konferencje z Anglikami i Amerykanami. Jednak wkrótce po wyruszeniu wyprawy do Narwiku, cała atmosfera wojny się zmienia. *Drôle de guerre*, w której wszyscy, oprócz Polaków, trwali w jakimś optymistycznym bezwładzie, nagle się kończy. Odtąd wypadki toczą się błyskawicznym i fatalnym tempem.

Dnia 10 maja 1940 roku rozpoczyna się ofensywa niemiecka na Francję. Wojska Hitlera uderzają przez Belgię, Holandię i w Ardenach. Skutek jest piorunujący. Na północnym odcinku frontu zarysowuje się wyraźnie klęska Francuzów i Anglików. Jedynie zmiana w taktyce Hitlera ratuje wojska angielskie odcięte w Dunkierce. Około 15 maja sam Paryż wydaje się zagrożony.

Wiadomość o natarciu niemieckim zastaje gen. Sikorskiego w Angers. Reakcja jego jest natychmiastowa. Najpierw wyjazd do Paryża, a potem dalej do polskich dywizji na froncie. Podróż odbywała się normalnie aż do Rambouillet. Tam żandarmeria francuska zatrzymała samochód Generała, kierując go bardziej na południe, bo czołgi niemieckie mają jakoby obchodzić Paryż od północy. Później okazało się, że faktycznie wcale ich tam nie było. Zaraz po przyjeździe do Paryża gen. Sikorski udaje się do radiostacji francuskiej i mówi do Kraju. W przemówieniu zapowiada swój wyjazd do tych oddziałów polskich, które każdej chwili mogą wejść do akcji. To ostatnie zdanie cenzura francuska skreśla, z obawy aby miejsce pobytu Generała nie było wiadome.

Jeszcze tej samej nocy gen. Sikorski z Szefem Sztabu Klimec-kim, który zastąpił płk. Kędziora, i ze mną, wyrusza na front, aby sprawdzić gotowość naszych dywizji. Przez pewien czas przebywa na odcinku 1-szej Dywizji Grenadierów, wydaje rozkazy dla 2-giej Dywizji Strzelców Pieszych. Następnie wraca do Paryża. Tam, przypominam sobie rozmowę telefoniczną Generała z Wey-gandem.

Nie pamiętam daty kiedy nastąpiła zmiana na stanowisku Wodza Naczelnego Francuskich Sił Zbrojnych, ale wiem, że Wey-

gand telefonował do Generała już jako głównodowodzący. Chodziło mu o to aby gen. Sikorski oddał do jego dyspozycji Brygadę Zmotoryzowaną płk. Maczka, która jakoby jest już gotowa i znajduje się pod Paryżem. Generał potwierdził gotowość Brygady, ale wyłącznie w znaczeniu obsady i przysposobienia żołnierzy. Natomiast stwierdził, że Brygada nie otrzymała do tej chwili żadnego sprzętu, na który czeka niecierpliwie od dłuższego czasu. Weygand zapewnił Generała, że wyda zaraz wszelkie zarządzenia, aby Brygada została postawiona w stan gotowości bojowej. Skutek tej rozmowy telefonicznej był natychmiastowy. Znalazły się czołgi, artyleria, wszystko czego Brygada nie mogła się doprosić przez długie tygodnie. Wobec tego 7-go czerwca gen. Sikorski wydaje rozkaz wstąpienia Brygady Zmotoryzowanej do akcji. Chociaż w niepełnym składzie, płk Maczek prowadzi Brygadę na front nad Marnę, na północ od Paryża, i tam walczy z powodzeniem, do chwili kiedy wyczerpują się wszystkie zapasy benzyzny.

Odejście Gamelina i objęcie dowództwa przez Weyganda, pomimo pesymizmu, który ten kiedyś wyrażał, dodało gen. Sikorskiemu nowej otuchy. Ufał w charakter Weyganda i jego zdolności dowódcze. Ale nic już nie mogło uratować Francji. Wojska francuskie nie wytrzymały gwałtownych natarć niemieckich, żołnierze się rozłazili, rzucali broń, wracali do domów. Naprawdę bili się tylko Polacy. Gen. Sikorski 13-go czerwca znów jedzie na front do 1-szej Dywizji, z zamiarem odwiedzenia także 2-giej, która stoi na południu prawie na granicy szwajcarskiej. Jednak posuwanie się Niemców w głąb Francji odbywa się z taką szybkością, że ochrona francuska Generała zaczęła wykazywać duży niepokój. Składała się z dwóch agentów policji politycznej, którzy wszędzie Generałowi towarzyszyli. Teraz bardzo stanowczo radzą nam zaniechać wyprawy do 2-giej Dywizji, gdyż moglibyśmy wpaść w pułapkę niemiecką. Wobec tego gen. Sikorski wydaje ostatnie rozkazy polskim oddziałom i wówczas dowiaduje się, że Sztab Naczelnego Wodza Francji znajduje się w Vichy. Postanawia więc tam się skierować, aby rozmówić się z Weygandem.

Jedziemy szosami pełnymi uciekinierów i żołnierzy francuskich, którzy już zatracili wszelkie pozory zorganizowanego wojska. W jakimś lasku widzimy zakamuflowane francuskie samoloty myśliwskie. Generał zatrzymuje samochód i każe dowiedzieć się co tam robią stojąc bezczynnie. Odpowiedź jest prosta. Gdyby weszli do akcji, Niemcy by ich dostrzegli i wykończyli. A tak grozi im najwyżej niewola.

Przyjeżdżamy do Dijon, gdzie przerywamy podróż aby zjeść

śniadanie. Zaledwie usiedliśmy do stołu alarmuje nas nagle nasza ochrona francuska. Trzeba natychmiast opuścić Dijon, bo od północy wkraczą już do miasta Niemcy. Ruszamy zaraz i tylko zawdzięczając doskonałej znajomości różnych bocznych dróg, nasi agenci policji pilotują szczęśliwie samochód Generała aż do Vichy. Tu spotyka nas największy zawód. Okazuje się, że Weygand wyjechał do Bordeaux, wezwany przez Pétaina, który obejmuje najwyższą władzę. To już wskazuje na kapitulację.

Chwila dla gen. Sikorskiego bolesna i przełomowa. Cała jego wiara we Francję, wszystkie nadzieje z nią związane, okazują się próżne. Trzeba powziąć nowe decyzje i zupełnie się prze-stawić.

To właśnie stało się w Libourne, gdzie Rząd Polski po opuszczeniu Angers znalazł schronienie i dokąd Generał udał się zaraz z Vichy. Podczas narady z Prezydentem i członkami Rządu zapadło postanowienie dalszej walki u boku Wielkiej Brytanii. Wszystkimi sposobami łączności, które jeszcze pozostały, Generał stara się dotrzeć do polskich jednostek z rozkazem, aby w żadnym wypadku nie łączyły się z francuskim zawieszeniem broni. W razie beznadziejnej sytuacji 2-ga Dywizja ma przejść granicę szwajcarską i dać się internować. Inne walczące oddziały mają być rozpuszczane i kierować się indywidualnie lub grupowo na południe, nad morze Śródziemne. Są dalsze problemy. Jaki będzie los żołnierzy z Coëtquidan, jeszcze w stanie formacji, jaki los Rządu i licznych Polaków na terenie Francji? Gen. Sikorski wyjeżdża do Bordeaux, by omówić tę sprawę. Rozmawia z Weygandem w obecności Pétaina. Podkreśla, że nie ma zamiaru wtrącać się do wewnętrznych spraw Francji, ale oświadcza stanowczo, iż Polska nie przyłącza się do kapitulacji. Chodzi więc o to co stanie się z wojskiem polskim i władzami państwowymi na terenie Francji? Weygand stwierdza, że Francuzi są bezsilni i wycofują się całkowicie z wojny. Radzi Generałowi, by zwrócił się teraz do Anglików. Ostrzega przy tym, że czasu jest bardzo mało, gdyż Niemcy niezmiernie szybko posuwają się wzdłuż wybrzeży francuskich do granicy hiszpańskiej.

Z Bordeaux Generał wraca do Libourne. Wydaje jeszcze rozkaz do Polskich Sił Zbrojnych, gdziekolwiek by się znajdowały, nie wyłączając Syrii, w którym oznajmia znów wyraźnie, że Polska walczy dalej, a kapitulacja Francji nie obowiązuje Polaków. Po czym zwołuje posiedzenie Rządu, które w warunkach ogólnego zamieszania, w braku odpowiedniej siedziby, odbywa się po prostu w jakiejś lokalnej knajpie. Tam, w obecności Prezydenta, oświadcza o swej decyzji lotu do Anglii, aby przy ewentualnej pomocy jej floty przewieźć co się da z wojska polskiego

do Wielkiej Brytanii. W trakcie tego posiedzenia zjawia się nieoczekiwanie dr Józef Retinger. Mały, niepozorny, wydaje się w tej chwili zwiastunem przysłanym przez jakieś dobre siły losu. Melduje bowiem Generałowi, że ma do jego dyspozycji wojskowy samolot brytyjski. Za zgodą Prezydenta, Generał postanawia lecieć natychmiast do Londynu razem z Retingerem i adiutantem Tyszkiewiczem, który zna dobrze język angielski.

W podróży tej nie towarzyszyłem Generałowi, ale dowiedziałem się szczegółów po jego powrocie. W Londynie ambasador Edward Raczyński przygotował spotkanie gen. Sikorskiego z Churchilllem, podczas którego Generał przedstawił położenie Polskich Sił Zbrojnych wobec kapitulacji Francji i zwrócił się o pomoc marynarki brytyjskiej w celu przewiezienia ich na teren Anglii. Prócz tego prosił Churchilla o jak najszybsze wysłanie okrętu dla ewakuacji Rządu i Prezydenta. Na to Churchill wstał i ściskając rękę Generała, powiedział: „Tak, teraz już idziemy razem na śmierć i życie”. Po czym, jeszcze w obecności Generała, wezwał przedstawicieli marynarki wojennej i handlowej i wydał im kategoryczne zarządzenia, aby wszystkie okręty i statki angielskie w dyspozycji skierować do północnych portów francuskich, gdzie grupują się Polacy, którzy różnymi drogami tam docierają.

Po tej rozmowie z Churchilllem, gen. Sikorski wraca raz jeszcze do Libourne by wydać rozkazy dotyczące ewakuacji wojsk gen. Sosnkowskiemu i gen. Kukielowi. Ja dostaję polecenie aby pozostać jeszcze we Francji i zająć się Polakami o francuskim obywatelstwie. Okręt wysłany przez Churchilla zabiera Rząd, Prezydenta i jego otoczenie do Anglii. Inne okręty i statki rozpoczynają załadowywać wojsko i cywilnych Polaków. Załatwiwszy wszystkie te sprawy, gen. Sikorski, wraz z kilku oficerami Sztabu, dnia 21 czerwca 1940 roku odlatuje z Francji — na zawsze.

Z chwilą gdy Prezydent, Rząd i gen. Sikorski przenieśli się do Londynu, sytuacja naszych wojsk po kapitulacji Francji przedstawiała się następująco. 2-ga Dywizja Strzelców Pieszych przekracza kranicę Szwajcarii gdzie jest internowana. 1-sza Dywizja Grenadierów i Brygada Pancerna Maczka, po poważnych i skutecznych walkach, przedzierają się pojedynczo lub grupami na południe, do Francji nieokupowanej. Sformowana na terenie Syrii Brygada Karpacza płk. Kopańskiego, uzbrojona i wyposażona przez Francuzów, w myśl rozkazu gen. Sikorskiego nie przyłącza się do zawieszenia broni i szuka oparcia u Anglików. Od tej pory będzie działać na Bliskim Wschodzie i w Afryce już w związku z Anglikami. Oddziały lotnictwa, które po rozbrojeniu w Rumunii wydostały się z obozów i w ogromnej większości znalazły się we Francji, przechodziły już stopniowo do Anglii po zawarciu

umowy Sikorskiego w tej sprawie z Rządem Brytyjskim, ponieważ ani organizacja, ani użycie lotnictwa francuskiego, nie odpowiadały wymogom nowoczesnej wojny. Teraz pozostałe resztki personelu lotniczego przewozi do Anglii dowódca lotnictwa, gen. Ujejski. Wszystkie inne jednostki wojskowe, formujące się jeszcze bądź w Coëtquidan, bądź gdzie indziej, zostają ewakuowane na okrętach angielskich do Wielkiej Brytanii. Specjalny los spotkał Brygadę Podhalańską. Po walkach w Narwiku, jeden batalion Brygady wycofał się z Anglikami i pozostał w Anglii. Reszta, wraz z Generałem Bohuszem-Szyszko, wraca w ostatniej chwili do Francji — po to aby się zaraz rozejść i przedzierać indywidualnie do zony nieokupowanej.

Tak więc po raz wtóry w ciągu roku rozpoczyna się nowa wędrówka Polaków przez morza i lądy, na okrętach i piechotą, spod niemieckiego okupanta, z jedną myślą, aby znów chwycić za broń. Ale tym razem celem ich jest już — Anglia.

Dla mnie wędrówka ta rozpoczęła się wkrótce po odejściu gen. Sikorskiego. Załatwienie sprawy Polaków obywateli francuskich nie zabrało dużo czasu. Mieli po prostu wybór ewakuowania się z wojskiem polskim, lub powrotu do domów. Tym co chcieli zostać we Francji wypłacało się odpowiednią sumę pieniędzy. Pośpiech był wskazany, bo oddziały niemieckie każdej chwili mogły nas ogarnąć, a ja miałem w dodatku odpowiedzialność za bezpieczeństwo córki gen. Sikorskiego, p. Leśniowskiej, która likwidowała sprawy Polskiego Czerwonego Krzyża we Francji. Postanowiliśmy wyruszyć przez Hiszpanię, w sześć samochodów należących do polskiego sprzętu wojskowego, które chciałem w ten sposób uratować. Kiedy znaleźliśmy się na moście granicznym w Hendaye, okazało się, że nasze wizy są nieważne i Hiszpanie odmawiają nam przekroczenia granicy. Tymczasem Niemcy są już w Biarritz. Zupełnie cudownym sposobem, zadziękując uprzejmości jednego z hiszpańskich celników, udało mi się uzyskać połączenie telefoniczne z Ambasadą Polską w Madrycie, podczas gdy nasze samochody z p. Leśniowską czekały po stronie francuskiej. Ambasadora nie było, ale zdążyłem przedstawić naszą fatalną sytuację na moście Radcy ambasady, o którym wiedziałem, że jest w doskonałych stosunkach z Franco. Prosiłem, żeby uczynił wszystko co w jego mocy, aby władze w Hendaye zostały powiadomione, aby nas przepuścić. Radca porozumiał się z Franco, uzyskał jego zgodę, postereunek hiszpański na moście został powiadomiony i wszystkie samochody, oraz osoby, przekroczyły granicę, doprawdy w ostatniej chwili. W drodze z Hendaye do Madrytu zatrzymaliśmy się w jakiejś przydrożnej kawiarni, w której było pełno oficerów niemieckich. Muszę

przyznać, że poczuliśmy się bardzo nieswojo. Ja byłem po cywilnemu, ale wszyscy szoferzy w polskich mundurach. Jednak Niemcy wcale nas nie zaczepili i udawali, że nas nie widzą.

Po przyjeździe do Madrytu, ambasador Szumlakowski, który tymczasem się znalazł, zaprosił nas do ambasady i obiecał ułatwić nam przejazd do Portugalii. Uczynił to rzeczywiście, ale w Lizbonie okazały się dalsze trudności. Samolot do Londynu odchodził co drugi dzień, był bardzo mały, a lista tych co czekali na odlot bardzo duża. Pierwszeństwo mieli ci, których obecność w Londynie była absolutnie konieczna. Wyprawilem więc przy pierwszej sposobności p. Leśniowską, a sam czekałem na transport morski.

Oczekiwanie dłużyło się, pomimo uprzejmości przemiłego gospodarza, naszego pośła w Portugalii. Podczas tego czekania spotkała mnie radosna niespodzianka. Zjawił się Stefan Zamoyski, o którym nic nie wiedziałem od czasu jego odpłynięcia z Brygadą Podhalańską do Narwiku. Fatalnym zbiegiem okoliczności, jego żona, również przebywająca w Lizbonie, odjechała na dzień przedtem, niepewna jego losów, do Ameryki.

Nareszcie przyszła wiadomość, że tworzy się transport morski w Gibraltarze. Obaj ze Stefanem Zamoyskim postanowiliśmy z tego skorzystać. Był to pierwszy konwojowany transport tego rodzaju i Admirał, który nim dowodził, stary i wytrawny wilk morski, zaprzysiągł sobie, że nie straci ani jednego statku. Wobec tego płynęliśmy bardzo okreśną drogą, najpierw na południe a potem het, aż do wybrzeży Ameryki, co trwało nieskończenie długo. Przez cały ten czas byliśmy właściwie odcięci od świata i znowu nie wiedziałem co zastanę w Anglii, ani jak się tam sprawy gen. Sikorskiego ułożyły.

W końcu dotarliśmy do Liverpoolu. Nie pamiętam dokładnie daty, ale wiem, że to był dzień pierwszego wielkiego bombardowania doków londyńskich.

Kiedy w Liverpoolu stanęliśmy na ziemi angielskiej, powitały nas również bomby niemieckie.

Płk Zygmunt BORKOWSKI

RECENZJE

Wiktor SUKIENNICKI

CZY POSZŁO Z DYMEM? (REFLEKSJE PRZY CZYTANIU WSPOMNIEŃ)

Meysztowicz, Miłosz, Stołypin i Suchomlinow. Co łączy osoby, których nazwiska wymieniam w porządku alfabetycznym? Ziemia, na której się urodzili lub spędzili dzieciństwo i młodość, i wielki do tej ziemi sentyment.

Zacznijmy od najstarszego i najmniej typowego.

Włodzimierz Suchomlinow urodził się w sierpniu 1848 w Telaszach na Żmudzi, gdzie jego ojciec Aleksander, oficer Leib-Borodzkiego pułku piechoty, był po powstaniu 1831 wojskowym naczelnikiem powiatu i ożenił się z córką miejscowego „białoruskiego” szlachcica, Łuńską. Gdy w 1860 awansował na naczelnika powiatu białostockiego, dwóch synów zostawił w korpusie kadetów w Wilnie.

„Połowa kadetów była katolikami, jednakże współżyliśmy z nimi zupełnie zgodnie”, pisał Włodzimierz w wydanych w Berlinie w 1924 *Wspomnieniach*¹. Gdy, w 1863, „w Polsce wybuchło powstanie, a na Litwie tylko rozruchy”, sprowadzono do Wilna pułki gwardyjskie i jeden z nich ulokowano w korpusie kadetów. W związku z jakimiś zarządzeniami dowódcy tego pułku, generała Haneckiego, kadeci urządzili wrogą mu manifestację i ze wszystkich okien rozległ się niesłychany wrzask (*podnieśli niewierojatnyj woj* — pisze Suchomlinow). Tę „dziecinadę” władze uznały za bunt i korpus zlikwidowano. (2-3). Małych Suchomlinów przeniesiono do korpusu kadetów w Petersburgu, gdzie, jako „buntownicy”, nie byli początkowo traktowani zbyt przyjaźnie. Musieli więc akcentować swą rosyjskość i całkowitą lojalność.

1. W. Suchomlinow, *Wspominania*, Berlin 1924. (Strony są wskazane w tekście przy cytatach z tych i innych wspomnień).

W 1866, po ukończeniu Mikołajewskiej szkoły jazdy, Włodzimir przydzielony został w stopniu *korneta* do stacjonowanego w Warszawie pułku ułanów gwardii. Było tam wielu oficerów pochodzenia niemieckiego: trzech baronów Offenbergów, baron Pritwitz i inni. Po-powstaniową Warszawę Suchomlinow uznał za miasto „czarujące” i wspominał, że życie nad Wisłą pulsowało znacznie żywiej i żyło się łatwiej niż nad Newą. Jego osobistym plusem było, że mówił po polsku. „Dla nas, Rosjan znających miejscowe narzecze”, pisał we *Wspomnieniach* (7), „odpadała przykra konieczność przebywania w wyłącznie rosyjskim towarzystwie”. Pomimo to, szybko zdał sobie sprawę, że chociaż „oficjalnie byliśmy w Rosji, w rzeczywistości byliśmy na obczyźnie”. Zbliżenie obu stron było niemożliwe i „choć obie zachowywały się przyzwoicie”, w stosunkach z miejscowym społeczeństwem „odczuwaliśmy zawsze 'nóż za pazuchą'” (8).

Straciwszy nadzieję na możliwość założenia w Warszawie „rodzinnego ogniska” (*rodnego oczaga*) (8), Suchomlinow zdecydował robić karierę nad Newą. Dostał się do Akademii Sztabu Generalnego i po jej pomyślnym ukończeniu w 1871, brał udział w wojnie tureckiej 1877-78, następnie zaś przez lat kilka pracował w Akademii Szt. Gen. W latach 1884-86, jako dowódca pułku dragonów w Suwałkach, miał po raz ostatni okazję przebywania na ziemi swego urodzenia. Nie podobała mu się. W mieście, jak pisał, większość była Żydów, a ani oni, ani ludność polska, nie mogli być właściwym towarzystwem dla rosyjskich oficerów. „W najbliższych okolicach większych właścicieli ziemskich nie było prawie zupełnie. Rosyjscy właściciele tzw. 'podarowanych majątków' w nich nie mieszkali, zajmując wysokie stanowiska urzędowe” (65). Z tego okresu ograniczonych możliwości towarzyskich datowała się, tragiczna w skutkach, znajomość Suchomlinowa z oficerem żandarmerii, Sergiuszem Miasojedowym. O ile jednak Miasojedow, związany zarówno przez małżeństwo jak i służbę na pruskiej granicy, pozostał w kraju², Suchomlinow, po jakimś niepowodzeniu sercowym w Warszawie, odszedł odeń zupełnie i robił karierę ministerialną w Petersburgu, zostawszy Ministrem Wojny już w marcu 1909 roku.



Inaczej inny głośny minister carski, Piotr Stołypin. Nie urodził się on wprawdzie (w 1862) na Litwie, ale do końca życia pozostał z nią mocno sentymentalnie związany dzięki posiadłości na brzoźowym wzgórzu nad Niewiażą — Kałnoberże. W swoich wspomnieniach ks. prof. Walerian Meysztowicz³ pisze, że skonfiskowane Czapskim po 1863 Kałnoberże zostało nadane kome-

2. Józef Mackiewicz napisał powieść o Miasojedowie i jego związkach z Litwą.

3. X. Walerian Meysztowicz, *Poszło z Dymem*, Londyn 1973.

dantowi pałaców carskich w Moskwie, Arkadiuszowi Stołypinowi. Nie jest to całkiem ściśle i w każdym razie Stołypinowie nie przyznawali się do bezpośredniego korzystania z popowstaniowych „podarowanych majątków”.

Według wspomnień najstarszej córki Piotra Stołypina, Marii⁴, jej dziadek Arkadiusz był w końcu lat 1850-tych adiutantem carskiego namiestnika w Warszawie, księcia Michała Górczakowa, i ożenił się tam z jego córką Natalią. Pomimo mieszkania w Łazienkach, była ona wychowywana „w tak czysto rosyjskim duchu”, że ojciec był przekonany, że nie rozumie słowa po polsku. W rzeczywistości, mówiła dość płynnie, ale, gdy kiedyś podczas dłuższej rozmowy w pociągu została zapytana: „Czy Szanowna Pani jest Polką?”, miała odpowiedzieć „ze spokojnym i mądrym uśmiechem”: „Nie, jestem przekłętą Moskalką” (50).

Po małżeństwie, Arkadiusz został „fliegel adiutantem” a następnie generał-majorem świty cesarskiej w Petersburgu i tam w latach 60-tych miał wygrać Kałnoberże w karty w Yacht Klubie. Po większej przegranej, krewniak jego Kuszelew powiedział: „Nie mam wolnej gotówki, ale dostałem niewielki majątek na Litwie, gdzieś koło Kiejdan. Nigdy tam nie byłem. Może zechcesz go wziąć na poczet długu” (43).

Majątek nie był mały — wydzielono zeń następnie dwa folwarki, „Piotrówkę” i „Olgino” — i był ślicznie położony nad Niewiażą. Stołypinowi tak się spodobał, że gdy wkrótce na skutek jakiegoś nieporozumienia przeszedł w stan nieczynny, spośród licznych swoich i swej żony posiadłości w guberniach moskiewskiej, saratowskiej, penzeńskiej, kazańskiej i niżniegorodskiej, wybrał dla osiedlenia się Kałnoberże. Na siedzibę zimową, kupił dom w Wilnie, gdzie jego dzieci uczęszczały do szkół i gdzie Piotr skończył gimnazjum. (44).

Dopiero podczas wojny z Turcją, w 1877, na dworcu w Wilnie, Aleksander II powołał Arkadiusza ponownie do czynnej służby, mianując go dowódcą korpusu a potem generał-gubernatorem okupowanej Wschodniej Rumelii. Tylko w ciągu ostatnich lat życia Arkadiusz Stołypin był komendantem pałaców moskiewskich i mieszkał na Kremlu.

Po spędzeniu dzieciństwa i wczesnej młodości w Kałnoberże i Wilnie, Piotr Stołypin podczas studiów przyrodniczych w Petersburgu ożenił się w 1884 z córką senatora Neuhardta, Olgą. Po krótkiej pracy w departamencie statystycznym Ministerstwa Rolnictwa, w 1889 został mianowany tzw. *Predwoditelem Dworianstwa* (Marszałkiem szlachty) w Kownie, najprzód powiatowym a następnie gubernialnym. To ostatnie stanowisko Stołypin objął po hrabim Mikołaju Zubowie z Szawel, którego rodzina w owym czasie uległa polonizacji. Szczególnie dotyczyło to synów (nie córek), z których jeden, Włodzimierz, brał czynny udział w pracach

4. M. P. Bok, *Wspominania o moim ojcie P. A. Stołypinie*, New York, 1953.

PPS oraz ożenił się z Zofią Billewiczówną, skoligacając się w ten sposób z Narutowiczami i Piłsudskimi (*Niepodległość*, 1939, zes. 1 (51), str. 128).

Przez przeszło 12 lat Stołypinowie mieszkali stale na Litwie; siedem miesięcy w Kałnoberżu, a pięć zimowych w Kownie, gdzie młody „marszałek” zapoczątkował na szeroką skalę pracę społeczno-polityczną, zakładając *Narodny Dom* w mieście i Towarzystwo Rolnicze na wsi. Pierwszy nosił charakter wyraźnie rusyfikatorski i był bojkotowany przez miejscowe społeczeństwo chrześcijańskie. W drugim — ponieważ większość właścicieli rosyjskich nie mieszkała w świeżo uzyskanych posiadłościach i mało się nimi interesowała — ziemiaństwo polskie mogło odgrywać dość dużą rolę. W pierwszych po 40 latach „sejmikowych wyborach” kowieńska szlachta wybrała na wiceprezesa Towarzystwa Aleksandra Meysztowicza. Prezesem poniekąd z urzędu był „marszałek” Stołypin, który jednak prowadził politykę dość zręczną, nie akcentował zbytnio swej akcji rusyfikacyjnej i zdołał uzyskać pewną popularność, przełamując częściowo powszechny dotąd bojkot Rosjan. Poza rosyjskimi urzędnikami w Kownie i Kiejdanach, kiejdańskim popem Lichaczewskim, Totlebenami w po-radziwiłłowskich Kiejdanach, Kreitzami i Buturlinami w Datnowie, Bunakowymi w Ejragole i innymi Rosjanami zjeżdżającymi do swych posiadłości na wakacje, Stołypinowie — którym w Kałnoberżu urodziły się cztery córki i syn — zdołali nawiązać towarzyskie stosunki z najbliższymi sąsiadami: Kunatami⁵, Kudrewiczami i Komarowskimi. W innych polskich majątkach, przyjmowany był tylko sam pan „marszałek”, zaś fakt, że w Kałnoberżu „bywał” Polak, Władysław syn Telesfora Dulewicz, zawołany gospodarz na odległym o przeszło 50 wiorst folwarku, jest specjalnie wzmiankowany we wspomnieniach Stołypinówny. (84).

Rządcą w Kałnoberżu był Niemiec, Otton Hermanowicz Strauchmann. Przywieziona spod Moskwy Maszucha do końca życia (w 1897) nie mogła uwierzyć, że poddaństwo zostało zniesione, ani też nauczyć się słowa po polsku, za co była niejednokrotnie wstydzona (63). Reszta służby była miejscowa: Kazimierz, Stanisław, Kaziuk, Ewka, itp., i choć w dniu 29 czerwca starano się zaśpiewać na cześć solenizanta rosyjskie piosenki, trzeba było z nimi mówić przeważnie po polsku. (74). W związku z tym można przypuszczać, że po polsku się nauczyli nie tylko wszyscy

5. Stołypinówna pisze (str. 53), że kiedyś podczas wizyty Kunatów w Kałnoberżu wybuchła burza i jej mała przyjaciółka, Buba Kunat, bojąc się grzmotów, rzuciła się ku Stołypinowi, który wziął ją na ręce. Rodzice chcieli ją odebrać, lecz ona się nie dała i przy każdym uderzeniu piorunu chowała głowę pod jego ramieniem. „Przez cały czas coś szeptała po polsku, papa odpowiadała jej po rosyjsku; ona nie nie rozumiała, lecz była widocznie szczęśliwa i spokojna, będąc chroniona przez tak wielką i miłą siłę”. Według wyjaśnienia Czesława Miłosza, Buba Kunatówna mogła być albo jego matką, Weroniką, albo ciotką Marią.

stali mieszkańcy Kałnoberża, lecz również ci co tam spędzali dłuższy okres czasu. Do nich należał przyszły rosyjski Minister Spraw Zagranicznych Sergiusz Sazonow, który po ożenieniu się w 1898 z siostrą pani Stołypinowej Anną, bywała częstym gościem u swych szwagrostwa.

Łyskawiczna świetna kariera Stołypina nie zerwała jego więzów z brzoźowym wzgórzem nad Niewiażą. W 1902, mając lat 40, został najmłodszym w Imperium gubernatorem w Grodnie. Po niecałym roku przeniesiono go na większe i bardziej odpowiedzialne gubernatorstwo do Saratowa, a w maju 1906 na stanowczy rozkaz cesarza objął ministerstwo spraw wewnętrznych. W parę miesięcy później był już prezesem Rady Ministrów i niemal dyktatorem. Z wyjątkiem paru lat — kiedy, po zamachu bombowym na Wyspie Aptekarskiej w sierpniu 1906⁶, rodzina Stołypina była faktycznymi więźniami rewolucji w pałacach i na yachtach cesarskich (191-229) — spędzała ona wszystkie wakacje w Kałnoberżu. Tam pojechała po ślubie w Petersburgu w kwietniu 1907 (z rosyjskim attaché morskim w Niemczech, Borysem Bockiem) najstarsza córka Maria, zaś od lata 1910 Kałnoberże zostało przystosowane przez Ochronę do urzędowania Premiera (268 i 313)⁷. W owym czasie ilość posiadanych przez rodzinę Stołypina majątków w Kowieńszczyźnie uległa pokaźnemu zwiększeniu. Jego brat, Aleksander, miał o 60 wiorst od Kałnoberża folwark Becze, zamężna córka otrzymała w posagu mniej odległy Pilamont, zaś jej mąż uzyskał w spadku Dowtory na pograniczu z Kurlandią. Latem 1911 Premier odwiedzał kolejno te posiadłości, zaś zainstalowany w Kałnoberżu telegraf pracował bez przerwy w dzień i w nocy, rozsyłając po całym imperium jego zarządzenia i rozkazy. (329). We wrześniu Stołypin wyjechał do Kijowa na uroczystość odsłonięcia pomnika Aleksandra II i już do pozostałej w Kałnoberżu rodziny nie wrócił.

Mord Stołypina nastąpił w czasie gdy przygotowywał on zakrojone na wielką skalę reformy, mające zmienić społeczno-polityczne oblicze Rosji. Stołypinowska reforma rolna — likwidacja *obszczyń* i wytworzenie warstwy zamożnych włościan — właściwie Litwy nie dotyczyła. „Obszczyzny” nigdy tam nie istniały, zaś nadzielone włościanom przy uwłaszczeniu działki były sto-

6. We wstępie do swych wspomnień X. Meysztowicz stwierdza, że pisał, co pamięta „nie sprawdzając pamięci w źródłach i przyznaje, że nieraz go „ponosiła wyobraźnia, tak podobna do pamięci”. Tak było ze Stołypinem, którego rzekomo miał widzieć po raz ostatni „gdzieś około 1907 roku” „w jego petersburskim pałacu na Aptekarskiej Wyspie” z „ręką skaleczoną przy zamachu” (str. 182). W rzeczywistości dom na Wyspie Aptekarskiej został przez bombę tak uszkodzony, że Stołypinowie już w nim nie mogli mieszkać; jedna z córek miała zdruzgotane nogi, lecz sam Stołypin wyszedł bez szwanku: ręką natomiast nie władał już uprzednio — Bok str. 183 i 59.

7. Za czasów litewskich w resztówce Kałnoberża została urządzona kolonia poprawcza dla nieletnich przestępców. Informację tę otrzymałem od Cz. Miłosza.

sunkowo duże, przeszło 20-hektarowe. Chodziło tylko o ich skomasywanie oraz likwidację serwitutów dworskich, w czym ziemiaństwo polskie gotowe było współpracować, przygotowując swoje, częściowo odmienne od stołypinowskich, projekty. Inaczej było z reformą samorządową. W koncepcji Stołypina obie te reformy stanowiły związaną ze sobą całość. Współpracę zamożnych i zadowolonych z warunków życia chłopów z autokratyczną administracją uważał za korzystną dla rosyjskiego państwa i w związku z tym zamierzał rozszerzyć na ziemie dawnej Rzplitej istniejącą w Rosji instytucję „ziemstw”, odpowiednio ją dostosowując do miejscowych warunków. Traktował przy tym odmienne ziemie ukraińskie od litewskich. Na podstawie rozmów z ojcem na wiosnę i latem 1911, autorka *Wspomnień* streszczała jego poglądy w sposób następujący:

„Jednoczesne wprowadzenie ziemstwa i w kraju północno-zachodnim ojciec mój uważał za niemożliwe na skutek miejscowych warunków. Kraj południowo-zachodni w swej masie chłopskiej był rosyjski i chociaż było tam wielu polskich ziemian, przy wyborach kurialnych to nie przeszkadzało. Inaczej w guberniach północno-zachodnich, gdzie włóścianie w większości byli Litwinami lub Polakami, zaś ziemianie prawie wyłącznie Polakami. By znaleźć wyjście z tej sytuacji, ojciec zdecydował skolonizować ten kraj przez pewną ilość włóścian rosyjskich i Bank Włóściański zaczął w tym celu skupować majątki ziemiańskie i parcelować je pomiędzy chłopami rosyjskimi. Przez taki manewr ojciec chciał stworzyć potrzebną ilość rosyjskich wyborców. Papa mówił, że wprowadzenie 'ziemstw' bez tego wstępnego posunięcia dałoby w rezultacie wprowadzenie języka polskiego na zebraniach oraz koalicję elementów rewolucyjnie w stosunku do Rosji usposobionych. Ojciec obliczał, że proces zaludniania części ziem północno-zachodnich potrwa jakieś trzy lata, po czym kraj będzie gotów do wprowadzenia w nim samorządu. Na razie jednak na porządku dziennym było wprowadzenie ziemstw w kraju południowo-zachodnim”. (323-4).

Kowieńscy ziemianie wiedzieli, lub przynajmniej się domyślali, o tych planach i zamiarach Stołypina i byli im stanowczo przeciwni. Ich przedstawiciel z wyboru w rosyjskiej Radzie Państwa, Aleksander Meysztowicz, potrafił wykorzystać zasadniczą niechęć do wszelkich reform rosyjskiej skrajnej prawicy i w porozumieniu z jej przywódcami Durnowo i Trepowym, którzy uzyskali od cesarza zezwolenie głosowania w tej sprawie *po sowiesti* (zgodnie z sumieniem) (325), spowodował odrzucenie przez Radę Państwa przyjętego już przez Dumę projektu o wprowadzeniu „ziemstw” w guberniach zachodnich. Wywołało to poważny kryzys polityczny. Stołypin podał się do dymisji i dopiero po interwencji cesarzowej matki oraz 16 stronicowym liście cesarza zgodził się podanie o dymisję wycofać. (326). Formalnie, odniósł wielkie zwycięstwo: sesje izb zostały na kilka dni zawieszone i ustawa o ziemstwach ogłoszona w trybie cesarskiego ukazu. Jednak w kilka miesięcy później Stołypin już nie żył. Wraz z jego śmiercią „poszły z dymem” zamierzone reformy, a po czterech latach i panowanie Rosji na Litwie.

W okresie pomiędzy wojnami kiedy Stołypinówna pisała swe wspomnienia, Kałnoberże było przez rząd republiki litewskiej „skonfiskowane”, rzekomo „tylko dlatego, że należało do mego ojca”. (51). Biblioteka w Kałnoberżu została „także skonfiskowana przez Litwinów, ale po trzyletnich pertraktacjach zwrócona”. Ponieważ brakowało w niej „najbardziej cennych książek”, pretensje o to autorka wspomnień wydawała się żywić do rządu litewskiego. Z jej tonu wynika, że utratę przez Rosję „mojej miłej, rodzimej (*rodnoj*) guberni kowieńskiej” (319), gdzie ona i jej ojciec wyrosli, autorka odczuwała jako dziejową krzywdę. Wynikało to z jej bardzo ograniczonej perspektywy historycznej. Wszystko zaczynało się dla niej już nawet nie od roku 1793, lecz od 1863. Z naciskiem podkreśla, że kałnoberzski proboszcz „ojciec Antonin” przetrwał na posterunku prawie pół wieku, czyli prawdopodobnie od czasu utworzenia prawosławnej parafii w Kiejdanach. O samych Kiejdanach pisze, że były własnością licznej rodziny „bohatera sebastopolskiego” hrabiego Totlebena. Ich przeszłość radziwiłłowska dla niej się nie liczyła.



Wówczas gdy w pożodze wojny i rewolucji szedł na Litwie z dymem świat Stołypinów i Totlebenów, podjęta tam została próba przywrócenia do życia świata odwiecznych tradycji. O „ostatnim pospolitym ruszeniu” pisze najstarszy syn Aleksandra Meysztowicza (183), który swój „bojarski ród, nie wyróżniający się wśród innych” wywodził — nie mówiąc już o „przodku imienia tego Mejszcie”, o Horodle, o Worskle, o Kłuszynie — od chorążego brygady usarskiej i szambelana Stanisława Augusta. Siedzibą rodową było, położone przy ujściu do Niewiaży wartkiej Josty i niedalekie od „wygranego w karty” po 1863 Kałnoberża, „najpiękniejsze na świecie” Pojoście, nadane przez Zygmunta Augusta kniaziowi Andrzejowi Kurbskiemu po jego przybyciu z Moskwy na Litwę w 1564, a gdzieś za Władysława IV przez prawnuczkę Kurbskiego Blinstrubównę wniesione w posagu Walerianowi Meysztowiczowi (15).

W XX wieku inny Walerian, na wezwanie ideowego potomka Kmicica, Jerzego Dąmbrowskiego, poszedł śladem swych przodków. Wraz z synami tysięcy innych „nie wyróżniających się” rodów litewskich odbył kampanię wojenną, po czym został księdzem i zajął się pracą naukową i dyplomatyczną. Do rodzimego „najpiękniejszego na świecie” Pojościa wrócić nie mógł. Podobnie jak rodowe siedziby wielu jego towarzyszy broni, znalazło się ono za granicą.

Polityczna klęska „ostatniego pospolitego ruszenia” na Litwie została gorzko odczuta przez jego uczestników. Po latach znalazło to wyraz w powieści *Lewa Wolna!* Jej autor, też były ułan Dąmbrowskiego i dużo lepszy pisarz niż polityk, nader krytycznie przedstawił wydarzenia z okresu swej młodości. Poszedł przy tym, moim zdaniem, tropem fałszywym, wiodącym

do nikąd. Formalnie nie dotyczące Litwy, artykuły Juliusza Poniatowskiego, drukowane w *Kulturze* w latach 1956-57⁸, wskazywały szlak właściwszy. Nie tylko krwią lecz przede wszystkim myślą należało dążyć do wytworzenia warunków właściwego zbiorowego współżycia we wciąż ulegającym zmianom świecie współczesnym. A myśl, niestety, zawiodła. Nie poszła szlakiem Zygmunta Augusta, lecz raczej Zygmunta Wazy. Nie szukała sposobów wytworzenia organicznej jedności z wielości, lecz chciała jedność mechanicznie wytworzyć czy nawet narzucić.

Gdy, w styczniu 1917, przypadkowo raczej wysunięto pod auspicjami Paderewskiego w Ameryce koncepcję Stanów Zjednoczonych Polski, złożonych z czterech „królestw”⁹, nikt jej nigdy nie podjął, nie rozwinął, nie ugruntował, nie czynił kroków przygotowawczych dla ewentualnego jej urzeczywistnienia. Chciano z nowoczesnej Polski zrobić monolit, walczący na śmierć czy życie ze wszystkim, co innej było wiary, języka czy poglądów. Ideologia taka, stworzona na początku bieżącego stulecia przez przyrodnika-darwinistę miała „odwagę spojrzeć prawdzie w oczy” i, potępiając liberalne tradycje dawnej Rzplitej oraz „patriotów i demokratów starej daty”, nie przeczyła, że jest filozofią „narodowej walki i ucisku”¹⁰.

Tej „nowoczesnej myśli narodowej” przeciwstawiała się ponoć myśl inna, nie zrywająca z odwieczną tradycją Rzplitej, lecz usiłująca ją zmodernizować i dostosować do nowoczesnych warunków. Jak miała to zrobić, nikt właściwie nie wiedział, gdyż, odmiennie od szeroko popularyzowanej czy nawet wulgaryzowanej „myśli narodowej”, była to myśl hermetyczna, nie ujawniana nawet wobec osób najbliższych. Trzeba było wierzyć, że istnieje w wielkim umyśle, który potrafi pokonać wszystkie trudności, Polskę stworzyć i ją wyprowadzić na drogę wielkości, sławy i powszechnej szczęśliwości. Komu takiej wiary zabrakło, mógł Piłsudskiemu tylko złorzeczyć. Nie było to zresztą trudne, gdyż, po chwilowym załamaniu się latem 1920, zdołał wprawdzie odnieść militarne zwycięstwo, lecz, po politycznej klęsce w Rydze, stawał się coraz bardziej ekscentryczny, i coraz mniej zrozumiały. Wówczas gdy „ideologia narodowa” szerzyła się nagminnie, oddziaływując nawet na tych, co ją w zasadzie odrzucali, „ideologia Piłsudskiego”, pomimo wielokrotnych usiłowań, nigdy nie została ostatecznie sformułowana i nie zdołała uzyskać równej co najmniej ideologii „narodowej” siły atrakcyjnej. Gromada jej wiernych wyznawców topniała, a jej przywódcy w ostatecznym rezultacie budowali „z endeckich ścian pod belwederskim dachem” państwo „narodowe”, nie mające wiele wspólnego z dawną Rzplitą.

Po wrześniu z dymem poszło wszystko. Do Litwy wrócili jej

8. „Milowe stupy” w Nrze 105-6 i „Krwia czy myślą” w Nrze 115.

9. *Zeszyty Historyczne* nr 26 (1973, str. 179).

10. Roman Dmowski, *Myśli nowoczesnego Polaka*, Wydanie 3-e, Lwów 1907, str. 202 i 163.

władcy sprzed 1915 roku, których metody autokratycznych rządów przy pewnym współudziale lokalnych sovietów nie różniły się zasadniczo od stołypinowskich planów związanych z „ziemstwami”. Kałnoberże, jak i inne majątki, nie wróciły do ich dawnych właścicieli, jednakże ilość gospodarzących w nich w charakterze prezesów kołchozów czy dyrektorów sowchozów Rosjan wzrosła niepomniernie w stosunku do liczby ziemian rosyjskich sprzed 1915 roku. Nie potrzebują już oni uczyć się po polsku, gdyż język rosyjski stał się znacznie bardziej rozpowszechniony niż przed pierwszą wojną. Szerzą go rzesze politruków, dużo liczniejsze niż przedwojenni „ojcowie Antoninowie”.

W Warszawie w różnych okresach sytuacja polityczna przypominała i przypomina drugą połowę XVIII lub pierwszą XIX w. Oficjalnie głosi się tam konieczność wyrzeczenia się „zgubnej idei jagiellońskiej” i powrotu do epoki państwa Piastów. Pogodzenia się z tym, że dawni współobywatele są obcymi cudzoziemcami; że są i zawsze byli młodszymi braćmi najstarszego brata rosyjskiego. Za czasów carskich w wydanej „za aprobatą najwyższą” książce *Bielorussia i Litwa; Losy dziejowe Kraju północno-zachodniego*, historycy rosyjscy twierdzili, że od zarania dziejów „Litwini i Rosjanie stanowili jak gdyby jeden naród... ale ostatecznemu naturalnemu zespoleniu plemion litewskich i słowiańsko-ruskich w jeden naród przeszkodził przeciwny naturze związek ruszczącej się i skłaniającej się ku prawosławiu Litwy z katolicką Polską¹¹”. Tę „nienaturalną” przeszkodę, już raz obaloną przez carską Rosję, ostatecznie usunął dopiero Związek Sowiecki.

Czy jednak ze świadomości jednostek i zbiorowości można usunąć wieki historii? Pieśń ujdzie cało, pisał przed laty Poeta.

W okresie zawieruchy wojennej, gdy Walerian Meysztowicz wyruszał z Pojocia na wojnę, Stołypinów zaś nie było w Kałnoberżu, w najbliższym jego sąsiedztwie, po drugiej stronie Niewiązy, w posiadłości rodziny swej matki, Kunatówny, przebywał mały chłopak. Należał już do nowego pokolenia historycznego: nie zaznał rosyjskiego panowania na Litwie i nie przeżywał uniesień — a później rozczarowań — uczestników pospolitego ruszenia. Nie można też się dziwić jego odmiennym poglądom i reakcjom na wiele zjawisk. Boleśnie odczuwał zanikanie mówiących po polsku Litwinów i choć w dalszym życia przebiegu pozostał najściślej związany z polszczyzną, wzdygał się przed zadeklarowaniem jako Polak¹². Nie żywił jednak żadnych wątpli-

11. *Bielorussia i Litwa*. Istoriceskija sud'by Siewiero-Zapadnago Kraja, s wysoczajszego soizwolenja izdano pri Ministierstwie Wnutriennich Dieł P. N. Batiuszkowym, Petersburg 1890, str. 2-3.

12. „Ja chyba nie jestem Polakiem”, powiedział Józef Piłsudski, podając się do dymisji jako „Szef Gabinetu” na tajnym posiedzeniu Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej w dniu 28 listopada 1930. (*Kultura*, 1953, Nr 5/67, str. 84). Miłosz swój ród wywodzi z Jadźwingów ze strony matki i bodaj Serbów ze strony ojca.

wości, że jego i jego przodków ściślejsza ojczyzna, której w polskiej literaturze wystawił trwały pomnik, jest integralną częścią nie Rosji lecz „Rodzinnej Europy”.

„Prawda umarłych nie pójdzie na marne, jeśli potrafią o nią walczyć żywi”. Juliusz Poniatowski te słowa Gustawa Herlinga-Grudzińskiego umieścił jako motto swego artykułu „Krwia czy myślą”. Dla mnie stanowią one podstawę do zakwestionowania twierdzenia, że wszystko co było wartościowe na Litwie poszło z dymem. Nie wszystko, jeśli znajdują się żywi, co zechcą i potrafią walczyć o prawdy umarłych.

Wiktor SUKIENNICKI

Grudzień 1973

Piotr WANDYCZ

OSTATNI TOM DARIUSZA JANA SZEMBEKA

Ogromny, przeszło 800 stron liczący, czwarty tom *Dariusza i tek Jana Szembeka* stanowi zamknięcie jednej z najważniejszych publikacji źródeł, jakie ukazały się na Zachodzie. Redaktorem tomu jest Józef Zarański, który doprowadził do końca wielkie przedsięwzięcie, podjęte przez prof. Tytusa Komarnickiego. Księga zawiera diariusz za lata 1938 i 1939 oraz dokumenty znajdujące się w tekach Szembeka, wzbogacone niektórymi rzadkimi lub nieogłoszonymi dokumentami. Redaktor wybrał je przy współpracy Jana Weinsteina. Krytyczne omówienie tego olbrzymiego materiału, i porównanie go z istniejącą bogatą bazą źródłową, wymagałoby obszernej rozprawy. Dlatego też niżej podpisany postanowił ograniczyć swoje uwagi do niektórych spraw poruszanych w dzienniku oraz dać ogólny, z konieczności impresyjny, obraz całości.

Opracowanie techniczne nie odbiega od poprzednich tomów *Diariusza*. Mamy więc tak samo ułożony wykaz dokumentów na początku i skorowidz rzeczowy i nazwisk na końcu. Pewnym novum jest użycie przypisów celem wyjaśnienia niektórych terminów lub nazw w tekście, np. Sandżak na str. 239. Szkoda może, że nie dano podobnych wyjaśnień co do niektórych osób, występujących w tekście Szembeka. Nawet dobrze zorientowany czytelnik będzie musiał się nabiedzić zanim zidentyfikuje posła Ugo Sola na str. 239. Ale są to oczywiście drobnostki.

Jeśli chodzi o ogólny charakter zapisków Szembeka należałoby przypomnieć kilka faktów, które mogą ułatwić posługiwanie się tym ważnym źródłem. Szembek relacjonował swe rozmowy, ale nie starał się o to, aby zaznaczyć własne oceny czy poglądy. Notował to, co powiedział lub to co usłyszał i w pewnym sensie zwiększa to wiarygodność jego zapisków. Z drugiej strony nie dają one pełnego obrazu wydarzeń. Częściowo wynika to z samej techniki zapisków, częściowo z tego, że Szembek nie zawsze był dokładnie informowany przez Becka. Widać to jasno przy nominacji Wieniawy na ambasadora w Rzymie. Podsekretarz stanu nie był tu ani konsultowany ani nawet uprzedzony przez swego ministra (str. 140, 147). Czytelnik na próżno próbuje się zorientować co myślał Beck i Szembek o uwagach Mühlsteina, które treścią odbiegały od ogólnie panujących poglądów na Wierzbowej (str. 98). Brak jest informacji o naciskach Francji na Polskę w okresie rokowań anglo-francusko-sowieckich w lecie 1939 roku, o czym Szembek wiedział mało. Dlatego też posługiwanie się diariuszem wymaga znajomości innych przekazów źródłowych i zapiski Szembeka muszą być traktowane w szerszym kontekście źródłowym.

Suchość i zwięzłość zapisków nie przeszkadza, a raczej pomaga, w zorientowaniu się w nastrojach MSZ. Szembek nie upiększa i nie analizuje, ale właśnie dlatego informacje jego o ludziach i posunięciach politycznych są tak wiarygodne i cenne. Redaktor tomu powziął słuszną decyzję, aby nic nie opuszczać z istniejących zapisków, choćby nawet dotyczyły drugorzędnych spraw. Równie słusne było pozostawienie bez zmian — poza unowocześnieniem pisowni — swoistego stylu Szembeka, w którym znajdujemy takie emeszetowskie makaronizmy jak „zmontowani na Lipskiego” (zapewne *montés contre Lipski*), „solucja” lub „chciano go zaimpresjonować”.

Diariusz za rok 1938 to wyjątkowo deprymująca lektura. Z zapisków Szembeka odnosi się wrażenie, że znaczenie *Anschlussu* Austrii zupełnie nie było doceniane; w wypadku Czechosłowacji polityka polska robiła wszystko aby utrudnić grę Pradze, izolować ją od sojuszników Małej Ententy i doprowadzić do rozpadnięcia się państwa. Na próżno szuka się choćby jedynej wzmianki — poza uwagami Mühlsteina — która wskazywałaby na zrozumienie wspólnych interesów z Pragą. Co więcej, przebija stale uczucie *Schadenfreude* z porażek Pragi i przyjmowanie za dobrą monetę wszystkich antycznych sformułowań. I tak dyr. Kobyłański referując 5 lipca Szembekowi rozmowę z Beckiem i Papieżem podkreśla, że: „Narzędziami naszej akcji w sprawie czeskiej powinna być sprawa mniejszości i sprawa słowacka:

musimy nimi ciągle operować a ponadto ciągle tłumaczyć wszystkim, że Czechosłowacja to fikcja" (str. 208). To ostatnie robiono zresztą skrupulatnie. W instrukcjach Becka dla rozmów Szembeka w Bukareszcie figuruje podkreślenie, że Polska „nie wierzy w utrzymanie państwa czechosłowackiego. Tezy tej nie rozgłaszamy (? — P.W.), nie mamy też zamiaru żadnych przeobrażeń prowokować, uważamy jednak istnienie państwa czechosłowackiego za absurd" (str. 225). Szembek wiernie powtórzył to sformułowanie królowi Karolowi: „państwo czechosłowackie *'ist ein Absurdum'*" (str. 244).

MSZ zdawało się również wierzyć, lub chciało wierzyć, że w konflikcie niemiecko-czechosłowackim prowokatorem jest strona czeska. Tak więc sen. Fudakowski mówił Szembekowi 14 lipca 1938, że odniósł wrażenie, że: „Czesi są stroną agresywną, dążącą do wywołania konfliktu" (str. 219). Szembek nie omieszkiał zakomunikować tego królowi rumuńskiemu (str. 244).

Oslabiając związki Czechosłowacji z Rumunią, Wierzbowa już od wczesnej wiosny 1938 uzgadniała swą anty-czeską politykę z Węgrami. Starano się „przeciwdziałać wstąpieniu przedstawicieli narodowych do rządu czeskiego" (str. 54); Beck zaznaczał (4 marca), że „Słowaczyna winna być w każdym razie od Czech oddzielona" (str. 56). Podczas gdy Śmigły uważał, że Polska winna sprzedać swą neutralność w sprawie czechosłowackiej za istotne korzyści w Gdańsku (str. 75), MSZ nie uprawiało w gruncie rzeczy polityki neutralnej, ale przeprowadzało wybitnie aktywną linię anty-czeską. Dążyło do utrudnienia kontaktów czy awansów Pragi wobec Budapesztu i usztywniało Węgrów w antyczeskim sensie. Co więcej, narzekania Becka i Szembeka na Budapeszt, sprowadzały się głównie do zarzutów, że Węgry występują zbyt słabo i zbyt umiarkowanie.

Słowacja traktowana była wyraźnie jako narzędzie i hr. Eszterhazy (przywódca mniejszości węgierskiej w Słowacji) a nie propolscy Słowacy, jak Sidor, byli prawdziwymi partnerami do rozmów w Warszawie. Epizod słowacki, tak jak się przedstawia na kartach *Diariusza*, jest żenująco przykry (str. 301, 315, 318, 345 i in.). W poprawkach granicznych nie ma cienia wielkoduszności ze strony polskiej; traktowanie Słowaków ma niestety niewiele wspólnego z dawnym hasłem „wolni z wolnymi, równi z równymi”.

Ta cała część zapisków jest smutną i przygnębiającą lekturą. I czy można mieć pretensje do tych, którzy wysuwali pod adresem Polski zarzuty, że wspierała Berlin w rozgrywce sudeckiej, skoro i Szembek i Lipski (niewątpliwie ze względów taktycznych) sami podkreślali, że Polska pomogła wydanie Trzeciej

Rzeszy? Lipski, referując swe rozmowy w Berlinie, stwierdzał, że: „Obaj (Hitler i Göring — P.W.) zdają sobie doskonale sprawę i wiedzą dobrze, jak wielką pomoc uzyskali od nas przy przeprowadzeniu sprawy Sudetów przez zaszczerpanie przez nas Sowietów” (str. 298). A Szembek w rozmowie z Frankiem robił aluzje do tego, „że nasze stanowisko niewątpliwie bardzo dopomogło Niemcom do załatwienia problemu sudeckiego po ich myśli” (str. 394).

W polityce nie ma miejsca na sentymenty. Jakież jednak konkretne korzyści dała Polsce anty-czechosłowacka polityka z 1938 roku i z jakich wypływała ona przesłanki? *Diariusz* nie daje w tym względzie wyraźnej odpowiedzi. Nie wynika też jasno czy stałe próby pogodzenia Węgier i Rumunii i ustabilizowania sytuacji środkowoeuropejskiej po upadku Czechosłowacji oznaczały szerzej pomyślane koncepcje — tzw. Trzeciej Europy. Z początkiem listopada Beck referował na konferencji z kierownikami MSZ swój pogląd na ogólną sytuację. Wśród jego wywodów znajdujemy interesującą wypowiedź: „Staje przed nami pytanie, czy ta wielka fala, która idzie poprzez świat cały, zatrzyma się wreszcie u wrót Polski. Czy mamy się liczyć z tym, że na terenie Europy da ona jeszcze dalsze odpryski”. Ale wyraźnej odpowiedzi na te pytania Beck nie daje. Mówi o konieczności zrobienia własnego rachunku i patrzenia „jak inne państwa go zrobiły i czy nie poszukają nowych kombinacji”. Uważa następnie, że Rosja „została skutecznie wypchnięta z Europy, prawdopodobnie nie na krótko, gdyż rozgrywka zbyt się jej nie udała”. Rozważa sprawę słowacką i znaczenie niemieckich posunięć na Rusi przykarpackiej, ale jeśli *Diariusz* jest ściśły w relacjonowaniu wypowiedzi Becka, uderza brak naszkicowania chociażby jakiegś ogólnej linii politycznej dla Polski.

Od późnej jesieni na horyzoncie politycznym polsko-niemieckim zaczyna występować sprawa autostrady przez Pomorze. Wydaje się, że początkowo MSZ nie przywiązuje do niej zbyt wielkiego znaczenia. Pogarszają się również stosunki Warszawa-Berlin w związku ze sprawą słowacką, ruską, węgierską. W grudniu Szembek, rozmawiając z ambasadorem Grzybowskim, przyznaje, że „utrzymanie równowagi między Rosją a Niemcami jest rzeczą niezwykle trudną. Cały stosunek Niemiec do nas oparty jest na tezie reprezentowanej przez najwyższe czynniki Trzeciej Rzeszy, że w przyszłym konflikcie niemiecko-rosyjskim Polska będzie naturalnym sojusznikiem Niemiec. W tych warunkach może się łatwo okazać, że cała polityka dobrego sąsiedztwa, wypływająca z układu 1934 roku, jest właściwie fikcją. Kontrasekuracja w postaci sojuszu z Francją jest również bardzo wątpliwej wartości

wobec poważnego osłabienia ciężaru gatunkowego Francji” (str. 380). Ale wydaje się, że tego rodzaju prognozy na przyszłość robiono raczej na marginesie; gros *Diariusza* wypełniają konkretne sprawy bieżące, które zaciemniają obraz narastającego konfliktu.

Zapiski za rok 1939 dotyczą spraw tak dobrze znanych, że relacjonowanie ich nie wydaje się specjalnie celowe. Zwróćmy jedynie uwagę na sprawy drobniejsze, ale dość interesujące. W rozmowach z Moltkem i z innymi dyplomatami uderza szermowanie argumentem, że Polacy nie pójdą na ustępstwa tak jak Czesi. „Polacy — oświadcza Szembek Moltkemu — to naród gotów na wszystko, żadne refleksje go nie powstrzymają, sięga on od razu do radykalnych środków”. Szembek przypomina, że w 1938 roku Polska wystosowała dwa razy ultimatum (str. 489). Trudno o wyraźniejsze ostrzeżenie skierowane pod adresem Berlina, że w razie konfliktu Polska będzie grała *va banque*. Postawę taką Szembek uważa — w rozmowie z gen. Stachiewiczem — za duży atut Polski w rozgrywce międzynarodowej. Wydaje się, że MSZ wciąż zakładało, iż Hitler operuje bluffem i że jedyną obroną jest odrzucanie bluffu. Gra dyplomacji polskiej — jak wynika z *Diariusza* — i co potwierdzają inne zapiski, była nader zręczna. Czy Polska wmanewrowała jednak Anglię do sojuszu poprzez sugestię, że nie jest do tego zmuszona obawą przed Niemcami — teza książki Moczulskiego *Wojna Polska* — i że ma w zanadrzu inne możliwości manewru dyplomatycznego? *Diariusz* nie wnosi nowych informacji, które pozwoliłyby tę tezę potwierdzić lub ją obalić. Prawda, że Szembek wskazywał Anglikom, że korzyści sojuszu są obustronne: „wiemy również, że wnosimy do tej kolaboracji walor naszej armii, jednej z najpierwszych w Europie pod względem liczby, ducha i zalet wodzów i żołnierza, ponadto walor zdecydowanej, jednolitej i czujnej postawy całego narodu” (str. 586). Ale Szembekowi chodziło tutaj głównie o usztywnianie polityki brytyjskiej wobec Niemiec — rozmowa ma miejsce 3 maja 1939.

Wobec zbliżającej się wojny Beck pozostaje czujny, ale nie widzi dość jasno słabej sytuacji Polski. Twierdzi, że: „Hitler wpakował się w bardzo niemądrą politykę, z której obecnie bardzo mu jest ciężko się wydobyć” (20 czerwca, str. 633). Konflikt z Niemcami rozważa nieomal na płaszczyźnie starcia równego z równym. Aspekt sowiecki jest negligowany i 26 czerwca Grzybowski podkreśla, że nie wierzy pogłoskom o rozmowach niemiecko-rosyjskich. Zabiełło podziela jego poglądy. Już po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow Grzybowski bagatelizuje jego znaczenie. Jeśli chodzi o żądania niemieckie Beck, Szembek i rząd widzą jasno, że w narastającym konflikcie nie idzie ani o Gdańsk,

ani o autostradę, ale o „wielki plan zdobyczny” Niemiec (str. 671). Beck określa jednak „nasze położenie wojskowe” jako „dobre” (21 lipca 1939, str. 679). Potwierdza to jeszcze 28 sierpnia w rozmowie z Szembekiem: „Minister ocenia ogólne położenie jako nie najgorsze. Wielkie przygotowania wojskowe, które kontynuujemy, stawiają nas dziś wojskowo na dobrym punkcie”. Francja ma dwa miliony ludzi, na linii Maginota; „Sowiety wydają się dość spieszone po podpisaniu paktu o nieagresji z Niemcami” (str. 701).

Jak już zaznaczyłem powyżej, szczegółowe omówienie *Diariusza* wymagałoby dużej rozprawy. Tych parę uwag, poświęconych wybranym aspektom, ma na celu jedynie zasygnalizowanie czytelnikowi pewnych spraw, które były i długo jeszcze pozostaną kontrowersyjne. Na marginesie wydarzeń dyplomatycznych Szembek notuje też i inne sprawy, które przypominają nam smutną atmosferę późnych lat 30-tych. A więc grożenie Berezą dziennikarzom za zbyt swobodne wystąpienia prasowe; nieprzyjemny stosunek do uchodźców wiedeńskich, Żydów, wobec których postanowiono „stosować bardzo rygorystycznie odnośne przepisy i... gdzie można — robić wstręty i szykany” (str. 81). Jak zgrzyt noża po szkle brzmią wypowiedzi mec. Abłamowicza, który opowiada Szembekowi, że „z niektórych kół ozonowych lansowana jest myśl zorganizowania czegoś w rodzaju oddziałów SS czy też bojówek faszystowskich, które miałyby na celu walkę z komunistami, a częściowo i z Ukraińcami oraz Żydami” (str. 304). Interesującym i chyba na ogół mało znanym szczegółem jest plan Becka odwołania z Berlina Lipskiego, który tam się już „zgrał” i zastąpienie go Szembekiem (30 maja 1939, str. 615).

Wybór dokumentów, załączonych do tekstu *Diariusza*, jest ciekawy i wnosi niektóre nowe i niepublikowane materiały. Nie wszystkie jednak z nich — jak wynikałoby z uwag na obwołucie tomu — ukazały się drukiem po raz pierwszy. Raport Lipskiego z 15 grudnia 1938 został podany w angielskim przekładzie w *Diplomat in Berlin* pod redakcją Wacława Jędrzejewicza. Większość korespondencji polsko-czechosłowackiej z jesieni 1938 została opublikowana przez Namiera w *Europe in Decay*. Jeden czy dwa dokumenty ogłoszono w wydawnictwach czechosłowackich. Zgromadzenie jednak całej wymiany not w jednym wydawnictwie było słuszną decyzją, choć pominięto dwa dokumenty, a mianowicie notatkę MSZ z 22. IX. 1938, oraz instrukcję Becka dla Papéego z 30. IX. 1938. Fotokopie tego drugiego dokumentu znaleźć można w książce Stefanii Stanisławskiej *Polska a Monachium*; pierwszy znajduje się w Archiwum MSZ w Warszawie — PIII, w. 106, t. 7 (stara sygnatura). Treść jego

jest następująca: „Le gouvernement Tchécoslovaque envisage la réponse avec la même gravitude que la gravité du contenu de la note, mais justement vu ces gravités il faut prendre toutes les considérations techniques qui font qu'il est impossible de répondre immédiatement. Malgré la crise du gouvernement qui naturellement doit ratifier cette réponse, il peut assurer qu'on travaille à la réponse parallèlement et en attachant la même importance à cette question qu'aux demandes formulées par le Chancelier du Reich. Prie instamment d'avoir un peu de patience”. Dopisano w nawiasie u dołu: „podczas całej rozmowy Czermak płakał”.

Wśród dokumentów ogłoszonych w *Diariuszu* na szczególną uwagę zasługuje fotokopia układu Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 — teksty niemiecki i rosyjski.

Ukazanie się czwartego tomu *Diariusza* Szembeka jest ważnym wydarzeniem dla historyków międzywojennego dwudziestolecia i dyplomacji. Redaktor tomu i jego współpracownicy, związani z przedwojennym MSZ, okazali prawdziwie naukowe podejście dając czytelnikowi wgląd w pełny tekst zapisków Szembeka, choćby nawet rzucał on ujemne światło na przedwojenną politykę zagraniczną RP. Trudności techniczno-wydawnicze na emigracji są dostatecznie dobrze znane, aby móc docenić w pełni ogrom pracy i wysiłku włożonego w tę publikację. Redaktorowi i wszystkim, którzy przyczynili się do wydania tej ważnej pozycji, należą się słowa najwyższego uznania.

Piotr WANDYCZ

Paweł KORZEC

DWA NOWE TOMY „HISTORII POLSKI” PUBLIKACJI POLSKIEJ AKADEMII NAUK¹

ROZWAŻANIA WSTĘPNE

Zabierając się do niełatwej próby oceny dwóch ostatnich tomów monumentalnej, bądź co bądź, publikacji Instytutu Historii

1. *Historia Polski*, tom III, część II, 1900-1914 pod redakcją Żanny Kormanowej i Walentyny Najdus. Warszawa 1972, str. 992, str. t., 6 map; *Historia Polski*, tom IV, część I, 1918-1926. Rozdział I-XIII (1918-1921) pod redakcją Leona Grosfelda i Henryka Zielińskiego, Warszawa, 1969, 524 str. + 7 map.

Polskiej Akademii Nauk, która dotąd ukazywała się pod naczelną redakcją dwóch nestorów polskiej historiografii: nieodżałowanej pamięci Tadeusza Manteuffla oraz Stanisława Arnolda, nie można zrezygnować z najniezbędniejszych informacji i pewnych rozważań.

Jest rzeczą charakterystyczną, że historycy krajowi nie podjęli dotąd próby publicznej i generalnej oceny doświadczeń i rezultatów tej ogromnej pracy. Nawet kolejne tomy nie są należycie i wyczerpująco recenzowane. Tak np., jak mi się wydaje, tom IV — część I, który ukazał się trzy lata temu, nie doczekał się dotąd recenzji. Trudno wszakże przypuszczać by dzieło, nad którym pracuje sztab historyków, nie było przedmiotem dyskusji i ocen Instytutu Historii PAN lub instytucji partyjno-naukowych. Wiadocznie jednak rezultaty tych dyskusji nie są zbyt optymistyczne, by nadawały się do publikacji. Z drugiej strony fakt, że praca ta jest oficjalnym i prestiżowym przedsięwzięciem Akademii Nauk, zniechęca zapewne niejednego fachowca do wnikliwej i szczerej recenzji.

W niniejszym artykule o charakterze recenzyjnym nie stawiam sobie, przerastającego moje możliwości, celu pełnej i wyczerpującej oceny dzieła wielu znanych historyków. Nie zamierzam też ferować arbitralnych ocen i krytyk. Głównym moim zamierzeniem jest poinformowanie czytelnika o samym dziele. Z drugiej strony chciałbym również zwrócić uwagę na kilka aspektów zagadnienia, które powodują, że rezultaty osiągnięte są niewątpliwie słabsze od zamierzonych, a zwłaszcza — jak sądzę — od indywidualnych możliwości niektórych autorów. Uważałem, że osiągnąłem zamierzony cel, gdyby mój artykuł pobudził do szerszej i rzeczowej dyskusji nad „Historią Polski”, — dyskusji, której raczej trudno oczekiwać na łamach pism krajowych.

KILKA SŁÓW O DZIEJACH „HISTORII POLSKI”

Na dobrą sprawę możemy powiedzieć, że dzieło obchodziło w ubiegłym 1973 roku dwudziestoletni jubileusz, a do jego zakończenia — sądząc po dotychczasowym tempie wydawniczym — mamy jeszcze sporo, może i kilkanaście lat.

Przygotowanie i opublikowanie wielotomowego, akademickiego podręcznika Historii Polski stało się bowiem głównym i pierwszoplanowym zadaniem powołanego w 1953 roku do życia Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk i do pracy zabrano się niemal niezwłocznie.

W warunkach polskich było to, zwłaszcza w owym okresie,

przedsięwzięcie bardzo ambitne i trudne, szczególnie w odniesieniu do tomów dotyczących historii najnowszej. Powiedzmy sobie szczerze, historia najnowsza Polski (po powstaniu styczniowym), była w owym okresie niemal *tabula rasa*. Sytuacja była pod tym względem rozpaczliwa. Od studentów historii wymagało znajomości historii najnowszej, a nie było z czego się uczyć. Brak było w ogóle naukowej syntezy historii Polski 2-giej połowy XIX i XX wieku. Ponadto nie odpowiadające potrzebom dydaktycznym zarysy pióra Bobrzyńskiego², czy też Próchnika³ były po zniszczeniach wojennych niemal białymi krukami. Co prawda ambitnej próby napisania pierwszego zarysu dokonał Henryk Wereszycki⁴, ale w warunkach stalinizmu autor przypłacił swą odwagę poważnymi przykrościami, a sama książka została wycofana przez cenzurę.

Słowem, jak widzimy, decyzja była niezwykle słuszna i niezbędna. Poważne wątpliwości nasuwa natomiast sposób zrealizowania tego słusznego celu.

Grzechem pierwotnym, który musiał decydująco zaciążyć na przebiegu prac i wynikach, było zinstytucjonalizowanie dzieła. Logicznie biorąc, należało napisanie poszczególnych tomów powierzyć małym grupom fachowców, tworząc im równocześnie odpowiednią bazę materialną. W efekcie rezultaty byłyby niewątpliwie szybkie i młodzież miałaby z czego się uczyć. Na pewno pierwsze wydanie byłoby nie najlepsze, ale w oparciu o rzeczową i szczerą dyskusję kolejne wydania mogłyby rzeczywiście dać doskonałe rezultaty. Można by sprofilować poszczególne edycje, stworzyć również, bardziej treściwe, skondensowane wydanie podręcznikowe, przeznaczone dla studentów historii.

Wybrano drogę odwrotną, centralistyczną i zgodnie z duchem panującym w krajach socjalistycznych — gigantomańską. Zaangażowanie prestiżu Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk jako wydawcy w poważnym stopniu przesądziło dalsze losy imprezy. „Historia Polski” stawała się przedsięwzięciem państwowym i partyjnym, a prestiż państwa i partii nie pozwalała na wypuszczenie twórców „niedoskonałych” lub „zawierających błędy”. Wreszcie dzieła „państwowe” nie podlegały normalnej krytyce.

„Historia Polski” zamieniła się w kolosalne przedsięwzięcie, w którym elementy administracyjno-biurokratyczne pochłaniały niewątpliwie więcej sił i środków finansowych, niż właściwa pra-

2. M. Bobrzyński, *Dzieje Polski w zarysie*, t. III.

3. H. Swoboda (A. Próchnik), *Pierwsze piętnastolecie Polski Odrodzonej*, Warszawa, 1933.

4. H. Wereszycki, *Historia Polski 1864-1918*, Warszawa, 1946.

ca naukowa. Sytuację utrudniał — zwłaszcza na odcinku historii najnowszej — niedostateczny stan ogólnego dorobku naukowego, a w szczególności narzucone z góry kryteria dydaktyczno-polityczne. Nic też dziwnego, że każdy tom pochłaniał ogromną ilość pracy przygotowawczej (zbieranie materiałów, pisanie tzw. referatów materiałowych), zatrudniał oprócz licznej grupy autorów i redaktorów oficjalnych, mnóstwo autorów i pracowników anonimowych, no i oczywiście ogromne środki finansowe. Dążenie do „bezbłędności” i optymalnego pogodzenia kryteriów naukowych z naciskami partyjno-politycznymi powodowało, że praca nad każdym tomem trwała wiele lat. Tymczasem dorobek naukowy historiografii polskiej zarówno w dziedzinie monografii, jak i prac typu podręcznikowego, jest w ostatnim piętnastolecu tak poważny, zarówno pod względem ilościowym jak i jakościowym, że wydaje się wątpliwe by „Historia Polski” mogła odegrać rolę zamierzoną i przeznaczoną jej 15-20 lat temu⁵.

TOM III, CZĘŚĆ II

Bardzo obszerna, bo licząca niemal tysiąc stron druku, księga poświęcona jest dziejom narodu polskiego w piętnastolecu poprzedzającym I wojnę światową (1900-1914). Spis autorów zawiera aż 20 nazwisk. Z tego zasadniczy trzon książki — zagadnienia ekonomiczne i społeczno-polityczne (800 stron druku) —

5. Zdecydowanie negatywna ocena *Historii Polski* dominuje również w środowisku historyków krajowych, aczkolwiek pisze się o tym w sposób zawołowany. Dla przykładu przytoczę niedawno opublikowany wywiad ze znanym polskim historykiem Stefanem Kieniewiczem. *Pytanie*: „W środowisku historycznym panuje opinia o wadliwości syntez, pisanych przez kolektywy autorskie. Przeciwstawia się im prace pióra jednego autora. Czy podziela Pan ten pogląd?” — *Odpowiedź*: „... Gdy chodzi o opracowanie wydawnictw typu podręcznikowego zespół jest złem koniecznym przywoływanym w wypadku, gdy nie ma człowieka dość zdolnego, odważnego i dysponującego odpowiednią ilością czasu, by zrobić to samemu. Każda historia kraju czy miasta pisana przez kilka osób, jest składanką, a jeśli nią nie jest, to tylko dzięki umiejętności jej redaktora. Praca redaktora jest prosta gdy między autorami zachodzi relacja mistrz — uczniowie, trudniejsza lub wręcz niemożliwa, gdy rzecz rozgrywa się między kolegami [...]. Natomiast prace syntetyczne pisane indywidualnie są przedsięwzięciami ryzykownymi, bo pisać trzeba i o tym, na czym się człowiek słabo zna. Ale prawie zawsze wysiłek ten okazuje się owocny i interesujący, z reguły bowiem własny oryginalny punkt widzenia powoduje polemiki i sprzeczki. Dyskusja taka jest ożywcza dla całego środowiska, nie wyłączając specjalistów”. (*Nowe Książki*, Warszawa, Luty 1973. Wywiad przeprowadzili: St. T. Bębenek i P. Wieczorkiewicz).

opracowało 10 autorów. W niewielkim stosunkowo dziale kultury (130 stron) partycypuje również 10 autorów.

Należy zwrócić uwagę na kwestię terytorialno-geograficzną. W zasadzie uwaga autorów koncentruje się na obecnym terytorium Polski Ludowej. Tak więc w rozdziałach zatytułowanych „Ziemie Polskie pod panowaniem pruskim” Adam Gala skupia swą uwagę zarówno na zaborze pruskim, jak i tzw. Ziemiach Odzyskanych. Wszystkie natomiast rozdziały dotyczące zaboru rosyjskiego ograniczają się do terytorium Królestwa Polskiego i Białostoczczyzny. Poza obecny kordon graniczny wyszła jedynie W. Najdus w rozdziale o Galicji, nieliczne dane o tzw. ziemiach zabranych znajdujemy w części Ż. Kormanowej.

Pierwszy rozdział pióra J. Pajewskiego poświęcony jest sprawie polskiej w świetle międzynarodowej sytuacji przed I wojną światową. W zamierzeniu redaktorów rozdział ten miał przedstawić międzynarodowe tło wydarzeń i częściowo chociażby przezwyciężyć partykularystyczne wyizolowanie międzynarodowych spraw polskich od zagadnień międzynarodowych. Nasuwa się jednak pytanie, czy zamierzony cel został osiągnięty. Rozdział ten to w gruncie rzeczy bardzo lakoniczny przegląd sytuacji i wydarzeń międzynarodowych i raczej wątpię, czy rozdział ten w ogóle był potrzebny. Nie wnosi bowiem nic nowego do znajomości rzeczy, a może zakładać, że czytelnik „Historii Polski” zna ogólnie sytuację międzynarodową tego okresu.

Obszerny rozdział Ireny Pietrzak-Pawłowskiej poświęcony jest przemianom gospodarczo-społecznym w Królestwie Polskim. Autorka przed laty napisała obszerną pracę o problematyce gospodarczej początku XX wieku i ta tematyka dominuje również w rozdziale. Natomiast sprawy społeczne pokazane zostały raczej marginesowo. Również w obszernym rozdziale III A. Galosa „Ziemie polskie pod panowaniem pruskim” akcent położony został na sprawy gospodarcze. Dla przykładu paragraf poświęcony sprawom społecznym pt. „Burżuazja, mieszczaństwo, inteligencja” liczy zaledwie dwie strony. A wszak był to jedyny zabór gdzie istniała silna warstwa narodowościowo polskiego mieszczaństwa, baza narodowej i chrześcijańskiej demokracji. Była to formacja społeczna o bardzo specyficznym obliczu psychicznym i politycznym w ówczesnej Polsce, co było przyczyną wielu problemów w pierwszych latach niepodległości. Może szkoda, że autor nie wydobyl tej specyfiki.

Stosunki gospodarczo-społeczne w Galicji przedstawiła W. Najdus. W jej rozdziale znajdujemy bodaj jedyną próbę uwzględnienia struktury narodowej ludności.

Kolejna część omawia stosunki polityczne i społeczne na zie-

miach polskich. Znowu mamy rozdziały poświęcone poszczególnym zaborom. Najobszerniejszy z nich jest rozdział J. Kancewicza o sytuacji politycznej w zaborze rosyjskim w przededniu rewolucji 1905 roku.

Bardzo obszernie potraktowane zostały dzieje rewolucji 1905-1907 w Królestwie Polskim i na Białostocczyźnie. Autorzy tej części (około 150 stron), S. Kalabiński i F. Tych, są znawcami dziejów rewolucji i na jej temat opublikowali już kilka tomów dokumentów i szereg prac. W każdym bądź razie rozdział jest odbiciem nie tylko ich własnego dorobku, ale wyjątkowo bogatego dorobku historiografii polskiej o tym ciekawym epizodzie historii. Dwa małe rozdziały W. Najdus i A. Galosa pokazują oddziaływanie rewolucji 1905-1907 na Galicję i zabór pruski.

Bardzo interesujący jest rozdział piętnasty pióra Żanny Kormanowej, omawiający dzieje Królestwa Polskiego w latach 1907-1914. Był to dotąd jeden z najmniej zbadanych okresów historii Polski. Również baza źródłowa do tego okresu nie jest zbyt bogata. A okres ten, to wszak preludium niepodległej Polski. Szkoda niewątpliwie, że partie prawicy i centrum zostały przedstawione zbyt marginesowo w porównaniu z lewicą, której rola w tym okresie niewątpliwie zmalała. Bardzo bogaty i skomplikowany obraz życia politycznego Galicji w przededniu wojny trafnie przedstawiła Walentyna Najdus. Jak wspomniałem, już wyżej, tom zamykają zwęższe, ale spełniające swoją informacyjną rolę, rozdziały o historii literatury, nauki i sztuki tego okresu. Na uwagę zasługuje w szczególności rozdział dwudziesty drugi: próba syntezy dziejów kultury tego okresu pióra Kazimierza Wyki.

W sumie należy stwierdzić, że omawiany tom jest interesujący i bogaty w treść. Są jednak w tej treści poważne dysproporcje, zgodne zresztą z zamierzeniami autorów, zasygnalizowanymi we wstępie. Problematyka gospodarcza zabiera stosunkowo znaczną część książki. Historia ruchu robotniczego i lewicowych partii politycznych (zwłaszcza S.D.K.P.iL.) zostały opracowane bardzo szczegółowo kosztem pobieżnego potraktowania problematyki innych formacji społecznych społeczeństwa polskiego, a już w szczególności odłamów społeczeństwa narodowościowo nie polskiego.

TOM IV, CZĘŚĆ I (1918-1921)

Jak już powyżej wspomniałem, recenzowana publikacja zawiera pierwszych trzynaście rozdziałów części I tomu IV i obejmuje lata 1918-1921.

W porównaniu z uprzednio omawianą pozycją, zespół autor-ski jest stosunkowo nieliczny, bo zawiera zaledwie 5 nazwisk. Nie licząc autora rozdziału wstępnego (*Informacja o źródłach*), nad którym bliżej zatrzymam się poniżej, oraz dwóch małych rozdziałów pióra Bogusława Leśnodorskiego (*Plebiscyt na Warmii, Mazurach i Powiślu*) oraz Andrzeja Ajnenkiela (*Konstytucja marcowa*), cały tom jest w zasadzie pióra dwóch autorów: Henryka Zielińskiego i Tadeusza Jędruszcza. H. Zieliński sam napisał ponad połowę stron. Moim zdaniem stwarza to lepsze warunki techniczne, osiąga się bowiem jednolitość formy i narracji, unika się powtórzeń i dotkliwych luk wykładu, które się zdarzają przy większej liczbie autorów. Wydaje mi się ponadto, że jeden lub dwóch autorów ma formalne możliwości zachowania większej dozy samodzielności, podczas gdy w kolektywie wielu autorów presja ciągłych narad i uzgadniania kwestii formalnych ułatwia również nacisk zewnętrzny na kwestie merytoryczne. Słowem, pod tym względem Zieliński i Jędruszcza mieli sytuację raczej pomyślną. Zobaczmy poniżej jak ją wykorzystali. Inna rzecz, że okres i problematyka przez nich poruszana zawiera wiele punktów szczególnej „wrażliwości” politycznej, jak np. sprawa objęcia władzy w 1918-1919, stosunki polsko-sowieckie i wojna lat 1919-1920, polityka Komunistycznej Partii Robotniczej Polski itp. Te, najeżone trudnościami polityczno-cenzuralnymi, problemy nie ułatwiały obu autorom zadania.

Niezwykle wysoko oceniam rozdział I, pióra Zygmunta Kolankowskiego. W obszernym, 60-stronicowym, rozdziale znajdujemy wszechstronną informację o istniejącej w Polsce bazie źródłowej do dziejów Polski okresu międzywojennego⁶.

Nie znaczy to, by cenna praca Kolankowskiego nie miała luk, zwłaszcza w zakresie informacji archiwalnej. Tak więc autor „zapomniał”, lub kazano mu zapomnieć, o aktach Oddziału II Sztabu Głównego, które — mimo że wojskowe — znajdują się w centralnym archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Dostęp do tych ważnych dla historii II Rzeczypospolitej akt, dość łatwy w latach „odwilży”, stał się później przywilejem wybranych. Brak również wzmianki o aktach personalnych Min. Spraw Wojskowych, przechowywanych częściowo w Centralnym Archiwum Wojskowym, częściowo w C.A.M.S. Wewnętrznych, jak również o materiałach Kapituły Krzyża i Medalu Niepodle-

6. Rozdział Kolankowskiego zawiera następujące działy: 1. Informatory, bibliografie, zestawienia; 2. Informacje o materiałach archiwalnych najróżniejszych proveniencji; 3. O prasie krajowej i zagranicznej i jej przydatności dla badań; 4. Dział źródeł publikowanych (diariusze, pamiętniki, wspomnienia).

głości. Jak z tego widać, względy cenzuralno-polityczne nadal są odczuwalne w dziedzinie informacji naukowej.

Informacja naukowa w Polsce jest ciągle w powijkach i dlatego sumienna i treściwa informacja Kolankowskiego ma nieprzemijalną wartość dla każdego człowieka pióra, interesującego się międzywojennym dwudziestoleciem. Wydaje mi się, że informator ten powinien zainteresować polskie ośrodki naukowe na emigracji. Przy obecnej technice kopiowania można by zapewne wzbogacić zbiory polskich instytutów i bibliotek o niejedną cenny mikrofilm.

Przechodzę do omawiania zasadniczych części publikacji. Główny autor, Henryk Zieliński, jest niewątpliwie znawcą epoki i jej zagadnień. Píše ciekawie, potoczyście i treściwie. Ale jego wykład nie przedstawia jednakowej wartości we wszystkich partiach tekstu. Tak więc można stwierdzić, że solidnie i zgodnie z postulatami naukowymi opracowane są partie, w których nie ma trudnych problemów. Natomiast przy kwestiach trudniejszych autor wyraźnie się gubi: styl staje się mętny, pojawia się deklaratorywność i tendencja do tzw. drętwej mowy. W tych wypadkach autor chętnie stosuje metodę uniku w zajmowaniu i precyzowaniu własnego stanowiska, wyręczając się cytatai autorytetów lub „wrogów”. Razi nieraz mentorska maniera autora i jego tendencja do „besserwisserstwa”, do pouczenia, do ahistorycznych wniosków i ocen, zamiast spokojnej i rzeczowej analizy zjawisk i ich uwarunkowania. Aby nie być gołosłownym, chciałbym zatrzymać się na jednym kapitalnym zagadnieniu: sprawa tak zwanej walki o władzę na przełomie 1918-1919. Postawmy sprawę wyraźnie: stanowisko Zielińskiego jest stronnictwo i w swym zapale wpada w ahistoryczny zwyczaj pouczenia *ex post*. Dotyczy to głównie P.P.S. i jej przywódców, których wyraźnie nie darzy sympatią.

Dla przykładu — na stronie 181 Zieliński nie szczędzi zarzutów pod adresem Moraczewskiego i CKR P.P.S. za to, że zgodzili się na oddanie władzy. Stanowiło to jego zdaniem „oczywistą kapitulację” mimo, że „w kierowniczych sferach PPS zdawano sobie sprawę, iż w niedalekich już wyborach siłom lewicy w Polsce grozi porażka [...]”. Rząd i kierownictwo PPS godziły się z góry nie tylko na chwilowe oddanie władzy, ale gotowe były zrezygnować z niej na dłuższą metę...” (str. 81).

Autor oczywiście wie, że przeważały wówczas w narodzie tendencje prawicowe i nacjonalistyczne. W Sejmie ustawodawczym z wyborów 1919 roku, klub poselski PPS miał zaledwie 35 mandatów poselskich tj. 8,9 %. A więc autor dziwi się, że mając tak nikłą mniejszość... oddali władzę. Z punktu widzenia

lojalnego profesora Polski Ludowej, jest to rzeczywiście błąd nie do wybaczenia. Trzeba oddać sprawiedliwość Zielińskiemu, że nie używa pod adresem PPS klasycznych epitetów epoki stalinowskiej: o zdradzieckiej roli PPS, ale sugestia zdrady rewolucji wyraźnie z tych sformułowań wynika. Autor dużo miejsca poświęca na cytaty, które mają przekonać czytelnika, że Moraczewski, Daszyński czy Niedziałkowski nie byli zwolennikami komunizmu (str. 132-133 i inne); że kierownictwo PPS nie chciało Republiki Rad, a dążyło do stworzenia systemu demokratyczno-parlamentarnego (133, 134). Na stronie 139 czytamy: „Przed klasą robotniczą Polski zarysowała się perspektywa podjęcia zakrojonej na szeroką skalę walki o władzę polityczną. Jak wskazywało doświadczenie rewolucji rosyjskiej, walka ta — o ile miała skończyć się powodzeniem — musiała za swój najbliższy cel przyjąć hasło „cała władza w ręce rad”. Stosunek tego hasła stanowił w tym okresie jedno z głównych kryteriów prawdziwej rewolucyjności”.

Oto mała próbka frazeologii i absurdalnych ocen. Wystarczyło tylko rzucić hasło: „Cała władza w ręce rad” i już następuje zwycięstwo rewolucji. Abstrahując już od tego, że tezy Zielińskiego są w pełnej kolizji z teorią marksizmu (skrajny woluntaryzm i subiektywizm, ignorowanie obiektywnych czynników itp.). Jednym słowem Zieliński zrobił znaczny krok wstecz w powyższej omawianych kwestiach, w porównaniu z niejedną uprzednią publikacją, czy też z wynikami polemiki toczzonej w PRL w latach 1959-1960 na temat możliwości i szans rewolucji w Polsce w latach 1918-1919⁷.

Problemy mniejszości narodowych, których liczba w międzywojennej Polsce stanowiła ponad 1/3 ogółu ludności, zostały w omawianym opracowaniu niemal całkowicie pominięte. Być może, że pretekstem dla uniknięcia drastycznych spraw mniejszości słowiańskich jest okoliczność, że do traktatu ryskiego problem ukraińsko-białoruski należał raczej do sfery polityki zagranicznej, a nie wewnętrznej Polski. Być może, co byłoby już zupełnie absurdalne, że i dla okresu międzywojennego stosowane jest kryterium terytorialne obecnej Polski.

Stosunki polsko-żydowskie w XX wieku to ciągle temat drastyczny i kontrowersyjny. „Odfajkowanie” tego problemu dwoma oportunistycznymi i wieloznacznymi zdaniem nie przynosi zaszczytu reprezentacyjnej publikacji Polskiej Akademii Nauk.

7. Zob. Korzec, P., „Materiały do studiów nad historiografią P.R.L. w okresie historii najnowszej”. *Zeszyty Historyczne*, Zeszyt 22, Paryż, 1972, str. 16-21.

Istnieją zasadnicze rozbieżności w ujęciu kwestii w makiecie, a w wersji ostatecznej. Warto przypomnieć daty: makietę wyszła w 1966 r., zaś ostateczna wersja w 1969 r. W międzyczasie zaś miały miejsce słynne wydarzenia marcowe 1968 r. i odtąd obowiązuje w Polsce teza, że antysemityzm tam nigdy nie istniał i że jest on wymysłem światowego syjonizmu. Przykład ten dobitnie wskazuje jak bardzo historiografia polska uzależniona jest od okresowych tendencji politycznych.

Nasuwa się też pod rozważę problem odpowiedzialności moralnej autora, która na tym przykładzie wychodzi specjalnie wyraziście. W 1966 roku Zieliński pisał na ten temat uczciwie, a zmiany z 1969 roku można prawdopodobnie przypisać ingerencji czynników redaktorsko-cenzurowych. Czy jednak można autora, wykazującego daleko idący oportunizm i uległość, całkowicie usprawiedliwić?

W pracy Zielińskiego znajdujemy wiele innych, słabych punktów, czy oportunistycznych uników. Tak na dobrą sprawę nie znajdujemy w niej rzeczowej próby charakterystyki żadnego obozu politycznego, ani np. Narodowej Demokracji, a już szczególnie obozu belwederskiego. Oblicze polityczne lewicy przedstawione jest mgliście, a to przez różnego rodzaju aluzyjne i nieprecyzyjne sformułowania. Daremnie szukalibyśmy sprecyzowania stanowiska skrajnej lewicy w sprawie niepodległości. Dla przykładu pisze on o radykalizmie tzw. Republiki Tarnobrzesckiej Księdza Okonia, ale nawet jednym zdaniem nie próbuje wyjaśnić co to takiego było. W sumie więc musimy stwierdzić, że praca Zielińskiego nie jest najlepszą próbką polskiej historiografii.

Znaczenie korzystniej przedstawiają się rozdziały opracowane przez Tadeusza Jędruszcza, mimo że są one może szczególnie drastyczne. Rozdziały te bowiem poświęcone są politycznym i wojskowym przygotowaniom do wojny polsko-sowieckiej, wyprawie kijowskiej, kontrofensywie armii czerwonej, decydującej bitwie warszawskiej. Znajdujemy w nich przede wszystkim solidne opracowanie zagadnień militarnych, przy czym Jędruszcza wykorzystuje bogatą literaturę na ten temat zarówno polską, jak i sowiecką. Interesujący jest również rozdział o traktacie ryskim i ogólna charakterystyka wojny lat 1919-1920. Prawdą jest, że w szczególnie drastycznych miejscach autor woli się wyręczać cytataми Lenina, niż przedstawić swój własny punkt widzenia, jak np. w zagadnieniach planów i celów wojennych RSFSR (str. 115-116). W zasadzie widać jednak u Jędruszcza tendencję do obiektywizmu — tam gdzie to jest możliwe — i to niewątpliwie dobrze świadczy o autorze, który nie jest — jak Zieliński —

profesorem Uniwersytetu, a Wojskowej Akademii Politycznej. Bardzo rzeczowy jest również artykuł A. Ajnenkiela, poświęcony konstytucji marcowej.

Poszczególne tomy mają bogaty i ciekawy materiał ilustracyjny. Jednakże pod względem techniczno-drukarskim ilustracje wychodzą bardzo słabo. Również papier jest bardzo niskiej klasy. Małowartościowe materiały propagandowe drukowane są na znacznie lepszym papierze.

Jak na dzieło przygotowywane tak długo i tak starannie razi pewne niedbalstwo korekty. Np. na stronie 414 czytamy, że dywizje Żeligowskiego opanowały Wilno w 1929 roku (winno być w 1920). Na stronie 413 jest ilustracja o wkroczeniu wojska polskiego w 1922 roku do Krakowa (winno być oczywiście do Katowic).

Paweł KORZEC

Józef LEWANDOWSKI

ARMIA KRAJOWA W DOKUMENTACH*

Wydawanie dokumentów jest ważną rzeczą, wydawanie dokumentów jest — o czym wiedzą tylko ci, którzy się tym parali — rzeczą niesłychanie trudną.

Ponieważ nawet najśluszniesze stwierdzenia przez nazbyt częste używanie przekształcają się w truizmy, na poparcie twierdzenia iż wydawanie dokumentów niedawnej przeszłości jest sprawą istotną, pozwolę sobie na przytoczenie faktu, którym argumentowano w redakcji tygodnika *Literatura*** w czasie zupełnie niedawnej dyskusji na temat „czemu służy historia?”.

Dyrektor Instytutu Historii Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Aleksander Gieysztor, opowiedział mianowicie, że jeden z jego studentów, opiekujących się w ramach praktyk wakacyjnych obo-

* *Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945*. Komitet redakcyjny: Hali-
na Czarnocka, Józef Garliński, Kazimierz Iranek-Osmecki, Włodzimierz
Otocki, Tadeusz Pełczyński — przewodniczący. Tom 1 — wrzesień 1939 -
czerwiec 1941, przygotował do druku dr Józef Żmigrodzki. Londyn, 1970,
str. 584; Tom 2 — czerwiec 1941 - kwiecień 1943, przygotował do druku
Jan Tokarski. Londyn, 1973, str. 554.

** *Literatura* Nr 17/115, 25/4, 1974.

zem młodzieży 14-15-letniej, kazał wybrać swym podopiecznym nazwy dla trzech namiotów. „Przyniesiono mu tylko dwie nazwy: 'Zośka' i 'Parasol'” (nazwy legendarnych warszawskich batalionów Armii Krajowej).

Redakcji tygodnika ani cenzurze nie należy się dziwić. Nie popełniły one formalnie grzechu — PRL stara się zaadoptować tradycję akowską do swoich potrzeb, stara się by ta uzupełniała, „podbudowywała” tradycje bliższe „władzy ludowej”. Wydaje się więc w PRL dużą ilość wspomnień b. dowódców i żołnierzy A.K., nadaje się szumnie odznaczenia itd. Ale władze nie mogą być zadowolone z tego, że tradycja akowska dominuje nad preferowaną peperowską, że usunęła ją w sferę społecznego nieistnienia.

Nie łudźmy się też — tradycja ruchu niepodległościowego jest w kraju poddawana starannej preparacji, w toku której rzeczy wygodne są umiejętnie oddzielane od niepożądanych. Przeciwdziałanie temu jest rzeczą ważną i potrzebną, i temu celowi służy wydanie dokumentów Armii Krajowej.

Już po wydaniu pierwszych dwóch tomów można stwierdzić, że ta praca ma wielkie znaczenie naukowe, że sięgać do niej, jako do podstawowego źródła, będą wszyscy badający naukowo dzieje Polski w czasie II wojny światowej. Po raz pierwszy szeroko udostępniono dla badań sprawozdania sytuacyjne Komendanta Głównego ZZW i AK, dyrektywy Rządu PR przesyłane do kraju, stworzono możliwości podsumowania wysiłku organizacyjnego ruchu oporu, ujawniono sieć łączności zagranicznej itd. Spory i rozbieżności na temat charakteru, roli i struktury ruchu oporu, dotąd znane o tyle, o ile wcześniej otrzymały dokumentalne wyjaśnienie.

Wydanie dokumentów jest — jak zaznaczyłem — sprawą trudną, bynajmniej nie łatwiejszą niż pisanie monografii. Do normalnych trudności wydawniczych dołączyła się tu jedna szczególna — charakter dokumentacji konspiracyjnej. Interesy wyższego rządu nakazywały niesporządzanie dokumentacji, niszczenie notatek, zapisek, meldunków, rozkazów — wszystkiego tego co w ręku wroga stanowiło groźną broń przeciwko Polsce Walczącej. Stąd ubóstwo materiału, na pewno nie odpowiadającego rozmachowi Ruchu, nie pozostającego doń w żadnych proporcjach.

Niestety, nie wiemy nic o zasobach, posiadanych przez wydającą instytucję, tj. archiwum Studium Polski Podziemnej; nie wiemy też nic, jakimi kryteriami powodowano się stosując taki a nie inny wybór materiałów do publikacji. Być może, zastosowano jedyne możliwe kryterium to jest „tak krawiec kraje, jak materii staje”, ale o tym nie zostaliśmy poinformowani. W obecnym układzie odzwierciedlona jest tylko część aktywności Armii Krajowej, tj. ta, która znajduje odbicie w korespondencji między Komendantem Głównym a Rządem RP na emigracji, zaś

to co się działo na niższych szczeblach dowodzenia poznajemy tylko w tym stopniu, w jakim odzwierciedlają to materiały szczebla najwyższego. Innymi słowy, o „Zośce” i „Parasolu” czy o innych oddziałach, nadal wiemy niewiele.

Polemizowałbym, czy niewątpliwie ważne dokumenty w sprawie Katynia — w większości jednak dobrze znane — musiały znaleźć się w tomie II omawianego wydawnictwa — odnoszą się one do Armii Krajowej tylko pośrednio. Natomiast myślę, że bardzo wąska interpretacja pojęcia „dokument” spowodowała, że zgubiono z pola widzenia bardzo istotną część dokumentacji — mianowicie materiały prasowe — zwłaszcza konspiracyjnej prasy Armii Krajowej, jej regionalnych dowództw i grup militarnych wchodzących w skład Armii Krajowej. Również i materiały prasowe stronnictw politycznych byłyby na miejscu. Nie należy zapominać, że dostępność prasy konspiracyjnej jest w chwili obecnej bardzo ograniczona a jej wartość dokumentacyjna — ogromna.

Zgłoszone tu uwagi krytyczne nie umniejszają szacunku dla dzieła. Ale dopóki wydawnictwo jeszcze nie jest zakończone a praca nad dalszymi tomami trwa, tak długo uwagi krytyczne i dyskusja mogą mieć znaczenie dla wydawców.

Józef LEWANDOWSKI

Józef LEWANDOWSKI

KSIAŻKA MŁODEGO HISTORYKA UKRAIŃSKIEGO

Historiografia ukraińska cierpi na ogół na te same dolegliwości co i polska. Pomijam tu niebagatelną sprawę cenzury, nieporównanie bardziej ciężącej na nauce ukraińskiej — mam na myśli kłopoty warsztatowe ukraińskiej historiografii emigracyjnej. A więc ukrainocentryzm, ciągłe narzekania na zły (bez wątpienia) los i niedobrych (na pewno) sąsiadów, drażliwość, powódź drobnych szczegółów, z których nic albo niewiele wynika, brak szerszych horyzontów myślowych. Przyznaję, że lektura historyków ukraińskich, mało sprawiając mi satysfakcji, jest dla mnie zawsze bardzo pouczająca, pozwala bowiem na dostrzeżenie tego, czego się na ogół u siebie bądź nie dostrzega, bądź dostrzega niechętnie.

Bo i nam nie brakuje partykularyzmu, u nas też historycy

ciagle się czują jak gdyby kontynuatorami starych linii podziałów, pochodzących z nieistniejącego już świata, walczą przeciwko dawno już martwym przeciwnikom a nade wszystko lekceważą to wszystko co było „później”. Chyba nie ja jeden czytając ukraińską prasę doznaję uczucia lekkiego szoku obserwując walki między wyznawcami prawosławia a tymi, którzy trzymają się Unii Brzeskiej i katolicyzmu w obrządku greckim. Jak wiadomo, te rozbieżności były ważnym ogniwem w łańcuchu nieporozumień, które przeszkodziły Ukraińcom zjednoczyć się w okresie wielkich szans w latach 1917-1920. Teraz i jedni i drudzy połączeni są wspólnym losem, nie wiem jak te sprawy wyglądają w Związku Sowieckim, ale na emigracji, tj. w warunkach swobody, walki trwają...

Główną zaletą omawianej pracy Iwana Łysiaka-Rudnyckiego* jest to, że autor stara się przewyciężyć partykularyzm myślowy i dąży do potraktowania centralnych problemów ukraińskich na szerszym tle, zarówno przestrzeni jak i czasu.

O autorze wiem niewiele więcej niż z książki mogłem odczytać. Zdaje się, że studiował w Niemczech, wykładał na uniwersytecie amerykańskim, a obecnie kanadyjskim, że jako historyk jest pod wpływem i urokiem Wacławsława Łypyńskiego, zmarłego w latach trzydziestych uczonego, rodem z naddnieprzańskiej polskiej (lub spolonizowanej) rodziny szlacheckiej, *nota-bene* blisko spokrewnionego z innym wybitnym historykiem, płk. Wacławem Lipińskim. Przedmiotem szczególnego zainteresowania Rudnyckiego jest historia myśli społeczno-politycznej, czyli ta część dziejów, która ma szczególnie duże znaczenie dla współczesności. To, że myśl ta na Ukrainie nie była zbyt bogata i że często jest przez bieg wypadków zdezaktualizowana, bynajmniej nie zmniejsza znaczenia badań a na pewno ich nie ułatwia.

Recenzowana publikacja powstawała na przestrzeni niespełna trzydziestu lat. Autor zawarł w niej powstałe w różnych odstępach czasu, przy rozmaitych potrzebach pisane rozprawki, studia, artykuły polemiczne, przemówienia. Publikując je w postaci książkowej autor dał im układ nie chronologiczny lecz problemowy, wprowadzając w historyczny kontekst poprzez starannie sporządzone metryczki.

Książkę otwiera esej „Ukraina między Wschodem a Zachodem” — powtórzenie wykładu wygłoszonego w 1963 roku. Nie są te rozważania obce i polskim historykom, tym ciekawsze mogą być tu ukraińskie konkluzje. Autor zdaje sobie sprawę z powszechności pragnienia społeczeństw Europy Środkowej i Wschodniej: stania się społeczeństwami „zachodnimi”. „Wśród narodów wschodniej połowy kontynentu europejskiego dostrzegamy dziwny, natrętny nawet zwyczaj: usilne udawanie, że się jest zu-

* Łysiak-Rudnyckij, Iwan, *Miż istorijeju i politykoju*. Statti do istoriji ta krytyky ukrajinškoji suspilno-politycznoji dumky. Monachium, 1973, str. 441 + 3.

pełnie zachodnim, negowanie posiadania jakichkolwiek... niezachodnio-europejskich rysów w charakterze narodowym" (str. 7).

Rudnycki stwierdza, że we własnym, subiektywnym, przeświadczeniu Ukraińcy są narodem zachodnim, ale dziwna to zachodniość, jeśli ucieleśnieniem jej — w ukraińskim odczuciu — były i są Niemcy, nic dalej. Obiektywnie biorąc jest więc Ukraina „... typowym krajem wschodnio-europejskim, albowiem historia jej odznacza się brakiem ciągłości, dyskontynuacją” (str. 17). Łącząc w sobie odmienne warunki obiektywne i subiektywne odczucia, opierając się na dwóch tradycjach, jest Ukraina syntezą Wschodu i Zachodu.

Jest to stanowisko nie obce części przynajmniej polskich historyków i socjologów, uważających, że taką syntezą jednak jest ... Polska. Zdaje się, że wspólnym punktem odniesienia byłyby tu rosyjskie koncepcje eurazyjskie, żywe pod koniec XIX wieku i w pierwszych dziesiątkach naszego, choć boję się, że wielu polskich i ukraińskich wyznawców nie zdaje sobie sprawy z filiacji wobec Władimira Sołowjowa i Bierdiajewa.

Ważną rolę w recenzowanym tomie odgrywają studia poświęcone Łypińskiemu, Dragomanowowi i Iwanowi Franko, te przynajmniej osobiście czytałem z największym zainteresowaniem, świadom ile tendencyjnej nieprawdy na ich temat zdołano już wyprodukować. Przecież Iwan Franko w ujęciach sowieckich stał się niemal bolszewikiem, a w ujęciach innych — poprzednikiem OUN. Studia te gorąco polecam polskim czytelnikom, zwłaszcza że w latach II wojny światowej obraz ukraińskiego faszysty-kolaboranta przesłonił nam wszystko: i ukraińskich demokratów, ongiś dominujących przynajmniej na terenie Galicji, i socjaldemokratów, blisko współpracujących z PPS, i konserwatystów.

Ci ostatni są, jak już wcześniej zauważyłem, autorowi najbliżsi. Myślę, że stanowisko Rudnyckiego jest pochodną negatywnego stosunku do OUN-owskiego ekstremizmu, który zawiódł ruch ukraiński w ślepy zaułek. Autor przypomina słowa Władysława Łypińskiego, który już w 1926 roku uprzedzał, że nacjonalistyczny ekstremizm zniszczy życie ukraińskie i zostawi po sobie tylko ruiny.

Józef LEWANDOWSKI

STRATY HISTORII POLSKIEJ

Kazimierz SMOGORZEWSKI

JAN WEINSTEIN

Polska historiografia poniosła wielką stratę: dnia 27 kwietnia 1974 roku zmarł w Guildford, w Anglii, Jan Weinstein, wszechstronnie wykształcony członek służby zagranicznej Drugiej Rzeczypospolitej, którego *violon d'Ingres* było gruntowne badanie najnowszych dziejów Polski. Te dzieje są nieraz opacznie przedstawiane zarówno przez obcych jak i przez swoich ignorantów lub złośliwców. Jako gorący patriota i człowiek mocnego charakteru Weinstein zżymał się na jednych i drugich poprawiając ich błędne, a czasem całkiem zmyślane oświetlenia, drogą publicznych prelekcji, listów prywatnych oraz prac drukowanych.

Weinstein urodził się w Warszawie 25 lutego 1903 roku w prosperującej patriotycznej rodzinie mieszczańskiej. Ukończył ewangelickie gimnazjum im. Mikołaja Reja, wziął udział w trzecim powstaniu śląskim, po czym wstąpił do Szkoły Morskiej w Gdyni. Stan jego zdrowia był jednak taki, że nie wrócono mu kariery „wilka morskiego”, wobec czego rzucił marynarkę i rozpoczął studia na Uniwersytecie Warszawskim a następnie został pracownikiem kontraktowym MSZ. W 1925 roku, na wniosek Tytusa Filipowicza, ówczesnego pośła w Finlandii, został *attaché* prasowym w Helsinkach. Podczas pięcioletniego pobytu w Finlandii nauczył się języka fińskiego i nawet zaczął tłumaczyć na język fiński polskie utwory literackie. W maju 1930 wrócił do Warszawy do Wydziału Prasowego MSZ, gdzie w Referacie Zachodnim powierzono mu dział niemiecki. Cenili go ministrowie August Zaleski i Józef Beck, a ten ostatni powierzył mu w roku 1935 niezależny Referat Informacyjny ze stopniem radcy.

Z prac ogłoszonych w tych latach drukiem wymienić należy wydaną w 1931 roku broszurę *The Polish Corridor and the Peace*

oraz książkę *Upper Silesia — a Country of Contrasts*, która w roku następnym wyszła w przekładach francuskim (*Haute Silésie, pays de contrastes*) i niemieckim (*Oberschlesien, das Land der Gegensätze*). Weinstein interesował się także propagandą filmową i w porozumieniu z paryską firmą Pathé-Nathan puścił w świat w 1933 roku reportaż zatytułowany *L'ombre sur l'Europe* (w wydaniu angielskim: *Shadow over Europe*), którego celem było wykazanie jak bezpodstawne były niemieckie skargi, że „korytarz” utrudnia im komunikację z Prusami Wschodnimi. Był w tym filmie epizod bardzo zabawny. Oto w czerwcu tego roku bawił w Polsce Karol Radek, podówczas redaktor *Izwestii*. Weinstein zawiózł go do Tczewa w dniu kiedy na tę węzłową stację zjechał niemiecki pociąg tranzytowy wiozący z Berlina do Królewca oddział *Reichswehry*. Wskazując na pasażerów tego pociągu Weinstein przypomniał Radkowi, że cztery miesiące temu Hitler oświadczył przedstawicielowi *Sunday Express*'u, iż „korytarz” jest „*a hideous injustice to Germany*”. Na to Radek: „Panie, do d.y z Hitlerem”. Te niedyplomatyczne słowa, wypowiedziane po polsku, dostały się do filmu, który — rzecz jasna — był *parlant*.

W 1938 roku Beck powierzył Weinsteinowi zorganizowanie stacji radiowych nadawczo-odbiorczych łączących MSZ z polskimi placówkami dyplomatycznymi za granicą. Za pracę tę został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi. Stacje te pracowały przez cały czas kampanii wrześniowej i po niej. Po 17-ym września 1939 roku Weinstein znalazł się wraz z personelem MSZ w Rumunii. Mieszkając w Bukareszcie z żoną Haliną (która tam właśnie powiła mu na początku 1940 roku córkę Krystynę), Weinstein widywał się z Beckiem internowanym w Stanesti. Ostatnią rozmowę Beck zakończył tak: „Panie Janie, jeśli tu umrę nie chcę aby w moim pogrzebie brali udział Francuzi i Rumuni...”.

Weinstein nie mógł się początkowo udać do Paryża, gdzie powstawał nowy rząd polski z gen. Sikorskim na czele, ponieważ pod polskim naciskiem ambasada francuska odmawiała mu wizy wjazdowej. Otrzymał ją dopiero gdy się zaciągnął do formowanej we Francji armii polskiej. Po kapitulacji Francji przybył w mundurze do Szkocji wraz z uratowanymi jednostkami wojskowymi. Wkrótce potem wrócił do MSZ (wyreklamowany), aby do końca wojny kierować radiową łącznością rządu polskiego z jego zagranicznymi placówkami.

Po wojnie, w poszukiwaniu nowego pola pracy i utrzymania, Weinstein przerzucił się w dziedzinę dla siebie całkiem nową, a mianowicie wziął się do studiowania angielskiej gospodarki rolnej. W latach 1949-53 gospodarzył ze swą dzielną żoną na fermie pod Carmarthen w południowej Walii, a w latach 1953-1968 był asystentem dyrektora angielskiego przedsiębiorstwa *Cow and Gate Farms Ltd.*, którego centrala znajdowała się w Guildford, w hrabstwie Surrey. Trzy ферmy należące do *Cow & Gate Farms Ltd.* specjalizowały się w hodowli świń. Jako rzeczoznawca w tej

dziedzinie, Weinstein odwiedził Polskę w roku 1963 i za zgodą Ministerstwa Rolnictwa badał już półwiekowy polski przemysł bekonowy. Ogłosił na ten temat na łamach tygodnika *Farmer and Stockbreeder* (22. X. 1963) źródłowy i dla polskich prywatnych hodowców niemal entuzjastyczny artykuł pod dowcipnym tytułem „Polished Pigs”. Pracując w centrali firmy swej w Guildford, kupił tam starą szkołę kościoła anglikańskiego i część jej, w której ongiś mieszkał nauczyciel, zmodernizował, z wielkim gustem umeblował i tam zamieszkał ze swą żoną i córką. Zgromadził tam także poważną bibliotekę z dziedziny dziejów lat międzywojennych i powojennych, poświęcając się całkowicie po przejściu na emeryturę poszukiwaniom archiwalnym. Będąc członkiem *Royal Institute of International Affairs* (Chatham House) miał ułatwiony dostęp do Biblioteki *Foreign Office*, gdzie znajdują się niemieckie dokumenty dyplomatyczne, które w roku 1945 wpadły w ręce zachodnich sojuszników.

Zebrał Weinstein ogromny materiał dotyczący polityki zagranicznej Drugiej Rzeczypospolitej ze szczególnym uwzględnieniem działalności min. J. Becka a także gen. Sikorskiego. Nie zdążył tego całego materiału opracować ogłaszając tylko niektóre z tych czasów epizody, jak np. „Scenariusz ministra Gafencu” w *Zeszytach Historycznych* (Nr 13, 1968), lub „W poszukiwaniu prawdy historycznej” na łamach londyńskiego *Orla Białego* (Grudzień 1973). Ten ostatni szkic jest świetnie udokumentowanym odparciem zarzutów stawianych przez Stanisława Kirkora, który — pisząc w *Wiadomościach* o politycznych inicjatywach gen. Kazimierza Sosnkowskiego — podał jakoby Beck miał plan „wprowadzenia Polski do nowej wojny światowej po stronie Niemiec”.

Sporo niemieckich dokumentów dyplomatycznych szczególnie dotyczących spraw polskich nie weszło do wielotomowej kolekcji pt. *Documents on German Foreign Policy*, ale Weinstein je z archiwów wyłowił i zostały one ogłoszone w oryginałach niemieckich i rosyjskich — z reprodukcjami fotograficznymi — w IV tomie cennego zbioru pt. *Diariusz i Teki Jana Szembeka*. W najbliższym, 9-tym zeszycie *Niepodległości*, nieregularnego (z braku funduszy) periodyku wydawanego przez Instytut Józefa Piłsudskiego, ukaże się ostatnia praca Weinstein: obszerny szkic pt. „Polska polityka zagraniczna w krzywym zwierciadle historyka” (na tle książki A. Polonsky'ego *Politics in Independent Poland, 1921-1939*).

Bardzo cennym znaleziskiem Weinstein są dokumenty pochodzące z kancelarii Edwarda Beneša, ministra spraw zagranicznych, a od grudnia 1935 roku prezydenta Republiki Czechosłowackiej, oraz z archiwum czechosłowackiego *Ministerstva Zahraničních Věcí*. Oba archiwa zostały zajęte przez specjalne *Einsatzkommando* natychmiast po wejściu wojsk niemieckich do Pragi. Niemcy wzięli się zaraz do tłumaczenia ważniejszych dokumentów na język niemiecki i ta kolekcja wpadła w ręce angielsko-amerykańskie wraz z archiwum *Auswärtiges Amt*'u.

Przez osiem miesięcy szperał Weinstein w czeskim archiwum fotografując setki dokumentów rzucających niemal sensacyjne światło na politykę Benesza, który łamał sobie głowę jak przekonać Hitlera, że on — prezydent republiki — gotów jest wprowadzić Czechosłowację w ramy *Grossdeutsches Reich*'u za cenę pozostawienia jej wewnętrznej autonomii.

Aby choć szkicowo uzupełnić sylwetkę Weinsteina dodać trzeba, że w stosunkach osobistych był człowiekiem pełnym kurtuazji oraz — po bliższym poznaniu — serdeczności, co wcale nie oznaczało że nie reagował uprzejmie ale stanowczo na opinie jego przekonaniom przeciwne. Dzięki rozległemu wachlarzowi jego odczytania i zainteresowań był rozmówcą stymulującym a jego wrodzone poczucie humoru wykluczało w jego wywodach wszelką apodyktyczność. I jeszcze jedno: dom Jana i Haliny był po polsku gościnny więc się w St. Catherine's Lodge chętnie całymi godzinami przesiadywało.

Kazimierz SMOGORZEWSKI

LISTY DO REDAKCJI

Londyn, 30 kwietnia 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Zeszytach Historycznych* (nr 27) ukazał się list p. Stefana Kisielewskiego polemizujący z p. Siemaszką w sprawie Pawła Jasienicy. W liście tym znajdujemy takie zdanie: „Paweł Jasienica od razu rozpoczął w *Tygodniku ostrą* i błyskotliwą polemikę z marksizmem i marksistami (grupa *Kuźnicy*). W świetle jego ówczesnych, a dostępnych w bibliotekach, tekstów twierdzenie ks. Mirewicza, jakoby Jasienica sądził że '... uda się wytworzyć nowy światopogląd, zrywający z tradycją chrześcijańską, a nawiązujący do marksizmu' wygląda również na kompletny wymysł, dla znających zaś Jasienicę i jego szlachecki „Polonusowy” temperament (szkoła Mackiewicza bądź co bądź) na wymysł wręcz absurdalny”. W zakończeniu listu p. Kisielewski twierdzi, że słyszał przez Radio „Wolnej Europy” wypowiedzi uczestników wieczoru ku czci Jasienicy. Wolno mi więc zapytać, w którym miejscu mojej wypowiedzi znajduje się cytowane przezeń zdanie. Leży przede mną spis z taśmy magnetofonowej (Radio Free Europe), gdzie wyraźnie zostało podkreślone: „Komunistą nie był, marksistą nie był”. O nawiązywaniu do marksizmu nie ma tam mowy. Przypuszczam więc, że p. Kisielewski przesłyszał się i to mu podyktowało dość zaskakujące — jak u pisarza takiej miary — wyrażenie o wręcz absurdalnym wymyśle. Kładę to na karb przyjaźni łączącej p. Kisielewskiego z Jasenicą. Przyjaźń ta każe mu także dać swoją interpretację faktu niepociągnięcia do odpowiedzialności Jasienicy w czasie procesu Łupaszki. Ma do tego prawo. Trochę inaczej tłumacząc sobie ten fakt, nie ośmieliłbym się jednak nigdy w sądzie jego opinii użyć słów: absurd i wymysł.

Czytelnicy *Zeszytów Historycznych*, interesujący się poruszonym przez p. Kisielewskiego problemem znajdą próbę jego naświetlenia w czerwcowym numerze *Przeglądu Powszechnego* (Księża Jezuiti, 182, Waln Lane, London, N.W.2 3AX) w artykule: „Paweł Jasienica czyli dramat inteligencji polskiej”.

Łączę wyrazy szacunku oraz uznania dla ogromu pracy włożonej w redagowanie tak cennego kwartalnika jakim są *Zeszyty Historyczne*.

Ks. Jerzy MIREWICZ, T.J.

Paryż, 22 maja 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

Mam nadzieję, że zechce Pan Redaktor zamieścić kilka jeszcze słów w związku z polemiką, jaka się wywiązała między mną a p. S. E. Bask-Mostwinem na temat mjr. Hubal-Dobrzańskiego (*Zeszyty Historyczne* nr 24, str. 213-214; nr 26, str. 236-237, oraz Nr 28, str. 234-235).

Bez wchodzenia w poruszone szczegóły, ale niewyjaśnione problemy, które były powodem zabrania przeze mnie głosu, warto przypomnieć, że działalność Hubala dzieli się na dwa okresy: 1) od września 1939 do 13 marca 1940 roku, kiedy Hubal, po nawiązaniu kontaktu z dowództwem „Służby Zwycięstwu Polski” i po aprobachie swoich planów przez gen. Karaszewicz-Tokarzewskiego, powiększał swój oddział; 2) od 13 marca do 30 kwietnia 1940 roku, gdy po przywiezionym przez gen. Okulickiego rozkazie demobilizacji oddziału, Hubal znalazł się w konflikcie z wojskowymi władzami Polski podziemnej — władzami, które Hubal do końca życia lojalnie uznawał. W obydwu okresach Hubal kierował się nie pobudkami natury ambicjonalnej lecz poczuciem obowiązku wobec Ojczyzny tak, jak on ten obowiązek pojmował: walki w mundurze i z bronią w ręku.

W żadnym wypadku nie można przypisywać Hubalowi, że od zaczątku konspiracyjno-partyzanckiej działalności, jesienią 1939 roku, nie chciał się podporządkować wyższemu dowództwu w kraju. Tego rodzaju zniekształcenia spotyka się często w Polsce, gdzie różni autorzy usiłują twierdzić, iż Hubal zbuntował się przeciw „reakcyjnemu” rządowi i że gdyby nie zginął zbyt wcześnie znalazłby się zapewne „tam gdzie doszedł Żymierski, Berling i jeszcze kilkudziesięciu”. Tym bardziej przeto ci, którzy za granicą wypowiadają swoją opinię o Hubalu nie powinni różnymi aluzjami ułatwiać lansowania podobnych zniekształceń. Niestety, na Zachodzie działalność Hubala też służy czasami do dania upustu różnym kompleksom i „potępien-czym” swarom. Jako przykład posłużyć może jeden z artykułów „Adolf Kołodziej, „Zapiski Hubalczyka”, *Związkowiec*, Nr 28/29, kwiecień 1974 roku, str. 22, Kanada), gdzie autor pisząc o oddziale Hubala nadmienia, że „Chcieli ratować honor Armii Polskiej, wbrew tym, co szosą zaleszczycką uchodzili w popłochu, unosząc z progromu swe nędzne głowy”. (Artykuł ten oparty na podstawie zapisków jednego z hubalczyków, ogłoszony był najpierw w *Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza* z 23. 1. 1974 roku w Londynie pod tytułem „Byłem żołnierzem Hubala”, ale jednak nie zawierał wyżej cytowanego zdania, z czego wynika, że p. Kołodziej podobne epitety „eksportuje” do Kanady, woląc przezornie nie wyrażać ich na terenie Anglii, gdzie wychodzi *Dziennik* i gdzie on sam mieszka).

Postać Hubala nie powinna być nadużywana w kontrowersjach politycznych, płynących „plebejskim nurtem historii” lub też „szosą zaleszczycką”. Nic nie może być bardziej błędnego w dyskusji o Hubalu niż przypisywanie mu racji, że nie chciał się rozbroić — i wyciąganie z tego błędnych wniosków — z jednoczesnym potępieniem wojskowych władz polskich za wydanie rozkazu demobilizacji jego oddziału; lub też odwrotnie — przyznawanie racji tym władzom z jednoczesnym potępieniem Hubala. Racje bowiem miał tak Hubal, jak i władze polskie, każda strona swoją, każda opartą na własnym poczuciu obowiązku wobec kraju: poczuciu odwagi, jakiej wymaga się od żołnierza liniowego i poczuciu rozwagi, jaka winna charakteryzować dowództwo wyższego stopnia. Sytuacja była wówczas tak tragicznie skomplikowana, że wszystkie racje, wywodzące się z potrzeby wywalczenia Polsce niepodległości, miały swoje uzasadnienie — racji nie mieli tylko Niemcy.

Nawiązując jeszcze bezpośrednio do polemiki z p. Bask-Mostwinem to, jeśli chodzi o drugorzędne i łatwe w przyszłości do sprawdzenia dane, nale-

ży stwierdzić, że: zachodzi jednak zasadnicza różnica między przytaczaniem dalszych imion, z pominięciem pierwszego, jakie normalnie jest używane, a więc Henryk Dobrzański nie jest to samo co Feliks Józef Dobrzański, podobnie jak nie byłoby to samo gdyby zamiast Józef Piłsudski powiedziano Klemens Piłsudski. Próba zharmonizowania swojej działalności z ośrodkiem kieleckim (w związku z czym Hubal wysłał w listopadzie Koraba-Karpińskiego do Kielc), była próbą uzgodnienia współpracy równomiernych trzonów organizacyjnych, co nie jest równoznaczne z nawiązaniem bezpośredniego kontaktu z Komendą SZP (*nota-bene* Kielce oparły swój organizacyjny schemat na instrukcjach wydanych wcześniej przez Hubala). Maciej Kotwicz-Kalenkiewicz wyjechał z oddziału, z zamiarem przedostania się do Francji, w ostatniej dekadzie listopada 1939 i dlatego automatycznie podałem tę datę mimo, że przekroczył on granicę polsko-węgierską w pierwszych dniach grudnia. Hubal udał się do Warszawy w grudniu, tak napisałem i nie wiem dlaczego p. Bask-Mostwin mówi, że się myłę, potwierdzając następnie, że Hubal był rzeczywiście w stolicy w grudniu.

Nigdy nie pisałem — co sugeruje p. Bask-Mostwin — że nie zaistniał konflikt między Hubalem a Komendą Z.W.Z., twierdziłem natomiast i ciągle twierdzę, że konflikt ten należy zgodnie z prawdą wyjaśnić, bez „upupiania” go politycznymi przesłankami. P. Mostwin kończy swój list do Redakcji *Kultury* stwierdzeniem — i słusznym — że Hubal „w swej samotności dał początek legendzie. Stał się symbolem niepokodzenia się z rzeczywistością”. Zgodzi się więc chyba p. Bask-Mostwin, iż nie należy dopuścić do tego, żeby legenda ta obrastała dziś w niezgodne z rzeczywistością fakty. Taki też był cel mojego zabrania głosu na łamach *Zeszytów Historycznych*.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Tadeusz WYRWA

Pacific Grove, Cal., 23 maja 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nawiązując do artykułu pana Z. S. Siemaszki „Rozmowy z kapitanem Szabunią” — *Zeszyty Historyczne* Nr 25, strona 136 donoszę, że major artylerii Bronisław Blumski, 10 PAC Przemyśl-Pikulice, zmarł na wosnę 1936 roku, więc nie mógł być w lipcu 1944 w rejonie Wilna.

Pozostaję z szacunkiem,

Zygmunt SZUMELDA

SPIS TREŚCI

Józef Garliński: <i>Polskie państwo podziemne (1939-1945)</i>	3
Roman Buczek: <i>Działalność opiekuńcza Ambasady R.P. w ZSSR w latach 1941-1943</i>	42

OKRUCHY HISTORII

Witold Babiński: <i>Fragmenty rozmów z gen. Sosnkowskim</i>	116
Jan Ciechanowski: <i>Notatki z rozmów z gen. Marianem Kukielem</i>	130
Zbigniew S. Siemaszko: <i>Niektóre wypowiedzi płk. W. Bą- kiewicza</i>	144

PAMIĘTNIKI

Wiktor Tomir Drymmer: <i>Wspomnienia (Cz. III)</i>	157
Zygmunt Borkowski: <i>Wspomnienia 1939-1943</i>	186

RECENZJE

Wiktor Sukiennicki: <i>Czy poszło z dymem?</i>	202
Piotr Wandycz: <i>Ostatni tom diariusza Szembeka</i>	211
Paweł Korzec: <i>Dwa nowe tomy „Historii Polski”</i>	217
Józef Lewandowski: <i>Armia Krajowa w dokumentach</i>	227
Józef Lewandowski: <i>Książka młodego historyka ukraiń- skiego</i>	229
	239

STRATY HISTORII POLSKIEJ

Kazimierz Smogorzewski: *Jan Weinstein* 232

LISTY I POLEMIKI

- Ks. Jerzy Mirewicz, T.J.: *List do Redakcji* w związku z polemiką Stefana Kisielewskiego z Z. S. Siemaszką (*Zeszyt Historyczny* Nr 27) w sprawie Pawła Jasienicy 236
- Tadeusz Wyrwa: *List do Redakcji* w związku z polemiką S. E. Bask-Mostwinem w sprawie majora Hubal-Dorżańskiego (*Zeszyty Historyczne* Nry 24, 26, 28) .. 237
- Zygmunt Szumelda: *List do Redakcji* w związku z artykułem Z. S. Siemaszki pt. „Rozmowy z kpt. Szabunią” (*Zeszyty Historyczne* Nr 25) 238

**„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO
KWARTAŁ NA POČZĄTKU LUTEGO, MAJA,
SIERPŃIA I LISTOPADA KAŻDEGO ROKU.**

PRENUMERATA ROCZNA — F. 80,00.

**PRENUMERATA ROCZNA DLA
PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 70,00.**

F. 20 (dol. 5,00)